

Ciemna strona Długiego Słońca

Wolfe Gene



calibre 0.7.14

Gene Wolfe

Ciemna strona Długiego Słońca

Tom I cyklu Księga Długiego Słońca

Przełożył: Michał Wroczyński

Książkę tę dedykuję Joemu Mayhew z co najmniej tuzina przyczyn

Manteion przy ulicy Słońca

Patere Jedwab doznał objawienia na boisku; od tej chwili wszystko miało się zmienić. Kiedy opowiadał o tym później, najpierw sobie, jak miał to w zwyczaju podczas samotnych, nocnych godzin, a następnie maytere Marmur, która była również maytere Róża, twierdził, iż było to tak, jakby ktoś, kto zawsze stał tuż za jego plecami, po wielu latach brzemiennego w skutki milczenia zaczął nagle szeptać mu do obu uszu. Paterę Jedwab doskonale pamiętał, że w chwili gdy usłyszał głosy, odsłaniające mu wszelkie tajemnice, starsi chłopcy zdobyli punkty, a Róg bez trudu przechwycił piłkę.

Niektóre z tych tajemnic miały sens, ale pojawiły się jednocześnie, bez składu i ładu. On, młody patere Jedwab (absurdalna, mechaniczna postać) spoglądał na mechaniczne widowisko, które stanęło w miejscu.

Olśniewający uśmiech sięgającego po piłkę wysokiego Roga zamarł, zdawałoby się, na wieki.

Nieżyjący patere Płetwa, mamroczący modlitwę, podrzyna krtań cętkowanego królika, którego sam kupił.

Martwa kobieta w bocznej alejce ciągnącej się nieopodal ulicy Srebra; wszyscy mieszkańcy dzielnicy.

Światła pod stopami, niczym rozciągające się nisko w dole na nocnym niebie miasta. (Och, jak gorąca jest krew królika spływająca na zimne dłonie patere Płetwy).

Dumne domy na Palatynie.

Bawiąca się z dziewczętami maytere Marmur, i maytere Mięta pragnąca wykrzesać z siebie tyle odwagi, by włączyć się do zabawy. (Stara maytere Róża modli się w samotności; modli się do Scylli Parzącej, przebywającej w swym pałacu pod jeziorem Limna).

Piórko ciężko pada na ziemię popchnięty brutalnie przez Roga; nie upadł jednak na pokruszony rakplast, który miał przetrwać aż do końca istnienia whorla.

Viron i jezioro, więdnące na polach zboże, usychający figowiec i puste, przepastne niebo. Paterę Jedwab zobaczył to wszystko, i dużo więcej, obrazy miłe i przerażające, krwistą czerwień i żywą zieleń; żółć, błękit, biel, aksamitną czerń oraz inne przenikające się barwy, jakich dotąd nie znał.

Ale to wszystko nie miało znaczenia. Liczyły się głosy, tylko dwa głosy (choć czuł, że byłoby ich znacznie więcej, gdyby mógł słyszeć je uszami). Resztę pustego widowiska przedstawiono tak, by Jedwab był w stanie pojąć jego znaczenie. Roztoczono je przed oczyma patere tak, by mógł zrozumieć, jak jest ono ważne – oto lśniący mechanizm przestał prawidłowo funkcjonować, a on musi go naprawić; wszystko naprawić. Po to właśnie się urodził.

Z czasem zapomniał o reszcie, jakkolwiek wszystkie inne obrazy mógłby przywołać w pamięci

ponownie, trudne prawdy przybrane w szatę nowej pewności. Ale nigdy nie zapomniał głosów, które tak naprawdę były jednym głosem i które (który) mówiły: zapamiętaj tę gorzką lekcję. Próbował odepchnąć od siebie wspomnienia słów, które usłyszał, gdy padł na ziemię Piórko, biedny mały Piórko, gdy z ołtarza skapywała krew królika, gdy pierwsi osadnicy zajmowali domostwa przygotowane dla nich w znajomym Vironie, gdy martwa kobieta zdawała się poruszać, gdy szmaty powiewały w podmuchach gorącego wiatru, zrodzonego w połowie drogi do whorla; wiatr zaczął wiać jeszcze mocniej, gdy mechanizm zegara, który tak naprawdę nigdy nie przestał chodzić, znów zaczął działać.

– Nie zawiodę – odparł głosem, czując, że kłamie, a jednocześnie czując aprobatę tych głosów dla samego siebie.

I wtedy...

Wyciągnął rękę i wyjął z nieruchomej dłoni Roga piłkę.

Paterę Jedwab wykonał gwałtowny obrót. Ciemna piłka poszybowała niczym czarny ptak i przeleciała przez pierścień po przeciwnej stronie pola. Z głośnym łoskotem, krzesząc niebieskie iskry, odbiła się od piekielnego kamienia i w powrotnej drodze znów przeleciała przez pierścień.

Róg próbował go zatrzymać, lecz paterę Jedwab mocno potracił chłopca, obalił na ziemię i chwycił wracającą piłkę. Rozległ się trzytonowy pean dzwonka i na pociągniętej ochrą tarczy zegara pojawił się ostateczny rezultat meczu: trzynaście do dwunastu.

Trzynaście do dwunastu to nie najgorszy wynik, pomyślał paterę Jedwab, gdy odbierał od Piórka piłkę i chował ją do kieszeni spodni. Starszych chłopców nie powinno to załamać, ale maluchy wpadną w zachwyty. Co zresztą było już po nich widać. Nie próbując nawet uciszać rozkrzyczanych brzdąków, wziął na ręce dwóch najmniejszych.

– Wracajcie do klasy – powiedział głośno. – Wszyscy do klasy. Trochę arytmetyki dobrze wam zrobi. Piórko, rzuć Meszkowi mój ręcznik.

Należący do starszych maluchów Piórko spełnił polecenie; Meszek, którego Jedwab trzymał na prawym ramieniu, próbował złapać ręcznik, lecz sztuka ta mu się nie udała.

– Paterę – odezwał się Piórko. – Zawsze mówisz, że ze wszystkiego należy wyciągać lekcję.

Jedwab skinął głową, otarł z potu twarz i przeciągnął dłonią po potarganych żółtych włosach. Dotknął go bóg! Dotknął go Zewnętrzny; a choć Zewnętrzny nie należał do Dziewięciu, niewątpliwie był bogiem. I to, właśnie to było objawieniem.

– Paterę?

– Słucham cię, Piórko. O co chcesz zapytać?

Ale objawienia doznawali jedynie wybrańcy boga, a on przecież do świętych wybrańców nie należał – nie był postacią promieniejącą jasnością, zwieńczoną złotą mitrą z Pisma. Jak miał powiedzieć tym dzieciakom, że w trakcie gry...

– Patere, jaka zatem płynie lekcja z naszego zwycięstwa?

– Że zawsze należy walczyć do końca – odparł nieuważnie Jedwab.

Myślami wciąż błędził przy naukach Zewnętrznego.

Jeden z zawiasów bramy prowadzącej na boisko był pęknięty; dwóch chłopców musiało unieść wrota, by zamknąć skrzypiące wierzeje. Zawias trzeba szybko naprawić, bo niebawem drugi puści. Do wielu wybrańców bogowie nigdy nie przemówili; tak w każdym razie uczono Jedwabia w scholi. Do nielicznych przemówili w ostatniej chwili, już na ich łożu śmierci; prawda ta do patere dotarła dopiero teraz.

– Wytrwaliśmy do końca – przypomniał mu Róg. – Ale przegraliśmy. Jesteś większy ode mnie. Jesteś większy od każdego z nas.

Jedwab uśmiechnął się i skinął głową.

– Nie mówiłem, że jedynym celem jest zwycięstwo.

Róg otworzył usta, ale szybko je zamknął i głęboko się zamyślił. Przy bramie Jedwab postawił na ziemi Gajówkę i Meszka. Wytarł z torsu pot i zdjął z gwoździa czarną tunikę. Ulica Słońca, zgodnie z nazwą, ciągnęła się równoległe do drogi słońca, i jak zawsze o tej porze dnia panował na niej straszny żar. Jedwab bardzo niechętnie włożył przez głowę tunikę, która ostro pachniała jego potem.

– Przegraliście – oświadczył Meszkowi, kiedy już włożył grubą koszulę. – Przegraliście w chwili, gdy Róg odebrał ci piłkę. Ale wygraliście, skoro cała drużyna dotrwała do końca. Jaką z tego wyciągasz lekcję?

Meszek milczał.

– Że wygrana czy przegrana nie jest końcem whorla – powiedział Piórko.

Jedwab włożył na tunikę czarną, luźną sutannę, w której czuł się najlepiej.

– Bardzo dobrze – pochwalił małego Piórko.

W chwili gdy pięciu chłopców zamknęło bramę boiska, padł na nich niewyraźny cień unoszącego się nad ulicą Słońca lotnika. Dzieciaki popatrzyły w górę. Kilka najmłodszych chwyciło kamienie, mimo że lotnik znajdował się trzy czy cztery razy wyżej niż najwyższa wieża w Vironie.

Jedwab też przystanął, zadarł głowę i z zazdrością, którą próbował wszelkimi siłami w sobie stłumić, popatrzył na szybującą mu nad głową postać. Czy w którejś z zawrotnych wizji widział lotników? Odnosił wrażenie, że tak – ale obrazów przecież było tak wiele!

Nieproporcjonalnie wielkie i przezroczyste jak mgła skrzydła były w oślepiającym blasku słońca prawie niewidoczne. Wydawało się, że lotnik wcale nie ma skrzydeł. Na tle pałającego złotem światła majaczyła tajemnicza, wyprostowana czarna sylwetka z rozpostartymi ramionami.

Jedwab przypomniał sobie o obowiązkach.

– Jeśli lotnicy są ludźmi, to z całą pewnością ciskanie w nich kamieniami jest rzeczą naganną – oświadczył. – Jeśli ludźmi nie są, należy wziąć pod uwagę, że w hierarchii duchowego whorla stoją wyżej niż my. – I po chwili, tknięty nagłą myślą, dokończył: – Nawet jeśli nas szpiegują, w co bardzo wątpię.

Czy lotnicy również doznają objawienia i dlatego potrafią latać? Czy bogowie – na przykład Hierax lub jego ojciec, władający niebem Pah – uczą swych ulubieńców sztuki latania?

Prowadzące do palestry wypaczone i zwiertzałe drzwi nie chciały się otworzyć, Róg musiał użyć całej siły. Jedwab jak zawsze najpierw odesłał maluchów do maytere Marmur.

– Odnieśliśmy wspaniałe zwycięstwo – oświadczył sybilli. Potrząsnęła w udawanym zdumieniu głową. W jej gładkiej, owalnej twarzy, wypolerowanej od wielokrotnego wycierania, odbijało się wpadające przez okno światło.

– A moje dziewczynki przegrały. Odnoszę wrażenie, że duże dziewczęta maytere Mięty z każdym mijającym tygodniem stają się szybsze i silniejsze. Czy nie sądzisz, że nasza Molpe Miłosierna powinna sprawić, by moje maleństwa też stały się szybsze? Ale jej najwyraźniej na tym nie zależy.

– Staną się szybsze, gdy będą już dużymi dziewczętami.

– I tak musi być, patere. Kiedy ja byłam małą dziewczynką, chwyciłam się każdego sposobu, by nie zajmować się odjemnymi i odjemnikami. Zawsze przedkładałam rozmowy nad pracę. – Maytere Marmur zamilkła Gnąc w stalowych, startych od pracy palcach linijkę długości jednego łokcia, obserwowała twarz Jedwabia. – Ale dziś daj już sobie spokój z pracą. Jesteś zmęczony po meczu. Mógłbyś spać z dachu.

– Maytere, wszelkie naprawy na dzisiejszy dzień już zakończyłem – odparł Jedwab z szerokim, serdecznym uśmiechem. – Zamierzam złożyć w manteionie ofiarę; prywatną ofiarę.

Stara sybilla przechyliła lśniąca głowę i uniosła brew.

– Żałuję zatem, że moja klasa nie będzie brać w tym udziału. Czyżbyś sądził, że twoje jagnię bardziej zadowoli Dziewięciu, kiedy nas nie będzie?

Przez chwilę Jedwab miał ochotę wyznać jej prawdę, ale tylko głęboko odetchnął, uśmiechnął się i zamknął za sobą drzwi.

Większość starszych chłopców przebywała już w sali maytere Róży. Jedwab popatrzył groźnie na pozostałych i uczniowie w jednej chwili czmychnęli. Pozostał jedynie Róg.

– Chciałbym z tobą porozmawiać, patere. Zajmę ci tylko chwilę.

– Jeśli tylko chwilę, zgoda – Chłopiec nic nie mówił, więc Jedwab dorzucił: – No, o co chodzi? Uważasz, że cię sfaulowałem? Jeśli tak, to przepraszam. Nie zamierzałem tego zrobić.

– Chodzi o... – Róg zamilkł i wbił wzrok w nierówne deski podłogi.

– Proszę, mów. Albo zapytasz mnie później, gdy wrócę. Tak chyba będzie lepiej.

Chłopiec popatrzył na ścianę, pobielone wapnem cegły z nie wypalanej gliny.

– Patere, czy to prawda, że zamierzają wyburzyć naszą palestrę i twój manteion? Że masz zostać przeniesiony gdzieś indziej? Albo w ogóle donikąd? Mówił o tym wczoraj mój ojciec. Czy to prawda?

– Nie.

W oczach Roga pojawiła się nowa nadzieja, choć słysząc tak proste i bezpośrednie zaprzeczenie, nie miał nic do powiedzenia – Nasza palestra i nasz manteion będą tu w przyszłym roku, jeszcze w przyszłym, i jeszcze w następnym. – Jedwab wyprostował się, nieoczekiwanie świadom swej potężnej sylwetki. – Czy to cię uspokaja? Mam nadzieję, że świątynia stanie się większa i bardziej znana. Może któryś z bogów lub któraś z bogiń ponownie przemówi do nas przez święte okno, jak raz już to uczynił Pah w czasach młodości patere Płetwy. Co dzień się o to modłę. Gdy osiągnę już wiek patere Płetwy, mieszkańcy tej dzielnicy wciąż będą mieć manteion i palestrę. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości.

– Chciałem powiedzieć... Jedwab skinął głową.

– Nie musisz nic mówić, wszystko wyczytałem w twoich oczach. Dziękuję, Rogu. Dziękuję. Wiem, że ilekroć będę w potrzebie, mogę na ciebie liczyć. Wiem, że zrobisz co w twojej mocy, nie oglądając się na koszty. Ale, Rogu...

– Tak, patere?

– Wiedziałem już o tym wcześniej. Wysoki chłopiec kiwnął głową.

– Możesz liczyć też na wszystkich szprotów, patere. Znam kilkudziesięciu malców, którym możesz ufać.

Róg stał wyprężony jak struna, niczym gwardzista podczas parady. Jedwab nagle uświadomił sobie, że obaj stoją jak na baczność, a szczerze, ciemne oczy Roga znajdują się prawie na poziomie jego oczu.

Ci chłopcy dorosną – ciągnął Róg. – Będą mężczyznami.

Jedwab ponownie skinął głową, konstatuując z niedowierzaniem, że Róg to już prawie dorosły mężczyzna, i to lepiej wykształcony niż jego rówieśnicy.

Poza tym nie chcę, byś sądził, patere, że jestem na ciebie zły za... za to, że obaliłeś mnie na ziemię. Potrąciłeś mnie wprawdzie mocno, ale na tym między innymi polega urok gry.

Jedwab potrząsnął głową.

– To nie tak. Urok gry wzrasta, gdy ktoś mały powali na ziemię większego od siebie.

– Byłeś ich najlepszym graczem, patere. Nie byłoby uczciwe, gdybyś nie walczył ze wszystkich sił. – Róg zerknął w stronę otwartych drzwi od pokoju maytere Róży. – Muszę już iść. Dziękuję, patere.

Pewien ustęp w Piśmie odnosił się do gry i lekcji, jakie można z niej wyciągnąć. Jedwab czuł, że lekcja ta była istotniejsza od wszystkiego, czego mogła nauczyć maytere Róża, ale Róg przekraczał już drzwi jej klasy i patere mruknął jedynie do jego pleców:

– Wprawdzie ludzie tworzą gamy, lecz bogowie grają w innych tonacjach.

Westchnął ciężko. Cytat przyszedł mu do głowy o sekundę za późno, a Róg już był spóźniony. Chłopiec mógł wprawdzie powiedzieć maytere Róży, że zatrzymał go patere Jedwab, ale ona zapewne i tak go ukarze, nie dochodząc prawdy.

Jedwab odwrócił się. Nie było sensu podsłuchiwać. Gdyby nawet próbował interweniować, pogorszyłby tylko sytuację Roga. Dlaczego Zewnętrzny wybrał takiego partacza? Czy to możliwe, by bogowie nie wiedzieli, jak słaby i nieroztropny jest patere Jedwab?

A może tylko niektórzy z nich?

Zardzewiała kasa, w której trzymał pieniądze manteionu, świeciła pustkami. A przecież musiał kupić zwierzę ofiarne, i to dobre zwierzę. Rodzice któregoś z uczniów mogli mu pożyczyć pięć lub nawet dziesięć bitów, a upokorzenie, jakiego dozna, błagając ubogich ludzi o pożyczkę, z pewnością okaże się zbawienne. Gdy zamykał wypaczone drzwi palestry i później, gdy ruszał w drogę na rynek, trwał przy swoim postanowieniu. Kiedy jednak wyobraził sobie zapłakane małe dzieci, które pozbawi kolacji złożonej z mleka i czerstwego chleba, zmienił postanowienie. Nie! Kupcy muszą prolongować mu kredyt.

Muszą. Czy kiedykolwiek składał choćby najmniejszą ofiarę Zewnętrznemu? Nigdy! A jednak Zewnętrzny, w imię patere pletwy, dawał mu nieograniczony kredyt. Tak na to należało patrzeć. I tak chyba było najlepiej. Zapewne nigdy nie zdoła odplacić Zewnętrznemu za wiedzę i łaskę. Nic zatem dziwnego...

Przyśpieszył kroku, w głowie miał coraz większy zamęt.

Sprzedawcy nigdy nie prolongowali nawet najmniejszego kredytu. Nie prolongowali kredytu augurom; a już na pewno nie okażą się wspaniałomyślni wobec augura, którego manteion znajduje się w najuboższej dzielnicy miasta. Lecz przecież nie może odmówić Zewnętrznemu ofiary, więc kupcy muszą udzielić mu kolejnej pożyczki. Należy postępować z nimi twardo; bardzo twardo. Napomni ich, że Zewnętrzny ich ceni najmniej. Muszą przyznać, iż w Piśmie napisano, że Zewnętrzny (pod postacią opętanego człowieka) osobiście dotkliwie ich pobił. I choć Dziewięciu ma pełne prawo szczycić się...

Pojawił się czarny, prywatny ślizgacz. Z rykiem silnika posuwał się ulicą, roztrącając kobiety, dzieci i mężczyzn, wymijając rozklekotane wozy i cierpliwe szare osły. Jego wydechy wzbijały tumany żółtego, duszącego pyłu, więc Jedwab, wzorem innych przechodniów, odwrócił głowę i skrajem sutanny zasłonił usta i nos.

– Ej, ty tam, augurze!

Ślizgacz zatrzymał się, ryk motoru przeszedł w płaczący jęk i pojazd opadł na pobrużdżoną

koleinami ulicę. Z przedziału pasażerskiego wyłonił się postawny, muskularny mężczyzna z fantazyjną laską w ręku.

– Rozumiem, że zwraca się pan do mnie! – odkrzyknął Jedwab. – Czy mam rację?

Bogacz niecierpliwie skinął ręką. Podejdź tu, proszę.

– Właśnie to robię – odrzekł Jedwab, przekraczając ścierwo psa gnijące w rynsztoku, płosząc chmarę niebieskich much. – Byłoby grzeczniej, gdyby zwracał się pan do mnie patero, ale mniejsza o to. Jeśli pan woli, proszę nazywać mnie augurem. Bardzo potrzebuję pańskiej pomocy. Jestem w wielkiej potrzebie. Bóg postawił mi pana na drodze.

Bogacz był równie zaskoczony jak Róg, gdy podczas gry Jedwab powalił go na ziemię.

– Potrzebuję dwóch... nie, trzech kart – ciągnął Jedwab. – Potrzebuję ich natychmiast, dla świętej przyczyny. Dla zamożnego człowieka to żaden wydatek, a w zamian uśmiechną się do pana bogowie. Proszę o przysługę.

Bogacz przetarł czoło dużą, brzoskwiniowego koloru chustką, która nappełniła cuchnącą ulicę upojną wonią.

– Paterę, czyżby Kapituła pozwalała augurom żebrać?

– Żebrać? Oczywiście, że nie. Ma pan całkowitą rację. Żebranie jest kategorycznie zabronione. Wprawdzie na każdym rogu można spotkać żebraka, ale wie pan, o co oni proszą. Mnie chodzi o coś zupełnie innego. Nie jestem głodny, nie mam przymierających głodem dzieci. Nie proszę o pieniądze dla siebie, lecz dla boga, dla Zewnętrznego. To wielka nieroztropność odmówić komuś modłów do Dziewięciu, a ja.. Mniejsza o to. Zewnętrzny musi dostać ode mnie stosowną ofiarę jeszcze przed zaciemnieniem. To absolutna konieczność. Jeśli umożliwi mi pan złożenie ofiary, może być pan pewien jego względów.

– Chciałem... Jedwab wzniosł rękę.

– Nie! Pieniądze. Co najmniej trzy karty, i to natychmiast. W zamian oferuję panu okazję zyskania względów boga. Chwilowo pan je stracił, lecz jeśli bez dalszej zwłoki da mi pan to, o co proszę, odzyska pan jego łaskę. Dla własnego dobra proszę mi dać trzy karty! – Jedwab zbliżył się jeszcze bardziej do bogacza i popatrzył mu w czerstwą, pokrytą kropelkami potu twarz. – W przeciwnym razie spotkają pana straszne kłopoty. Straszne!

Nieznajomy sięgnął do pojemnika z kartami, przypiętego do paska.

– Szanujący się obywatel nie powinien nawet zatrzymywać się w tej dzielnicy – burknął. – Ja tylko...

– Skoro jest pan właścicielem ślizgacza, trzy karty to dla pana nic. A ja w zamian obiecuję modły w pańskiej intencji... Wiele modłów, dzięki którym... – Jedwab zadrzał.

Ze ślizgacza wychylił się kierowca.

– Zamknij paskudną gębę, rzeźniku, i pozwól mówić Krwi – warknął ochryplym głosem, po czym zwrócił się do swego pracodawcy: – Czy mamy go zabrać?

Krew potrząsnął głową, odliczył trzy karty i ułożył je w wachlarzyk. Nieopodal natychmiast przystanąło z pół tuzina obdartusów i zaczęło gapić się w połyskliwe złoto.

– Paterę, powiedziałeś, że potrzebujesz trzech kart. Proszę, oto one. O co zamierzasz prosić bogów? O objawienie dla mnie? Wy, augurowie, nieustannie bajdurzycie o objawieniu. Ale mnie to nie obchodzi. Pragnę tylko pewnej informacji. Jeśli odpowiesz na wszystkie moje pytania, dostaniesz karty. Widzisz je? Wtedy będziesz mógł złożyć drogocenną ofiarę lub przehulać te pieniądze. Co ty na to?

– Nawet nie wie pan, co ryzykuje. Jeśli... Krew parsknął lekceważąco.

– Paterę, wiem, że od czasu mej młodości w żadnym świętym oknie tego miasta nie pojawił się bóg, choć wy, rzeźnicy, głośno go wzywacie. Ja chcę wiedzieć jedno. Przy tej ulicy mieści się manteion, prawda? Tam, u zbiegu ulic Słońca i Srebra. Nigdy nie byłem w tej dzielnicy, więc musiałem pytać.

Jedwab skinął głową.

– To mój manteion. Jestem w nim augurem.

– A więc stary piernik umarł?

– Paterę Płetwa? – Jedwab wykonał w powietrzu ręką znak dodawania. – Tak. Paterę Płetwa przebywa już z bogami prawie od roku. Czy pan go znał?

Krew puścił to pytanie mimo uszu i tylko skinął głową.

– Odszedł do Centralnego Procesora? Bardzo dobrze, patere. Nawet nie udaję, że jestem człowiekiem religijnym, lecz obiecałem mojej... obiecałem pewnej osobie udać się do twego manteionu i odprawić w jej intencji modły. Chciałbym też złożyć ofiarę. Wiem, że mnie zapyta, czy to uczyniłem. Nie obawiaj się, zwierzę ofiarne sam kupię, te karty daję tobie. Tak zatem chcę wiedzieć, czy ktoś wpuści mnie do środka.

Jedwab ponownie skinął głową.

– Maytere Marmur i maytere Mięta powitają pana z największą radością. Zastanie je pan w palestrze, po drugiej stronie boiska. – Jedwab umilkł i zamyślił się na chwilę. – Maytere Mięta wspaniale rozumie dzieci, ale jest bardzo nieśmiała. Radzę więc pytać o maytere Marmur. Znajdzie ją pan w pierwszej sali po prawej stronie. Na godzinę czy dwie zostawi klasę pod opieką którejś ze starszych dziewczynek. Krew złożył karty, jakby je zamierzał wręczyć Jedwabiowi.

– Paterę, nie przepadam za chemicznymi ludźmi. Ktoś wspominał mi, że jest tam również maytere Róża. Czy mógłbym udać się właśnie do niej?

– Naturalnie. – Jedwab miał nadzieję, że Krew nie wyczuł w jego głosie niepewności i

konsternacji, jakie zawsze ogarniały go na myśl o maytere Róży. – Ale jest już bardzo stara i oszczędzamy jej wysiłku. Sądzę jednak, że maytere Marmur spełni wszelkie pańskie oczekiwania.

– W to nie wątpię. – Krew ponownie przeliczył karty. Poruszał przy tym ustami, a jego grube, upierścienione palce z najwyższą niechęcią odrywały się od każdego kolejnego, cienkiego jak opłatek, lśniącego prostokąta. – Paterę, mówiłeś przed chwilą o objawieniu. Mówiłeś, że odprawisz za mnie modły.

– Tak – odparł skwapliwie Jedwab. – I zrobię, co obiecałem. Krew wybuchnął śmiechem.

– Nie zawracaj sobie głowy. Jestem ciekaw, a nigdy nie miałem okazji zapytać o to któregoś z was, czy objawienie jest równoznaczne z opętaniem?

– Niezupełnie, proszę pana. – Jedwab przygryzł dolną wargę. – Jak zapewne się pan orientuje, w scholi uczą nas prostych, zadowalających odpowiedzi na wszystkie pytania. Aby zdać egzamin, musimy je recytować z pamięci, i teraz kusi mnie, by powtórzyć je panu. Lecz rzeczywistość nie jest wcale prosta. W każdym razie objawienie nie jest prostą sprawą. Niewiele wiem o opętaniu, a niektórzy z najwybitniejszych hierologistów wyrażają pogląd, że opętanie istnieje potencjalnie, ale nie jako rzeczywistość.

– Zapewne bóg wkłada na siebie człowieka jak tunikę... Cóż, skoro potrafią robić to niektórzy ludzie, dlaczego nie mieliby tej sztuki znać bogowie? – Na widok wyrazu twarzy Jedwabia Krew wybuchnął śmiechem. – Nie wierzysz mi, patero?

– Nigdy o takich ludziach nie słyszałem. Nie powiem, że nie istnieją, skoro pan twierdzi inaczej, ale wydaje mi się to mało prawdopodobne.

– Paterę, jesteś jeszcze bardzo młody i nie zapominaj o tym, jeśli chcesz uniknąć wielu omyłek. – Krew zerknął na szofera. – Grizzly, przepędź tych łachmytów. Niech trzymają brudne łapska z dala od mego ślizgacza.

– Objawienie... – Jedwab w zamyśleniu podrapał się w policzek.

– Sądzę, że to prosta sprawa. Czy nigdy nie poznałeś nieoczekiwane wielu spraw, o których wcześniej nie miałeś pojęcia? – Krew umilkł i popatrzył Jedwabowi w oczy. – Spraw, których nie umiesz wyjaśnić albo których nie wolno ci wyjaśniać?

Pojawił się patrol gwardzistów. Na pasach zawieszono mieli wielkie pistolety olstrowe, lewe dłonie trzymali na rękojeściach mieczy. Jeden z gwardzistów oddał Krwi honory.

– To trudny problem – odrzekł Jedwab. – Opętanie zawsze można traktować jak dar, dobry lub zły. Tak nas uczono, choć osobiście w to nie wierzę... W objawieniu jest dużo więcej. Powiedziałbym, że tyle, ile może znieść wybraniec boga.

– I to właśnie przytrafiło się tobie? – zdziwił się Krew. – Wielu z was tak twierdzi, ale twoje słowa brzmią wiarygodnie. Wierzysz, że wydarzyło się to naprawdę.

Jedwab dał krok do tyłu i wpadając na jednego z gapiów, o mało się nie przewrócił.

– Wcale nie uważam siebie za oświeconego, proszę pana. Nie musisz. Wysłuchałem cię, więc teraz ty mnie wysłuchaj. Nie daję ci tych kart ani na świętą ofiarę, ani na nic innego. Płacę jedynie za odpowiedzi udzielone na moje pytania. A teraz zadam ci ostatnie. Co to jest to objawienie? Kiedy go doznajesz i dlaczego? Oto karty. – Uniósł złociste prostokąty. – Odpowiedz mi, patere, a karty będą twoje.

Jedwab chwilę się zastanawiał, po czym wyrwał karty z dłoni Krwi.

– Objawienie znaczy rozumienie wszystkiego tak, jak rozumie bóg. Kim naprawdę jesteś ty i wszyscy ludzie. Rozumiesz wszystko, o czym pomyślisz, przez mgnienie oka widzisz wszystko niezwykle wyraziście, a jednocześnie ulotnie, i tak naprawdę niczego nie rozumiesz ani nie jesteś pewien.

Gapie zaczęli między sobą coś szeptać. Kilku odwróciło się w stronę Jedwabia. Któryś machnął ręką w stronę człowieka pchającego ręczny wózek.

– Tylko przez mgnienie oka – powtórzył w zamyśleniu Krew.

– Tak, przez mgnienie oka. Ale pozostaje pamięć, a wraz z nią poznanie.

Jedwab, który wciąż trzymał w ręku trzy karty, przestraszył się, że któryś z obdartusów może mu je wyrwać, i szybko schował skarb do kieszeni.

– A kiedy to przytrafiło się tobie? Przed tygodniem? Przed rokiem?

Jedwab potrząsnął głową i popatrzył w słońce. Zaczęła je już zakrywać cieniutka, czarna linia klosza.

– Dzisiaj. Przed niecałą godziną. Piłka... rozgrywałem z chłopcami mecz...

Krew machnął lekceważąco ręką i Jedwab porzucił temat piłki.

– Tak czy owak, stało się. Odniosłem wrażenie, że wszystko znieruchomiło. Nie mogę powiedzieć, czy trwało to przez sekundę, przez dzień czy przez rok. Zresztą wątpię, by jakiegokolwiek określenie czasu było w tym przypadku właściwe. Być może, dlatego nazywamy boga Zewnętrznym, gdyż stoi poza czasem, poza wszelkim czasem.

– Cha, cha, cha! – Krew wynagrodził Jedwabia niechętnym śmiechem. – Moim zdaniem to tylko mrzonka. Coś w rodzaju snu na jawie. Ale muszę przyznać, że w twoim ujęciu jest to nader interesujące. Z niczym podobnym się jeszcze nie spotkałem.

– Nie tego dokładnie uczą w scholi – przyznał Jedwab – ale ja w głębi serca wierzę, że tak właśnie jest. – Zawahał się. – Wierzę, że Zewnętrzny to mi pokazał... czy raczej stanowi to jedną, nie kończącą się panoramę istoty rzeczy. W jakiś sposób Zewnętrzny przebywa poza naszym whorlem, a jednocześnie jest tutaj wraz z nami. Pozostali bogowie, niezależnie od tego, ilu ich jest, żyją całkowicie w naszym whorlu.

Krew wzruszył ramionami i powędrował wzrokiem w stronę gapiów.

– Cóż, tak czy owak, oni tobie wierzą. Ale jak długo żyjemy, nie stanowi to dla nas różnicy, prawda, patere?

– Naprawdę nie wiem. Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym. – Jedwab ponownie zadarł głowę, złocista droga słońca na niebie była już teraz znacznie węższa. – Ale zapewne dla whorla stanowi to wielką różnicę. Tak sędzę.

– Nie rozumiem jaką.

– Musisz poczekać, synu; podobnie jak ja. – Jedwab ponownie zadrżał. – Chciałeś wiedzieć, dlaczego otrzymałem to błogosławieństwo, prawda? To było twoje ostatnie pytanie: dlaczego coś tak niebywałego przytrafiło się komuś tak niewiele znaczącemu jak ja? Prawda?

– Tak. Jeśli oczywiście twój bóg pozwoli ci rozpowiadać o tym na prawo i lewo. – Krew uśmiechnął się, pokazując krzywe, brudne zęby; a Jedwab, nieoczekiwanie i całkiem mimowolnie, dużo wyraziściej dostrzegł stojącego przed nim człowieka; głodnego, wystraszonego, prowadzącego różne matactwa młodzieńca, jakim Krew był w poprzednim pokoleniu. – I nie próbuj mi wcisnąć żadnego bla, bla, bla, patere.

– Bla, bla, bla?

Bez urazy. Nie udawaj, że przekraczasz zakreśloną przez niego granicę. Jedwab chrząknął.

Rozumiem. Nie czuję urazy, lecz jednocześnie nie umiem zadowolająco odpowiedzieć na twoje pytanie. Dlatego właśnie wyrwałem ci z dłoni te trzy karty i dlatego właśnie ich potrzebuję. Być może, Zewnętrzny ma tylko dla mnie jakieś zadanie. Wiem, że ma, i krzepię się nadzieją. Lub też, jak wiem dotąd, zamierza mnie zniszczyć i uważa, że jest mi to winien, zanim uderzy. Nie wiem.

Krew zajął miejsce w przedziale pasażerskim ślizgacza, po czym znów wytarł wonną chustką twarz i kark.

– Dziękuję, patere. Jesteśmy kwita. Czy wybierasz się na rynek?

– Tak. Za karty, które od ciebie dostałem, chcę kupić dobre zwierzę ofiarne.

– Za karty, którymi ci zapłaciłem. Zapewne opuszczę manteion przed twoim powrotem. – Krew rozparł się w obitym aksamitem fotelu luksusowego pojazdu. – Podnieś kopułę, Grizzly.

– Poczekaj! – zawołał Jedwab. Zaskoczony Krew znów wstał z fotela.

– Czego jeszcze chcesz? Chyba nie żywisz do mnie urazy?

– Skłamałem ci, synu, a raczej zmyliłem cię, choć nie miałem takich intencji. On, Zewnętrzny, powiedział mi dlaczego, i pamiętałem to jeszcze niedawno, kiedy rozmawiałem z chłopcem o imieniu Róg, uczniem naszej palestry. – Jedwab zbliżył się do ślizgacza i popatrzył na Krew ponad wpuł uniesioną kopułą. – A stało się to z powodu augura, który kierował przede mną naszym manteionem. Z powodu patere Płetwy. To dobry człowiek, święty człowiek.

– Mówiłeś, że umarł.

– Umarł. Ale przed śmiercią modlił się... modlił się do Zewnętrznego i został wysłuchany. Jego modły zostały przyjęte. Wszystko to zostało mi wyjaśnione, a teraz ja jestem winien wyjaśnienia tobie, gdyż na tym przecież polegał nasz układ.

– A więc mi wyjaśnij. Tylko szybko.

– Modlił się o pomoc. – Jedwab przeciągnął palcami po szopie swych włosów koloru słomy. – Kiedy my... kiedy ty modlisz się do niego, do Zewnętrznego, o pomoc, on ci ją zsyła.

– Miło z jego strony.

– Ale nie zawsze, nie tak często, jak tego oczekujemy. Paterę Płetwa, dobrotliwy starzec, modlił się żarliwie. A ja jestem pomocą...

– Grizzly, ruszaj.

– ... którą Zewnętrzny zesłał mu, by uratować manteion i palestrę – zakończył Jedwab. Dał krok do tyłu i rozkaszał się od wzbitego wydechami ślizgacza tumanu kurzu. Zwracając się częściowo do siebie, a częściowo do klęczących wokół obszarpańców, dodał: – Nie spodziewam się od niego pomocy. To ja mam nieść pomoc.

Nie wiedział, czy ktoś z tej hałastry zrozumiał jego słowa. Wciąż kaszłąc, wykonał w powietrzu znak dodawania i wyszeptał krótkie błogosławieństwo, zaczynające się od najświętszego imienia Paha, ojca bogów, a kończące się imieniem jego najstarszego dziecka, Scylli, patronki świętego miasta Viron.

Idąc w stronę rynku, rozmyślał o niespodziewanym spotkaniu z bogaczem, z Krwią, jak zwracał się do niego szofer. Trzy karty stanowiły hojną zapłatę za odpowiedzi na kilka prostych pytań; zwłaszcza że nikt nigdy nie płacił augurom za odpowiedzi, chyba że petent pragnął w ten sposób wyrazić swą wdzięczność. Trzy pełne karty... tylko czy wciąż je ma?

Wsunął dłoń do kieszeni i namacał gładką, elastyczną piłkę. Gdy ją wyciągnął, wysunęła się też błyszcząca karta i upadła u jego stóp.

Chwycił ją równie szybko, jak podczas meczu wyłuskał piłkę Rogowi. Mieszkał w złej dzielnicy, choć żyło w niej wielu dobrych i przyzwoitych ludzi. Jeśli nie istnieje prawo, kradną nawet ludzie najuczciwsi; skoro odebrano im wszystko, w odwecie sami stają się rabusiami. Co powiedziałyby jego matka, gdyby jeszcze żyła i dowiedziała się, dokąd Kapituła wysłała jej syna? Umarła, gdy on był na ostatnim roku scholi, ale do końca głęboko wierzyła, że Jedwabiowi wyznaczą któryś z bogatych manteionów na Palatynie i jej dziecko zostanie kiedyś przewodniczącym Kapituły.

. Jesteś taki przystojny – mawiała, wspinając się na palce, by wygładzić mu wiecznie wzburzone włosy. – Taki wysoki! Jedwab, mój syn! Mój ukochany syn!”.

(A on przyklękał, by matka mogła go pocałować).

„Jej syn” miał prawo wyzywania ludzi od laików, ludzi nawet trzykrotnie od siebie starszych; chyba że stali wysoko w hierarchii społecznej, jak choćby pułkownik, komisarz czy radca. Ale

dygnitarzy tej rangi w swojej dzielnicy nie spotykał. W jego dzielnicy nawet plakat radcy Loriego, sekretarza Ayuntamiento, jakiś wandal pociął nożem. Jedwab na widok zniszczonego afisza zawsze się cieszył, że należy do Kapituły i nie uwikłał się w politykę, choć matka wróżyła mu karierę polityczną. Wizerunku Jego Mądrości przewodniczącego Kapituły z całą pewnością nikt nie ciąłby nożem.

Przełożył piłkę do drugiej ręki i ponownie sięgnął do kieszeni. Karty wciąż tam były; jedna, druga, trzecia. Wielu mieszkańców dzielnicy harowało jak woły od rozjaśnienia po zmierzchu. Kładli cegły, przenosili skrzynie, zarzynali zwierzęta, dźwigali ciężary lub sprząkali u bogaczy, by przez cały rok zarobić trzy takie karty. Jego matka zarabiała sześć, co samotnej kobiecie z dzieckiem wystarczało na godziwe życie. Otrzymywała też jakieś fundusze z Urzędu Skarbu, ale nigdy nie wyjawiała jakie. Dochody te urwały się wraz z jej śmiercią. Teraz byłaby bardzo rozczarowana, widząc syna wędrującego ulicami tej podłej dzielnicy, równie ubogiego jak jej mieszkańcy. Życie nie ułożyło się matce szczęśliwie. Jej wielkie, ciemne oczy często wypełniały łzy, szczupłym ciałem wstrząsał szloch. („Och, Jedwabiu, mój synku! Mój nieszczęśliwy synku!”). Najpierw zwracał się do Krwi „proszę pana”, później, całkiem nieświadomie „synu”. Dlaczego? Mówił „proszę pana”, bo tylko najbogatszych ludzi stać było na własny ślizgacz. „A więc stary piernik umarł?”. „Nie stanowi to dla nas różnicy, prawda, patere?”. „Miło z jego strony”. Dobierane przez Krew słowa i zdania oraz wyraźna pogarda dla bogów zupełnie nie harmonizowały ze ślizgaczem. A jednak wyrażał się lepiej, dużo lepiej niż mieszkańcy tej dzielnicy; ale też nie miał nic wspólnego z uprzywilejowanymi, dobrze urodzonymi ludźmi, jacy w opinii Jedwabia zasługiwali na jazdę prywatnymi ślizgaczami.

Patere wrzucił ramionami i wyciągnął z kieszeni trzy karty. Istniała możliwość, że karty są podrobione. Może ów dziwny, bogaty człowiek ze ślizgacza, Krew, w specjalnej przegródce na karty trzymał fałszywki? Z drugiej strony bitkarty wyglądały na prawdziwe – razem grube na kciuk, miały ostre kany, rozmiar dwa kciuki na trzy, a skomplikowany wzór z wtopionych złotych nitok był wprawdzie słabo widoczny, lecz niezniszczalny. Mówiono, że jeśli złote wzorki są na dwóch kartach identyczne, jedna z nich stanowi podróbkę. Jedwab dokładnie sprawdził otrzymany od Krwi skarb, potrząsnął głową i ruszył w stronę targowiska. Nawet jeśli karty są fałszywe, może zdoła zmylić kupca handlującego zwierzętami. Zostanie wówczas złodziejem, wyznawcą Tartarosa Mrocznego, najstarszego syna Paha, przerażającego boga nocy i rabusiów.

Maytere Marmur siedziała na końcu sali lekcyjnej. Kiedyś, dawno temu, mogła stać długo, kiedyś jej uczniowie pracowali przy klawiaturach, a nie mozolili się z tabliczkami... Teraz, hm, który to jest rok?... Może... ?

Nie zdołała wywołać swych funkcji chronologicznych i przez chwilę zastanawiała się, kiedy przytrafiło się to jej ostatni raz.

Maytere Marmur w każdej chwili mogła wywołać listę komponentów swego organizmu, które nie funkcjonowały lub działały wadliwie. Ale jaki z tego pożytek? Dlaczego ma rozpatrywać swe słabości? Jest istotą bardziej żalostną, niż życzyli sobie ją stworzyć bogowie. Bogowie są okrutni i głusi na jej modły, zanoszone przez tyle lat, przez tyle dekad, dni i ospałych, ciągnących się w nieskończoność godzin. Pah, wielki Pah, bóg mechanizmów i wielu innych rzeczy, zapewne był zbyt zajęty, by słuchać.

Wyobraziła go sobie, jak stoi w manteionie, wysoki niczym talus, o gładkich kończynach wykutych w białym kamieniu, jeszcze bardziej drobnoziarnistym niż rakplast, o poważnych, niewidzących oczach i szlachetnym zarysie brwi. Zlituj się nade mną, Pahu! – modliła się. Zlituj się nade mną, śmiertelną niewiastą, która woła do ciebie, lecz niebawem przestanie wołać na zawsze.

Od lat jej prawa noga stawała się coraz sztywniejsza i czasami wydawało się, że nawet gdy siedzi nieruchomo...

Chłopiec do dziewczynki:

– Zasnęła!

... gdy siedzi nieruchomo jak w tej chwili, obserwując dzieci – odejmują dziewiętnaście od dwudziestu dziewięciu i otrzymują dziesięć, dodają siedem do siedemnastu i wychodzi im dwadzieścia trzy – że nawet gdy siedzi nieruchomo jak w tej chwili, nie widzi już tak dobrze jak dawniej, choć wciąż jeszcze rozpoznaje koślawe, pisane kredą cyfry na tabliczkach, na których dzieci stawiają duże, nieporadne znaki. Ale przecież dzieci w ich wieku zawsze stawiają duże znaki, choć oczy mają lepsze niż ona.

Odnosiła wrażenie, że wciąż jest bliska punktu krytycznego temperatury swego ciała. Zwłaszcza podczas upalnej pogody. Pahu, wielki Pahu, boże nieba, słońca i burzy, ześlij śnieg! Ześlij zimny wiatr!

Ciągłe lato. Bez śniegu, bez jesiennych deszczy i słońca, których pora właściwie już minęła. Nadchodzi pora śniegów, ale nic na to nie wskazuje. Tylko upał, kurz i chmury, które są jedynie pustą, żółtą mgłą. Co o tym myśli Pah, bóg Pah, mąż płodnej Echidny i ojciec Siedmiu? Dziewczynka:

– Spójrz... zasnęła! Inna:

– One chyba nie śpią.

Kołatanie w wychodzące na ulice Słońca drzwi palestry.

– Otworze! – To głos Asfodeli. Miodożer:

– Nie, ja otworze!

Wonne białe kwiaty i ostre białe zęby. Maytere Marmur medytowała o imionach. Kwiaty – lub jakieś rośliny – dla biodziewcząt; zwierzęta lub produkty zwierzęce dla biochłopców. Metale lub kamienie dla nas. Dwugłos: – Pozwól mi! Jej dawne imię brzmiało... Jej dawne imię brzmiało...

Hałas przewracanego krzesła. Maytere Marmur, chwytając się okiennego parapetu, sztywno dźwignęła się na nogi. – Natychmiast się uspokójcie!

W każdej chwili mogła przywołać listę nie działających części swego ciała lub części działających wadliwie. Nie robiła tego od blisko stu lat; ale od czasu do czasu, najczęściej gdy świątynia znajdowała się po ciemnej stronie długiego słońca, lista pojawiała się sama z siebie.

– Asfodelo, ucisz tych dwoje, zanim stracę cierpliwość!

Maytere Marmur pamiętała krótkie słońce, dysk pomarańczowego ognia; odnosiła wrażenie, że największą zaletą starego słońca było to, że w jego promieniach nie pojawiały się nieproszone żadne pliki czy wykazy funkcji programu.

Ponownie dwugłos:

– Sybillo, chciałym.. Sybillo, chciałym..

– Nie pójdzie żadne z was – odparła zdecydowanie maytere Marmur.

Kolejne uderzenie w drzwi. Za głośne jak na uderzenie pięści z kości i ciała. Musi się zatem pośpieszyć, gdyż w przeciwnym razie pojawi się maytere Róża, by osobiście otworzyć drzwi. A wtedy będzie miała okazję do narzekań, które potrwać aż do nadejścia śniegów. Jeśli śniegi w ogóle nadejdą.

– Sama otworzę. Rzep, do mego powrotu polecam ci pieczę nad klasą. Dopilnuj, by każde dziecko pracowało. – Na podkreślenie wagi swych słów zawiesiła głos, po czym dodała groźnym tonem: – Powiesz mi później, kto był niegrzeczny.

Krok w stronę drzwi. W prawej nodze miała serwomotor, który często zawodził, zwłaszcza gdy przez jakiś czas nie używała nóg. Tym razem urządzenie działało znośnie. Następny krok. I jeszcze następny. Dobrze, dobrze! Chwała ci, Pahu Wielki!

Przez chwilę za drzwiami klasy nasłuchiwała, czy dzieci, korzystając z jej nieobecności, nie zaczynają dokazywać, a następnie pokuśtykała korytarzem w stronę drzwi wejściowych.

Za progiem stał mężczyzna wyglądający na bogacza, prawie tak samo wysoki jak paterę Jedwab, i stukał w futrynę laską o misternie rzeźbionej główce.

– Niech ci dzisiejszego dnia sprzyja każdy bóg – powitała go maytere Marmur. – Czym mogę służyć?

– Nazywam się Krew. Oglądam waszą posesję. Widziałem już ogród, ale same budynki są pozamykane na głucho. Chcę je obejrzeć od środka, zaczynając od tego.

– Nie mogę cię wpuścić do naszej świątyni – odparła kategorycznym tonem maytere Marmur. – Nie wolno mi też nikogo wpuszczać na plebanię. Ale z największą chęcią oprowadzę cię po manteionie i palestrze... Jeśli przekonasz mnie, że masz ku temu ważny powód.

Czerwona twarz Krwi stała się jeszcze czerwiejsza.

– Badam stan budynków. Z zewnątrz mogłem ocenić, że wymagają solidnego remontu.

Maytere Marmur skinęła głową.

– To prawda. Staramy się o nie dbać należycie. Paterę Jedwab przeprowadza właśnie naprawę dachu manteionu. To sprawa najpilniejsza. Jednakże...

– Świątynia... czy to ten niewielki budynek przy ulicy Srebra? – bezceremonialnie przerwał jej

Krew.

Maytere Marmur potaknęła.

– A plebania znajduje się w domu u zbiegu ulic Słońca i Srebra? – pytał nadal Krew. – Ten skromny domek z trzema narożnikami w zachodnim końcu ogrodu?

– Zgadza się. A więc to prawda, że cała posesja idzie pod młotek? Przebąkiwały o tym dzieci.

Krew popatrzył na maytere Marmur z wyraźną kpina.

– Czy maytere Róża już o tym wie?

– Sądzę, że jakieś plotki do niej dotarły, lecz nie rozmawiałam z nią na ten temat.

Krew skinął głową. Był to tak drobny gest, że zapewne uszedł nawet jego uwadze.

– Nie wspomniałem o tym waszemu jasnowłosemu rzeźnikowi. Sprawia dziwne wrażenie. Ale powiedz maytere Róży, że plotki są prawdziwe. Powiedz jej, sybillo, że posesja ta już została sprzedana. Sprzedana mnie.

Odejdziemy stąd przed nadejściem śniegów, pomyślała maytere Marmur. Odejdziemy stąd przed zimą, zamieszkamy gdzieś indziej, a ulica Słońca stanie się wyłącznie wspomnieniem.

Błogosławiony śnieg, który ochłodzi jej uda! Wyobraziła sobie, jak siedzi błogo rozparta na ławce, a na jej kolanach leżą czapy świeżo spadłego śniegu. – Powiedz też maytere Róży, jak się nazywam – dodał Krew.

Ofiara

Jak każdego dnia z wyjątkiem scyldag, „od południa aż do chwili, gdy słońce nie może już stać się cieńsze” rynek był zatłoczony. Wystawiano na sprzedaż lub wymianę wszelkie płody pochodzące z pól, ogrodów i sadów Vironu: ziemniaki, marantę i bataty; cebulę, szalotki i pory; dynie żółte, pomarańczowe, czerwone i białe; spragnione słońca szparagi; fasolę czarną jak noc lub łaciatą jak ogar; rukiew wodną z wysychających strumieni zasilających jezioro Limna; sałatę i wiele innej soczystej zieleniny; i ognisty pieprz, pszenicę, proso, ryż i jęczmień; kukurydzę żółtą jak samo słońce, a także białą, niebieską i czerwoną. Wszystko to dosłownie wysypywało się, przelewało i spadało z koszyków, worków i glinianych dzbanów. Paterę Jedwab z przerażeniem stwierdził, że tak wysokich cen nigdy jeszcze nie widział, a w wielu skarłowaciałych kłosach brakuje ziaren.

Panowała susza, a jednak na straganach widać było daktyle i winogrona, pomarańcze i cedraty, gruszki, papaje, granaty i małe czerwone banany; dzięgiel, hizop, lukrecję, marchewnik, kardamon, anyż, bazylię, mandragorę, ogórecznik, majeranek, dziewannę, pietruszkę, skalnicę i dziesiątki innych ziół.

Tu sprzedawcy perfum i pachnidła wymachiwali długimi pióropuszcami z pampasowej trawy, napełniając rozgrzane powietrze aromatami odpowiadającymi wszystkim imionom kobiecym. Tam zaś owe aromaty mieszały się z wonią pieczonego mięsiwa, kipiących w saganach zup, zapachem zwierząt i ludzi, smrodem ich odchodów. Połówki wołów i całe wieprze wisały na groźnie wyglądających hakach z kutego żelaza. Dalej (patere Jedwab, w poszukiwaniu handlarzy żywymi zwierzętami i ptactwem, skręcił w lewo) wystawiano na sprzedaż nieprzebrane bogactwo jeziora: ryby o rozwartych pyskach, srebrzystych bokach i wytrzeszczonych oczach, jadalne małże, wijące się węgorze, groźne, czarne langusty z wielkimi ostrymi kleszczami, oczyma jak rubiny i tłustymi odwłokami dłuższymi niż ramię człowieka, skromne szare gęsi i barwnie upierzone kaczory – brązowe, zielone, czarne – oraz cyraneczki o piórach w osobliwej odmianie błękitu. Na składanych stołach i grubych, barwnych rogożach rozpostartych na zdeptanej, nierównej ziemi piętrzyły się bransolety i ozdobne szpile, lśniące pierścienie i połyskliwe naszyjniki, wdzięczne miecze i noże o prostych obosiecznych klingach, z trzonkami z rzadkich odmian twardego drewna obciągniętego barwioną skórą; młoty, siekiery, nadziaki i kliny do ciecica cegły.

Jedwab szybko przepychał się przez malowniczy tłum, co ułatwiał mu wzrost, ogromna siła i święty urząd, jaki sprawował. W pewnym miejscu przystanął, by popatrzeć na nerwową, zieloną małpkę ciągnącą losy za bitkartę. Później zatrzymał się przy niespełna dziesięcioletniej dziewczynce, która, tkając dywan, robiła dziesięć tysięcy supełków na centymetr kwadratowy. Zdawało się, że jej ręce pracują same; na drobnej twarzyczce dziecka malowała się całkowita pustka.

Ale przez cały czas, czy stał i na coś patrzył, czy też przeciskał się przez tłum, spoglądał głęboko w oczy kupującym i sprzedającym, próbował zajrzeć im w serca i napominał siebie (ilekroć zachodziła taka konieczność), że każdy z nich został hojnie przez Paha obdarowany. Pan Wielki, daleko przewyższający rozumem zwykłego człowieka, cenił prostą kobietę z koszykiem na ręku

wyżej od najpiękniejszej figurki wyrzeźbionej w kości słoniowej; ponury, o dziobatej twarzy chłopiec (tak pomyślał o nim Jedwab, jakkolwiek młodzieniec był tylko rok lub dwa od niego młodszy), gotów w każdej chwili ukraść jakiś mosiężny kolczyk lub jajko, przedstawiał dla boga większą wartość niż wszelkie dobra, jakie tacy chłopcy mogli ukraść przez całe swe życie. Pan zbudował whorl dla ludzi, a nie mężczyzn, kobiety i dzieci dla whorla.

– Dziś schwytany! – zakrzyknęło kilka głosów; z łaskawości Molpe Melodyjnej lub przez zwykły przypadek, niezliczone okrzyki przekupniów nagle się zsynchronizowały.

Jedwab natychmiast ruszył w tamtą stronę i raptem znalazł się wśród kupców, których szukał. Spętany jeleń szarpał się i cofał, w jego wielkich brązowych oczach malowało się przerażenie; ogromny wąż unosił płaski, groźny łeb i syczał niczym imbryk na parze; żywe łososie pluskały się w ciemnej wodzie w szklanych kadziach; świny kwiczały, jagnięta beczały, kury gdakały, a stłoczone kozły gapiły się na przechodniów z ciekawością i lękiem. Które z tych zwierząt stanowiłoby odpowiedni dar dziękczynny dla Zewnętrznego? Dla samotnego, mglistego bóstwa, tajemniczego, dobrotliwego i srogiemu zarazem, którego towarzyszem Jedwab był przez czas krótszy od sekundy i dłuższy od całych stuleci. Stojąc bez ruchu na skraju rojącej się ciżby ludzkiej, patere oparł nogę na jednym z nie okorowanych drągów, z których zrobiono zagrodę dla kózłów, i szukał rady w zasobach swej wiedzy, z takim mozołem zdobywanej przez osiem lat nauki w scholi. Ale nie znalazł żadnej pomocnej informacji.

Po drugiej strony padoku dreptał w kółko śliczny osiołek. Na każde klaśnięcie właściciela zmieniał kierunek marszu, a na gwizdnięcie kłaniał się (przednie nogi wyciągał przed siebie, a czołem dotykał zakurzonej ziemi). Takie wytresowane zwierzę stanowiłoby wspaniałą ofiarę dla każdego boga, pomyślał Jedwab. Ale cena osła zapewne bliższa była nie trzem, lecz trzydziestu kartom.

Gruby wół przypominał mu bogacza o imieniu Krew; po nieustępliwych targach może udałoby się za trzy karty kupić woła. Wielu augurów wybierało duże zwierzęta, które po złożeniu ofiary zasilają spiżarnię palestry. Jedwab sam często kupował woły i później przez tydzień żywił mięsem maytere Różę, maytere Miętę, siebie, a także wielu wiernych uczestniczących w modłach. Teraz jednak doszedł do wniosku, że okaleczone, chowane w oborze imponujące zwierzę nie zadowoliłoby boga. Poza tym niezbyt często pozwalał sobie na jedzenie takiego mięsa.

Jagnięta. Czarne dla Tartarosa Mrocznego, Hieraxa Śmiercionośnego czy Phaei Posępnej; najbielsze dla pozostałych Dziewięciu. Choć najczęściej o tym właśnie wspominały wersety w Piśmie Chrasologicznym, to Jedwab, jakkolwiek wielokrotnie składał ofiary z jagniąt, nigdy nie ujrzał w świętym oknie boskiego wizerunku. Jakiż więc pożytek z jagnięcia, a nawet całego ich stada, wartego trzy karty, miałby bóg, któremu zamierzał tego dnia oddać cześć?

Człekokształtna małpa z głową psa, wytresowana, by oświetlać swemu panu drogę kagankiem lub latarnią (tak głosił wypisany niezdarnymi kulfonami plakat) i chronić go przed rzezimieszkami, kosztowałyby co najmniej tyle samo co osioł. Jedwab westchnął z rezygnacją i odszedł.

Na tle bezchmurnego nieba pojawił się lotnik – zapewne ten sam, którego widział wcześniej. Jego rozpostarte przejrzyste skrzydła teraz, na tle ciemniejącej smugi słońca, były w pełni widoczne.

Stojący obok Jedwabia krzepki, brodaty mężczyzna potrząsnął wzniesioną pięścią. Kilka osób wybuchnęło stekiem przekleństw.

– Nikt nie chce, by spadł na ziemię, ale każdy chętnie by go zjadł – odezwał się filozoficznie jeden z handlarzy zwierząt.

Jedwab potakująco skinął głową.

– Mój synu, napisane jest, że bogowie uśmiechają się do nas. Dziwne, że nigdy nie rykną głośnym śmiechem.

– Czyżbyś naprawdę sądził, patere, jak przekonuje Ayuntamiento, że lotnicy nas szpiegują? Albo przynoszą deszcz? Deszcz i burze, tak mówił mój ojciec, a słyszał to od swego ojca. Zauważyłem, że często się to sprawdza. Sam bóg Pah wie, jak dobrze wykorzystujemy deszczowe dni.

– Doprawdy nie jestem pewien – wyznał uczciwie Jedwab. – Widziałem dziś rano jednego, ale jak dotąd nie pada. A jeśli chodzi o szpiegowanie Vironu, cóż więcej mogą zobaczyć niż pierwszy lepszy podróżny?

– Nic. – Kupiec splunął pod nogi. – Paterę, miejmy nadzieję, że przynajmniej ten sprowadzi deszcz. Szukasz stosownego zwierzęcia ofiarnego?

Jedwab musiał wyglądać na zdziwionego, gdyż handlarz roześmiał się, pokazując szczerbę w uzębieniu.

– Znam ciebie, patere... Stary manteion przy ulicy Słońca. Tylko ty pojawiłeś się dziś w owczarni. Ale nic tam ciekawego nie znalazłeś, prawda?

Jedwab próbował zachować obojętny wyraz twarzy.

– Odpowiednie zwierzę rozpoznam na pierwszy rzut oka.

– Naturalnie... pozwól, że pokażę ci swoje. – Kupiec wznosił zabrudzony ziemią palec. – Nie, zaczekaj chwilę. Najpierw zadam ci pytanie. Jestem ignorantem, patere, ale czyż najlepszą ofiarą nie byłoby dziecko? Czyż nie jest to najwspanialsza ofiara, jaką człowiek, a nawet całe miasto, może złożyć bogu? Największą i najwyższą?

Jedwab wzruszył ramionami.

– Tak jest napisane, ale nawet najstarszy człowiek nie pamięta składania podobnej ofiary. Nie potrafiłbym jej złożyć, zresztą jest to sprzeczne z prawem.

– Racja. – Kupiec konspiracyjnie rozejrzał się na wszystkie strony. – Ale co jest najbardziej podobne do dziecka? Pytam cię, patere... a obaj jesteśmy dojrzałymi ludźmi, nie żadnymi szprotami... dlaczego połowa szlachetnie urodzonych niewiast z Palatynu tak do tego lgnie? To katachrest, prawda?

Ze zręcznością magika kupiec sięgnął pod poplamioną czerwoną płachtę, którą przykryty był stragan, i wyciągnął niewielką drucianą klatkę z pomarańczowobiałym katachrestem. Jedwab nie

wiedział o tych stworzeniach wiele, ale jego zdaniem było to jeszcze maleństwo.

Kupiec pochylił się w stronę patere i odezwał się schrypniętym szeptem:

– Kradzione, patere. Kradzione. W przeciwnym razie nie mógłbym go sprzedać nawet tobie za... – Obliznął wargi, obrzucił wzrokiem, wytartą sutannę Jedwabia, po czym zatrzymał wzrok na jego twarzy. – Sześć malutkich kart. To stworzenie mówi. Czasami staje na tylnych nóżkach, a przednimi łapkami sięga po jedzenie. Doprawdy przypomina dziecko. Sam zobacz.

Patrząc w załzawione, niebieskie oczy zwierzęcia (wydłużone zaćmione źrenice gwałtownie zwężyły się w blasku słońca), Jedwab prawie handlarzowi uwierzył.

Kupiec wypróbował na palcu czubek noża.

– Pamiętasz to, Kleszczu, prawda? Więc lepiej odzywaj się, gdy do ciebie mówię.

Jedwab potrząsnął głową. Handlarz, zupełnie jakby nie dostrzegał tego gestu, ciągnął dalej:

– Powiedz „sklep”. Porozmawiaj z czcigodnym augurem. Kleszczu, powiedz „sklep”. – Szturchnął przez pręty klatki nieszczęsnego małego katachresta czubkiem noża. – „Sklep”. Powiedz „sklep”!

– Mniejsza o to – mruknął zniesmaczony Jedwab. – I tak go nie kupię.

– Ależ on będzie wspaniałą ofiarą, patere... Najlepszą, jaką możesz złożyć, nie łamiąc prawa. Co to ja mówiłem? Siedem kart? Powiedz ile. Sześć, ale tylko dzisiaj. Jak dla ciebie jedynie sześć kart, ponieważ słyszałem o tobie wiele dobrego i mam nadzieję, że w przyszłości jeszcze niejedną raz dobijemy targu.

Jedwab ponownie potrząsnął głową.

– Czy mówiłem ci, że Kleszcza chciano ugotować we wrzątku? Uwierz, gdyby ten typ nie sprzedał mi go za połowę ceny, za to, co chciał zrobić, nasłałbym na niego agentów. Hycle już by mu dali popalić.

– Nieważne – mruknął Jedwab.

– A więc pozwolę ci go ukraść. Pięć kart, patere. Możesz... gadaj, do licha, przebrzydła kreaturo... możesz obejść cały rynek i jeśli znajdziesz takiego samego katachresta za niższą cenę, sprzedam ci mojego jeszcze taniej. Ile mówiliśmy? Pięć kart? Za pięć kart nie znajdziesz nawet w połowie tak dobrego jak ten. Zapewniam cię, a jestem człowiekiem uczciwym. Popytaj ludzi.

– Nie, mój synu.

– Paterę, rozpaczliwie potrzebuję gotówki. Może nie powinienem ci o tym mówić, ale mówię. Muszę mieć pieniądze, by kupować zwierzęta na sprzedaż. – Zniżył głos do prawie niesłyszalnego szeptu. – Włożyłem całą forszę w zimnokrwiste. Wiesz, o czym mówię, patere? Jak tylko włożyłem je do ciepłego pomieszczenia, pozdychały, zanim zdążyłem cokolwiek zrobić. Tak więc, jak mówię... pięć kart, i to z kredytem. Co ty na to? Cztery teraz, a jedną później, przy następnym spotkaniu. To znaczy w molpdag, po następnym scyldag. I co ty na to, patere?

– Nie – powtórzył zdecydowanie Jedwab.

– Słowo – odezwał się wyraźnie malutki katachrest. – Słowo but. Dodać patelnia.

– Nie nazywaj mnie łajdakiem. – Handlarz wsunął do klatki cienkie ostrze noża i dźgnął nim zwierzątko w różowy nos. – Czcigodny augur nie chce zawszonego pisklaka, ty głupku. – Popatrzył z nadzieją na Jedwabia. – Co powiesz, patere? Mam też gadającego ptaka. Naturalnie, nie przypomina dziecka, ale to gaduła... cenne zwierzątko.

Jedwab zawahał się.

– Jagoda dodać słowo – wypluł z siebie katachrest, chwytając pręty klatki. – Tłumok! – Potrząsnął drucianymi prętami, jego czarne pazurki na białych, futrzastych paluszkach były ostre niczym szpilki. – Dodać słowo! – powtórzył. – Dodać mówić!

Ostatni raz w świętym oknie w starym manteionie bóg przemówił na długo przedtem, nim urodził się Jedwab. I teraz mowa katachresta bezsprzecznie stanowiła omen: kilka proroczych zwrotów, które bogowie wtrącali w najbardziej banalne rozmowy, a żadna z istot ludzkich nie potrafiła ich pojąć.

– Dobrze, pokaż mi gadającego ptaka. – Jedwab starał się nadać swemu głosowi normalne brzmienie. – Skoro już tu jestem, mogę go obejrzeć. – Zerknął na zwięzające się słońce. – Niebawem muszę już iść.

– To nocny kruk, patere – wyznał kupiec. – Jedyne nocny kruk, jakiego widziałem w tym roku.

Wyciągnął spod stołu klatkę. Zamknięty w niej ptak był lśniaco czarny, z jasnoczerwonymi nogami i pękiem szkarłatnych piór na szyi; dziób miał karmazynowy, długi i ostry.

– On gada? – zapytał Jedwab, jakkolwiek był już zdecydowany kupić ptaka bez względu na to, czy przemawia ludzkim głosem czy nie.

– Wszystkie mówią, patere – zapewnił kupiec. – Wszystkie nocne kruki. Na bagniskach otaczających Palustrię uczą się jeden od drugiego. Miałem już z kilkoma do czynienia, ale ten mówi najlepiej.

Jedwab z uwagą studiował ptaka. To, że malutki, pomarańczowobiały katachrest potrafił mówić, nie dziwiło; mimo futerka stworzenie rzeczywiście było podobne do dziecka. Ale to przygnębiające ptaszysko nie kojarzyło się z niczym. Jedwab miał po prostu przed sobą wielką wronę.

– Patere, pierwszego z nich nauczył mówić ktoś jeszcze w czasach krótkiego słońca – wyjaśnił handlarz. – Tak w każdym razie powszechnie się twierdzi. Sądzę, że miał dosyć ludzkiej paplaniny, oni nie potrafili go zatrzymać, więc uciekł i nauczył mowy resztę pobratymców. Kupiłem go od lepnika, który w zeszły phaedag przybył tu z południa. Dałem mu kartę. Jedwab wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dobrze łziesz, synu, ale potrafię cię przejrzeć. Zapłaciłeś najwyżej dziesięć bitów, zapewne mniej. Czy nie tak?

Handlarzowi, który wyczuł interes, rozbłyśły oczy.

– Cóż, patere, poniżej jednej karty nie mogę zejść. Straciłbym, a przecież tak bardzo potrzeba mi mamony. Jeszcze raz popatrz na tego ptaka. Przybył tu aż z Palustrii. Na tamtym rynku kosztowałby kartę i ani bita mniej. Sama klatka kosztowałaby dwadzieścia lub trzydzieści bitów.

– No tak – mruknął Jedwab, zacierając dłonie. – A więc w cenę włączyłeś również klatkę?

– Nie, nie! – Krakanie nocnego kruka było głośniejsze niż słowa handlarza.

– Słyszysz, patere. – Kupiec aż podskoczył z radości. – Słyszysz? Rozumie, o czym rozmawiamy. Wie, do czego jest ci potrzebny! Patere, kartę. Całą kartę i ani bita mniej. Nie stać mnie na rozrzutność. Dasz mi tyle, ile dałem lepnikowi, a ptak jest twój. Złożysz ofiarę, jakiej nie powstydziliby się sam przewodniczący Kapituły. I to za jedną kartę.

Jedwab, udając głęboki namysł, jeszcze raz popatrzył na słońce, a następnie rozejrzał się po zatłoczonym i gwarnym rynku. Przez tłum, trzymając dłonie na kolbach pistoletów, przeciskali się ubrani w zielone koszule gwardziści. Niewątpliwie ścigali ponurego młodzieńca, którego dostrzegł wcześniej.

– Ten ptak jest również kradziony, prawda? – zapytał Jedwab. – W przeciwnym razie nie trzymałbyś go wraz z katachrestem pod stołem. Jak zagroziłeś łajdakowi, który ci go sprzedał? Hycle daliby mu popalić. Czy nie tak powiedziałeś, mój synu?

Handlarz nie śmiał popatrzeć Jedwabowi w oczy.

– Nie jestem cwaniakiem, ale w moim manteionie nauczyłem się kilku rzeczy – ciągnął patere. – Zagroziłeś mi, że o wszystkim doniesiesz gwardii. A zatem, jeśli i ja zagrozę ci tym samym, będzie to tylko zwykła sprawiedliwość.

Sprzedawca znów przybliżył twarz do twarzy Jedwabia. W ptasi sposób przechylił głowę, z ust śmierdziało mu czosnkiem.

– Przysięgam, patere, tylko dlatego tak powiedziałem, by skłonić go do sprzedania mi ptaka. A oto i sam ptak.

Kiedy Jedwab wrócił z nocnym krukiem, w palestrze wybiła właśnie godzina apelu. Doszedł do wniosku, że pośpieszna ofiara byłaby gorsza od żadnej, a żywy ptak wprowadziłby wśród uczniów straszliwe zamieszanie. Drzwi plebani wychodziły na ulice Słońca i Srebra, ale wzorem patere Płetwy Jedwab zawsze trzymał je zaryglowane na głucho. Wszedł zatem bramą ogrodową i ruszył zwirową alejką, ciągnącą się między zachodnią ścianą manteionu a szpalerem rachitycznych drzew figowych, skręcił w lewo między altaną obrośniętą winoroślami oraz rabaty, na których maytere Marmur hodowała zioła, po czym wbiegł po popękanych schodach plebani, pokonując po dwa stopnie naraz. W kuchni klatkę z ptakiem postawił na rozchwierutany, drewniany stół i zaczął energicznie pompować wodę. Gdy strumień stał się już przejrzysty i zimny, napełnił kubek i postawił naczynie obok klatki w taki sposób, by kruk mógł do niego sięgnąć. Wtedy też usłyszał kroki wchodzących do manteionu uczniów. Przeciągnął mokrą ręką po włosach i ruszył w ich stronę, by

przeprowadzić popołudniowy apel.

Na tyłach manteionu znajdowały się niewielkie drzwi, zawsze otwarte, by zapewnić pomieszczeniu odpowiednią cyrkulację powietrza. Jedwab minął próg, wszedł po krótkich schodach o wytartych nogami wielu pokoleń augurów stopniach i znalazł się w mrocznym sanktuarium, tuż za świętym oknem. Wciąż rozmyślając o rynku i posepnym, czarnym ptaku, pozostawionym w kuchni na plebani, poszukiwał w myślach jakiegoś istotnego tematu, który mógłby poruszyć w rozmowie z siedemdziesięcioma trzema uczniami w wieku od ośmiu do szesnastu lat. Sprawdził napięcie i zerknął na urządzenia rejestrujące prace świętego okna. Nic nie wskazywały. Czy kiedykolwiek pojawił się w nim Pah Wielki? Czy pojawił się w nim jakiś inny bóg? Paterę Płetwa zapewniał, że Pah Wielki mu się objawił, gratulował, dodawał otuchy i nalegał, by przygotować się na chwilę (mającą nadejść niebawem, jak zapewnił), gdy przestanie istnieć cały whorl. Czyżby bóg odszedł na dobre?

Wydawało się to niemożliwe. Sprawdzając złącza załamany pod kątem prostym ramieniem krzyża próżniowego, który nosił na piersiach, Jedwab przez chwilę modlił się o wiarę. Następnie, przekraczając ostrożnie wijący się meandrycznie główny kabel, którego izolacji od dawna już nie można było ufać, wziął głęboki wdech, wyszedł zza okna i zajął miejsce w poobijanej ambonie, gdzie zawsze podczas popołudniowych apeli siadywał paterę Płetwa.

Gdzie śpi teraz Płetwa, dobrotliwy starzec, pełen wiary stary sługa cierpiący na bezsenność, leciwy augur, który przysypiał czasami – ale tylko czasami – podczas wspólnych posiłków? Stary człowiek, który zarówno gromił, jak i kochał wysokiego, młodego akolitę, przysłanego do manteionu jako jego następcę po tylu latach służby, po tylu wlokących się ospale dekadach. Młody paterę Jedwab pokochał swego poprzednika tak, jak kochać można tylko własną matkę.

Gdzie przebywa teraz stary paterę Płetwa? Gdzie śpi; a jeśli śpi, to czy przynajmniej ma spokojny sen? A może się budzi co chwila, tak jak dawniej, gdy spoczywał na swym długim, skrzypiącym łożu ustawionym w sypialni przylegającej do izby Jedwabia? Może modli się o północy i po pomocy w porze rozjaśnienia, kiedy nikt nie widzi, może wciąż modli się, gdy w Vironie wygaszają ogniska, latarnie i wieloramienne kandelabry, modli się, gdy mieszkańcy miasta odwracają twarze do pojawiającego się ponownie słońca? Modli się, gdy nastaje pora cieni zwykłego dnia, kiedy poranek pała swą chwałą, a pejzaże nocy w ciszy znikają jeden za drugim.

Czy śpiąc obok bogów, stary paterę Płetwa nie budzi się, by przypomnieć o ich powinnościach?

Wzmocniony na duchu wiarą paterę Płetwy, stojąc obok lśniącej, szarej pustki świętego okna, Jedwab przez chwilę obserwował uczniów. Wiedział, że wielu z nich jest ubogich, i południowy posiłek, które sześć matek przygotowało w kuchni palestry, stanowi dla nich jedyny posiłek w ciągu dnia. Ale byli czysti i schludni, a pod baczny okiem maytere Róży, maytere Marmur i maytere Mięty zachowywali się bardzo poprawnie.

Z nowym rokiem, zgodnie ze zwyczajem wprowadzonym przez paterę Płetwę, odebrał starszych chłopców maytere Mięcie i przekazał ich maytere Róży. Teraz jednak, gdy przebiegał wzrokiem po zgromadzonych uczniach, uznał tę decyzję za nierozsądną. Starsi chłopcy okazywali nieśmiałości i bojaźliwości z natury maytere Mięcie szacunek i posłuszeństwo, odnosząc się do niej wręcz po

rycersku. Jeśli nie, wymuszali to na nich prowodyrzy, tacy jak Róg. Natomiast egzekwującej nieugięte od swych wychowanków posłuszeństwo maytere Róży chłopcy, prawie młodzi mężczyźni, którzy niedługo (bardzo niedługo) mieli wziąć na swe barki obowiązki ojców rodziny, nie darzyli szczególnym respektem.

Jedwab odwrócił wzrok od uczniów i skierował spojrzenie na wizerunki Paha oraz jego żony Echidny; Paha o dwóch twarzach i z błyskawicami w rękach oraz Echidny z węzami. To wystarczyło. Młodzi ucichła w pełnym szacunku oczekiwaniu. Z głębi manteionu oczy maytere Marmur rzucały spod kornetu fioletowe lśnienia. Maytere Marmur uważała, że ilekroć Jedwab przemawia z ambony, zawsze robi z siebie głupca.

– Podczas dzisiejszego apelu nie złożymy ofiary, choć powinniśmy. – Uśmiechnął się, czując, iż zwrócił na siebie zainteresowanie dzieci. – Jedenastu z was zaczęło w rym miesiącu pierwszy rok nauki. Mimo to wszyscy wiecie, że rzadko kiedy mamy ofiarę do złożenia podczas codziennego apelu... Zapewne jesteście ciekawi, dlaczego właśnie dziś o tym wspominam. Otóż dlatego, że dzisiejszy dzień jest szczególny. Będzie ofiara, tu, w tym manteionie, ale później, gdy już rozejdziecie się do domów. Jestem pewien, że pamiętacie jagnięta. Połowa dzieci skinęła głowami.

– Jak wiecie, kupowałem je za pieniądze, które zaoszczędziłem podczas nauki w scholi – pieniądze te przysyłała mi matka – oraz za pensję wypłacaną mi przez Kapitułę. Chyba zdajecie sobie sprawę, że nasz manteion jest bardzo ubogi?

Wyraz twarzy starszych dzieci mówił, że dobrze o tym wiedzą.

– Bo taka jest prawda – ciągnął Jedwab. – Dary, jakie otrzymujemy w scyldag i przy innych okazjach, nie wystarczają na niewielkie pensje wypłacane naszym sybillom i mnie. Zalegamy z podatkami, co znaczy, że jesteśmy winni pieniądze Juzgado. Poza tym mamy wiele innych długów. Czasami dostajemy zwierzęta od naszych dobroczyńców, którzy chcą w ten sposób zyskać względy bogów. Być może, wśród tych darczyńców znajdują się wasi rodzice, a jeśli tak, chciałbym im wyrazić swą najgłębszą wdzięczność. Kiedy jednak nie dostajemy jałmużny, sybille i ja składamy się z naszych prywatnych pieniędzy na zakup zwierząt ofiarnych, przeważnie gołębi. Ale jagnięta kupuję sam. Addaksie, jak sądzisz, dlaczego to robię?

Addax, chłopiec w wieku Roga, o włosach prawie tak samo jasnych jak Jedwabia, wstał.

– Aby przepowiadać przyszłość, patere. Jedwab skinął głową i Addax usiadł.

– Tak, by poznać przyszłe losy naszego manteionu. Wnętrznosci jagniąt powiedziały mi, że czeka go jasna przyszłość. Ale przede wszystkim składam ofiary po to, by zapewnić nam przychyłność bogów. – Jedwab zerknął na znajdujące się za jego plecami święte okno. – Jedno białe jagnię zaofiarowałem wszechmocnemu Panowi, a drugie Scylli, patronce naszego miasta. I wyznam wam, że prosiłem ich o szczególną łaskę. Prosiłem, by znów się nam objawili, tak jak czynili to w dawnych czasach. Pragnąłem potwierdzenia, że nas miłują. I nie pomyślałem wcale, jak bardzo jest to zbyt cenne, skoro potwierdzenie takie znajduje się w Piśmie Chrasmlologicznym.

Postukał palcem w leżącą przed nim księgę w wytartej oprawie.

– Pojąłem to pewnej nocy, gdy czytałem Pismo. Czytywałem je od najwcześniejszego dzieciństwa... ale nigdy nie dotarło do mnie, jak bardzo bogowie nas kochają. A przecież Pismo mówi o tym na okrągło. Po cóż zatem była mi potrzebna na własność ta księga? Sprzedałem ją, lecz dostałem za nią zaledwie dwadzieścia bitów i nie stać mnie było ani na białe, ani na czarne jagnię, którym chciałem uczcić przypadający wtedy dzień Phaei. Nabyłem zatem jagnię szare i ofiarowałem je wszystkim bogom. Wnętrznosci owego jagnięcia powiedziały mi to, co wcześniej już wyczytałem w trzewiach białych zwierząt Powiniennem był się domyślić, choć wcale się nie domyśliłem, że poprzez owe jagnięta nie przemawiał do nas żaden z Dziewięciu. I dziś dopiero poznałem imię tego boga, ale jeszcze go wam nie wyjawię, gdyż sam wielu rzeczy nie rozumiem.

Sięgnął po Pismo i przez chwilę wpatrywał się w okładkę, nim zaczął mówić dalej.

– Ta kopia należy do manteionu i ją obecnie studiuje. Jest to lepszy egzemplarz od tego, który sprzedałem, by móc kupić dary dla bogów; ten został dużo lepiej wydrukowany i opatrzony rozleglejszymi przypisami. Wynikają z tego istotne wnioski, które każdy z was musi sam wyciągnąć. Starajcie się do nich dojść, choć początkowo może być to dla was trudne, i nie zapominajcie, iż powiedziane jest, że nasza palestra została założona bardzo dawno temu... Tak, Kotku, słucham?

– Paterę, czy naprawdę ma do nas przyjść bóg? Kilkoro starszych uczniów wybuchnęło śmiechem. Jedwab odczekał, aż dzieci się uspokoją, i oświadczył:

– Tak, Kotku. Bóg przyjdzie do naszego świętego okna, choć może nieprędko. Ale wcale nie musimy czekać. Tutaj mamy całą jego mądrość i miłość. Otwórz Pismo na którejkolwiek stronie, a znajdziesz odpowiedni ustęp, odnoszący się do twoich dzisiejszych kłopotów lub kłopotów, z którymi będziesz borykać się jutro. Jak to jest możliwe? Kto mi powie? – Jedwab wywołał dziewczynkę, która śmiała się najgłośniej. – Odpowiedz, Imbirku.

Uczennica niechętnie wstała i wygładziła sukienkę.

– Ponieważ wszystko jest powiązane ze wszystkim, patero? Było to jedno z jego ulubionych powiedzeń.

– Nie wiesz, Imbirku?

– Ponieważ wszystko jest ze sobą powiązane. Jedwab potrząsnął głową.

– To, że na whorlu każda rzecz zależy od wszystkich innych rzeczy, jest sprawą bezsporną. Lecz gdyby to stanowiło odpowiedź na moje pytanie, pierwszy lepszy ustęp z pierwszej lepszej książki pasowałby do naszej obecnej sytuacji tak samo jak każdy cytat z Pisma Chasmologicznego. Wystarczy jednak zajrzeć na chybił trafił do jakiegokolwiek książki, by przekonać się, że wcale tak nie jest. Ale... – znów postukał palcem w zniszczoną oprawę leżącego przed nim woluminu – ... gdy otworzę tę księgę, co w niej znajdziemy?

Teatralnym gestem otworzył tom i przeczytał głośno pierwsze zdanie na stronie:

– „Czy można kupić śpiew dziesięciu ptaków?”. – Doznał wstrząsu na myśl, jak bardzo adekwatny jest ten ustęp do jego ostatniej transakcji na rynku. Wystraszony przełknął ślinę i czytał

dalej: – „Pociągnijcie złotem Oreba kruka, ale czy dlatego będzie śpiewać?”. Wytlumaczę wam sens tego ustępu, ale za chwilę. Najpierw chcę podkreślić, że autorzy Pisma znali nie tylko kondycję whorla w czasach, w których żyli, ale wiedzieli też, co stanie się z nim w przyszłości. Mówię... – Zawiesił głos i uważnie popatrzył na każde z dzieci. – Mówię o planie Paha. Każdy, kto zrozumie plan Paha, zrozumie przyszłość. Czy wyrażam się jasno? Plan Paha jest przyszłością i rozumienie tego oraz postępowanie zgodnie z jego wskazówkami jest podstawowym obowiązkiem każdego mężczyzny, każdej niewiasty i każdego dziecka.

Znając plan Paha, jak powiedziałem, chiasmologowie, ilekroć otwierają księgę, dowiadują się, co najlepiej nam służy. A dzięki temu wy i ja możemy pewnie stąpać po złotej ścieżce.

Jedwab znów zamilkł i bacznie spoglądał na młode twarze. Na niektórych malował się ślad zainteresowania; tylko ślad. Paterę ciężko westchnął.

– Wróćmy do słów, które wam przeczytałem. Zdanie „Czy można kupić śpiew dziesięciu ptaków?” ma przynajmniej trzy znaczenia. Gdy już podrośnięcie i zaczniecie myśleć głębiej, zrozumiecie, że każdy werset w Piśmie ma dwa lub więcej znaczeń. Jedno z tych znaczeń dotyczy mnie osobiście, lecz to wyjaśnię za chwilę. Pozostałe odnoszą się do nas wszystkich i nimi zamierzam zająć się najpierw.

Na początek musimy założyć, że ptaki te należą do gatunku śpiewających. Zauważcie, że w następnym wersecie, gdzie jest mowa o gatunku nie śpiewającym, Pismo stawia tę kwestię otwarcie. Co zatem oznacza owych dziesięć ptaków? Dzieci w klasie? Z pewnością możliwa jest taka interpretacja. Recytując wersety sybillom, które są waszymi nauczycielkami, mówicie dźwięcznymi głosami przypominającymi szczebiot ptaków śpiewających. Czy można kupić śpiew? Czy śpiew jest drogi czy tani? Jaką cenę należałoby zapłacić? Znaczenie jest takie: czy można sprzedać chmurę małych uczniów? Odpowiedź jest oczywista: nie! Nie zapominajcie, dzieci, jak cenne jesteście dla wielkiego Paha. On nieustannie wam powtarza, że cenne jest dla niego każde żywe stworzenie na whorlu, każda jagoda i każdy motyl. A nade wszystko istoty ludzkie. Nie, śpiewu ptaków nie wolno sprzedawać; ptaki są dla Paha cenne. Nie składalibyśmy nieśmiertelnym bogom ofiar z ptaków i innych zwierząt, gdyby były bezwartościowe. Stanowiłoby to dla każdego z bogów obelgę. „Czy można kupić śpiew dziesięciu ptaków?”. Nie. Was, dzieci, nie można sprzedać.

Wreszcie czymś je zainteresował. Wszystkie słuchały z uwagą.

– Przejdźmy do drugiego wersetu. Zauważcie, że dziesięć ptaków może śpiewać nie dziesięć, ale dziesiątki tysięcy pieśni. Przez chwilę oczyma duszy widział obraz, który dawno temu zapewne jawił się autorom chiasmologicznej księgi: patio z ukwieconym ogrodem i fontanną, nakryte siatką, pod nią uwijały się słowiki, drozdy, skowronki i szczygły, a ich upojny śpiew roznosił się przez długie lata, zapewne przez stulecia, aż w końcu siatka zgniła i ptaki wyrwały się na wolność. Może jednak czasami będą wracać do ogrodu... Wrócą, przefruną między oczkami zniszczonej sieci, by napić się wody z szemrzącej fontanny i uwić gniazda w bezpiecznym ogrodzie... Ich długi koncert przeciągnie się poza koniec przedstawienia, kiedy to orkiestra wciąż gra, chociaż publiczność opuszcza teatr... Gra i gra dla samej już muzyki, choć ostami bywalec teatru dawno wrócił do domu, choć ziewający woźni gaszą świece i reflektory, a aktorzy i aktorki zmyli z twarzy makijaż i przebrali się w

codzienne ubrania, zwykłe brązowe suknie i spodnie, wełniane bluzy, tuniki i płaszcze; w prostą, roboczą odzież przypominającą piórka słowików... – Lecz jeśli ptaki zostaną sprzedane – ciągnął Jedwab (aktorzy i aktorki, teatr i widzowie, ogród, fontanna, sieć i ptaki zniknęły z jego świadomości) – jakie pozostaną nam pieśni? My, tak bogaci dotąd w pieśni, zubożemy. I nie pomoże nam, jak wykazują to znający przyszłość autorzy w następnym wersecie, przemalowanie kruka, nadanie czarnemu ptaszysku delikatnej urody skowronka czy słowika. Nawet jeśli pozłocimy go na podobieństwo szczygła, wciąż pozostanie krukiem.

Zaczerpnął głęboko tchu.

– Moje dzieci, zdarzyć się może, iż jakiemuś niewykształconemu człowiekowi los ofiaruje ważne stanowisko, godność i władzę. Założmy, na przykład, że ktoś nie douczony, ale uczciwy i prawy, któryś z was, chłopców z klasy maytere Marmur, jeszcze przed otrzymaniem pełnego wykształcenia, przypadkowo wybrany zostanie Jego Mądrością przewodniczącym Kapituły. Zamieszka wtedy na stałe w wielkim pałacu Jego Mądrości na Palatynie. Nosić będzie różgi i wysadzone drogimi kamieniami szaty, a reszta ludzi zacznie padać przed nim na kolana. Ale człowiek taki nie posiadałby mądrości koniecznej do sprawowania tak wysokiego urzędu. Byłby jedynie kraczącym krukiem pociągniętym jaskrawą farbą.

Jedwab Uczył w duchu do trzech, spoglądając na zakurzone belki stropu. Niech do świadomości słuchaczy w pełni dotrze sens jego słów.

– Mam nadzieję, że teraz już wiecie, dlaczego musicie kontynuować naukę. Mam też nadzieję, że rozumiecie, dlaczego cytuję przykłady z Pisma, choć mógłbym z łatwością zaczerpnąć je z naszej codzienności, mówiąc o handlarzu, kupcu, naczelniku urzędu czy komisarzy. Musicie się uczyć dlatego, iż pewnego dnia whorl będzie należał do was.

Znów zamilkł i wsparł dłonie na krawędzi starej, poobijanej ambony. Słoneczne światło napływające przez wysokie okno nad szerokimi drzwiami wychodzącymi na ulicę Słońca nieco już przygasło.

– Tak więc Pismo mówi wyraźnie, że wasza palestra nie zostanie sprzedana; ani z powodu zaległych podatków, ani z powodu innych długów. Słyszałem krążące na ten temat plotki i wiem, że wielu z was daje im wiarę. Powtarzam, tak się nie stanie.

Przez chwilę cieszył się ich radością.

– A teraz wyjaśnię wam, co ten ustęp znaczy dla mnie. To ja otworzyłem Pismo i dlatego księga niesie przesłanie zarówno dla mnie, jak i dla was wszystkich. Dzisiaj, gdy wy pobieraliście nauki, ja udałem się na rynek. Tam kupiłem wspaniałego, gadającego ptaka, nocnego kruka. Zamierzam z niego złożyć ofiarę. Dokonam jej, kiedy rozejdziecie się do domów.

Mówiłem już wam, że kiedy kupiłem jagnięta, które tak wam smakowały, miałem nadzieję, że bóg, zadowolony z nas, pojawi się w świętym oknie, tak jak inni bogowie pojawiali się w przeszłości. Następnie próbowałem wam wykazać, jak niemądre było to mniemanie. Otrzymałem inny, dużo cenniejszy dar – dar, za który nie zdołałbym zapłacić wszystkimi jagniętami

sprzedawanymi na targowisku. Oświadczyłem też, że nie zamierzam wam o tym dziś opowiadać. Powiem tylko, że nie była to nagroda ani za moje modły, ani za składane ofiary, ani też za pracę, którą uczciwie wykonuję. Po prostu otrzymałem ten dar.

Stara maytere Róża zakaszłała; suchy, wyrażający sceptycyzm dźwięk wydawany przez urządzenie zastępujące krtań, umieszczone w jej gardle jeszcze na długo, zanim Jedwab się urodził.

– Pojąłem wtedy, że to ja, tylko ja muszę złożyć za to ofiarę dziękczynną, choć nie miałem już pieniędzy, bo wydałem je na jagnięta. Bardzo chciałbym wam wyjaśnić, jak zamierzałem uporać się ze swym dylematem, ale tego nie uczynię. Wiedziałem tylko, że ofiara jest niezbędna. Tak zatem, zdając się na łaskę miłosiernych bogów, udałem się na rynek. I bogowie mnie nie zawiedli. Po drodze spotkałem nieznanego, który podarował mi środki na zakup doskonałej ofiary, gadającego nocnego kruka. Wspomniałem wam o nim wcześniej; to ptak przypominający zwykłego kruka.

Pismo powiedziało mi, jak wiecie, że śpiewu ptaków nie można sprzedać. I otrzymałem znak – świadectwo hojności bogów wobec tych, którzy zanoszą do nich prośby – że jeśli złożę ofiarę, w naszym świętym oknie pojawi się bóg. Jak mówiłem, Kotku, może przyjdzie nam jeszcze długo na to czekać, lecz należy uzbroić się w cierpliwość. Musimy mieć głęboką wiarę i nie zapominać o tym, że bogowie rozmawiają z nami na różne sposoby. Ważne jest również to, że choć nasze święte okno zamilkło, inne są czynne. W naszych snach lub wizjach bogowie przemawiają tak, jak czynili to w czasach, gdy nasi ojcowie i dziadkowie byli dziećmi. Jeśli chętnie składamy ofiary, bogowie wyraźnie przemawiają do nas poprzez wróżby, a ponadto zawsze mamy pod ręką Pismo. Powinniśmy się wstydzić, gdy mówimy, jak to często się zdarza, że w obecnych czasach przypominamy łódź bez steru.

Za oknem przetoczył się grom, zagłuszając zgiełk czyniony przez żebraków i przekupniów na ulicy Słońca. Dzieci zaczęły wiercić się niespokojnie, więc po krótkiej modlitwie Jedwab odprawił je do domów.

Pierwsze grube krople deszczu zamieniły w błoto żółty kurz zalegający przed wejściem do manteionu. Tego popołudnia, z powodu nadchodzącej burzy, dzieci musiały zrezygnować z igraszek na świeżym powietrzu i spiesznie rozbiegły się do domów.

W manteionie pozostały tylko trzy sybille, które miały asystować Jedwabiowi przy składaniu ofiary. Młody augur przebiegł z manteionu na plebanię, wyciągnął skórzane ofiarne rękawice i sięgnął do klatki po nocnego kruka. Ptaszysko ruchem szybkim jak żmija uderzyło długim karmazynowym dziobem, mijając twarz Jedwabia zaledwie o grubość palca.

Uzbrojoną w rękawicę dłonią chwycił ptaka za łeb. Dobrze wiedział, iż zwierzęta ofiarne zabiły już wielu augurów. Nie było roku, by któryś z nich nie został rozdarty przez byka czy jelenia.

– Nie próbuj tego ponownie, ty paskudny ptaku – mruknął pod nosem. – Czy nie wiesz, że będziesz przeklęty na zawsze, jeśli wyrządzisz mi krzywdę? Zostaniesz ukamienowany, a twoją duszę porwą diabli.

Nocny kruk zakrakał, zaczął bezradnie bić skrzydłami i w końcu zdesperowany Jedwab wsunął go

pod lewą pachę i mocno ścisnął.

Na mrocznym, dusznym zapleczu manteionu sybille rozpały na ołtarzu ofiarny ogień. Kiedy pojawił się Jedwab i uroczystym krokiem ruszył w ich stronę, rozpoczęły powolny taniec. Poły ich obszernych czarnych sukien łopotwały, matowe głosy wznosiły się i opadały w tajemniczej, rytualnej pieśni, starodawnej jak sam whorl.

Ogień był niewielki, a kawałki wonnego cedru paliły się szybko. Jedwab musiał złożyć ofiarę, zanim płomień wygasną, co byłoby bardzo niedobłą wróżbą.

Szybko przesunął ptaka nad płomieniami świętego ognia, wymówił najkrótszą z inwokacji, po czym wydał uświęcone tradycją instrukcje:

– Ptaku, musisz przemówić do każdego boga i bogini, których spotkasz, musisz powiedzieć im o naszej wierze, o naszej wielkiej miłości i wierności. Powiesz im też, jak bardzo jestem im wdzięczny za ogromną i niezasłużoną łaskawość, którą mi okazują. Przekaż im, że bardzo pragniemy ich boskiej obecności w naszym świętym oknie. Ptaku, zanieś nasze wołanie do Paha Wielkiego, Ojca Bogów. Ptaku, zanieś nasze wołanie do Echidny Falującej, małżonki wielkiego Paha. Zanieś nasze wołanie do Scylli Parzającej, do Molpe Cudownej, do Tartarosa Czarnego, do Hieraxa Niemego, do TheMepei Czarownej, do Phaei Uczującej, do Sphigx Samotnej. I do każdego z bogów, których spotkasz w Centralnym Procesorze, a zwłaszcza do Zewnętrznego, który okazuje mi szczególne względy. Powiedz mu, że do końca mych dni wypełniać będę jego wolę. Że zawsze będę się przed nim korzyć.

– Nie, nie – odezwał się tak samo jak na rynku nocny kruk. A po chwili dodał: – Proszę, nie.

Jedwab wypowiedział ostatnie słowa:

– Nie rozmawiaj z diabłami, ani nie przebywaj w ich bliskości. Ściskając za szyję bijącego skrzydłami ptaka, wyciągnął prawą, przybraną w rękawicę dłoń do maytere Róży, najstarszej z sybilli. Ona wsunęła mu w rękę kościany trzonek noża ofiarnego, który patere Płetwa odziedziczył po swoim poprzedniku. Długa, osobliwie zagięta klinga była niezwykle ostra, choć zmatowiała od wieloletniego użytku.

Nocny kruk rozdziawił dziób. O poczerńiałe ściany manteionu odbił się echem zdławiony, na wpół ludzki krzyk i nieszczęsny ptak zwiotczał w uścisku Jedwabia. Augur przerwał rytuał, przyłożył sflaczałe ciało do ucha, a następnie kciukiem otworzył krwistoczerwone oko kruka.

– Martwy – oświadczył zawodzącym kobietom. Przez chwilę nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Gdy już jako tako odzyskał panowanie nad sobą, dodał bezradnie: – Nigdy jeszcze nie przytrafiło mi się coś podobnego. Zdechł, zanim zdążyłem spełnić ofiarę.

Niewiasty przestały tańczyć, szuranie stóp ucichło.

– Niewątpliwie zaniósł twe podziękowania bogom, patere – odezwała się dyplomatycznie maytere Marmur.

Maytere Róża głośno pociągnęła nosem i odebrała nóż ofiarny.

– Czy nie zamierzasz go spalić, patere? – zapytała nieśmiało malutka maytere Mięta.

Jedwab potrząsnął głową.

– O nieszczęściach tego rodzaju wspominają rubrycele, ale nigdy nie przypuszczałem, że i mnie przytrafi się coś podobnego. Rubryki mówią wyraźnie, że jeśli niezwłocznie nie zostanie dostarczone następne zwierzę, ofiary nie wolno składać. Innymi słowy, nie możemy tego ptaka wrzucić do świętego ognia. Równie dobrze moglibyśmy wrzucić jakiegokolwiek martwe stworzenie znalezione przez dzieci na ulicy.

Gdy to mówił, pragnął jedynie pozbyć się martwego ptaka – cisnąć go między ławki lub wrzucić do zsypu, do którego maytere Marmur i maytere Mięta wyrzucały popioły z płonącego na ołtarzu ognia. Z najwyższym trudem zapanował nad sobą i dodał:

– Wszystkie trzy widziałyście więcej życia niż ja. Czy uczestniczyłyście choć raz w tak sprofanowanej ofierze?

Maytere Róża znów pociągnęła nosem. W ten sposób wyrażała dezaprobatę; mówią, że to, co się stało, stało się wyłącznie z winy patere Jedwabia. Nie kto inny, lecz on wybrał owo godne politowania zwierzę. Gdyby był trochę bardziej uważny, wykazał się trochę większą wiedzą, a przede wszystkim większą pobożnością – czyli gdyby był taki jak nieszczęsny, drogi patere Płetwa – żenujące zdarzenie nie miałoby miejsca.

– Nie, patere, nigdy – odezwała się maytere Marmur. – Czy mogłabym prosić cię o chwilę rozmowy na inny temat? Może w moim pokoju w palestrze?

Jedwab skinął głową, – Gdy tylko pozbędę się tego ptaka, przyjdę do ciebie, maytere. – Rozgniewany na siebie, zaczął się sam głośno besztuć: – Powinienem być wiedzieć lepiej. Choć Pismo mnie ostrzegało, pozostałem głupcem i sądziłem, że moja ofiara zostanie przyjęta, choćby święte okno nadal pozostawało puste. Dzisiejsze zdarzenie stanowi dla mnie uzdrawiającą lekcję, maytere. Dzięki Phaei za to, że dzieci wyszły wcześniej i nie były świadkami tego gorszącego wydarzenia.

– Nikt nigdy nie zgłębiał prawdziwych zamiarów Zewnętrznego, patere – odważyła się przypomnieć maytere Mięta. – On nie jest jak inni bogowie, którzy w Centralnym Procesorze nieustannie się ze sobą konsultują.

– Lecz kiedy bogowie mówili tak wyraźnie... – Jedwab uświadomił sobie, że to, co zamierza powiedzieć, nie ma nic do rzeczy z omawianą sprawą i zostawił myśl nie dokończoną. – Masz rację, maytere. Jego życzenia były dla mnie oczywiste, lecz tej ofiary wcale nie pragnął. W przyszłości spróbuję się ograniczać wyłącznie do tego, czego ode mnie wymaga. Jestem pewien, że jak zwykle będę mógł na was polegać i liczyć na waszą pomoc.

Maytere Róża nie pociągnęła już po raz trzeci nosem. Nos, usta i prawe oko stanowiły najbardziej charakterystyczne części jej twarzy, i, choć wytopione z twardego polimeru, wyglądały prawie normalnie. Lewe oko, z którym się urodziła, mętne i zaropiałe, wydawało się zarazem szalone i ślepe.

Próbując uniknąć spojrzenia tego oka, pragnąc (a pragnął tego od chwili, gdy trafił do tego manteionu), by udało się znaleźć maytere Róży narząd zastępczy, Jedwab przełożył nocnego kruka z lewej ręki do prawej.

– Dziękuję, maytere Rózo, maytere Marmur i maytere Mięto. Serdecznie wam dziękuję. Jestem pewien, że następnym razem wszystko się nam uda. – Ściągnął ofiarne rękawice. Nienawistne ptaszysko w jego spoconej dłoni było ciepłe i jakby pokryte kurzem. – Maytere Marmur, do zobaczenia w palestrze za pięć minut.

Zmierzch

Tutaj, patere! Jedwab zatrzymał się tak gwałtownie, że omal nie upadł na śliskim żwirze.

– W altanie – dodała maytere Marmur.

Machnęła okrytym czarnym materiałem ramieniem, jej lśniąca dłoń była prawie niewidoczna za gąszczem liści winorośli.

Choć pierwszy gwałtowny atak burzy minął szybko, wciąż padał deszcz. Jego krople, niczym błogosławieństwo, z szelestem padały na rabaty z kuchennymi ziołami, które hodowała maytere Marmur.

Spotykamy się jak kochankowie, pomyślał Jedwab. Odgarnął zmoczone deszczem liście. Przez chwilę zastanawiał się, czy sybilli również przyszła do głowy podobna myśl.

Nie, na podobieństwo kochanków, poprawił się w duchu.

Kochał maytere Marmur jak własną matkę. Równie mocnym uczuciem darzyłby starszą siostrę. Przesłał nieśmiały uśmiech i maytere z wdziękiem pochyliła głowę. Robił wszystko, by zaskarbić sobie względy i aprobatę starej sybilli, steranej życiem istoty chemicznej. Gdy był małym chłopcem, a chemów żyło na whorlu dużo więcej, nikt nie chciał patrzeć na te stworzenia, które interesujące wydawały się jedynie najmłodszym dzieciom. Jak bardzo czułby się samotny w gwarnej, hałaśliwej ciasnocie manteionu i palestry, gdyby nie maytere Marmur!

Kiedy wszedł do altany, wstała, a następnie, kiedy on już usiadł, ponownie zajęła miejsce na ławce.

– Sybillo, naprawdę nie musisz tego robić, gdy jesteśmy sami. Mówiłem ci to już wielokrotnie.

Maytere Marmur pochyliła głowę, na jej surowej, metalowej twarzy pojawił się wyraz skruchy. – Czasami zapominam. Wybacz mi, patere. – I ja zapominam, że nie powinienem zwracać ci uwagi ani cię poprawiać, ponieważ zawsze, już poniewczasie, przekonuję się, że miałaś we wszystkim rację. O czym chciałaś ze mną pomówić, maytere?

– Nie przeszkadza ci deszcz? – Maytere Marmur popatrzyła na sklepienie utkane z pnączy winorośli.

– Oczywiście, że nie. Ale tobie z pewnością tak. Skoro nie chcesz wracać do palestry, powinniśmy udać się do manteionu. Jestem ciekaw, czy dach nie przecieka.

Potrząsnęła głową.

– Maytere Róża byłaby bardzo niezadowolona. Dobrze wie, że nasze intencje są niewinne, ale nie lubi, gdy spotykamy się na osobności w palestrze. Ludzie mogliby zacząć gadać; ludzie, którzy nigdy nie składają ofiar i każda wymówka jest im dobra. Maytere Róża do nas nie przyjdzie, a maytere

Mięta pilnuje ognia. Postanowiłam więc spotkać się z tobą tutaj, choć maytere może nas zobaczyć z okna świątyni, ale mamy osłonę przed deszczem.

– Rozumiem – odrzekł Jedwab.

– Powiedziałaś, że dokucza mi deszcz. Miło z twojej strony, że o mnie pomyślałaś, ale zapewniam cię, iż jest mi tu zupełnie dobrze, a ubranie szybko wyschnie. Z suszeniem nie mam kłopotu, natomiast by odzież wyprać, trzeba się zdrowo namozolić przy pompowaniu wody. Czy studnia na plebani długo jeszcze będzie sprawna?

– Naturalnie – odparł Jedwab, lecz widząc wyraz malujący się na jej twarzy, wzruszył ramionami. – Nie, oczywiście, że nie. Dobrze jest żywić dziecięcą ufność i wierzyć, że Pah nie oprze się prośbom swej córki, która zawsze za nami się wstawi. Ale tak naprawdę nikt tego nie wie. Możemy jedynie krzepić się nadzieją. Gdyby zaszła potrzeba wykopania nowej studni, Kościół musiałby pożyczyć nam pieniądze. Jeśli nie możemy prowadzić manteionu bez nowej studni, należy ją koniecznie wykopać.

Maytere Marmur nic nie odrzekła. Spuściła tylko głowę, jakby nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

– Czy aż tak bardzo się tym troskasz, maytere? Posłuchaj, wyznam ci pewien sekret. Objawił mi się Zewnętrzny.

Siedząca nieruchomo maytere przypominała wygładzoną przez czas statwę, przybraną z niewiadomych powodów w szatę sybilli.

– Naprawdę, maytere! Nie wierzysz mi? Uniosła głowę.

– Wierzę, że wierzysz, iż doznałeś objawienia, patere. Znam cię dobrze i wiem, że w tych sprawach nigdy nie splamiłbyś się kłamstwem.

– Wyjaśnił mi też przyczynę objawienia. Mam uratować nasz manteion. To moje zadanie. – Jedwab na chwilę zamilkł. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to cudowne uczucie wiedzieć, że bóg powierzył ci misję, maytere. Cudowne! Człowiek wreszcie wie, po co został stworzony, i całe serce kieruje tylko ku temu celowi.

Nie mogąc usiedzieć spokojnie w miejscu, podniósł się z ławki.

– Czy nic ci nie mówi fakt, że mam uratować nasz manteion? Pytani cię.

– Nie wiem, patere. A powinien?

– Tak! Powinien. Nawet do boskich instrukcji musimy stosować zasady logiki, prawda? Podobnie jak do czynów i słów bogów. Otóż mówi nam to o dwóch faktach, obu ogromnej wagi. Pierwszy, że manteion znajduje się w niebezpieczeństwie. W przeciwnym razie Zewnętrzny nie kazałby mi go ratować. Tak zatem istnieje jakieś niebezpieczeństwo, i jest niebywale ważne, byśmy je poznali.

Jedwab wyszedł na ciepły deszcz i zapatrzył się na wschód, w stronę Centralnego Procesora,

domu bogów.

– Druga sprawa jest jeszcze istotniejsza, maytere. Możemy uratować manteion. Innymi słowy, mimo niebezpieczeństwa nasz los nie został jeszcze przypieczętowany.

– Paterę, proszę, wróć pod dach i usiądź – odparła maytere Marmur. – Nie chcę, byś się przeziębził.

Jedwab wrócił do altany i sybilla znów dźwignęła się z ławki.

– Nie musisz... – zaczął Jedwab z głupkowskim uśmiechem. – Wybacz, maytere. Proszę, wybacz. Starzeję się, a pozostaję głupi.

Pokiwała głową i roześmiała się bezgłośnie.

– Nie jesteś stary, patere. Obserwowałam dzisiaj, jak grasz. Żaden z chłopców nie dorównuje ci szybkością.

– Dlatego że gram dłużej i mam doświadczenie – odpowiedział i oboje usiedli.

Ku jego zaskoczeniu znów się roześmiała i ścisnęła mu dłonie. Z opuszków jej palców już dawno starła się delikatna skóra i pozostała jedynie pociemniała stal, wygładzona od ciągłej pracy.

– W tym manteionie tylko ty i dzieci nie jesteście starzy.

– Maytere Mięta też nie jest jeszcze leciwa, choć nie przeczę, że sporo starsza ode mnie.

Sybilla westchnęła; rozległ się cichy szelest, przypominający przesuwanie szczotką po wyłożonej lastrykową mozaiką posadzce.

– Obawiam się, że nieszczęsna maytere Mięta już urodziła się stara. Albo nauczyła się być stara, zanim jeszcze zaczęła mówić. Jak było, tak było, ona zawsze pasowała do tego miejsca A ty nigdy, patere.

– Sądzisz, że mój manteion zostanie wyburzony? Bez względu na to, co powiedział mi Zewnętrzny?

Maytere Marmur niechętnie przytaknęła.

– To prawda. A raczej powinnam powiedzieć, że same budynki może zostaną, choć i to jest mało prawdopodobne.

Niemniej twój manteion przestanie nieść bogów mieszkańcom tej dzielnicy, a w naszej palestrze nie pojawi się żaden uczeń.

– Jaką więc szansę będą miały te dzieci? – warknął Jedwab. – Bez twojej palestry...

– A jaką szansę mają teraz?

Potrząsnął gniewnie głową, miał ochotę tupnąć.

– Paterę, nie takie już rzeczy zdarzały się w przeszłości. Kapituła znajdzie dla nas nowe manteiony. Z pewnością lepsze, ponieważ trudno o gorsze. Będę uczyć i asystować przy ofiarach. Ty w dalszym ciągu będziesz składać ofiary i udzielać rozgrzeszenia.

– Doznałem dziś objawienia – odparł Jedwab z uporem. – Jak dotąd powiedziałem o tym tylko pewnemu mężczyźnie, którego spotkałem na ulicy w drodze na rynek. Teraz mówię tobie. Żadne z was mi nie uwierzyło.

– Paterę...

– Czy nie jestem wystarczająco wymowny? Spróbujmy jednak, może tym razem uda mi się lepiej.

Przez chwilę w milczeniu pocierał policzek.

– Nieustannie modliłem się o pomoc, głównie do Dziewięciu, ale czasami też zwracałem się do innych bogów, o których wspomina Pismo; i oto dziś odezwał się do mnie Zewnętrzny. Maytere, czy ty...? – Głos mu zadrżał i Jedwab z przerażeniem skonstatował, że już nad nim nie panuje. – Maytere, czy wiesz, co mi powiedział? Co mi powiedział?

Aż boleśnie zacisnęła palce na jego dłoniach.

– Poinstruował cię, jak uratować nasz manteion. Proszę, jeśli możesz, powiedz mi całą resztę.

– Masz rację, maytere, ale to nie jest łatwe. Zawsze myślałem, że objawienie to płynący ze słońca głos albo głos w mojej głowie, głos, który przemawia słowami. Ale wcale tak nie jest. On szepcze do ciebie wieloma głosami, a słowa stają się niczym żywe istoty, które widzisz. Nie tylko widzisz, tak jak widzisz inną osobę w lustrze, ale też je słyszysz, czujesz ich zapach, czujesz ich dotyk i ból. Lecz te namacalne słowa są ze sobą połączone, są tym samym... A człowiek wszystko to pojmuje. Kiedy mówię, że Zewnętrzny pokazał mi coś albo powiedział, myślę o tym samym.

Maytere Marmur zachęcająco kiwnęła głową. – Pokazał mi wszelkie modły zanoszone w tym manteionie przez wsze czasy i do każdego boga – ciągnął Jedwab. – Widziałem wszystkie dzieci modlące się tu od chwili wybudowania świątyni; ich matki i ojców, i ludzi, którzy wstąpili tylko na krótką modlitwę albo pojawili się na którejś z naszych ceremonii ofiarnych, w nadziei że trafi się im kawałek mięsa, a już tu będąc, włączyli się żarliwie do modlitwy.

I widziałem modły wszystkich was, wszystkich sybilli, od samego początku. Nie żądam, byś mi uwierzyła, lecz widziałem każdą modlitwę, jaką odprawiłaś w tym manteionie w intencji maytere Róży, maytere Mięty, paterę Płetwy, w mojej i... i w intencji każdego mieszkańca tej dzielnicy. Tysiące i tysiące modłów. Modłów, które zносиłaś na kolanach i na stojąco, modłów, które odprawiłaś, warząc strawę i szorując podłogę. Żyła tu kiedyś maytere Krzyżownica. Widziałem jej modlitwy, i modlitwy maytere Betel, postawnej, ciemnej niewiasty o sennych, zamyślonych oczach. – Jedwab przerwał i zaczerpnął tchu. – Ale głównie widziałem paterę Płetwę.

– To cudowne! – wykrzyknęła maytere Marmur. – To musiało być wspaniałe, patero!

Choć Jedwab miał wrażenie, że rozbłyły jej oczy, dobrze wiedział, że uległ złudzeniu. To jedynie w krystalicznych soczewkach odbił się promień światła.

– Zewnętrzny postanowił wynagrodzić nas za wszystkie modły. Rozmawiał z patere Płetwą i patere Płetwa był szczęśliwy! Maytere, czy przypominasz sobie dzień, gdy po ukończeniu scholi pojawiłem się tu po raz pierwszy? Maytere ponownie skinęła głową. – To było właśnie tego dnia. Tego właśnie dnia Zewnętrzny nagroził patere Płetwę objawieniem. Powiedział... powiedział mi, że ja jestem ratunkiem... jestem...

Jedwab zaczął szlochać i nieoczekiwanie ogarnął go wstyd. Deszcz przybrał na sile. Maytere wyjęła z rękawa dużą białą chusteczkę i wręczyła ją Jedwabiowi.

Ona zawsze jest taka praktyczna, błysnęło mu w głowie, gdy już wytarł oczy i nos. Maytere Marmur każdego dnia ma do czynienia z płaczącymi malcami. Całe jej życie wypisane jest łzami, a dziś ja jestem takim szlochającym dzieckiem, myślał.

– Rzadko masz do czynienia z dziećmi w moim wieku, prawda? – zmusił się do żartu.

– Uczniów, patere? Och, masz zapewne na myśli dorosłych mężczyzn i dorosłe kobiety, moich dawnych uczniów. Wielu jest już starszych od ciebie. Najstarszy musi mieć około sześćdziesiątki. Byłam... dopiero wtedy zaczęłam uczyć. – Wywołała plik pamięci, gromiąc się w duchu za to, że nie robi tego częściej. – Aha, coś mi się przypomniało. Znasz Alkę, patere?

– Czy mieszka w naszej dzielnicy? – odparł pytaniem po chwili zastanowienia.

– Tak, czasami nawet pojawia się u nas w scyldagi. Musiałeś go widzieć. Wysoki, groźnie wyglądający mężczyzna, który zazwyczaj zajmuje miejsce na samym końcu.

– Z wielką szczęką? Ubranie ma zawsze czyste, ale wygląda, jakby się nie golił? Nosi kordelas, a może nóż myśliwski, i przychodzi sam? Czy to twój wychowanek?

Maytere Marmur smętnie pokiwała głową.

– Został przestępcą, patere. Włamywaczem.

– Przykro mi to słyszeć.

Przez chwilę wyobrażał sobie, jak ogromnego mężczyznę, którego pamiętał z manteionu, zaskakuje właściciel rabowanego domu. Wyobraził sobie, jak włamywacz odwraca się, pozornie niezdarnie, lecz bardzo szybko – jak zaatakowany niedźwiedź.

– Mnie też jest przykro, patere. Właśnie o nim chciałabym z tobą pomówić. W zeszłym roku patere Płetwa udzielił mi rozgrzeszenia. Byłeś już tutaj, ale chyba nic o tym nie wiedziałeś.

– Może zdążyłem zapomnieć. Ale masz rację, maytere. Chyba o tym nie wiedziałem.

– Ja też nie dowiedziałam się tego od patere Płetwy. Powiedziała mi dopiero maytere Mięta. Alka bardzo ją lubi i od czasu do czasu wpada do niej na pogawędkę.

Jedwab wytarł nos i nieco się odprężył. Był już pewien, że sybilla pragnie z nim porozmawiać właśnie o Alce.

– Paterę zdołał wymóc na Alce przysięgę, że nie będzie więcej rabować ubogich. „Robiłem to”, oświadczył maytere Mięcie Alka. „Robiłem to często, ale nigdy już do tego procederu nie wrócę”. Maytere powiedziała mi, że jej również Alka obiecał to samo. Zapewne teraz mnie pouczysz, patere, że na obietnicy takiego człowieka nie wolno polegać.

– Szczerze mówiąc, nie wolno polegać na obietnicy żadnego człowieka – odrzekł Jedwab powoli i z namysłem. – Nikt nie jest całkowicie wolny od zła. Łącznie ze mną.

Maytere Marmur wsunęła chustkę do rękawa.

– Paterę, ja jednak uważam, że na obietnicy Alki, obietnicy, którą złożył z własnej woli, nie przymuszony, można polegać tak samo jak na słowie danym przez kogoś innego. Podobnie jak na twoim słowie, bez urazy. Wedle mojej oceny, taki już był jako chłopiec i taki sam pozostał jako dorosły mężczyzna. Nigdy nie znał ojca ani matki. On... lepiej już nic więcej nie powiem, gdyż zdradzę pewne sekrety, a obiecałam maytere Mięcie, że nikomu ich nie wyjawię. Czułabym się paskudnie. Musiałabym obu im przyznać się, że zламаłam dane słowo.

– Maytere, naprawdę uważasz, że mógłbym temu człowiekowi pomóc? Z całą pewnością jestem od niego młodszy. On nie uszanuje mnie tak, jak uszanował patere Płetwę.

Przez baldachim liści przedostawały się krople deszczu, spadając sybilli na suknię, ale ona tylko niedbałym ruchem strząsała połyskliwe kropelki.

– Może masz rację, ale ja myślę, że ty zrozumiesz go lepiej niż patere Płetwa. Jesteś młody i silny jak on. Uszanuje w tobie augura. Nie musisz się go bać. Czy kiedykolwiek prosiłam cię o jakąś przysługę? O prawdziwą przysługę?

– Raz. Poprosiłaś, bym wstawił się za tobą u maytere Róży, a ja uczyniłem zadość twej prośbie. Wynikło z tego więcej złego niż dobrego, a więc o tym przypadku zapomnijmy. Mimo to zawsze możesz mnie prosić o tysiąc przysług. Zasłużyłaś sobie na to i na wiele, wiele więcej.

– A zatem w któryś scyldag porozmawiaj z Alką. I udziel mu rozgrzeszenia, jeśli o nie poprosi.

– To nie jest żadna przysługa – mruknął Jedwab. – Dla każdego zrobiłbym więcej. Ale ty, naturalnie, prosisz, abym tego Alkę potraktował ze szczególnymi względami, porozmawiał z nim na osobności i tak dalej. Dobrze, zrobię to.

– Dziękuję. A teraz inna sprawa. Znasz mnie od ponad roku, prawda? Czy twoim zdaniem brakuje mi wiary?

Pytanie całkowicie zbiło Jedwabia z tropu.

– Tobie, maytere? Ja... ja nigdy bym tak nawet nie pomyślał. Zawsze sprawiałaś wrażenie... wydawało mi się...

– A jednak nigdy nie pokładałam wielkiej wiary ani w tobie, ani w bogu, który ci się objawił. Dopiero teraz to sobie uświadamiam. Niczym podrzędny kramarz wierzyłam jedynie w pozory i ludzkie słowa. Powiedziałeś, że bóg obiecał patere Płetwie pomoc. Czy możesz mi o tym powiedzieć

coś więcej? Przedtem słuchałam ciebie tylko z uwagą. Teraz spróbuję wysłuchać z wiarą.

– Jest w tym dużo więcej, niż umiem wysłować. – Jedwab znów podrapał się w policzek. – Jak mówiłem, patere Płetwa doznał objawienia; a ja ujrzałem to jego objawienie. Bóg oświadczył mi, że wszystkie modły, które Płetwa odprawiał przez tyle lat, zostały mu tego dnia wynagrodzone... że pomoc, o którą prosił dla siebie, dla manteionu i całej dzielnicy, zostanie mu zesłana.

Skonstatował, że z całych sił zaciska pięści, i natychmiast rozluźnił palce.

– Wszystko to zostało mi pokazane. A następnie ujrzałem, jak ta pomoc nadchodzi, pałająca blaskiem ognia udzielanego słońcu przez Paha. I to byłem ja. Tylko tyle. Ja.

– A zatem nie możesz zawieść – odezwała się cicho maytere Marmur.

Jedwab potrząsnął głową.

– Chciałbym, aby było to takie proste. Mogę zawieść, maytere. Ogarnia mnie lęk.

Popatrzyła nań z powagą.

– Ale aż do dzisiaj nic o tym nie wiedziałeś?

– Nie wiedziałem. I powiedział mi coś jeszcze. Powiedział, że nadszedł czas działania.

Maytere Marmur ciężko westchnęła.

– Mam dla ciebie wiadomość, patere. Bardzo złą. Ale najpierw chce zadać ci pewne pytanie. Czy przemówił do ciebie Zewnętrzny?

– Tak, choć niewiele o nim wiem. Jest jednym z sześćdziesięciu trzech bogów, o których wspomina Pismo, ale do dzisiejszego dnia niewiele o nim myślałem, zwłaszcza że Pismo mówi o nim bardzo mało. Wyjawił mi sprawy, o których w Piśmie nie ma nawet wzmianki. Ale nie miałem jeszcze czasu, by to wszystko przemyśleć.

– Gdy żyliśmy na zewnątrz tak jak on, na Whorlu Krótkiego Słońca, dopóki nie został ukończony i zaludniony nasz, modliliśmy się do niego. Niewątpliwie o tym wiesz, patere.

– Zapomniałem – przyznał ze skruchą Jedwab. – Ale masz racje. Wspomina o tym dziesiąta lub dwunasta księga.

– My, chemy, nie uczestniczyliśmy w składaniu ofiar na Whorlu Krótkiego Słońca. – Maytere Marmur zamilkła, przeglądając stare pliki. – I nie nazywało się to wówczas manteionem. Jakoś inaczej. Gdybym tylko mogła te informacje znaleźć, przypomniałabym sobie wiele więcej.

Nie rozumiejąc jej słów, Jedwab skinął głową.

– Choć od tamtych czasów nastąpiło wiele zmian, uczono nas, że Zewnętrzny jest nieskończony – ciągnęła maytere Marmur. – Nie ogromny, lecz właśnie bez granic. Istnieją takie wyrażenia... w arytmetyce. Ale w mojej klasie ich nie przerabialiśmy.

– Wszystko mi pokazał.

– Mówią, że w jakimś miejscu nawet whorl, choć olbrzymi, ma swój koniec. Ale Zewnętrzny nie ma końca. Gdybyś nawet rozdzielił go pomiędzy wszystkie istnienia, on wciąż pozostanie nieskończony. Paterę, czy nie czułeś się przeraźliwie mały, gdy ci to wszystko pokazywał?

Jedwab chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. – Nie, nie czułem się mały. Przeciwnie, czułem się wielki. Czułem się wielki, mimo że jego ogrom był nieporównywalnie większy. Wyobraź sobie, maytere, że Jego Mądrość przewodniczący Kapituły osobiście ze mną rozmawia, nakładając na me barki szczególnie ważne obowiązki. Naturalnie, jest człowiekiem dużo większego formatu niż ja, ale czułbym, że i ja stałem się kimś znaczącym. – Jedwab zamilkł i przez chwilę się zastanawiał. – Tak, sądzę, że przewodniczący Kapituły jest kimś niewyobrażalnie wielkim.

– Rozumiem. To odpowiedź na wiele pytań, które od dawna mnie nurtowały. Dziękuję, patero. Chcę wyjaśnić, dlaczego prosiłam cię o to spotkanie.

– Wspomniałaś, że masz dla mnie złe wiadomości. – Jedwab głęboko odetchnął. – Wiedząc, że manteion jest w niebezpieczeństwie, spodziewałem się takich wieści.

– Wszystko wskazuje na to, zapewne błędnie, że na pomoc jest już za późno. Kiedy cię nie było, w palestrze pojawił się potężnie zbudowany mężczyzna o czerstwej, czerwonej twarzy. Oświadczył, że właśnie kupił manteion, kupił od miasta całą posesję. – Maytere Marmur zniżyła głos. – Od Ayuntamiento, patero. Pojawił się, by obejrzeć budynki. Pokazałam mu palestrę i manteion. Do świątyni i na plebanię go nie wpuściłam, ale wszystko dokładnie obejrzał z zewnątrz.

– Powiedział, że transakcja została już zawarta? Maytere skinęła głową.

– Masz rację – rzekł Jedwab. – To bardzo zła wiadomość. – Przybył tu ślizgaczem, który prowadził za niego ktoś inny. Zauważyłam to, gdy przechodziliśmy z palestry do manteionu. Wyszliśmy na ulicę Słońca i wyminęliśmy boisko. Twierdził, że rozmawiał z tobą, ale nie wspomniał o kupnie naszej posiadłości. Obawiał się, że mógłbyś sprawić mu wiele kłopotów.

– Chyba wywlókłbym go ze ślizgacza i skrzył mu kark, maytere.

Sybilla dotknęła kolana patero Jedwabia.

– To by tylko sprawę pogorszyło. Trafilibyś do Alambriery, a stamtąd do jam.

– To nieważne – odrzekł Jedwab. – Zapewne powiedział ci, że nazywa się Krew.

– Chyba tak. – Ostatnio szybki skaner maytere Marmur funkcjonował wadliwie; przez chwile milczała, przeglądając stare pliki. – Nie jest to imię powszechne. Ludzie uważają, że przynosi nieszczęście. Nie pamiętam, bym uczyła choć jednego chłopca o takim imieniu.

Jedwab w zamyśleniu pocierał policzek.

– Maytere, czy obito ci się o uszy jego imię? Nigdy o nim nie słyszałem, ale musi być bardzo bogaty, skoro stać go na własny ślizgacz.

– Nie znam go. Skoro transakcja została już zawarta, co zrobimy?

– Nie wiem. – Jedwab znowu wstał i wyszedł przed altanę. Z nieba wciąż spadały krople deszczu, mimo że słońce, choć do połowy już zasłonięte kloszem, świeciło jeszcze mocno. – Niebawem zamkną rynek.

– Tak. – Maytere Marmur również wstała z ławki i wyszła przed altanę.

Nad krainy niebios, dotąd prawie niewidoczne, nadchodził świt i stały się bardzo wyraźne. Odległe lasy, o których mówiono, że są zaczarowane, i odległe miasta, o których mówiono, że są nawiedzane, w subtelny sposób oddziaływały na żyjące w dole istoty.

– Z całą pewnością nie jest cudzoziemcem – mówił Jedwab. – Nigdy nie spotkałem cudzoziemca, który by mówił tak dobrze jak on. Jego mowa wskazywała wręcz na to, że pochodzi z naszej dzielnicy.

Maytere Marmur potaknęła.

– Też to zauważyłam.

– Mieszkańcom naszej części miasta niełatwo się wzbogacić.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Mniejsza o to. Chcesz, bym porozmawiał z Alką. Powiedziałaś, że w scyldag. Ale w świąteczne dni wiele osób czeka w kolejce do mnie. Gdzie mógłbym znaleźć Alkę dzisiaj?

– Nie wiem. Zamierzasz spotkać się z nim dzisiejszego wieczoru? To byłoby wspaniałe! Zapewne maytere Mięta zna miejsce jego pobytu.

Jedwab kiwnął głową.

– Mówiłaś, że maytere Mięta jest w manteionie, czuwa przy wygasającym ogniu. Idź zatem, zapytaj, a przy okazji pomóż jej oczyścić ołtarz. Za kilka minut znów się spotkamy.

Kiedy się rozstali, obserwująca ich z okna świątyni maytere Róża chrząknęła z zadowoleniem. Maytere Marmur i patere Jedwab nawet nie podejrzewali, jak wielkie niebezpieczeństwo kryło się w ich spotkaniach. Ona mogła go zbrukać wstrętnymi czynami, a co gorsza on mógł zbrukać ją. Niepokalana Echidna nienawidziła takich występków, oślepiła upadłych; podobnie jak oślepiła ją. Czasami maytere Róża, klęcząc przed wizerunkiem swej córki, czuła, że sama jest Echidna, matką bogów, władczynią whorla.

Uderz, Echidno. Och, uderz!

Zapadł już zmrok, wystarczyło trzaśnięcie drzwi, by w kącie pokoju Jedwabia zapaliło się przyćmione światło. Sypialnia mieściła się w dawnym magazynku usytuowanym nad kuchnią, który stary patere Płetwa pomógł mu wysprzątać i zaadaptować na izbę mieszkalną. (Jedwab do dziś nie chciał przenieść swego dobytku do większego pokoju zajmowanego dawniej przez Płetwę, nie wyrzucił ani nie spalił wyblakłego portretu jego rodziców i znoszonych ubrań starego augura). W

niepewnym blasku lampy patere przebrał się w gorszą sutannę, mającą odpinane mankiety i kołnierzyk. Schował je do szuflady, w której trzymał drugi komplet.

Co jeszcze? Przejrzał się w lustrze; z całą pewnością musiał zakryć czymś rozczochrane żółte włosy. Miał słomiany kapelusz z szerokim rondem; jeszcze tego dnia rano osłaniał nim głowę, gdy w prażących promieniach słońca układał na dachu manteionu nowy gont. Poza tym dysponował czarną, obramowaną niebieskim materiałem *calotte*, którą patere Płetwa nosił w chłodne dni. Jedwab zdecydował się na oba nakrycia głowy. Rondo kapelusza rzucić będzie cień na jego twarz, a ściśle przylegająca do głowy i uszu *calotte* zakryje jasne włosy. Czy podobnie ubierali się ludzie pokroju Alki?

Maytere Mięta wymieniła maytere Marmur sześć miejsc, w których należało szukać Alki. Wszystkie znajdowały się w Orilli, najgorszej części dzielnicy. Jedwabowi groziło tam poważne niebezpieczeństwo. Mógł zostać obrabowany lub zabity, choćby nawet nie stawiał oporu. Jeśli Krew nie zechce się z nim spotkać...

Jedwab wzruszył ramionami. Dom Krwi z całą pewnością znajdował się gdzieś na Palatynie. Paterę nie dopuszczał nawet do siebie myśli, że ktoś, kto posiada własny ślizgacz, może mieszkać gdzieś indziej. Na Palatynie po zapadnięciu zmroku roіło się od gwardii obywatelskiej; dzielnice patrolowali gwardziści poruszający się pieszo, konno i w opancerzonych ślizgaczach. Tam nikt nie mógł wyłamać drzwi, jak zdarzało się to dziesiątki razy w ciągu każdej nocy w tej dzielnicy. Było to po prostu niemożliwe.

Ale należało coś zrobić, i to tej nocy. A Jedwabowi nie przychodziło do głowy nic mądrzejszego.

Przez chwilę przesuwiał w palcach paciorki, po czym znów schował je do kieszeni. Następnie zdjął z szyi srebrny łańcuch z krzyżem próżniowym Paha, z czcią położył go przed tryptykiem, zwinął dwie kartki czystego papieru, umieścił je w niewielkim podniszczonym piórniku, którego używał jeszcze w scholi, i schował pudełko do obszernej wewnętrznej kieszeni sutanny. Przydałaby mu się również broń, a zarazem jakieś narzędzie.

Zszedł do znajdującej się na parterze kuchni. Ze stojącego w kącie cuchnącego pojemnika na odpadki dobiegały ciche szelesty; niewątpliwie buszował tam szczur. Po raz nie wiadomo który Jedwab postanowił polecić Rogowi, by schwytał i oswoił węża.

Przez skrzypiące drzwi wyszedł do ogrodu. Robiło się coraz mroczniej. Zanim dotrze do Orilli, osiem przecznic dalej, zapadną zupełne ciemności. Po deszczu nie było uciążliwego kurzu, a powietrze, po raz pierwszy od miesięcy, stało się chłodne i świeże. Może w końcu nadchodziła jesień? Otwierając boczne drzwi prowadzące do manteionu, Jedwab dziwił się, że mimo iż ma za sobą ciężki dzień, nie czuje zmęczenia. Ale może tego właśnie chce Zewnętrzny? Bitewnego wigoru? Jeśli tak, służba Jedwabia zapowiadała się wspaniale!

Ogień na ołtarzu wygasł, wewnątrz manteionu oświetlała jedynie srebrzysta poświata bijąca od świętego okna oraz niewielka lampka oliwna; lampka z niebieskiego szkła umieszczona między stopami Echidny. Do lampy tej maytere Róża wlewała bardzo drogą oliwę, której woń poruszyła

pamięć Jedwabia.

Kłaśnięciem w dłonie zapalił nieliczne jeszcze działające światła i w półmroku odszukał toporek, którym przycinał gonty i wyciągał gwoździe. Tego dnia starannie go naostrzył.

Wsunął toporek za pas. Przeszedł się po izbie i ze dwa razy usiadł, a wtedy uznał, że trzonek jest stanowczo za długi i mocno go uwiera. Wprawdzie w szafie z narzędziami miał zardzewiałą piłę, którą mógł skrócić stylisko, ale przez to broń stałaby się mniej użyteczna.

Sięgnął zatem po sznur, którym zabezpieczał pęczki gontów przed zsunięciem się z dachu. Była to cienka, upleciona z czarnego końskiego włosia linka, stara, ale bardzo mocna. Ściągnął sutannę i tunikę, kilkakrotnie owinał się sznurem niczym pasem i wsunął za niego trzonek toporka.

W ogrodzie lekki wiatr niósł smakowite zapachy przygotowywanej w świątyni wieczerzy. Jedwab pomyślał, że przed wyjściem powinien coś zjeść. Wzruszył ramionami, obiecując sobie solennie, że po powrocie zje suty posiłek. Wprawdzie pomidory były jeszcze zielone, ale usmażone w niewielkiej ilości oleju będą bardzo pożywne. Miał też suchary, którym gorący olej nada smak i miękkość. Do ust napłynęła mu ślina. Później wyskrobie z dzbanka fusy, kilkakrotnie już zalewane wrzątkiem, i zaparzy świeżą kawę. Wieczere zakończy jabłkiem i resztką sera. Uczta! Zawstydzony własnym łakomstwem otarł rękawem usta.

Dokładnie zaryglował za sobą boczne drzwi manteionu i przez chwilę z uwagą obserwował okna świątyni. Zapewne nic się nie stanie, jeśli maytere Marmur lub maytere Mięta zauważą, że wychodzi, ale maytere Róża z pewnością weźmie go później w krzyżowy ogień pytań.

Deszcz ustał na dobre. O tej porze roku, gdy rolnicy potrzebowali całodziennych opadów, deszcze padały najwyżej godzinę. Ponownie ruszył ulicą Słońca, ale tym razem na wschód, oddalając się od targowiska. Z uwagą obserwował niebo.

Lśniły na nim najcieńsze nitki złota, które między płynącymi z wiatrem chmurami zaczynały już znikać, zasłaniane czarnym jak atrament kloszem. Właśnie zniknęły zupełnie i w całej krasie pojawiły się krainy niebios, unoszące się za długim słońcem niczym zdumiewające, przepiękne zjawy – lśniące jeziora, rozległe lasy, szachownice pól, oślepiające blaskiem miasta.

Ulicą Lampy dotarł do Grilli, gdzie w czasach młodości Vironu zaczynały się wody jeziora. Kruszący się mur, *zagrzebany* do połowy pod ruderami, ciemnymi, masywnymi budynkami i magazynami, stanowił niegdyś gwarne, ludne nadbrzeże. Niewątpliwie znajdowały się tam kiedyś solarnie, mosty linowe i wiele innych lekkich konstrukcji, które jednak zniknęły, jeszcze zanim nastał ostatni *calde*. Zgniły, rozpadły się, ich resztki okoliczna ludność rozgrabiła na opał. Bujna roślinność zwiędła, a w piwnicy każdego z ocalałych, wzniesionych z rakplastu budynków mieściła się obecnie tawerna.

Nasłuchując pełnych wściekłości wrzasków dobiegających z jednej z nich, Jedwab zastanawiał się, po co ludzie tam zachodzą. Jaką rozrywkę znajdowało tam pięćdziesiąt czy sto mężczyzn i kobiet, stałych bywalców tej spelunki?

Zatrzymał się na górze schodków. Na ponurej ścianie dostrzegł wymalowany kredą wizerunek

drapieżnego ptaka z rozpostartymi skrzydłami. Orzeł? Nie, nie z takimi ostrogami. Z całą pewnością malunek przedstawiał szkolonego do walki koguta; a właśnie spelunka „Kogut” była jednym z miejsc wskazanym przez maytere Miętę. O tej tawernie wspominał jej kiedyś Alka.

Popękane schody cuchnęły uryną. Jedwab wstrzymał oddech i ruszył w dół. Sączące się przez szczelinę w uchylonych drzwiach żółte światło niewiele mu pomagało. Zatrzymał się na ostatnim stopniu, oparł się plecami o ścianę. Najwyraźniej nikt nie zwracał na niego uwagi.

Izba była obszerna i skromnie umeblowana. Stoły, krzesła, ławy i taborety zupełnie do siebie nie pasowały. Na ławach leżało kilka nieruchomych postaci. Na niektórych stolikach kopciły woskowe świece w czarnych od sadzy lichtarzach. Nad środkiem sali zwieszał się wielki żyrandol o podartych, zielonych i pomarańczowych abażurach. Zdawał się drżeć od podniesionych, gniewnych krzyków zgromadzonych pod nim ludzi. Plecy stłoczonych gości zasłaniały to, co działo się w utworzonym przez nich kręgu.

– Czeczoto! Ty zdiro! – wrzasnęła jakaś kobieta. Rozległ się męski głos, bełkotliwy od piwa i syczący od brunatnożółtego proszku zwanego rdzą:

– Wyciągnij to spod kiecy, słodziutka, wtedy może i ona zrobi to samo.

Słowa te skwitował ryk śmiechu. Ktoś kopnął stolik, który przewrócił się w akompaniamencie brzęku tłuczonego szkła.

– Tutaj! Tutaj!

Szybko, choć bez gorączkowego pośpiechu, przez tłum przepchnął się olbrzymi mężczyzna o twarzy pokrytej odrażającymi bliznami. W ręku trzymał stary kręgiel.

– Wyrzucić je! Wyrzucić!

Widzowie rozstąpili się, przepuszczając dwie potargane kobiety w plugawych sukniach.

– Ją wyrzucić! Ją! – wrzasnęła jedna z nich.

– Obie wyrzucić!

Olbrzym z wprawą chwycił wrzeszczącą kobietę za kołnierz, lekko puknął ją kręglem w głowę i popchnął w stronę drzwi.

Z tłumy wystąpił jeden z mężczyzn obserwujących zajście. Uniósł rękę i wskazał drugą niewiastę, która zdaniem Jedwabia była tak pijana, że ledwo trzymała się na nogach.

– Ją też – powiedział z uporem olbrzym z kręglem w ręku. Tamten zaczął protestować.

– Ją też! I ciebie! – Wielkolud stanął nad obrońcą kobiety. Przewyższał go o głowę. – Jazda stąd!

Zalśnił metal, kiedy kręgiel zataczał w powietrzu łuk. Po raz pierwszy w życiu Jedwab usłyszał trzask pękającej kości. W ułamek sekundy później rozległ się wysoki, ostry wystrzał z igłowca; dźwięk przypominający trzask bicia. Igłowiec (w pierwszej chwili Jedwab sądził, że to igłowiec, z

którego padł strzał) wyleciał w powietrze szerokim łukiem, a widzowie tłumnie postąpili krok do przodu.

Jedwab, zanim jeszcze uświadomił sobie, co robi, już klęczał przy leżącym i czynił paciorkami w powietrzu znaki dodawania.

– Wybaczam ci, synu, w imieniu wszystkich bogów. Wspomnij słowa Paha...

– On nie umiera, głupku. Czy jesteś augurem?

Powiedział to wielki mężczyzna o twarzy pokrytej bliznami. Przyciskał do ramienia brudny gałgan, przez który przesączała się ciemna krew.

– W imieniu wszystkich bogów odpuszczam ci wszystkie twe winy, synu. Przemawiam w imieniu Paha Wielkiego, Echidny Boskiej, Scylli Parzącej...

– Zabierzcie go! – warknął ktoś.

Jedwab nie wiedział, o kim mowa. Martwy mniej krwawił niż olbrzymi mężczyzna; ze skroni sączyła mu się strużka krwi, lecz patere był pewien, że człowiek ten nie żyje. Gdy wymachując paciorkami, intonował Ostatnią Formułę, lewą ręką sprawdził puls. Nic nie wyczuł.

– Zajmą się nim kumple, patere. Nic mu nie będzie. Dwóch przyjaciół martwego dźwigało go już z podłogi.

– ... Sphigx Mocarnej, jak też pomniejszych bogów. – Jedwab zawahał się. Słowa, które zamierzał wypowiedzieć, nie należały wprawdzie do Ostatniej Formuły, ale czy otaczający go ludzie o tym wiedzą? Albo czy ich to obchodzi? Nim zatem powstał z ziemi, dokończył szeptem: – Choćbyś wiele zła w życiu wyrządził, wybacza ci również Zewnętrzny, mój synu.

Tawerna prawie opustoszała. Uderzony kręglem mężczyzna poruszył się i jęknął. Obok niego klęczała pijana kobieta. Oszołomiona trunkiem chwiała się, opierając jedną ręką o brudną podłogę. Ani po igłowcu, który wyleciał wysoko w powietrze, ani po nożu, który wyciągnął ranny człowiek, nie było śladu.

– Czy chcesz czerwoną wstążkę, patere? Jedwab odmownie potrząsnął głową.

– Chcesz. Ja stawiam. Za to, coś zrobił.

Wielkolud owinał szmatą ranne ramię, lewą ręką zręcznie zawiązał supeł i pomagając sobie zębami, mocno go zacisnął.

– Chcę się czegoś dowiedzieć – powiedział Jedwab, wsuwając paciorki do kieszeni. – Wolę to, niż pić na czyjś rachunek. Szukam człowieka imieniem Alka. Czy był tutaj? Czy mógłbyś mi powiedzieć, gdzie go znajdę?

Olbrzym wyszczerzył zęby, pokazując dwie szczyrby, niewielkie pieczary w jego uśmiechu.

– Szukasz Alki, patere? Wielu mężczyzn nosi to imię. Jesteś mu winien pieniądze? Skąd wiesz, że

ja nie jestem Alką?

– Ponieważ go znam, synu. Znam go z widzenia. Prawie tak wysoki jak ty, ma małe oczy, masywną szczękę i duże uszy. Jest o jakieś pięć lat młodszy od ciebie. Uczęszcza regularnie na ofiary składane w scyldagi.

Olbrzym zerknął w ciemny kąt mrocznego pomieszczenia.

– Alka jest tutaj, patere. Mówiłeś, że widzisz go w manteionie.

– Nie, ja tylko... – zaczął Jedwab.

– Tam. – Wielkolud wskazał róg sali, gdzie przy stoliku o powierzchni nie większej niż siedzenie krzesła tkwiła samotna postać.

– Dziękuję, mój synu. – Jedwab przeszedł salę, omijając długi, brudny stół. – Alka? Jestem patere Jedwab z manteionu przy ulicy Słońca.

– Za co dziękujesz? – zapytał mężczyzna przy stoliku.

– Za to że zgodziłeś się ze mną porozmawiać. Dałeś tamtemu jakiś znak... Ruchem ręki lub inaczej. Niczego wprawdzie nie dostrzegłem, ale musiałeś mu dać znak.

– Siadaj, patere.

Ponieważ przy stoliku nie było drugiego krzesła, Jedwab przyniósł od długiego stołu taboret i usiadł.

– Czy ktoś cię do mnie przysłał?

– Maytere Mięta, mój synu. Nie zrozum mnie źle. Nie pojawiłem się tu z życzliwości do niej czy do ciebie. Maytere wyświadczyła mi grzeczność, mówiąc, gdzie mogę cię spotkać, a ja przyszedłem prosić o inną grzeczność, o rozgrzeszenie.

– Sądzisz, że go potrzebuje, patere? – zapytał pozbawionym wesołości głosem Alka.

– Tego nie wiem, mój synu. Ty mi to powiesz. Alka chwilę się zastanawiał.

– Może tak, może nie.

Jedwab skinął głową; miał nadzieję, że ze zrozumieniem. Rozmowa z krzepkim zbójem, w mrocznej norze, gdzie nie widział nawet jego twarzy, budziła lęk.

Olbrzym z ramieniem owiniętym zakrwawionym gałganem zdumiewająco delikatnie postawił przed Jedwabiem szklanę.

– Najlepszy trunek, jaki tu mamy, patere – oświadczył i odszedł.

– Dziękuję ci, synu.

Jedwab odwrócił się na stołku; pod żyrandolem nie było już rannego mężczyzny i pijanej kobiety.

Nie spostrzegł nawet, kiedy wyszli z tawerny.

– Maytere Mięta lubi cię, patere – odezwał się Alka. – Czasami mi o tobie opowiada. Na przykład o tym, jak zezłościła się na ciebie kobieta od kociego miecha.

– Mówisz o Sklerodermie? – Jedwab zarumienił się po czubki uszu i był bardzo rad, że Alka nie widzi wyraźnie jego twarzy. – To dobra kobieta. Miła i głęboko wierząca. Obawiam się, że postąpiłem wówczas zbyt pochopnie i zachowałem się bardzo niegrzecznie.

– Naprawdę wylała na ciebie zawartość kubła? Jedwab ponuro skinął głową.

– A najgorsze było to, że później znalazłem na plecach skrawek... kociego miecha, jak to nazywasz. Ależ cuchnął!

Alka roześmiał się cichym, niskim, przyjemnym śmiechem, który sprawił, że patere poczuł do niego wielką sympatię.

– Potraktowałem to jak śmiertelną obelgę – ciągnął Jedwab. – Zdarzyło się to w thelxdag i dziękowałem bogini, że moja matka nie dożyła tej chwili. Uważałem wtedy, że matka bardziej jeszcze by cierpiała niż ja. Teraz jednak sądzę, że tylko by ze mnie kpiła. – Pociągnął ze stojącej przed nim szklaneczki. Ze zdziwieniem poczuł smak brandy, i to brandy dobrego gatunku. – Pozwoliłbym Sklerodermie pomalować mnie na niebiesko i przeciągnąć przez całą Alamedę, gdyby mogło to mojej matce przywrócić życie.

– Maytere Mięte zawsze traktowałem jak własną matkę – nieoczekiwanie oświadczył Alka. – Na osobności pozwalała mi tak do siebie mówić. Przez kilka lat nawet wierzyłem, że tak naprawdę jest. Czy ci o tym wspominała?

– Nie, wiem to od maytere Marmur. Obawiam się jednak, że nie słuchałem jej wtedy z należytą uwagą.

– Staruszka przygarnęła nas i wychowywała bardzo surowo. To najlepsza metoda. Znam wiele osób, które nie miały tyle szczęścia.

– Tego jestem pewien.

– Jakże często chciałem maytere przebić nożem, by wygonić ją z myśli. Rozumiesz, o czym mówię?

Jedwab skinął głową, choć siedzący po przeciwnej stronie stołu krzepki mężczyzna prawdopodobnie nie mógł dostrzec tego ruchu.

– Lepiej niż ty sam. Wiem też, że nigdy byś jej nie skrzywdził. Wiem o tym, choć nawet w połowie nie jestem tak stary jak patere Płetwa, ani też nie posiadam dziesiątej części jego mądrości.

– Nie byłbym tego taki pewien.

Jedwab nic nie odrzekł. Popatrzył tylko w twarz Alki i przez chwilę wydawało mu się, że widzi zwierzęcy pysk, zupełnie jakby majaczące w mroku oblicze należało do wilka lub niedźwiedzia.

Przyszło mu do głowy, że człowiek ten nie nazywał się Alka od urodzenia. Z pewnością imię to przyjął później.

Wyobraził sobie, jak maytere Mięta wprowadza na łańcuchu do klasy chłopca o imieniu Alka, a później maytere Róża ostrzega maytere Miętę, że Alka, kiedy wyrośnie, zwróci przeciw niej przepelniającą go złość. By odpędzić te fantazje, znów pociągnął ze szklanki łyk trunku. Imię Alka nadała zapewne dziecku matka; małe alki z jeziora Limna nie umiały latać, więc matki często nadawały to imię dzieciom, w nadziei że nigdy ich nie opuszczą. Ale matka tego Alki umarła zapewne, gdy chłopiec był jeszcze bardzo malutki.

– Tutaj nie chcę rozmawiać. – Alka wyrznął pięścią w blat tak mocno, że o mało nie złamały się nogi stolika. – Pojutrze, w scyldag, pojawię się w manteionie i wtedy udzielisz mi rozgrzeszenia. Zgoda?

– Nie, mój synu – odparł Jedwab. – Muszę to uczynić dzisiaj.

– Nie ufasz...

– Obawiam się, że nie wyraziłem się dość jasno – przerwał mu Jedwab. – Nie przyszedłem tu, by udzielić ci rozgrzeszenia, choć byłbym rad, gdybyś sobie tego życzył, i z całą pewnością ucieszyłoby to maytere Miętę. To ty musisz mnie rozgrzeszyć, Alko, i musisz to zrobić dzisiaj. Po to do ciebie przyszedłem. Ale tak, masz rację, nie tutaj. W bardziej ustronnym miejscu.

– Nie mogę tego zrobić!

– Możesz, synu – odparł cicho i z uporem Jedwab. – I mam nadzieję, że to zrobisz. Wszak maytere Mięta z całą pewnością powiedziała ci, że każdy, kto wolny jest od głębokiej skazy, może przynieść przebaczenie bogów komuś, kto znajduje się w niebezpieczeństwie nagłej śmierci.

– Jeśli sądzisz, że zamierzam cię zabić, patero, albo dać w łapy Kocurowi...

Jedwab energicznie potrząsnął głową – Wytlumaczę ci wszystko w jakimś ustronnym miejscu.

– Paterę Płetwa raz udzielił mi rozgrzeszenia. Maytere nieustannie napierała na mnie w tej sprawie, więc ostatecznie wyraziłem zgodę. Powiedziałem mu o wielu rzeczach, o których nie powinienem był mówić.

– A teraz zastanawiasz się, czy coś z tego, co mu wyznałeś, przekazał mnie – domyślił się Jedwab. – I według ciebie boję się, iż mnie zabijesz, gdy przyznam się, że przekazałem to jeszcze komuś. Nie, Alko. Paterę Płetwa nie zająknął się na twój temat, nie wspomniał mi nawet, że z tobą mówił. Dowiedziałem się o tym od maytere Marmur, która z kolei dowiedziała się od maytere Mięty, a ona dowiedziała się od ciebie.

Jedwab ponownie upił łyżeczek brandy. Rozmowa przychodziła mu z najwyższym trudem. – Dzisiejszej nocy zamierzam popełnić zbrodnię; a raczej spróbuję jej dokonać, podejrzewam bowiem, że zginę. Mogłaby wprawdzie rozgrzeszyć mnie maytere Marmur lub maytere Mięta, ale nie chcę ich wtajemniczać w moje zamiary. Maytere Marmur wspomniała mi o tobie i doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli ty to zrobisz. Czy udzielisz mi rozgrzeszenia, Alko? Błagam.

Alka wyraźnie się uspokoił i po chwili położył na stole dłoń.

– Nie jesteś kablarzem, patere? Jedwab potrząsnął głową.

– Jeśli masz na myśli, czy zakładam instalacje, to nie.

– Nie mam na myśli instalacji, lecz dokładnie to, co powiedziałem. – Alka wstał. – A zatem chodźmy stąd. Szkoda, bo miałem nadzieję zrobić dziś w nocy pewien drobny interes.

Zaprowadził Jedwabia na tyły mrocznej, piwnicznej sali, skąd wspięli się po drabinie do ogromnego, pogrążonego w ciemnościach pomieszczenia ze stosami beczek i skrzyń. Stamtąd wyszli na boczną alejkę. Po przejściu kilku przecznic dostali się tylnymi drzwiami do budynku, w którym zapewne kiedyś mieścił się sklep. Dźwięk ich kroków na podłodze sprawił, że w jednym z kątów bardzo długiego pokoju pojawiło się słabe zielone światło. W jego blasku Jedwab dostrzegł pryczę ze wzburzoną brudną pościelą, umywalkę, stół pochodzący zapewne z tawerny, którą niedawno opuścili, dwa proste drewniane krzesła, a na przeciwległej ścianie samoprzywołalne szkło. Okna znajdujące się po obu stronach wychodzących na ulicę drzwi zabito deskami. Na jednym z nich przylepiono tani, kolorowy rysunek uśmiechającej się ośmioramiennej Scylli.

– Mieszkasz tutaj? – zapytał Jedwab.

– Ja nigdzie nie mieszkam na stałe, patere. Dysponuję wieloma lokalami, a ten był najbliższy. Siadaj. Wciąż chcesz, bym udzielił ci rozgrzeszenia? A więc, bym zrobił to prawidłowo, najpierw ty mnie rozgrzesz.

– Oczywiście. – Jedwab skinął głową.

Ze zdumiewającą jak na swoją posturę lekkością i gracją Alka uklęknął przed nim.

– Oczyszczyć mnie, patere, ponieważ srogo obraziłem Paha i innych bogów.

Jedwab odwrócił wzrok od twarzy Alki, powędrował spojrzeniem w stronę wizerunku uśmiechającej się Scylli i zaczął mamrotać pod nosem rytualne słowa.

– Wyznaj mi wszystko, synu, a ja przyniosę ci wybaczenie z bezdennej studni jego miłosierdzia.

– Patere, dziś zabiłem człowieka. Widziałeś to. Nazywał się Kalan. Kurek chciał dźgnąć Kocura, ale on go uprzedził...

– Za pomocą kręgla – wtrącił pośpiesznie Jedwab.

– Tak, patere. Kiedy więc Kalan wyszarpnął igłowca, ja użyłem swego.

– Zamierzał zabić Kocura?

– Tak sędzę, patere. Czasami pracował z Kurkiem. Tak czy owak wyciągnął igłowca.

– A zatem w niczym nie zawiniłeś, Alko.

– Dziękuję, patere.

Alka popadł w długie, głębokie zamyślenie. Jedwab modlił się w duchu i czekał, nasłuchując jednocześnie dobiegających z ulicy pełnych wściekłości głosów ludzkich oraz ogłuszającego grzmotu kół przejeżdżającego wozu. Przeniósł się myślami do spokojnych, wesołych i cokolwiek melancholijnych głosów, jakie słyszał na boisku, gdy sięgał po piłkę (którą wciąż jeszcze miał w kieszeni), oraz do niezliczonych spraw, jakie właściciel owych głosów chciał mu przekazać.

– Obrabowałem kilka domów na Palatynie. Próbuję przypomnieć sobie ile. Dwadzieścia na pewno; może więcej. I pobiłem kobietę, dziewczynę o imieniu...

– Alko, nie musisz wymieniać jej imienia.

– To wielki grzech. Próbowła naciągnąć mnie na więcej, mimo że podarowałem jej śliczną broszkę. Wpadłem wówczas w fazę, więc jej załadowałem. Rozkwaśliłem jej usta. Kiedy zaczęła krzyczeć, pacnąłem ją ponownie. Upadła na ziemię. Twierdzi, że nie mogła pracować przez tydzień. Nie powinienem był tego robić.

– Nie powinieneś – zgodził się Jedwab.

– Jest lepsza od innych. Wysoka, szeroka w biodrach, ładna. Wiesz, o czym mówię, patere? Dlatego właśnie dałem jej tę broszkę. Kiedy chciała więcej...

– Rozumiem.

– Chciałem też dołożyć jej z kopa. Na szczęście się powstrzymałem, bo zapewne bym ją zabił. Kiedyś tak mocno skopałem jednego gościa, że skonał. Ale to już wyznałem patere Płetwie.

Jedwab siłą woli zmusił się, by nie spojrzeć na masywne buciory Alki.

– Jeśli patere rozgrzeszył cię, nie musisz o tym mówić. Ale skoro powstrzymałeś się przed kopnięciem tej nieszczęsnej kobiety, za powściągliwość zaskarbiłeś sobie względy bogów, zwłaszcza Scylli i jej sióstr.

Alka westchnął.

– To już wszystkie złe uczynki, jakie popełniłem, patere, od ostatniego razu. Włamy i skatowanie Acalyphy. Ale pobiłem ją, gdyż wiedziałem, że potrzebuje pieniędzy na rdzę. Inaczej pewnie bym tego nie zrobił.

– Rozumiesz, że włamywanie się do cudzych domów jest złe. W przeciwnym razie byś mi o tym nie wspominał. To czyn naganny. Ponadto gdy włamujesz się do cudzego domu, możesz stracić życie i tym samym umrzeć z brzemieniem winy. A to już byłoby fatalne. Nalegam, byś obiecał mi, że znajdziesz inny, lepszy sposób zarabiania na życie. Czy uczynisz tak, Alko? Przrzekasz?

– Tak, patere. Przysięgam. Już zmieniłem tryb życia. Kupuję i sprzedaję różne towary.

Jedwab uznał za rozsądne nie dopytywać się, o jakie towary chodzi, ani od kogo je kupuje.

– Alko, powiedziałaś, że kobieta, którą pobiłeś, używa rdzy. Czy mam rozumieć, że to niewiasta upadła?

– Nie jest gorsza od innych. Mieszka w domu Orchidei. Jedwab skinął głową.

– Czy to jest taki dom, jaki sobie wyobrażam?

– Nie, patere. Najlepsy. Nie dochodzi w nim do żadnych burd, wszystko jest tam czyste. Niektóre z dziewcząt Orchidei zamieszkały nawet na Palatynie.

– Mniejsza o to, Alko. Nie powinieneś bywać w takich domach. Nie wyglądasz źle, jesteś silny i zdobyłeś trochę wykształcenia. Bez trudu znalazłbyś przyzwoitą dziewczynę, a przyzwoita dziewczyna mogłaby sprowadzić cię na dobrą drogę.

Alka poruszył się i Jedwab, choć nie spuszczał wzroku z wizerunku Scylli, poczuł na sobie wzrok klęczącego petenta.

– Mówisz o takiej, której bez wahania udzieliłbyś rozgrzeszenia, patere? Chyba nie chciałbyś, aby taka kobieta wiązała się z człowiekiem mojego pokroju? Powiedziałbyś jej, że zasługuje na kogoś lepszego.

Przez chwilę Jedwab miał wrażenie, że na jego barkach spoczął ciężar całego szaleństwa i bezsensownego zła panującego na whorlu.

– Uwierz mi, Alko, wiele z tych dziewcząt poślubia mężczyzn dużo gorszych niż ty. – Zacerpnął głęboko tchu. – Jako pokutę za wyrządzone zło musisz do jutra, do godziny, którą mamy teraz, spełnić trzy dobre uczynki. Czy mam ci wyjaśnić naturę dobrego uczynku?

– Nie, patere. Pamiętam. I odprawię pokutę.

– To dobrze. A zatem przynoszę ci przebaczenie wszystkich bogów. Na mocy udzielonej mi władzy odpuszczam ci winy w imieniu Paha Wielkiego. Odpuszczam ci winy w imieniu Echidny. Odpuszczam ci winy w imieniu Scylli... – Niebawem miała nadejść ta chwila. – Odpuszczam ci winy w imieniu Zewnętrznego i wszystkich pomniejszych bogów.

Alka milczał. Jedwab wykonał nad jego głową znak dodawania – Teraz kolej na mnie. Czy rozgrzeszysz mnie, jak ja rozgrzeszyłem ciebie?

Zamienili się miejscami.

– Oczyszczyć mnie, przyjacielu, ponieważ grozi mi śmierć, a mogę ciężko obrazić Paha i innych bogów.

Alka dotknął dłonią jego ramienia.

– Nigdy jeszcze czegoś takiego nie robiłem, patere. Mam nadzieję, że nie popełnię żadnej pomyłki.

– Wyznaj mi... – podpowiedział Jedwab.

– Ach, tak. Wyznaj mi wszystko, patere, a ja przyniosę ci wybaczenie Paha, bezmiernie miłosiernego.

– Dzisiejszej nocy zapewne włamię się do cudzego domu.

Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, lecz jeśli właściciel nie wysłucha mnie lub nie spełni żądania pewnego boga... Zewnętrzny, Alko, zapewne słyszałeś o nim... zmuszony będę do użycia siły.

– Czyj... ”

– Jeśli spotkamy się w cztery oczy, a on nie wysłucha moich żądań, zagrozę mu śmiercią. Ale mówiąc uczciwie, wątpię, bym w ogóle do niego dotarł.

– Kto to jest, patere? Komu zamierzasz grozić?

– Czyżbyś na mnie patrzył, Alko? Nie wolno ci tego robić.

– Już odwracam wzrok. Kto to jest, patere? Do kogo należy ten dom?

– Nie musisz tego wiedzieć, proszę tylko o wybaczenie moich zamiarów.

– Nie mogę ci wybaczyć, synu. – Alka wczuwał się coraz lepiej w rolę augura. – Muszę wiedzieć, o kogo chodzi i dlaczego chcesz to zrobić. Może wcale nie jesteś w tak wielkim niebezpieczeństwie, jak ci się wydaje. Ale osąd w tej sprawie należy do mnie.

– To prawda – przyznał Jedwab.

– Rozumiem też, że wybrałeś mnie, ponieważ twoim zdaniem ja to zrobię najlepiej. Bo tylko ja ci powiem, czy to trudne przedsięwzięcie, a jeśli okaże się łatwe, powiem ci, byś poszedł do innego augura, a o mnie zapomniał. Są domy i domy, więc gdzie to jest i o kogo chodzi, patere?

– Nazywa się Krew. – Jedwab poczuł, że Alka zaciska palce na jego ramieniu. – Sądzę, że mieszka gdzieś na Palatynie. Posiada własny ślizgacz i ma osobistego kierowcę.

Alka chrząknął.

– Zakładam więc, że Krew jest niebezpieczny – ciągnął Jedwab. – Czuję to.

– Wygrałeś, patere, rozgrzeszę cię. Ale musisz mi wszystko szczerze wyznać. Chcę wiedzieć, co naprawdę się dzieje.

– Ayuntamiento sprzedała temu człowiekowi nasz manteion. Jedwab usłyszał, że Alka gwałtownie wypuszcza z płuc powietrze.

– Manteion nie dawał żadnego zysku – ciągnął dalej. – Dochód powinien wyrównywać straty przynoszone przez palestrę; chesne nie pokrywa naszych wydatków, gdyż większości rodziców nie stać na opłaty. Teoretycznie powinno wystarczać pieniędzy na podatki pobierane przez Juzgado, lecz nasze święte okno od bardzo dawna jest puste.

– Innym wiedzie się lepiej – zauważył Alka.

– Tak. Niekiedy znacznie lepiej, choć upłynęło dużo czasu od chwili, kiedy bóg odwiedził

jakikolwiek okno w mieście.

– A zatem tamtejsi augurowie powinni się z tobą dzielić, patere.

Jedwab skinął głową, wspominając swe żebracze wyprawy do zamożnych manteionów.

– Czasami pomagają, Alko, ale odnoszę wrażenie, że Kapituła postanowiła położyć temu kres. Oddała zatem nasz manteion w zamian za zaległe podatki Juzgado, a Ayuntamiento sprzedała posesję Krwi. W takiej to znaleźliśmy się sytuacji.

– Cóż, z nastaniem rozjaśnienia u każdego pojawia się poborca – mruknął dyplomatycznie Alka.

– Ale nas ludzie potrzebują. Cała dzielnica. Miałem nadzieję, że jeśli ty... mniejsza o to. Dzisiejszej nocy, jeśli zdołam, wykradnę z powrotem nasz manteion, a ty musisz mnie z tego rozgrzeszyć.

Alka długą chwilę milczał.

– Miasto posiada dokumenty na każdy budynek i każdą nieruchomość, patere. Idź do Juzgado i wsuń w rękę malutki prezencik któremuś z urzędników, a on chętnie wywoła ci na szkle masę cyfr. Już tak robiłem. Monitor natychmiast podaje imię kupca – A zatem, jak rozumiem, mogę sprawdzić prawomocność aktu sprzedaży?

– Właśnie, patere. Zanim dasz się zabić, upewnij się, że masz rację.

Jedwab poczuł ogromną ulgę.

– Posłucham twojej rady. Pod warunkiem że Juzgado jest jeszcze otwarty.

– Już nie, Paterę. Zamykają go mniej więcej o tej samej porze co targowisko.

– A zatem muszę działać. – Mówienie przychodziło Jedwabiowi z wielkim trudem. – Muszę to zrobić dzisiejszej nocy. – Zawahał się, nagle wpadł w panikę. – Alko, to wcale nie musi być ten Krew, którego znasz. Wielu ludzi nosi to imię. Czy Krew, którego masz na myśli, stać na kupno naszego manteionu? Przecież jego koszt wynosi dwadzieścia tysięcy kart. Zapewne więcej.

– Dziesięć – mruknął Alka. – Może dwanaście. Spłacił tylko zaległe podatki. Paterę, jak on wygląda?

– Wysoki, masywnie zbudowany. Sprawia wrażenie wciąż poirytowanego. Twarz szeroka, czerwona, pulchne policzki.

– I nosi pierścienie?

Jedwab próbował przypomnieć sobie wypiełgnowane dłonie właściciela ślizgacza.

– Tak. Kilka.

– A czy dotarł do ciebie jego zapach?

– Pytasz, czy Krew czymś pachniał? Nie, zdecydowanie nie. Chociaż...

Alka chrząknął.

– Czym?

– Nie mam pojęcia... jakby wonną oliwą, którą wlewamy do lampy ustawionej w naszym manteionie przed wizerunkiem Scylli. Słodki, ciężki zapach, ale nie tak duszący jak kadzidło.

– On nazywa to różanym piżmem – stwierdził sucho Alka. – Piżmo to imię faceta, który dla niego pracuje – A więc to jednak Krew, którego znasz.

– Tak, to on. Przez chwilę nic nie mów, patere. Muszę przypomnieć sobie słowa. – Alka kiwał się na krześle w przód i w tył. Kiedy pocierał swą masywną szczękę, słychać było dźwięk przypominający szelest piasku na rakplastowej posadzce. – Jako pokutę za to, co zamierzasz uczynić, patere, musisz dzisiejszej nocy spełnić kilka dobrych uczynków, jakie ci wskażę.

– To stanowczo za mała pokuta – sprzeciwił się Jedwab.

– Nie kłóć się ze mną, ponieważ jeszcze nie wiesz, z kim masz do czynienia. Ale spełnisz je?

– Tak, Alko – odparł pokornie Jedwab.

– To dobrze. Nie zapomnij o tym. A zatem, patere, przynoszę ci wybaczenie wszystkich bogów. Na mocy udzielonej mi władzy odpuszczam ci winy w imieniu Paha Wielkiego. Odpuszczam ci winy w imieniu Echidny. Odpuszczam ci winy w imieniu Scylli, Molpe, Tartarosa, Hieraxa, Thebripei, Phaei, Sphigx i wszystkich pomniejszych bogów.

Jedwab wykonał znak dodawania, ufając, że rozmówca robi to samo nad jego głową.

Alka głośno chrząknął.

– Czy dobrze? – zapytał.

– Tak – odparł Jedwab, wstając. – Jak na laika, sprawiłeś się znakomicie.

– Dzięki. Co do Krwi... Mówisz, że zamierzasz dokonać włamu do jego domu, a nawet nie wiesz, gdzie on mieszka.

– Kiedy znajdę się już na Palatynie, spytam kogoś o drogę – wyjaśnił Jedwab, strzepując z kolan kurz. – Mam nadzieję, że Krew nie jest twoim przyjacielem.

Alka potrząsnął głową.

– On nie mieszka na Palatynie. Byłem u niego kilka razy, a więc posłuchaj, jaki będzie twój pierwszy dobry uczynek tej nocy. Pozwolisz, bym cię tam zaprowadził.

– Jeśli nie jest to kłopot...

– Nawet wielki, patere. Postawi mnie to poza prawem. Byle parszywy kundel będzie miał więcej

praw niż ja, a jednak musisz pozwolić, bym służył ci za przewodnika. W przeciwnym razie zabłądzisz, szukając jego domu, lub co gorsza ktoś cię rozpozna. Ale najpierw za pośrednictwem mojego szkła daj Krwi cynk. Może z tobą porozmawia, a jeśli zechce się z tobą widzieć, zapewne kogoś przyśle.

Alka przeszedł przez izbę i klasnął w ręce; z czeluści szkła wyłoniło się bezbarwne oblicze monitora.

– Chcę połączyć się z Krwią – powiedział Alka. – Mieszka w wielkiej posiadłości leżącej przy dawnej drodze do Palustrii. – Odwrócił się do Jedwabia. – Paterę, stań przed monitorem. Wolę, by mnie nie widziano.

Jedwab zbliżył się posłusznie. Choć rozmawiał już kiedyś przez szkło (jedno znajdowało się w izbie prałata w scholi), nie miał w tym wielkiego doświadczenia. Teraz skonstatował, że ma sucho w ustach. Obliznął wargi.

– Krew chwilowo jest nieosiągalny – odrzekł monitor obojętnym tonem. – Czy mam poprosić kogoś innego?

– Może Piżmo – powiedział z wahaniem Jedwab, przypominając sobie imię wymienione przez Alkę.

– Obawiam się, że będzie musiał pan chwilę poczekać.

– Poczekał – powiedział Jedwab i monitor zbladł do opalizującej szarości.

– Usiądź, patero. – Alka popchnął w jego stronę krzesło. Jedwab cicho podziękował i zajął wskazane miejsce.

– Rozmowa z Piżmem to nie jest rozsądny pomysł. Ale chyba wiesz, co robisz.

Nie odrywając wzroku od szkła, Jedwab potrząsnął głową.

– Sam stwierdziłeś, że pracuje dla Krwi.

– Ale nie mów mu, że jesteś ze mną, dobrze?

– Nie wspomnę słowem.

Alka nic więcej nie powiedział i zapadło głucho milczenie. Jak milczenie świętych okien, pomyślał Jedwab. Milczenie bogów; długie, ciężkie. Szkło Alki przypominało święte okno; wszystkie szkła je przypominały, lecz były dużo mniejsze. Podobnie jak święte okna, szkła stanowiły cud; schedę z czasów Krótkiego Słońca. Co o nich mówiła maytere Marmur?

Maytere, jak niezliczona liczba cichych żołnierzy wedle objawienia Zewnętrzny, oraz wszyscy podobni do niej – wszystkie chemy bez względu na płeć pochodziły bezpośrednio z niepojętego Whorla Krótkiego Słońca i w stosownym czasie (zapewne niedługo) znikną już zupełnie. Ich kobiety rzadko rodziły dzieci, a w przypadku maytere było to całkiem...

Jedwab wzruszył ramionami. Naszła go smężna refleksja, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa maytere Marmur i tak go przeżyje – gdyż on jeszcze przed rozjaśnieniem zapewne zginie, chyba że zignoruje instrukcje Zewnętrzznego.

Znów pojawił się monitor.

– Czy w trakcie oczekiwania mam udzielić panu kilku rad?

– Nie, dziękuję.

– Mogę odrobinę wyprostować panu nos oraz zrobić coś z fryzurą. Spodobałoby się to panu.

– Dziękuję, chcę jeszcze przemyśleć kilka spraw – odrzekł Jedwab zarówno do siebie, jak i pod adresem monitora.

Szara twarz monitora ściemniała. Całe szkło zdawało się odpływać. Pojawiła się czarna, sprawiająca wrażenie polanej olejem czupryna nad lśniąco-czarnymi oczyma, od których Jedwab ze zgrozą odwrócił wzrok.

Jak wynurzający się spod wody pływak, który odkrywa nagle nieoczekiwane – letnie słońce, chmurę, wierzchołek drzewa – Jedwab pojął, że spogląda na usta Piżma; czerwone, pełne i delikatne niczym wargi dziewczyny.

Opanowując lęk, czekał, aż Piżmo się odezwie, lecz musiał zacząć mówić pierwszy.

– Mój synu, nazywam się patere Jedwab. – Pojął, że trzęsie mu się broda, więc na chwilę zamilkł i zacisnął mocno zęby. – Należy do mnie manteion na ulicy Słońca. A raczej już nie należy. W tej właśnie sprawie chcę spotkać się z Krwią.

Przystojny młodzieniec w szkle nic nie odpowiedział, zupełnie jakby nie usłyszał słów Jedwabia. By nie dać się usidlić jasnemu, dzikiemu spojrzeniu Piżma, Jedwab skupił uwagę na pomieszczeniu, w którym znajdował się jego rozmówca. Dostrzegł gobeliny i obrazy, stolik zastawiony butelkami i dwa wymyślne krzesła o fantazyjnie wygiętych nogach i oparciach obitych karmazynowym pluszem.

– Krew kupił manteion – wyjaśniał, wbijając wzrok w jedno z krzesel. – Spłacił nasze zaległe podatki i w ten sposób stał się właścicielem posesji. Dla dzieci to tragedia. Tragedia dla nas wszystkich, a szczególnie dla dzieci. Musimy zatem dojść do jakiegoś porozumienia. Mam kilka sugestii, chciałbym...

Na skraju szkła pojawił się żołnierz przybrany w srebrzystą szturmową zbroję. Piżmo położył dłoń na jego ramieniu.

– Przed bramą kolejna grupa gości – zameldował żołnierz.

– Dla waszego dobra, dla dobra Krwi, chciałbym znaleźć jakieś rozwiązanie... – ciągnął pośpiesznie Jedwab. – Sam wiesz, że bóg...

Przystojny młodzian roześmiał się, strzelił palcami i szkło ściemniało.

Ciemna strona

Gdy opuszczali miasto, widoczne za czarną smugą klosza krainy niebios były jasne i wyraziste. Jedwab, który zazwyczaj wcześniej kładł się spać i wstawał z rozjaśnieniem, nigdy jeszcze takich nie widział, więc spoglądał na nie w zadziwieniu. Oto bezimienne góry rzucają wielkie, czarne cienie na nie tknięte ludzką stopą doliny. Oto sawanny, stepy i nizinne wybrzeża otaczają jezioro dużo większe, wedle jego oceny, od jeziora Limna. Błyszczące na kopule mrocznego, nocnego nieba pejzaże pływały się teraz w słonecznym blasku.

– Po nocnej stronie dzieją się dziwne rzeczy, patere – zauważył Alka, kiedy wędrowali brudnymi, niebezpiecznymi uliczkami Orilli. – Pewnie nic o tym nie wiesz, ale masz na to moje słowo.

– Domyślam się wielu spraw – zapewnił go Jedwab. – Nie zapominaj, że często udzielam rozgrzeszenia, więc to i owo wiem. Słyszałem kilka bardzo osobliwych opowieści, których jednak nie zrozumiałem do końca. Tyś widział to wszystko na własne oczy, zatem ci wierzę.

– Zmierzam do tego – ciągnął Alka – że mimo to nie słyszałem, by ktoś się nosił z zamiarem równie dziwnym jak twój.

Jedwab ciężko westchnął.

– Alko, czy mogę mówić jako augur? Wiem, że większość ludzi poczułaby się urażona, ale Phaea Łaskawa wie, że nie zamierzam ci ubliżać. Czy mogę to powiedzieć?

– Jeśli mam twoje wyznanie zachować w sekrecie, mów śmiało. Nie puszczę pary z ust.

– Przeciwnie – zaprotestował Jedwab trochę zbyt żarliwie. – Chciałbym to rozgłosić całemu miastu.

– Mów ciszej, patere.

– Powiedziałem ci, że przemówił do mnie bóg. Pamiętasz? Alka skinął głową.

– Cały czas o tym myślę – mówił dalej Jedwab. – Właściwie nie potrafię myśleć o niczym innym. Przed rozmową z... z tym żalonym Piżmem powinienem był dogłębnie rozważyć wszystko, co zamierzam mu powiedzieć. Nie zrobiłem tego, gdyż nieustannie myślałem o Zewnętrznym. Nie o tym, co mi powiedział, ale o tym, jak do mnie mówił i co wówczas czułem.

– Dobrze zrobiłeś, patere. – Alka ku zdumieniu Jedwabia położył mu dłoń na ramieniu. – Postąpiłeś słusznie.

– Nie zgadzam się z tobą, choć nie zamierzam się spierać. Dodam tylko, że nie ma nic dziwnego w tym, co chcę zrobić, ani w tym, że mi pomagasz. Alko, czy słońce kiedykolwiek gaśnie? Czy gaśnie jak lampa, którą ty lub ja wyłączamy?

– Nie wiem, patere. Nigdy nad tym się nie zastanawiałem. A ty?

Jedwab dłuższą chwilę nie odpowiadał. Maszerował błotnistą ulicą ramię w ramię z Alką.

– Nie sędzę – rzekł wreszcie. – Gdyby gasło, nie widziałbyś po ciemnej stronie krain niebios. Tak samo jest z bogami, Alko. Przemawiają do nas cały czas, podobnie jak cały czas świeci słońce. Kiedy ciemna chmura, którą nazywamy kloszem, zalega między nami a słońcem, mówimy, że jest noc lub ciemna strona. Terminu tego nie znałem, dopóki nie pojawiłem się na ulicy Słońca.

– Tak naprawdę nie jest to noc, patere. Znaczy to... Hm, spójrz na to tak. Mamy dzień, prawda? To normalna kolej rzeczy. Ale istnieje też inna kolej rzeczy, ciemna strona... kiedy wszystko jest po ciemnej stronie klosza.

– Po ciemnej stronie klosza jesteśmy tylko przez pół dnia – odrzekł Jedwab. – Ale zawsze jesteśmy po ciemnej stronie czegoś, co nieustannie odgradza nas od bogów. Odgradza przez całe nasze życie. A tak nie powinno być. Nie jesteśmy do tego stworzeni. Dotarł do mnie malutki promyczek słońca i nie powinno to nikogo dziwić. Powinno to być najzupełniej normalne na whorlu.

Alka nie wybuchnął śmiechem. Ku zdumieniu Jedwabia zachował śmiertelną powagę.

Alka pożyczył od znajomego dwa osły, dla siebie wielkiego i siwego, dla Jedwabia dużo mniejsze i czarne zwierzę.

– Postawmy sprawę jasno – rzekł. – Nie zostawię ci osła. Będę go musiał odprowadzić.

Jedwab skinął głową.

– Jak ci mówiłem, zostaniesz schwytany, patere – mówił dalej Alka. – Może uda ci się porozmawiać z Krwią. Ale najpierw cię złapią. Nie podoba mi się ten pomysł, lecz tak się stanie. Nie będziesz zatem potrzebował osła na powrót, a ja dałem kaucję, przewyższającą jego cenę rynkową.

– Rozumiem – mruknął Jedwab.

Jechał wąską drogą, której prawie nie widział. Szorował po kamienistej nawierzchni podeszwami swych najlepszych butów. Słowa Alki nie dawały mu spokoju.

– Ostrzegałeś mnie, że wpadnę w ręce Krwi – powiedział, odrywając wzrok od krain niebios. – Jak sądzisz, co mi zrobi?

Twarz Alki niewyraźnie majaczyła w cieniu rzucanym przez porastające pobocza drogi drzewa.

– Nie wiem, patere, ale z całą pewnością nie przypadnie ci to do gustu.

– Może nie wiesz dokładnie, ale czegoś się domyślasz. Znasz Krew lepiej niż ja. Bywałeś w jego domu i z pewnością poznałeś niektórych jego znajomych. Robiłeś z nim interesy.

– Próbowałem, patere.

– W porządku, próbowałeś. Zatem wiesz, jakiego pokroju jest to człowiek. Czy za próbę włamania się do jego domu zabije mnie? Albo za to że będę mu grozić? Mówię poważnie, jeśli nie

odda Kapitulę manteionu, zabiję go.

– Mam nadzieję, że nie wyrządzi ci większej krzywdy, patere. Przed oczyma Jedwabia pojawił się nieproszony i nie chciany wizerunek Piżma. Twarz paskudna niczym oblicze diabła.

– Zastanawiałem się, czy powinienem sam sobie odebrać życie – powiedział cicho. Aż dziwne, że jego słowa dotarły do Alki. – Naturalnie jeśli mnie złapią, a zrobię wszystko, by tak się nie stało. Samobójstwo to wielkie zło...

Alka zachichotał.

– Chcesz odebrać sobie życie, patere? Tak, to dobry pomysł. Ale o mnie Krwi nie wspominaj.

– Przecież dałem słowo – przypomniał Jedwab. – Nigdy nie łamię obietnic.

– To dobrze.

Alka odwrócił się, próbując przebić wzrokiem otaczający ich mrok.

Wzmianka o samobójstwie nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia i Jedwab w pierwszej chwili poczuł się urażony. Lecz Alka miał rację. Jak mógłby służyć jakimkolwiek bogu, skoro był zdecydowany zrezygnować z zadania, gdyż okazało się zbyt trudne? Nic dziwnego zatem, że słowa Jedwabia Alka skwitował śmiechem. W czymże był lepszy od dziecka, które z drewnianym mieczem próbuje podbić whorl? Upłynęło niewiele lat od czasu, kiedy wymachiwał taką bronią...

Niemniej Alce łatwo było zachowywać spokój i kpić z lęku Jedwabia. Doświadczony rabuś, który niewątpliwie włamał się do dziesiątków wiejskich willi, do domu Krwi nie miał zamiaru ani się włamywać, ani pomagać w tym Jedwabowi. A co więcej, Alka to człowiek niezachwiany w swych decyzjach.

– Nigdy nie złamałem przysięgi danej któremuś z bogów – oświadczył z mocą Jedwab. – W dodatku gdyby Krew dowiedział się o tobie i zrobił ci krzywdę, choć nie sprawił na mnie wrażenia człowieka, który morduje bliźnich, nie zostałaby wówczas nikt, kto pomógłby mi w ucieczce.

Alka chrząknął, splunął i odezwał się głosem, który zabrzmiał wyjątkowo donośnie w otaczającym ich ciemnym lesie.

– Nie zamierzam brać udziału w takiej hecy, patere. Zapomnij o tym. Pracujesz dla bogów, niech więc oni służą ci pomocą.

– Rozumiem.

– Kicham na to!

– Bo nie jesteś pewien, czy ci wszystko powiedziałem. Powiedziałem wszystko, ale ty mi nie ufasz.

Alka parsknął.

– A ponieważ jesteś lepszym człowiekiem, niż udajesz – ciągnął Jedwab – radujesz się, bo augur, z którego drogami przecięły się twoje drogi na tę jedną noc, potrzebuje twojej pomocy. Radujesz się, choćbyś nawet zaprzeczał temu i sto razy. Tak zatem, jeśli tylko zdołasz, pomożesz mi, Alko. Wiem, że mi pomożesz. I dlatego będzie dla mnie lepiej, jeśli Krew nie dowie się o twoim współudziale.

– Racja, nawet przeszedłem z tobą kawał drogi, ale to już wszystko. Później może wyniosę się do Palustrii na dłuższy czas, aż Krew umrze albo o mnie zapomni. Ludzie nie są tacy, jak myślisz, patere. Może i długo studiowałeś, ale o wielu sprawach nie masz pojęcia.

To prawda, przyznał w duchu Jedwab. Bez względu na swe niezbadane intencje, bogowie rzucili biochemów na whorl, nic o nim nie wiedząc. Gdyby czekali z działaniem, aż staną się na tyle mądrzy, by nie popełniać błędów, czekali by w nieskończoność. Jedwab pomyślał cierpko, że on chciałby czekać w nieskończoność, tak jak robili to niektórzy ludzie.

A poza tym był pewien, że właściwie ocenił Alkę, a Alka mylił się co do samego siebie. Złodziej wciąż wracał do manteionu, by porozmawiać z małą maytere Miętą; i zabił dzisiaj człowieka – poważna sprawa nawet dla kryminalisty, gdyż zabity z pewnością miał przyjaciół – ponieważ człowiek ten zamierzał zabić Kocura. Alka wprawdzie kradł, a nawet zabił, ale nie był urodzonym mordercą. Nie miał skłonności do zła. Skłonności takich zapewne nie miał nawet sam Krew. Ale on, Jedwab, w szkle Alki widział kogoś, kto ma takie skłonności, i obiecał sobie solennie, że nigdy więcej nie pomyli już tej cechy charakteru ze zwykłą nieuczciwością lub desperacją.

– Znam cię, Alko – odezwał się cicho i przemieścił się lekko w prymitywnym siodle, szukając wygodniejszej pozycji. – Być może, jak twierdzisz, zbyt ufam ludziom, ale w stosunku do ciebie się nie mylę. Pomożesz mi, bo rozumiesz, że rozpaczliwie potrzebuję twojej pomocy.

Zniecierpliwiony Alka machnął ręką, co było prawie niewidoczne w mroku.

– Zachowuj się cicho, patere. Jesteśmy już blisko.

Dawno już opuścili ścieżkę, ale osły bez trudu wynajdywały drogę na kamienistym stoku wzgórza, skąpanym w dziwacznym blasku płynącym z nieba. Na szczycie Alka zatrzymał zwierzę i zeskoczył z siodła; Jedwab uczynił to samo. Wiał słaby wiatr, przyczajony jak złodziej, niosąc woń dębów i drzew morwowych, trawy, uschłych już prawie na proch paproci i przebiegającego w pobliżu lisa. Osły chwytaly w nozdrza zapach nocy, a Jedwab zaczął wachlować się słomkowym kapeluszem o szerokim rondzie.

– Widzisz światło, patere? – Alka wskazał złocisty poblask za wierzchołkami drzew. – To posiadłość Krwi. Objechaliśmy ją szerokim łukiem. Dlatego właśnie opuściliśmy główny trakt. Po drugiej stronie znajduje się ogromna brama ze stalowych prętów, a za nią trawiasty podjazd dla ślizgaczy. Czy widzisz tę czarną falistą Unię oddzielającą nas od domu?

Jedwab wyteżył wzrok, lecz niczego nie dostrzegł.

– To kamienny mur wysokości mniej więcej tego drzewa. Na szczycie umieszczono ogromne szpikulce. Ale są tylko na pokaz. Jeśli zdołasz na któryś z nich zarzucić linę, bez trudu wespiesz się na mur. Nie wiem, czy ktoś już próbował dokonać tej sztuki. Tylko pamiętaj, Krew ma ochronę.

Gwardię i ogromnego talusa. To wiem na pewno. Czym dysponuje jeszcze, nie mam pojęcia. Patere, czy brałeś już kiedyś udział w podobnym przedsięwzięciu?

Jedwab potrząsnął głową.

– Tak sądziłem. No dobrze, wszystko przed tobą. Musisz jakoś przedostać się na drugą stronę muru; choć wątpię, czy ci się to uda. O rozjaśnieniu ruszysz w drogę powrotną do miasta i będziesz czuł się gorzej niż gówno na ulicy, bo pomyślisz, że ja na każde wspomnienie ciebie skręcam się ze śmiechu. Ale nie będę się śmiać. Zamierzam złożyć ofiarę z okazji twego szczęśliwego powrotu. Czarnego barana dla Tartarosa. Piękną sztukę. Złożę tę ofiarę w twoim manteionie pojutrze. Masz na to moje słowo.

Umilkł dla zaczerpnięcia oddechu.

– A kiedy już złożę ofiarę, zmuszę cię, byś przysiągł, że nigdy już nie zrobisz takiego głupstwa. Chcesz skłonić Krew do złożenia obietnicy, iż zwróci ci manteion? I sądzisz, że dotrzyma słowa? Na wszystkich bogów w Centralnym Procesorze, złamie je, gdy tylko opuścisz jego dom! Ciebie jednak zmuszę do przysięgi, patere, i wiem, że jej dotrzymasz. Jesteś bowiem człowiekiem honoru.

– To miło z twojej strony – odparł serdecznie Jedwab. – Nie zasługuję na takie zaufanie.

– Gdybym był naprawdę dobry, nie wynająłbym tych osłów, patere. Zmusiłbym cię do przejścia całej drogi na piechotę, a wtedy ledwie byś zipał ze zmęczenia i szybko odeszłaby ci ochota na wdzieranie się do willi Krwi. – Alka umilkł i przeciągnął dłonią po włosach. – Do środka musisz dostać się świeży i wypoczęty. Zmęczony niczego nie dokonasz; nie w tym fachu. Sukces odniesiesz tylko wtedy, gdy będziesz działać na zimno i energicznie. Ja mam za sobą sto albo i więcej włamów, lecz tego domu nie robiłbym nawet za tysiąc złociaków. Żegnaj, patere. Niech Phaea się do ciebie uśmiechnie.

– Chwileczkę. – Jedwab chwycił go za rękaw. – Wspomniałeś, że kiedyś już byłeś w tym domu.

– Dwa razy, patere. W interesach. Nie znam rozkładu wnętrza.

– Oświadczyłeś, że na pewno mnie schwytają, i jestem skłonny przyznać ci rację. Niemniej uczynię wszystko, by mnie nie złapano. Jeśli jednak wpadnę w pułapkę, zawiódę Zewnętrznego, boga, który mnie tam wysłał, podobnie jak zawiódłbym go, gdybym dzisiejszej nocy nie podjął próby. Nie rozumiesz? Czy ciebie nigdy nie złapano na gorącym uczynku?

– Raz, patere, kiedy jeszcze byłem małym szprotem – przyznał Alka niechętnie. – Dorwał mnie właściciel domu i, na maciory Phaei, myślałem, że mnie ukatrupi. Ale tylko kopniakiem wyrzucił mnie na ulicę. Stało się to w naszej dzielnicy. Kiedyś pokażę ci ten dom.

Próbował wyswobodzić rękę, lecz Jedwab trzymał go mocno.

– Dlaczego cię złapano, Alko? Czy popełniłeś jakiś błąd? Proszę, powiedz mi, abym i ja nie popełnił podobnej pomyłki.

– Już ją popełniłeś, patere. – W głosie Alki zabrzmiał pełen skruchy ton. – Obrabowałem w życiu

wiele domów, byłem bardzo pewny siebie i uważałem, że nikt mnie nigdy nie ruszy. Zawsze wynosiłem jakieś fanty. Pokazałem wszystkim, że jestem prawdziwym artystą, i sądziłem, że sam Tartaros ma uchylać przede mną kapelusza. Poszedłem do domu bez stosownego rozeznania, co złodziejowi z krwi i kości nie powinno się nigdy zdarzyć.

– Ale co dokładnie przeoczyłeś?

– Paterę, Krew nie ma tu nic do rzeczy, gdyż nie jego musisz się obawiać. – Alka zachichotał.

– Tak czy owak, powiedz mi.

– Gość, do którego należał tamten dom, miał kupę szmalu. Znali go wszędzie, a najlepiej w „Gronostaju”. Znasz „Gronostaja”? Kolacja kosztuje tam złociaka albo i dwa. Takie eleganckie miejsca jak „Gronostaj” w scyldagi, po nocnych breweriach w sphigxdagi, są nieczynne. Ale ja o tym zapomniałem. Myśląc, że ten gość poszedł się zabawić, zakradłem się do jego domu. A on nigdzie nie wyszedł, dał sobie w pałkę u siebie, zwałił się pod stół i chrapał jak stary wiarus. Gdybym nie zbudził wielkiego, grubego babska, jego żony, spokojnie wziąłbym kilka fantów i już by mnie nie było. Ale ona postawiła na nogi cały dom, facet się zbudził, no i dorwał mnie, na co w pełni sobie zasłużyłem.

Jedwab skinął głową – A ty, patere, robisz dziś to samo – westchnął Alka, – Nie jesteś złodziejem. Nie wiesz, kogo zastaniesz w domu. Nie wiesz, jak rozległe są pokoje ani jakie prowadzą do nich okna. Nie wiesz nic. Nie masz żadnego asa w rękawie.

– Musisz mi coś doradzić – mruknął Jedwab.

Alka poprawił ciężki kordelas, który nosił przy pasie.

– To bardzo wytworny, zbudowany z kamienia dom o dwóch skrzydłach. Skrzydła są dwupiętrowe, a sama willa jednopiętrowa. Jeśli wejdiesz od frontu, tak jak ja wchodziłem, znajdziesz się w rozległym salonie gościnnym. Ja byłem tylko tam. Mówią, że dom ma ogromne, dwupoziomowe piwnice. Posiadłości strzegą gwardziści. Jednego z nich widziałeś w moim szkłe. No i ten talusfallus, za przeproszeniem. Już ci o nim wspominałem.

– Czy wiesz, jak trafić do sypialni Krwi? Alka potrząsnął głową.

– Ależ on po ciemnej stronie nie sypia nawet godziny! Złodzieje przecież nigdy nie sypiają. Obowiązki nie pozwalają im zmrużyć oka aż do rozjaśnienia. – I wyczuwając, że Jedwab go nie rozumie, wyjaśnił: – Odwiedzają go wtedy różni ludzie, tak jak ja kiedyś, by odbyć poważne rozmowy. Albo tacy, którzy dla niego pracują. Przychodzą pokornie, z kapeluszami w dłoniach, by wyjaśnić, gdzie byli lub dokąd się wybierają.

– Rozumiem.

Alka chwycił uzdę mniejszego osła, a sam wsiadł na dużego.

– Do rozjaśnienia masz cztery lub pięć godzin. Później musisz wracać. Na twoim miejscu, patere, nie chciałbym znaleźć się wtedy zbyt blisko muru. Na jego szczycie mogą pojawić się gwardziści.

Wiem, że tak często robią.

– W porządku. – Jedwab zdawał sobie sprawę, że do muru ma jeszcze kawał drogi. – Dziękuję jeszcze raz. Bez względu na to, co myślisz, nie zdradzę ciebie i zrobię wszystko, by mnie nie złapano.

Obserwując odjeżdżającego w las złodzieja, zastanawiał się, jaki Alka był jako dziecko, co takiego maytere Mięta powiedziała tamtemu malcowi, że wywarło to na nim aż tak dogłębne wrażenie? Bo Alka wierzył; na przekór groźnemu wyglądowi i knajackiej mowie, w przeciwieństwie do wielu, pozornie lepszych od niego ludzi, wierzył, a jego wiara była szczerą i żarliwą. Wizerunek uśmiechającej się Scylli zawieszony na ścianie jego plugawej nory nie pojawił się przypadkowo; głęboko w duchu Alka klękał przed boginią z uwielbienia.

Pokrzepiony tą myślą Jedwab sam przyklęknął, choć w kolana boleśnie uwierały go krzemienie, którymi usiane było zbocze wzgórza. Zewnętrzny ostrzegł, że nie udzieli mu żadnej pomocy; niemniej nie zabronił zwrócić się o pomoc do innych bogów, a Tartaros Mroczny wspierał wszystkich ludzi działających poza prawem.

– Obiecuję czarnego barana, miły Tartarosie. Gdy tylko będzie mnie stać. Pamiętaj o swym dziecku, które wstąpiło na służbę mniejszego boga.

Ale Krew również działał poza prawem, handlował rdzą, kobietami, zajmował się szmuglem; było bardziej niż prawdopodobne, że Tartaros jednak stanie po jego stronie.

Jedwab ciężko westchnął, wstał z ziemi, strzepnął kurz ze swych najstarszych i najgorszych spodni, po czym ruszył w dół skalistym stokiem. Co ma być, to będzie, musiał kontynuować swą misję, nie bacząc na to, czy ciemny bóg mu pomoże. Po jego stronie mógł też stanąć Pah Podwójnie Widzący albo Scylla Parząca, która miała w Vironie większe wpływy niż jej brat. Z całą pewnością bogini nie życzy sobie, by miastu, które oddawało jej największą cześć, odebrano manteion!

Pokrzepiony na duchu tą myślą Jedwab ruszył energiczniejszym krokiem.

Niebawem bijącą od domu Krwi mętną, złocistą poświatę zasłoniły drzewa. Wiatr ucichł. U stóp wzgórza powietrze było duszne, gorące i zatechłe, przejrzałe od przedłużającego się ponad miarę lata.

A może to i lepiej, że lato nie chce ustąpić. Jedwab przedzierał się przez zbity gąszcz gałęzi pokrytych szeleszczącymi liśćmi, pod stopami trzaskały mu suche patyki, i myślał, że gdyby rok był normalny, las tonąłby w kopnym śniegu. Wówczas wyprawa do domu Krwi byłaby niemożliwa. Czyżby sucha, gorąca pora roku została specjalnie dla niego przedłużona przez bogów?

Na tę myśl aż przystanął w pół kroku. Ten niezmienny żar dla niego? Codzienne cierpienia maytere Marmur, wysypki u dzieci, więdnące zboża i wysychające strumienie?

Gdy dotarł na brzeg jednego z nich, o mało nie wpadł do głębokiego koryta. W ostatniej chwili chwycił się grubej gałęzi. Ostrożnie zsunął się po stromiźnie, przyklęknął na wygładzonych kamieniach i po omacku wyciągnął rękę. Wody nie znalazł. Może tu i ówdzie pozostały jakieś kałuże, lecz tutaj nie było nawet błota.

Zadarł głowę i zaczął nasłuchiwać znajomej muzyki wody płynącej bystro między kamieniami. Gdzieś w oddali rozległ się krzyk kozodoja; ochrypli dźwięk szybko ucichł i znów wokół Jedwabia zamknęła się cisza lasu; otaczały go milczące, spragnione wilgoci drzewa.

Las został posiany w czasach calde (tak mówili w scholi nauczyciele), po to by woda napelniała miejskie studnie; rozciągał się na obszarze pięćdziesięciu mil w kierunku Palustrii. Obecnie Ayuntamiento pozwalała bogaczom budować własne, nowe studnie. Skoro wyschły nawet potoki, jak długo jeszcze przetrwa Viron? Czyżby przyszło budować nowe miasto, choćby tymczasowe, na brzegu jeziora?

Marząc o dającej trochę światła latami i o wodzie, Jedwab wspiał się na drugi brzeg. Po kolejnych stu krokach dostrzegł między gołymi, rosnącymi gęsto drzewami blask nieba odbijający się w ociosanych, wygładzonych kamieniach.

W miarę jak się zbliżał, otaczający willę Krwi mur rósł i rósł. Alka ocenił jego wysokość na dziesięć łokci; jednak dla Jedwabia, stojącego u potężnej podstawy ściany i spoglądającego w górę na połyskujące w ulotnym blasku nieba ostrza złowieszczych szpikulców, oszacowanie to wydawało się bardziej niż ostrożne. Odrobinę zbity z tropu, rozwinął cienką linę utkaną z końskiego włosia, toporek wsunął za pasek spodni, a na końcu sznura, zgodnie z sugestią Alki, zawiązał ruchomą pętlę. Cisnął nią w stronę sterczących kolców.

Przez chwilę widział linę wiszącą w górze niczym za sprawą cudu – czarna jak smoła smuga na tle lśniących krain niebios, zagubiona w oślepiającej ciemności, gdzie przecinała się z bezkresną, jakby pokrytą kopciem plamą klosza. W chwilę później zwoje sznura luźno spadły u jego stóp.

Jedwab zagryzł wargi, zgarnął linę, poluzował węzeł i rzucił ponownie. Nieoczekiwanie wróciły doń słowa umierającego stajennego, któremu udzielał przed tygodniem ostatniego rozgrzeszenia; podsumowanie pięćdziesięcioletniego życia. „Próbowałem, patere. Próbowałem”. Z tym wspomnieniem napłynął straszliwy zaduch panujący w sypialni zastawionej czterema łózkami, woń podartych, spłowiałych końskich derek pokrywających wyrko, wspomnienie glinianego dzbana z wodą i suchej piętki chleba (chleba, który jakiś zamożny człowiek zapewne ofiarował za opiekę nad swym wierzchowcem), której stajenny nie był już w stanie przeżuć.

Kolejny rzut. Postrzępiony, amatorski szkic żony stajennego, która go opuściła, gdy nie mógł już zapewnić utrzymania jej i dzieciom...

Jeszcze jeden nieudany rzut i wróci do swej starej plebani przy ulicy Słońca, pójdzie do łóżka, zapomni o absurdalnym pomysle odzyskania manteionu. Pomoże mu w tym wspomnienie brązowej wszy pełzającej po wytartej niebieskiej derce.

Ostatni rzut. ”Próbowałem, patere. Próbowałem”.

Na niezdarnym rysunku było też troje dzieci, które ostatni raz widziały ojca na długo przed narodzinami Jedwabia. No dobrze, pomyślał. Jeszcze jedna próba.

Za szóstym razem trafił. O dziwo, w domu nikt jeszcze nie dostrzegł jego pętli, regularnie pojawiającej się i znikającej za murem. Obciążył sznur, czując, jak pętla zaciska się na szpikulcu.

Wytarł o sutannę spocone dłonie, wsparł stopy na ociosanych kamieniach i ruszył w górę. Dwukrotnie przełożył ręce na linie, wspiał się na wysokość człowieka, lecz w tej chwili pętla puściła i spadł na ziemię.

– Panu! – mruknął nieco zbyt głośno. Jakiś czas siedział u podnóża muru, rozmasowywał siniaki i nasłuchiwał. – Scyllo, Tartarosie, Pahu Wielki, nie zapominajcie o swym słudze. Dlaczego tak mnie doświadczacie?

Ciężko dźwignął się z ziemi i zaczął uważnie oglądać sznur.

Pętla została gładko przecięta przez szpikuliec. Sterczące z muru groty były ostre niczym klinga miecza. Powinien był się tego spodziewać.

Wrócił do lasu i wyszukał rozwidloną gałąź odpowiednich rozmiarów. Niewiele widząc w mroku, zadał na oślep cios toporkiem. Hałas, jaki spowodowało spadające ostrze, był głośniejszy niż wystrzał z pistoletu. Jedwab znieruchomiał. Czekał i nasłuchiwał, przekonany, że lada chwila rozlegnie się dźwięk alarmów i tupot nóg nadbiegających strażników.

Ale wokół panowała głucha cisza.

Palcami namacał niewielkie nacięcie na gałęzi zrobione toporkiem. Odsunął dłoń i ponownie uderzył z całych sił. I znów, jak poprzednio, znieruchomiał i nasłuchiwał.

Przelotnie, z daleka (jak przed wielu laty, gdy jako dziecko, leżąc w swej sypialni o szczelnie zamkniętych oknach z zaciągniętymi zasłonami, nasłuchiwał dochodzącego z odległej o trzy przecznice ulicy delikatnego, melodyjnego dzwonienia katarynki, na której grała małpka posiwiąłego żebraka) dotarło doń kilka tonów muzyki, pogodnej i przyzywającej. Po chwili jednak wszystko ucichło i milczenie lasu mąciła jedynie monotonna pieśń kozodoja.

Kiedy upewnił się, że w okolicy nikogo nie ma, zaczął miarowo uderzać toporkiem w niewidoczną gałąź i wreszcie ją odrąbał. Ociosał boczne gałązki, po czym wyniósł niezgrabne widły z lasu na oświetloną płynącym z nieba blaskiem przecinkę obok muru. Tam do rozwidlenia gałęzi przywiązał koniec liny. Potężnym wymachem cisnął konar, który przeleciał łukiem nad murem i zaklinował się między dwoma szpikulcami.

Kiedy dotarł już na pochyłe zwieńczenie muru, z najwyższym trudem łapał oddech, a spodnie i tunikę miał przesiąknięte potem. Długą chwilę odpoczywał, dysząc ciężko, przycupnięty między szpikulcami a krawędzią wysokiego ogrodzenia.

Niewątpliwie strażnicy mogli go z łatwością wypatrzeć. Jeśli jeszcze do tego nie doszło, na pewno zauważą go, gdy wstanie. Próbując uspokoić oddech, złorzeczył sobie w duchu. Tylko ostatni dureń mógł w ogóle zdecydować się na takie szaleństwo.

Gdy w końcu wstał, był przygotowany na to, że lada chwila usłyszy czyjś krzyk lub huk pistoletu. Poza tym robił wszystko, by nie patrzeć z zawrotnej wysokości w dół.

Nieoczekiwanie okazało się, że zwieńczenie muru ma szerokość ogrodowej ścieżki. Wymijając kolce (z całych sił zaciskał palce na ich żłobkowanych krawędziach), przykucnął i z uwagą zaczął

obserwować odległą wille. Naciągnął głęboko na oczy kapelusz, a dolną część twarzy zasłonił połą czarnej sutanny.

Najbliższe skrzydło domostwa znajdowało się w odległości stu łokci od jego punktu obserwacyjnego. Trawiasty podjazd, o którym wspominał Alka, był prawie całkowicie zasłonięty przez zabudowania; od nich biegła biała droga wysypana tłuczonym rakplastem i dochodziła do ogrodzenia w odległości jakichś stu kroków na lewo od miejsca, gdzie siedział Jedwab. Wzdłuż drogi stało sześć większych i mniejszych pawilonów. W największym mieścił się zapewne garaż, w innym (osobliwie wąskim i wysokim, z otworami w ścianach zakrytymi drucianą siatką) najprawdopodobniej trzymano ptactwo.

Najbardziej zaniepokoił Jedwabia drugi co do wielkości pawilon, na którego tyłach znajdowało się obszerne podwórze otoczone palisadą i nakryte siecią. Słupy tworzące częstokół zostały zastrzone na końcach, by dało się na nich zaczepić siatkę. Choć w mrocznym, migotliwym świetle płynącym z nieba trudno było cokolwiek dostrzec, Jedwab odniósł wrażenie, że ziemia na dziedzińcu jest goła, udeptana, tylko tu i ówdzie rosną pojedyncze rośliny. Z pewnością trzymano w tej zagrodzie niebezpieczne zwierzęta.

Za willą rozciągał się dziedziniec lub taras, w większości zasłonięty przez skrzydło domu. Jedwab widział tylko jego skrawek, dostrzegł kamienne płyty i ukwiecone drzewko w wielkiej ceramicznej donicy.

Na rozległych trawnikach rosły drzewa w malowniczych kępach oraz gęste żywopłoty. Choć Krew kazał otoczyć posiadłość murem i zatrudniał strażników, najwyraźniej nie obawiał się intruzów. Wokół domu znajdowało się zbyt wiele liściastych drzew i krzewów.

Jeśli jednak w ich cieniu kryły się psy, nieproszonego przybysza mogła spotkać przykra niespodzianka. Tak więc wydawało się, że najbezpieczniej będzie po prostu pobiec do budynku otwartą przestrzenią. Co zrobiłby taki doświadczony i rezolutny włamywacz jak Alka?

Jedwab szybko pożałował tej myśli; Alka zapewne dotarłby już do domu lub znalazł jakiś łatwiejszy do obrabowania obiekt. Tyle powiedział. A Krew nie był pospolitym magnatem, bogatym kupcem czy skorumpowanym komisarzem. Był przebiegłym kryminalistą, który (dlaczego?) przykładął ogromną wagę do swego bezpieczeństwa. A zatem to przestępca strzegący jakichś tajemnic lub kryminalista posiadający potężnych, również działających poza prawem wrogów. Z całą pewnością Alka nie należał do jego przyjaciół.

Jedwab miał dwanaście lat, kiedy wraz z kilkoma przyjaciółmi włamał się do pustego domu. Przypomnił sobie strach i wstyd, jakie go wówczas gnębiły; pełne echa, obszerne pokoje z meblami zakrytymi brudnymi, chroniącymi przed kurzem prześcieradłami. Jakże wzburzona i przerażona była matka, gdy dowiedziała się o jego wyczynie! Nie ukarała go, mówiąc, że karę wymierzy mu właściciel domu, do którego się wkradł.

Kara (na to wspomnienie niespokojnie poruszył się na szczycie muru) nigdy nań nie spadła, choć przez długie miesiące żył w okropnym lęku.

Więc może teraz właśnie nadeszła pora tej kary? Tamto opuszczone domostwo mającyło mu niewyraźnie na krawędzi świadomości, gdy zabierając z manteionu linę uplecioną z końskiego włosia i siekiere, wybierał się na poszukiwania Alki, którego jedynie mgliście przypominał sobie z ceremonii odbywających się w scyldagi. I gdyby maytere Mięta nie powiedziała mu o Alce, gdyby nie reperacja dachu manteionu, a przede wszystkim gdyby nie pamiętał domu, którego tylne okno pomagał w dzieciństwie sforsować – gdyby nie to wszystko, nie podjąłby się próby włamania do willi Krwi. A raczej do wymyślanego domu na Palatynie, należącego do Krwi. Na Palatynie żyli, jak to już teraz rozumiał, bogacze cieszący się powszechnym szacunkiem i nigdy by nie pozwolili, żeby pośród nich zamieszkał ktoś taki jak Krew. Zamiast tej niedorzecznej, wręcz dziecinnej eskapady powinien...

Co powinien? Zapewne napisać kolejną apelację do patere Remory, koadiutora Kapituły, jakkolwiek Kapituła najwyraźniej już podjęła ostateczną decyzję. Albo starać się o ponowne posłuchanie u Jego Mądrości przewodniczącego Kapituły.

Przed kilkunastoma tygodniami, gdy dotarło doń wreszcie, w jak fatalnym stanie są finanse manteionu, zabiegał o audiencję. Do teraz zaciskał ze złości pięści na wspomnienie wyrazu twarzy chytrego protonotariusza Jego Mądrości, który po kilkunastogodzinnym trzymaniu Jedwabia w poczekalni oświadczył, iż Jego Mądrość udał się już na spoczynek. Jego Mądrość jest w bardzo podeszłym wieku – wyjaśnił protonotariusz (zupełnie jakby patere Jedwab był cudzoziemcem pochodzącym z odległej krainy) – i ostatnimi czasy szybko się męczy.

Po tym wyjaśnieniu protonotariusz przesłał mu pełen fałszywego współczucia obleśny uśmiech, na którego widok Jedwab miał ochotę urzędnika uderzyć.

Cóż, próbował wykorzystać obie możliwości. Lecz mógł przecież uczynić coś jeszcze, coś rozsądnego, skutecznego, a przede wszystkim zgodnego z prawem.

Wciąż jeszcze rozważał tę kwestię, kiedy w pole widzenia wtoczył się wspomniany przez Alkę talus. Ociężale prześlizgnął się wokół dalszego skrzydła willi, pojawił się, po sekundzie zniknął i znów się pojawił, na chwilę skrył się w cieniu, lecz prawie natychmiast wypłynął na oświetloną blaskiem nieba odkrytą przestrzeń.

Pierwsza myśl Jedwabia była taka, że talus go usłyszał. Ale kolos poruszał się zbyt wolno i ospale. Nie, z całą pewnością odbywał jedynie rutynowy patrol, kolejne z tysięcy okrążeń, jakie zrobił wokół wysokiej, zwieńczonej blankami willi, od dnia, kiedy Krew wprowadził go do służby. Zaniepokojony Jedwab zastanawiał się chwilę, jak dobrą wizją dysponuje ogromna maszyna i czy rutynowo zlustrowe też szczyt okalającego posiadłość muru. Maytere Marmur wyznała mu pewnego razu, że wzrok ma słabszy niż on, choć Jedwab od chwili ukończenia dwunastu lat musiał do czytania używać okularów. W przypadku maytere mógł to być wyłącznie skutek jej niesłuchanego wieku; talus był wprawdzie młodszy, lecz znacznie prymitywniejszy. Z pewnością jednak najmniejszy ruch zwróciłby jego uwagę.

W miarę zbliżania się talusa, Jedwabiowi coraz trudniej przychodziło siedzieć nieruchomo. Talus miał na głowie kopulasty hełm z polerowanego mosiądzu, większy od okazałego grobowca. Spod hełmu wyłaniało się oblicze ogra wykonane z czarnego metalu – szeroki, spłaszczony nos, wylupiaste

czerwone ślepia, płaskie policzki przypominające płyty łupku i rozdziawiona w dzikim grymasie paszcza. Sterczące zza karmazynowych warg ostre białe kły prawdopodobnie stanowiły atrapę, lecz z obu stron każdego z zębisk sterczała cienka lufa pulsacyjnego pistoletu.

Opancerzone, przypominające wagon cielsko toczyło się na czarnych pasach, które w absolutnej ciszy niosły maszynę po króciutko przystrzyżonej trawie. Igłowiec, miecz czy toporek, który miał ze sobą Jedwab, mogły jedynie nieznacznie zadrasnąć pancerz talusa. Maszyna w korzystnych dla siebie warunkach prezentowała możliwości bojowe przewyższające wartość całego plutonu uzbrojonych gwardzistów. Jedwab ślubował sobie – ślubował solennie – nie spotykać się z nią oko w oko w korzystnych dla niej warunkach; nie spotykać się z nią w ogóle.

Talus zatrzymał się, gdy dotarł do wyłożonej białym kamieniem drogi. Powoli, w ciszy obrócił przerażającą twarz, lustrując tyły willi, wszystkie zabudowania i baraki, następnie popatrzył na samą drogę, a na końcu skierował wzrok w stronę muru i dwukrotnie omiół go czujnym spojrzeniem. Jedwab odniósł paskudne wrażenie, iż jego zmrożone strachem serce przestało bić. Niewiele brakowało, by stracił przytomność i spadł z ogrodzenia. A wtedy talus niewątpliwie podleczyłby się i rozszarpał go na strzępy stalowymi rękami, większymi niż największa łopata. Ale to i tak nie miałoby znaczenia, gdyż Jedwab byłby już martwy.

Był przekonany, że maszyna go zobaczyła. Przez długą chwilę talus nie poruszał głową, wlepiając ogniste ślepia prosto w niego. Płynnie niczym obłok, nieubłagane jak lawina potoczył się w jego stronę. Powoli, niezmiernie powoli metalowy potwór odwrócił się w lewo. Jedwab ujrzał na boku maszyny metalową drabinkę, której w warunkach bojowych mogli się uchwycić żołnierze.

Nie śmiał wykonać żadnego ruchu, do chwili kiedy maszyna zniknęła za rogiem bliższego skrzydła willi. Wtedy dopiero ponownie przekroczył szpikulce, ściągnął linę i rozwidlony konar, zrzucił je z muru, po czym sam skoczył. Mimo *zew zapamiętany* jeszcze z dzieciństwa sposób przy zeskoku ugiął kolana, stopy przeszył mu ostry ból. Jak długi rozłożył się na twardej ziemi.

Tylna brama z żelaznych prętów, do której prowadziła biała droga, była wąska, skryta w niszy muru. Obok wisiała rączka od dzwonka. Jeśli pociągnę, pomyślał Jedwab, postawię na nogi cały dom. A może nie? I nagle zuchowato szarpnął za rączkę i patrzył przez oddzielone od siebie na szerokość czterech palców pręty bramy, kto się pojawi. W uszach nieustannie brzmiał mu zgubny dźwięk dzwonka. Nie rozległo się szczekanie psów. Przez chwilę tylko wydawało mu się, że w cieniu wielkiej, rosnącej w połowie drogi między murem a domem wierzby dostrzega błysk ślepi, ale trwało to zaledwie ułamek sekundy, a ponadto ślepia (*jeśli* były to ślepia) znajdowały się na wysokości siedmiu lub więcej łokci nad ziemią.

Bramę otworzył talus.

– Kim jesteś? – ryknął i pochylając się, wycelował w Jedwabia pistolety pulsacyjne.

Paterę jeszcze głębiej naciągnął na oczy kapelusz.

– Mam wiadomość dla Krwi, twego pana – oświadczył. – Zejdź mi z drogi.

Szybko przekroczył bramę, zbliżając się do maszyny tak, że nie mogła już bardziej się nad nim

pochylić, nie miażdżąc go. Nigdy jeszcze nie stał tak blisko talusa. Odniosł irracjonalne wrażenie, że nie stanie się mu nic złego, jeśli całkowicie zaspokoi ciekawość, więc wyciągnął rękę i dotknął zagiętej pod kątem płyty stanowiącej pierś olbrzymiej maszyny. Ku swemu zdumieniu poczuł, że metal jest ciepły.

– Kim jesteś?! – ponownie ryknął talus.

– Życzysz sobie, bym podał ci me imię, hasło lub okazał tesserę? – zapytał Jedwab.

Choć wydawało się, że talus nie poruszał się wcale, teraz był jeszcze bliżej, tak blisko, że czołowa płyta jego torsu muskała sutannę Jedwabia.

– Cofnij się!

W jednej chwili Jedwab ponownie stał się dzieckiem; dzieckiem stojącym przed dorosłym, nieczułym, krzyczącym olbrzymem. W opowiadaniu, które czytała mu kiedyś matka, pewien odważny chłopiec przebiegł między nogami wielkoluda. Teraz miał okazję sam dokonać tego wyczynu. Gładkie, pozbawione złączy taśmy, na których poruszało się stalowe cielsko potwora, wznosiły się ponad trawę na dobre trzy łokcie.

Czy zdołałby prześcignąć talusa? Oblizął spierzchnięte wargi. Nie, jeśli maszyna jest równie szybka jak ślizgacz. A jeśli okaże się powolniejsza? Ale to i tak byłoby nieistotne, gdyby talus otworzył ogień.

Stalowy tors naparł z taką siłą, że Jedwab o mało się nie przewrócił.

– Wynoś się!

– Powiedz Krwi, że tu jestem. – To było najlepsze rozwiązanie, jeśli naturalnie Krew raczy się osobiście pojawić. – Powiedz mu, że mam informacje.

– Kim jesteś?

– Rdza – szepnął Jedwab. – A teraz mnie wpuść. Nieoczekiwanie talus odtoczył się do tyłu. Brama z hukiem spadła w odległości szerokości dłoni przed twarzą Jedwabia. Z pewnością istniało hasło – słowo lub znak umożliwiające natychmiastowy wstęp. Ale „rdza” z pewnością hasłem nie była.

Odszedł od bramy. Drżały pod nim kolana. Czy frontową bramę również otworzy talus? Bardzo możliwe; ale co szkodzi sprawdzić...

Gdy ruszał w długą wędrówkę wzdłuż muru, który doprowadzić go miał do bramy głównej, błysnęła mu myśl, że Alka (a zapewne również inni przedstawiciele jego profesji) próbowałyby dostać się do domu od tyłu. Przezorny właściciel, przewidując to, podjął stosowne środki zapobiegawcze.

Natychmiast zganił się za taką myśl. Alka nie odważyłby się wchodzić do środka przez główną bramę; ale czy wystraszyłby się talusa? Jedwabowi jak żywa stanęła przed oczyma toporna,

nachmurzona twarz starego włamywacza, jego zmrużone powieki, odstające uszy i masywna, pokryta szczecina szczeka. Z całą pewnością Alka jest ostrożny, lecz nie tchórzliwy. A co ważniejsze, w przeciwieństwie do patere niezachwianie wierzy w boskość bogów, w ich życzliwość.

Jedwab potrząsnął głową i wyciągnął z kieszeni paciorki. Ich szklista gładkość, a także ciężar krzyża próżniowego dodały mu odwagi. Dziewięć dekad, każda poświęcona modłom i prośbom do każdego z głównych bóstw, z dodatkową dekadą, na której zawieszony był krzyż próżniowy. Po raz pierwszy do świadomości Jedwabia dotarło, że również w każdej dekadzie było dziesięć paciorków. Czyżby kiedyś Dziewięciu było Dziesięcioma? Odrzucił te heretycką myśl.

Najpierw krzyż.

– Tobie, Pahu Wielki...

W pustej, wymodelowanej na kształt X przestrzeni tkwiła tajemnica (tak wyznał Jedwabowi jeden z nauczycieli); tajemnica daleko wykraczająca poza odłączalne ramiona, które pokazywał najmniejszym chłopcom i dziewczynkom w palestrze, by (jak inni augurzy) sprawdzić i umocnić święte związki. Niestety, nauczyciel nie wyjawiał mu, jaka to tajemnica, gdyż zapewne sam tego nie wiedział. Czy tajemnica w ogóle istniała? Jedwab odepchnął od siebie te wspomnienia, przestał przesuwać palcami po enigmatycznej pustce krzyża próżniowego i przycisnął go do piersi.

– Tobie, Pahu Wielki, polecam me nieszczęsne serce, mego ducha, umysł i całą wiarę...

Trawa się skończyła, jej miejsce zajęły dziwaczne, małe roślinki, przypominające wielowarstwowe, zielonkawe parasole. Zdawało się, że są w pełnym rozkwicie, lecz kiedy Jedwab stawiał na nich stopę, rozpadały się w proch obłoczkami pyłu.

Frontowa brama jeszcze mniej zachęcała do odwiedzin niż tylna; w umieszczonej na jej górnym łuku skrzynce z czarnego metalu połyskiwało oko. Co się stanie, jeśli ktoś zadzwoni? Czy Piżmo lub ktoś inny pełniący dyżur, zobaczy go tym okiem? A może i przepyta za pośrednictwem ust umieszczonych w tej samej skrzynce?

Przez ponad pięć minut, siedząc wygodnie na kamieniu i masując stopy, Jedwab rozważał celowość poddawania się obserwacji oka, a tym samym nie znanemu strażnikowi. Dobrze wiedział, że nie należy do zręcznych łgarzy; kiedy próbował spreparować wiarygodną opowiastkę, dzięki której mógłby dostać się przed oblicze Krwi, był przerażony, jak nieprzekonująco brzmiały układane przez niego bajeczki. W końcu doszedł do wniosku, co przyniosło mu znaczną ulgę, że wszystkie te wysiłki nie zdadzą się na nic i jeśli w ogóle ma dostać się do willi, musi się do niej zakraść.

Zasnurował buty, dźwignął się z kamienia, przeszedł kolejnych sto kroków wzdłuż muru i ponownie zarzucił na szpikulce rozwidlony konar.

Jak mówił Alka, za kamienną ścianą rzeczywiście znajdował się centralny jednopiętrowy budynek ze skrzydłami Uczącymi po dwa piętra, gdyż miały podwójne rzędy okien. A mimo to główny dom był prawie tak wysoki jak skrzydła. Wszystko wykonane zostało z tego samego zielonkawego kamienia, z jakiego zbudowano mur. Budowla była jednak za wysoka, by zarzucić na dach rozwidloną gałąź z zaczepioną liną. A więc, by dostać się do środka, musiał znaleźć jakieś nie

zaryglowane drzwi lub wyłamać jedno z okien, tak jak uczynił to, wdzierając się z kolegami do opuszczonego domostwa na kilka lat przed rozpoczęciem nauki w scholi. Skrzywił się na tę myśl.

W odległym końcu prawego skrzydła (dalszego od jego poprzedniego stanowiska obserwacyjnego na murze) znajdowała się dużo skromniejsza dobudówka, której ozdobne blanki wznosiły się zaledwie dziesięć łokci nad trawnikiem. Była przeszklona, prawdopodobnie w środku mieściła się cieplarnia. Jedwab zakonotował ten szczegół w pamięci, po czym skoncentrował uwagę na otoczeniu willi.

Szeroki trawiasty podjazd, który wdzięcznym łukiem skręcał w stronę portyku z kolumnadą, okalały rabaty z barwnymi kwiatami. Przed głównym wejściem do domu w okazałej fontannie białał porcelanowy posąg Scylli. Z ust i wzniesionych macek bogini tryskały strugi wody.

Woda była pachnąca; wężący w nieruchomym powietrzu niczym ogar, Jedwab wyczuł zapach herbacianych róż.

Z uznaniem kiwnął głową na tak oczywisty dowód pobożnych i obywatelskich cnót właściciela posiadłości. Może Krew nie okaże się aż tak złym człowiekiem? Ostatecznie podarował ubogiemu patere trzy karty na zwierzę ofiarne; być może nie okaże się głuchy na głos rozsądku. Może zadanie, jakie Jedwabowi wyznaczył Zewnętrzny, sprowadzi się jedynie do dyskusji i tłumaczenia. Puszczać wodze fantazji, patere wyobraził sobie siebie, że siedzi w jednej z wytwornych komnat willi w towarzystwie Krwi i wraz z gospodarzem serdecznie śmieje się ze swych przygód. Cóż, może nawet uzyska dotacje na nieodzowne remonty w manteionie.

Po drugiej stronie trawiastego podjazdu rozległ się w oddali ryk silnika. Jedwab gwałtownie się rozejrzał. Publiczną drogą, wzbijając lśniące w blasku reflektorów tumany pyłu, do głównej bramy zbliżał się ślizgacz. Paterę natychmiast położył się plackiem za rzędem sterczących z muru szpikulców.

Gdy ślizgacz zahamował, spod portyku wystrzeliły na ścigantach dwie postacie w pełnym rynsztunku bojowym. W tej samej chwili zza cieplarni (jeśli rzeczywiście była to cieplarnia) wynurzył się talus i w pełnym nachyleniu, wymijając drzewa i krzaki, potoczył się trawnikiem równie chyżo jak ściganty. Za nim posuwało się długimi, sprężystymi susami sześć pozbawionych ogonów bestii o brodatych pyskach i rogatych łbach.

Na oczach obserwującego z fascynacją tę scenę Jedwabia masywne, wykonane z metalu i długie na dwadzieścia łokci ramiona talusa wyciągnęły się niczym teleskopy i chwyciły pierścień umieszczony wysoko w murze obok bramy. Maszyna na chwilę znieruchomiała. Zadźwięczał niewidoczny łańcuch. Ramiona skurczyły się, ciągnąc za sobą pierścień z przymocowanym łańcuchem, i wrota się uniosły.

Filary portyku, a następnie prowadzące do nich schody spowiła chmura nadciągająca ze wschodu. Jedwab, mruczając gorączkowo pod nosem zaklęcia do Tartarosa, próbował ocenić jej szybkość.

Rozległ się cichy jęk wydechów, kiedy ślizgacz przemknął pod łukiem bramy. Jedna z rogatych bestii rzuciła się na przezroczystą kopułę pojazdu, lecz rozwścieczonym zwierzęciem natychmiast

zajęli się uzbrojeni strażnicy. Klnąc głośno, celowali w bestię z pistoletów o krótkich lufach, jakby chcieli otworzyć do niej ogień. Do czasu gdy bestia została poskromiona, unosząca się w powietrzu chmura dotarła do fontanny z postacią Scylli.

Talus opuścił ciężkie wrota i ślizgacz ruszył dumnie nad trawiastym podjazdem, eskortowany przez ściganty i sześć rogatych bestii, które, unosząc się na zadnich łapach, próbowały zajrzeć do środka. Pojazd zatrzymał się i osiadł na trawie przed szerokimi kamiennymi schodami, a talus wezwał bestie przenikliwym, wzbudzającym dreszcz rykiem, jakiego nie potrafiłaby wydać żadna ludzka istota.

Gdy ze ślizgacza wysiadł elegancko ubrany pasażer, Jedwab zeskoczył z muru i ruszył biegiem w stronę ciepłarni. Pełen determinacji zarzucił na blanki rozwidlony konar z liną, błyskawicznie wspiął się po uplecionym z końskiego włosia sznurze i znalazł kryjówkę na dachu.

Siwogłowy

Prawie przez godzinę Jedwab leżał ukryty za blankami i próbował odzyskać oddech. Czy ktoś go widział? Gdyby talus lub któryś z uzbrojonych strażników dostrzegł intruza, z pewnością natychmiast pojawiłby się na dachu. Lecz jeśli zoczył go któryś z gości Krwi, mogło upłynąć dziesięć albo i więcej minut, zanim zdecydował się przekazać tę informację odpowiedniej osobie. Istniała też możliwość, że dopiero po dłuższym czasie skłoni go do zeznań inny gość, któremu opowie, co widział.

W górze, pośród szerokich pasm jałowych chmur żeglowały łagodnie krainy niebios, ukazując bezlik oświetlonych słońcem miast; nikogo tam nie obchodziło, że patere Jedwab, augur z odległego Vironu, jest śmiertelnie wystraszony i lada chwila pewnie umrze.

Mogła go też zdradzić rozwidlona gałąź. Kiedy był jeszcze na ziemi, usłyszał donośny łoskot, z jakim konar spadł na ciepły, pociągnięty smołą dach. Jeśli ktoś przebywał akurat w cieplarni, musiał pojąć, że na dach dostał się nieproszony gość. Jedwab siłą woli próbował uciszyć objajające mu się o żebra serce i uspokoić oddech. Kiedy wreszcie przestało mu łomotać w skroniach, zaczął bacznie nasłuchiwać.

Muzyka, która docierała doń niewyraźnie, gdy siedział na murze, teraz brzmiała dużo głośniej. W jej tle słyszał głosy, głównie męskie, choć czasami przebijał przez nie kobiecy alt. Piskliwe śmiechy należały raczej do niewiast. Niezbyt głośny trzask pękającego szkła, chwila ciszy i gromki wybuch śmiechu.

Czarna lina wciąż zwieszała się z blanków. Cud, że nikt jej jeszcze nie spostrzegł. Nie podnosząc się, Jedwab ostrożnie wciągnął sznur na dach. Za chwilę znów rzuci rozwidlony konar, tym razem na dach właściwego skrzydła willi. Czy stać go na taki wyczyn?

Nad głową bezszelestnie przeleciała mu sowa; po chwili zmieniła kierunek i usiadła na gałęzi rosnącego na skraju lasu drzewa. Obserwując ptaka, Jedwab (który nigdy dotąd nie zastanawiał się nad życiem podopiecznych Echidny) nieoczekiwanie uświadomił sobie, że Krew, stawiając mur i bezlitośnie trzebiąc las, nieodwołalnie zmienił życie ptaków i niewielkich zwierząt. Wpłynął na zmianę sposobu poszukiwania pożywienia przez leśne myszy, wpłynął na metodę polowania na nie sów i jastrzębi. Krew i wynajęci przez niego robotnicy wydawać się musieli tym stworzeniom siłą bezlitosnej i nieubłaganej natury. Jedwab żałował tych zwierząt, choć zastanawiał się, czy to one raczej nie powinny serdecznie współczuć jemu.

Przyszło mu do głowy, że Zewnętrzny spadł na niego niczym sowa na mysz. Zewnętrzny zapewnił, że darzy go względami wiecznymi i doskonałymi, że nie będzie miał na niego wpływu żaden czyn Jedwabia, nawet niegodziwy. Później kazał mu podjąć działanie i wycofał się, choć nie opuścił umysłu Jedwabia. Zdziwiony miłością Zewnętrznego, dumny z łaski, jaką okazał mu bóg, patere zdawał sobie sprawę z tego, że reszta jego życia wprawdzie nabierze teraz dużo większego sensu i znaczenia, lecz jednocześnie stanie się bardziej bolesna.

– Dziękuję ci – szepnął. – Dziękuję ci tak czy owak, nawet jeśli nigdy już więcej do mnie nie przemówisz. Nappełniłeś me serce odwagą, dzięki której śmiało spojrzę śmierci w oczy.

Siedząca na zwieszającej się przez mur gałęzi sowa huknęła, a orkiestra w sali balowej podjęła nową nutę. Jedwab rozpoznał utwór „Wiem, że nigdy cię nie opuszczę”. Czyżby omen? Zewnętrzny ostrzegł wprawdzie, że nie udzieli mu pomocy, ale nie powiedział przecież (w każdym razie Jedwab tego nie pamiętał), że nie zamierza łaskawie przesyłać wieszczych znaków.

Wróciła mu zimna krew, wysechł pot. Podciągnął kolana, przykucnął i zerknął przez blankę w lewo. W tym miejscu był z dołu niewidoczny. Zmieniając pozycję, poprawił tkwiący za pasem toporek i popatrzył w prawo. Dostrzegł fragment trawiastego podjazdu i bramę; nie zobaczył jednak ani ślizgacza, ani talusa, ani rogatych bestii, które na rozkaz maszyny udały się gdzieś indziej. Pojaśniały zarówno krainy niebios, jak też ciągnąca się krawędź chmury, która była dlań tak łaskawa, gdy opuszczał Viron; w ich blasku mógł dostrzec po lewej stronie łuku bramy żelazny pierścień, za pomocą którego talus otwierał wrota.

Wstał i rozejrzał się. Nie dostrzegł nic niepokojącego ani nadzwyczajnego. Dach cieplarni był prawie poziomy i znajdowały się w nim świetliki. Z trzech stron ograniczały go flanki murów; z czwartej zamykała południowa ściana skrzydła domu. Parapety okien na pierwszym piętrze znajdowały się jakieś trzy łokcie powyżej dachu cieplarni.

Jedwabia ogarnęła radość na widok tych okien o przesuwanych pionowo skrzydłach. Były zamknięte, a w pokojach panował mrok. Rozpierała go duma. Dotarł aż tutaj, sprawnie niczym Alka, który wszak był zawodowcem. Manteionu wprawdzie jeszcze nie uratował, ale...

Odważnie wychylił głowę poza flanki muru. U podnóża ściany, dokładnie pod nim stała jedna z rogatych bestii. Przez chwilę był w pełni świadomy wzroku jej bursztynowych ślepi. Bestia warknęła, po czym odbiegła kocim krokiem.

Czy te stworzenia potrafiły wspiąć się na dach? Było to możliwe, choć mało prawdopodobne. Ostatecznie willę wzniesiono z gładko ociosanego kamienia. Wychylił się jeszcze bardziej i poklepał zwieńczenie muru, jakby chciał sprawdzić moc kamiennej konstrukcji.

W tej samej chwili pojawił się talus. Jedwab zamarł i czekał, aż maszyna się odtoczy. Czy talus potrafi spoglądać jednocześnie przed siebie, w górę i do tyłu? Maytere Marmur wspomniała kiedyś, że podobne właściwości posiada maytere Róża, choć wydawało się to niemożliwe.

Zostawiając rozdwojony konar i linę z końskiego włosia, podszedł ostrożnie do świetlika, przykucnął i przez przejrzyste szyby zajrzał do środka.

W cieplarni rosły najprzeróżniejsze gatunki krzewów oraz karłowate drzewa. Jedwab wcześniej zakładał, iż właśnie stąd pochodzą kwiaty rosnące na rabatach okalających trawiasty podjazd. Teraz odkrył swoją pomyłkę. Przestrzegł się w duchu, że w willi Krwi czeka go jeszcze wiele niespodzianek.

Poszczególne okienka świetlika oprawiono w ołów. Jedwab zaczął toporkiem zdzierać miękki metal. Doszedł do wniosku, że wystarczy pół godziny pracy, by nie tłukąc szkła, wyjąć dwa świetliki.

Później wskoczy do środka na mięsiste, lśniące listowie i splątane gałęzie drzewek. Narobi przy tym dużo hałasu, ale i tego zapewne nikt nie usłyszy.

Skinął głową do własnych myśli, wstał i przeszedł cicho do ciemnych okien.

Dwa pierwsze były zamknięte na głucho. Kusiło go, by wsunąć ostrze toporka między ramę okna a futrynę i wyłamać je siłą. Zamek by puścił, ale z głośnym trzaskiem, a przy tym z łoskotem pękłaby szyba. Może zarzucić gałąź na znajdujący się dwa piętra wyżej dach (ponieważ parter znajdował się już pod nim, przedsięwzięcie nie było niemożliwe do przeprowadzenia, jak to ocenił, obserwując willę z muru) i dokładnie go zbadać przed podjęciem innych, bardziej zuchwałych akcji? Ale najlepsza wydawała się droga okrężna: usunięcie dwóch okienek w świetliku i dostanie się do cieplarni.

Trzecie okno drgnęło. Jedwab wytarł w sutannę spocone dłonie i szarpnął mocniej. Rama podsunęła się odrobinę wyżej. Okna najwyraźniej nie zamknięto na zamek. Podważona ostrzem toporka rama powędrowała w górę. Wsparł rękę na parapecie i głową do przodu wsunął się do pograżonego w mroku pomieszczenia.

Posadzka była pokryta piaskiem. Jedwab, na kolanach, czujny na każdy szelest, macał przed sobą ręką, zataczając nią coraz szersze łuki. Natrafił palcami na coś, co przypominało gołębie jajo; sferyczne, twarde i suche. Kiedy ścisnął je w palcach – ugięło się. Podejrzliwie przysunął to do nosa i powąchał.

Ekskremet.

Odrzucił kulkę i wytarł dłoń o podłogę. W pomieszczeniu tym trzymano jakieś zwierzę. Pewnie umknęło gdzieś w kąt, wystraszone nieoczekiwanym pojawieniem się intruza. A może już się do niego skrada? Z pewnością nie jest to jeden z rogatych kotów. Te nocą wypuszczano na tereny posiadłości. A zatem coś gorszego. Coś dużo niebezpieczniejszego.

Albo też nie było żadnego zwierzęcia. Panowała absolutna cisza, a przecież nawet wąż zacząłby już syczeć.

Jedwab ostrożnie dźwignął się na nogi i macając ścianę, pomalutku ruszył przed siebie. Lewą dłonią wodził po murze, w prawej ścisnął trzonek toporka.

Załom muru. Jedwab postąpił kolejny krok. I następny. Jeśli na ścianach wisiały jakieś obrazy, nie wymacał ich ręką. Nie potknął się też jak dotąd o żaden mebel.

Po kolejnym kroku zatrzymał się. Nasłuchiwał. Nic, jedynie własny świszczący oddech i odległe tony orkiestry.

W ustach miał sucho, kolana się pod nim ugiwały; dwukrotnie musiał się zatrzymać i oprzeć dygoczące dłonie o ścianę. Nieustannie napominał siebie, że znajduje się w willi Krwi, a dostał się do niej nadspodziewanie łatwo. Czekają go trudniejsze zadania. Nie dając się złapać, musiał wytropić Krew. A później porozmawiać z nim w miejscu, gdzie nikt im nie przeszkodzi. Dopiero teraz przyznał, że może to okazać się niewykonalne.

Następny załom muru.

Pionowa deska z pewnością stanowiła futrynę drzwi; jasny prostokąt okna, którym dostał się tutaj, majaczył po drugiej stronie pomieszczenia. Jedwab namacał klamkę. Ustąpiła bez hałasu, ale drzwi ani drgnęły.

– Byłeś niegrzeczny?

Wzniósł siekiere, gotów z całych sił uderzyć, bez względu na to, co nadchodziło z ciemności. Byłbym gotów zabić, pomyślał w chwilę później. Mógłbym zabić jakąś niewinną istotę, która spała w tej ciemnej izbie.

– Byłeś niegrzeczny?

Głos miał charakter spektralny; Jedwab nie potrafił stwierdzić, czy dobiega z odległości wyciągniętej ręki, czy też napływa przez otwarte okno.

– Tak. – Usłyszał własny głos, piskliwy i wystraszony, drżący. Chrząknął. – Wiele razy byłem niegrzeczny. Bardzo tego żałuję.

– Wnioskuje, że jesteś chłopcem.

– Niedawno nim byłem – odrzekł poważnie Jedwab. – Niewątpliwie maytere R... niektórzy moi znajomi powiedzieliby, że pod wieloma względami wciąż jestem chłopcem. Zapewne mieliby rację.

Oczy już mu przywykły do głębszego niż na zewnątrz mroku, a płynący z nieba blask, który padał na dach cieplarni, wzmacniany jeszcze rozproszonym światłem rozpierzchających się chmur sprawiał, że widział prawie tak dobrze jak w dzień. Napływające otwartym oknem światło wyławiało z cienia precyzyjne, prostokątne płyty posadzki oraz, trochę bardziej mgliście, pusty, brudny pokój. Lecz mówiącej osoby wciąż nie potrafił zlokalizować.

– Zamierzasz mnie tym skrzywdzić?

Głos prawie na pewno należał do młodej kobiety. Czy przebywała w tym pomieszczeniu?

– Nie – odparł zdecydowanie i opuścił tasak. – Przysięgam, nie wyrządę ci krzywdy. – Krew zajmuje się też kobietami; tak powiedział Alka. – Czy jesteś przetrzymywana tu wbrew własnej woli?

– Chodzę, gdzie mi się podoba. Podróżuję. Tutaj bywam bardzo rzadko.

– Rozumiem – odrzekł Jedwab, choć nic nie rozumiał. Ponownie nacisnął klamkę. Poruszała się lekko, ale drzwi pozostawały zamknięte.

– Czasami wybieram się bardzo daleko. Wylatuję przez okno, kiedy nikt mnie nie widzi.

– Ja również ciebie nie widzę.

– Wiem.

– Ale czasami musisz opuszczać ten pokój drzwiami, prawda? – Nie.

Odpowiedź zabrzmiała tak blisko jego ucha, że wyciągnął rękę, lecz palcami natrafił na pustkę.

– Gdzie jesteś? Mówisz, że mnie widzisz. Chcę cię zobaczyć.

– Muszę wrócić.

– Wrócić oknem?

Nie doczekał się odpowiedzi. Podeszedł zatem do okna, oparł się o parapet i wyjrzał. Na dachu cieplarni nie było nikogo. Jedynie na dole majaczyła sylwetka talusa. Lina i konar leżały tam, gdzie je zostawił. Diabły (wedle legend, w które w scholi nikt nie wierzył) mogły stawać się niewidzialne, gdyż należały do duchów niższego powietrza i stanowiły personifikację niszczących wiatrów.

– Gdzie jesteś? – powtórzył pytanie. – Proszę, ukaż się. Chciałbym cię zobaczyć.

Cisza. Zgodnie z Pismem, najpewniejszą ochronę przed diabłami dawała Thebdepeia, lecz to był przecież dzień Phaei. Jedwab zatem pomodlił się do Phaei, Thekiepei i, dla porządku, do Scylli, po czym powiedział:

– Rozumiem, że nie chcesz ze mną rozmawiać, ale ja muszę porozmawiać z tobą. Bez względu na to, kim jesteś, potrzebuję twojej pomocy.

Z sali balowej Krwi dotarły tony utworu „Mężni gwardziści z Trzeciej Brygady”. Jedwab odniósł jednak wrażenie, że tańczy niewielu gości. Na zewnątrz, przy bramie czekał talus. Ramiona miał nienaturalnie wyciągnięte, obie dłonie trzymał na żelaznym pierścieniu.

Jedwab odwrócił się od okna i obrzucił wzrokiem pokój. Bezkształtny kontur w rogu pomieszczenia (w rogu, do którego nie dotarł w swej wędrówce od okna do drzwi) z całą pewnością stanowił postać skulonej kobiety.

– Widzę cię – powiedział bez większego przekonania w głosie.

– „Dla kolejnych czternastu zastawiłem swój miecz” – zaśpiewały z rozpaczliwą wesołością skrzypce.

Młodzi porucznicy w przepysznych zielonych mundurach obracali w tańcu ślicznotki z wpiętymi we włosy piórami; ale ich wcale w pokoju nie było, podobnie jak nie było tajemniczej młodej kobiety, z którą rozmawiał.

Podeszedł do ciemnego kształtu spoczywającego w rogu pokoju, trącił go stopą, po czym przykucnął, odłożył toporek i obiema dłońmi zaczął macać po podartym kocu rozłożonym na cienkim, cuchnącym sienniku. Ponownie sięgnął po siekierę, wstał i odwrócił się do pustego pokoju.

– Chciałbym cię zobaczyć – powtórzył – lecz skoro na to nie pozwalasz... skoro nie chcesz nawet ze mną porozmawiać, pójdę sobie.

Już kończąc te słowa, pojął, że powiedział dokładnie to, co ona chciała usłyszeć. Podeszedł do

okna.

– Jeśli potrzebujesz mojej pomocy, musisz mi o tym powiedzieć. – Czekał, odmawiając w myślach błagalne formuły, a następnie wykonał w mroku znak dodawania. – Zatem żegnaj.

Nim zdążył się odwrócić, wyrosła przed nim niczym słup dymu kobieta; naga i bardziej chuda od najędzniejszego żebraka. Choć była od niego o głowę niższa, cofnąłby się z lękiem, lecz stał tuż przy ścianie i parapecie okna.

– Oto jestem. Czy teraz mnie widzisz? – W lekkiej poświacie jej wygłodzona, blada twarz przypominała gołą czaszkę. – Nazywam się Pleśń.

Jedwab skinął głową. Bał się wymienić własne imię, lecz nie chciał kłamać.

– Ja nazywam się Jedwab. – Bez względu na dalsze losy jego wyprawy Krew i tak będzie wiedział, kto włamał się do willi. – Paterę Jedwab. Jestem augurem.

Ryzykował życie. Jeśli spotka śmierć, jego tożsamość nie będzie już miała najmniejszego znaczenia.

– Jedwabiu, czy naprawdę musisz ze mną pomówić? Sam tak powiedziałeś.

– Muszę wiedzieć, jak otworzyć te drzwi. Nie są przecież zaryglowane, a nie chcą się otworzyć. – Pleśń nie odpowiedziała, więc dodał: – Muszę dostać się do domu. To znaczy do reszty domu.

– Co to takiego augur? Myślałam, że jesteś chłopcem.

– Augur to ktoś, kto składa ofiary i próbuje poznać wolę bogów, po to by móc...

– Wiem! Nóż i czarna sutanna. Dużo krwi. Jedwabiu, czy mogę iść z tobą? Poślę swoją duszę.

– Mów do mnie patero. Tak będzie właściwiej. Pleśnio, jeśli tego pragniesz, możesz udać się ze mną również ciałem.

– Ciało oszczędzam dla mężczyzny, którego poślubię. Powiedziała to z wielką (zbyt wielką) powagą.

– Postawa godna pochwały. Ale mnie chodzi o to, że wcale nie musisz tu pozostawać, jeśli sobie tego nie życzysz. Możesz wyjść przez to okno i poczekać na mnie na dachu. Kiedy załatwię sprawę z Krwią, oboje opuścimy willę, zaprowadzę cię do kogoś w mieście, kto cię nakarmi i... zajmie się tobą.

Czaszka wyszczerzyła do niego zęby w szerokim uśmiechu.

– Jedwabiu, jeśli odkryją, że okno w moim pokoju jest otwarte, nie będę mogła już nigdy wysyłać swej duszy na świat.

– Ależ nie musisz tu siedzieć. Udaj się w jakieś bezpieczne miejsce w mieście. Stamtąd będziesz wysyłać duszę, dokądkolwiek zapagniesz, a lekarz...

– Jeśli znów zamkną mi okno, nigdy się stąd nie wydostanę. Gdy okno jest zamknięte, nie mogę nigdzie iść. Oni sądzą, że jest zamknięte. – Zachichotała piskliwym, pozbawionym wesołości śmiechem, a Jedwab odniósł wrażenie, że ktoś przeciąga mu po plecach lodowatymi palcami.

– Rozumiem – mruknął. – Chciałem tylko powiedzieć, że znam w mieście kogoś, kto mógłby ci pomóc. Ty możesz o to nie dbać, ale ja dbam. Wypuścisz mnie ze swego pokoju? Otworzysz drzwi?

– Z tej strony nie mogę. Jedwab ciężko westchnął.

– Tak myślałem. A czy wiesz, gdzie sypia Krew?

– Po drugiej stronie domu.

– W innym skrzydle?

– Jego sypialnia wprawdzie znajduje się dokładnie pod moją, ale on nie lubi mnie słyszeć. Czasami bywam niegrzeczna. Tak, w pomocnym skrzydle. Tutaj jest południowe.

– Dzięki. – Jedwab musnął palcami jej policzek. – To ważna wiadomość. Sądzę, że Krew zajmuje wielki pokój na parterze.

– On jest moim ojcem.

– Co?! – Jedwab chciał powiedzieć, że wcale nie jest do niego podobna, lecz w ostatniej chwili ugryzł się w język. – No, no. To też interesująca informacja. Nie zamierzałem wyrządzić mu krzywdy, choć w tej chwili już tego żałuję. Ma bardzo miłą córkę i powinien częściej ją odwiedzać. Powiem mu to.

Odchodząc, zerknął jeszcze przez ramię w stronę dziewczyny.

– Naprawdę nie musisz tu zostawać, Pleśnio.

– Wiem.

– Nie chcesz iść ze mną? A może wolisz opuścić to miejsce sama?

– Nie w taki sposób, jak myślisz. Nie tak jak ty.

– A więc mogę udzielić ci tylko błogosławieństwa, co zresztą już uczyniłem. Należysz do dzieci Molpe. Więc niech cię wspiera zarówno dzisiejszej nocy, jak i każdej innej.

– Dziękuję, Jedwabiu – odparła tonem małej dziewczynki. Zapewne jeszcze niedawno była dzieckiem. Jedwab przerzucił nogę przez parapet – Uważaj na moje rysie – usłyszał.

Zgromił się w duchu, że nie wypytał dokładniej Pleśni o wszystko, co wiąże się z jej domem.

– Jakie rysie?

– Moje dzieci. Chcesz je zobaczyć?

– Pewnie. – Patrz.

Pleśń stanęła przy oknie i Jedwab podążył spojrzeniem za jej wzrokiem. Przez dłuższą chwilę czekał, nasłuchując; orkiestra w salonach Krwi przestała grać. Pod łukiem bramy niczym duch przemknął ślizgacz, jego wydechów prawie nie było słychać. Talus opuścił za nim bramę i do uszu Jedwabia mimo sporej odległości dotarł szczepek łańcucha.

Fragment świetlika uniósł się na zawiasach. Ze środka wyłoniła się rogata głowa o oczach barwy topazów, a za nią wielka, wyglądająca bardzo delikatnie łapa.

– To Lew, mój najstarszy syn – oświadczyła z dumą Pleśń. – Czy nie jest piękny?

Jedwab uśmiechnął się z przymusem.

– Tak, z pewnością. Ale nie wiedziałem, że miałaś na myśli rogate koty.

– To nie rogi, tylko uszy. Koty te potrafią wskakiwać przez okna, a ich długie kły i pazury mogą człowiekowi wyrządzić większą krzywdę niż rogi byka.

– Nie wątpię – odparł Jedwab. – Rysie? Tak je nazywasz? Nigdy tej nazwy nie słyszałem, a przecież znam się na zwierzętach.

Ryś wysunął się ze świetlika, miękko podbiegł do okna i popatrzył na nich figlarnie. Gdyby Jedwab się pochylił, mógłby dotknąć jego łba i ogromnej grzywy. Zdecydował jednak, że lepiej cofnąć się trochę w głąb pokoju.

– Proszę, nie pozwól mu tu wchodzić.

– Przecież sam chciałeś je zobaczyć.

– Tyle mi wystarczy.

Jakby rozumiejąc ludzką mowę, ryś odwrócił się, potężnym susem wskoczył na blanki wieńczące dach cieplarni. Stamtąd znurkował, jakby skakał do basenu.

– Piękny, prawda?

Jedwab niechętnie skinął głową.

– Wygląda bardzo groźnie, lecz masz rację. Nigdy nie widziałem ładniejszego stworzenia, jakkolwiek wszystkie koty Sphigx Drapieżnej są piękne. Bogini musi być z niego bardzo dumna.

– Podobnie jak ja. Powiedziałaś mu, by nie robił ci krzywdy. Usiadła na piętach, składając ciało niczym stolarski przymiar.

– Rozumiem. Nie zrobi mi krzywdy, bo widział, że rozmawiasz ze mną, tak? – Jedwab przysiadł na skraju okiennego parapetu. – Wiem, że psy są inteligentne. Ale... rysie? Dziwne stworzenia.

– Polują za dnia – wyjaśniła Pleśń. – Ale jeśli mój ojciec im pozwala, mogą grasować i w nocy. Mają bystrzejszy wzrok niż jakiegokolwiek inne zwierzę. To samo dotyczy ich słuchu. I jak wszystkie koty widzą po ciemku.

Po plecach Jedwabia przebiegł dreszcz.

– Do mego ojca trafiły drogą wymiany – mówiła dalej Pleśń. – Gdy je dostał, były malutkimi kawałeczkami lodu w wielkim pudle, które w środku jest maleńkie. Te kawałeczki lodu są niczym małe ziarenka. Wiesz o tym, Jedwabiu?

– Słyszałem. – Przez chwilę miał wrażenie, że czuje na plecach wzrok rysia. Szybko spojrzął za siebie. Dach był pusty. – To wbrew prawu, ale przepis ten nie jest specjalnie przestrzegany. Można je umieszczać w samicach zwierząt odpowiedniego gatunku; w tym przypadku, jak sądzę, w wielkiej kocicy...

– Umieścił je w dziewczynie – odparła Pleśń i dziwacznie zachichotała. – We mnie.

– W tobie!

– Nie wiedział, kim są. – W ciemności zaśniły jej białe zęby. – Ale ja wiedziałam na długo przed ich urodzeniem. Później Piżmo powiedział mi, jak się naprawdę nazywają, i podarował mi książkę. On lubi ptaki. Ja lubię koty, a one lubią mnie.

– Zatem chodź ze mną, a rysie nie wyrządzą nam krzywdy – zaproponował Jedwab.

Czaszka wykonała potakujący ruch.

– Polecę obok ciebie. Czy możesz przekupić talusa?

– Nie sądzę.

– Musiałbyś mieć dużo pieniędzy.

Z drugiej strony pokoju dobiegło ciche skrobanie, a po nim stłumione tąpnięcie. Zanim jeszcze otworzyły się drzwi, Jedwab pojął, że dźwięk ten wydał zdejmowany po drugiej stronie drzwi rygiel. Z takim pośpiechem zsunął się z parapetu, że o mało nie upadł. Przykucnął na dachu, a Pleśń cichutko zamknęła nad jego głową okno.

Czekał, nasłuchiwał i odmawiał w myślach modlitwę do Sphigx, której dzień miał właśnie nadejść. Z pokoju nie dobiegały żadne dźwięki. W pewnej chwili tylko wydawało mu się, że usłyszał odgłos zadawanego ciosu. Kiedy w końcu podniósł się i ostrożnie zerknął przez szybę do izby, nic nie zobaczył.

Świetlik, który ryś otworzył łbem, łatwo poddał się dłoni Jedwabia; z cieplarni napłynęło wilgotne, aromatyczne powietrze.

Z pewnością najprościej byłoby dostać się do cieplarni górą – rosnące w dole drzewa wytrzymywały przecież wielki ciężar Lwa.

Jedwab pocierał opuszkami palców policzek, zamyślony głęboko. Cały problem polegał na tym, że sypialnia Krwi, jeśli wierzyć słowom Pleśni, znajdowała się w drugim skrzydle domu. Jeśli wejdzie tędy, będzie musiał przebyć całą długość willi, z południa na północ, przez wiele pokoi i pomieszczeń. Mogły być rzęsiście oświetlone, zapewne natknąłby się na uzbrojonych strażników,

których najpierw widział w szkłe Alki, a później na ścigantach. W innych izbach mogli przebywać pracownicy lub goście Krwi.

Jedwab z żalem zamknął świetlik, od konara, który tak dobrze mu służył, odwiązał linę i bardzo starannie ją zwinął. Wieńczący dach południowego skrzydła domu krenelaż nie miał ostrych krawędzi, a zarzucana pętlica sznura nie narobi tyle niebezpiecznego hałasu co konar. Dopiero przy czwartym rzucie pętla zahaczyła o wystającą krawędź muru. Szarpnął linę. Trzymała mocno, jakby przywiązano ją do pala. Wytarł w sutannę spotniałe dłonie i rozpoczął wspinaczkę.

Gdy stanął wreszcie na dachu południowego skrzydła willi i zaczął rozwiązywać sznur, w uchu odezwał mu się upiorny głos Pleśni. Dobiegały go słowa, których nie potrafił jednak rozróżnić, i zrozumiał tylko sam koniec:

– ... ptaki. Strzeż się siwogłowego.

– Pleśń?

Odpowiedziało mu milczenie. Wychylił się z blanki, lecz dostrzegł tylko zamykające się okno.

Ten dach był dwudziestokrotnie większy od dachu cieplarni, pozbawiony świetlików; po prostu lekko pochyła, wielka płaszczyzna pociągnięta dziegciem. Za parapetem ograniczającym północną stronę dachu sterczały, niczym bladzi wartownicy na tle mętnego blasku płynącego z nieba, wyniosłe kamienne kominy centralnego budynku. Od czasu przybycia do manteionu przy ulicy Słońca, Jedwab wielokrotnie miał okazję rozmawiać z kominiarzami i dowiedział się (obok wielu innych, pożytecznych rzeczy), iż kominy w wielkich domostwach są w środku na tyle szerokie, że umożliwiają dostęp robotnikom, którzy je czyszczą lub przeprowadzają niezbędne remonty. W wielu budowane są w tym celu stopnie lub instalowane metalowe drabiny.

Trzymając się środka dachu, by nie było go widać z dołu, przeszedł cicho na krawędź. Kiedy spojrzał w dół, ujrzał dużo bardziej stromy dach pokryty nie dziegciem, lecz dachówką. Mógł dokładnie przyjrzeć się wysokim kominom. Było ich pięć, w tym cztery identyczne. Piąty natomiast – najdalszy od niego – pysznił się nasadą kominową dwukrotnie wyższą od pozostałych czterech; wysoką, cokolwiek niekształtną nasadą z białym zwieńczeniem. Zaniepokojony Jedwab zastanawiał się chwilę, czy jest to ów „siwogłowy”, przed którym przestrzegała go Pleśń. Ostatecznie zdecydował, że na wszelki wypadek tym kominem zajmie się na końcu, jeśli do innych nie będzie dostępu.

Jego uwagę przykuł z kolei inny, niezwykle istotny szczegół. Za trzecim kominem widać było niewielką płaszczyznę o ostrych kantach, wystającą na łokieć ponad poziom dachu. Przeszedł kilka kroków w lewo, by lepiej się mu przyjrzeć.

Były to bez wątpienia drzwi zapadowe. Jedwab wyszeptał modlitwę dziękczynną temu z bogów, który sprawił, iż dawne pokolenie budowniczych uwzględniło owe drzwi.

Załóżyl podwójnie sznur na blankę, bez trudu zsunął się po nim na dachówki i ściągnął linę. Zewnętrzny wprawdzie ostrzegł, że nie udzieli żadnej pomocy, lecz najwyraźniej Jedwabia wspierał jakiś inny bóg. Zapewne Scylla, która nie chce, by jej miasto pozbawiono manteionu. A może

posepna, żarłoczna Phaea, władczyńni dnia, który powoli się zbliżał. A może Molpe, ponieważ... Nie, oczywiście Tartaros! Tartaros był patronem złodziei, a on modlił się do Tartarosa, stojąc jeszcze przed murem otaczającym posiadłość Krwi. Co więcej, barwą Tartarosa była czern, a wszyscy augurowie i sybille nosili czarne szaty, by móc symbolicznie zakradać się między bogów i podsłuchiwać narady. Nie tylko on miał na sobie czarny strój, lecz i dach, który opuścił, pociągnięty został czarnym dziegiem.

– Przerazający Tartarosie, przyjmij me podziękowania i obietnice, że do końca moich dni będę cię wielbił. A teraz, Tartarosie, spraw, by te drzwi nie okazały się zamknięte! Ale zamknięte czy nie, obiecany czarny baran już należy do ciebie. – Nieoczekiwanie przypomniał sobie tawernę, w której odnalazł Alkę, i dodał w nagłym przypływie hojności: – Oraz czarny kogut.

A swoją drogą, dodał w duchu, to całkiem logiczne, że drzwi zapadowe znajdują się właśnie tam. Dachówki przecież trzeba wymieniać, bo pękają – musiały pękać często podczas gwałtownych burz gradowych, jakie nawiedzały miasto przez kilka ostatnich zim. Dzięki tej klapie droga na dach była dużo łatwiejsza i bezpieczniejsza niż po siedemdziesięciolokciowej drabinie. Do samego ustawienia takiej drabiny potrzeba całej armii robotników.

Ruszył spiesznie w stronę zapadowych drzwi, lecz śliskie dachówki niebywale utrudniały mu marsz. Dwie pękły pod jego niecierpliwymi stopami, a kiedy dotarł już prawie do celu, nieoczekiwanie poślizgnął się, upadł, a przed stoczeniem się na sam skraj dachu uratowało go tylko to, że w ostatniej chwili kurczowo złapał się krawędzi trzeciego komina.

Gdy zerknął w dół, pokrzepiła go myśl, że i ten dach, podobnie jak dachy obu skrzydeł budynku oraz dach cieplarni, ograniczały ozdobne blanki. Niemniej gdyby nie komin, przeżyłby bardzo niemiłą przygodę, staczając się na samą krawędź. Mógłby się dotkliwie potłuc i pokaleczyć. Poza tym narobiłby hałasu, który z pewnością zwróciłby uwagę kogoś wewnątrz willi. A jednak gdyby nawet spadł, zatrzymałby się na blankach, nie roztrzaskałby się o kamienne płyty znajdującego się na dole tarasu. Uświadomił sobie nieoczekiwanie, że błogosławione blanki (które okazywały się tak przydatne od chwili, gdy znalazł się pod ścianą cieplarni) stanowią jeden z charakterystycznych symboli w ikonografii Sphigx, bogini wojny pod postacią lwicy, a wszak rogaty kot Pleśni, który nie wyrządził mu krzywdy, nazywał się Lew... Bezsprzecznie Jedwab cieszył się również względami Sphigx Dzikiej.

Gdy odzyskał już oddech i zapanował nad nerwami, dźwignął się na nogi i ostrożnie puścił komin. W odległości niecałej szerokości dłoni od swej prawej stopy dostrzegł, na czym się poślizgnął – plamę na czerwonych dachówkach. Pochylił się i podniósł to coś do oczu.

Był to skrawek surowej zwierzęcej skóry wielkości chusteczki do nosa. Z jednej strony pokrywało ją ostre włosie, z drugiej wciąż widać było strzępy gnijącego mięsa i cuchnącego, rozkładającego się sadła. Jedwab z odrazą odrzucił wstrętny ochłap.

Zapadowe drzwi otworzył bez najmniejszego wysiłku. Za nimi ciągnęły się strome, kręcone żelazne schody na strych. Dalej przechodziły w następne, dużo wygodniejsze stopnie schodzące już bezpośrednio do willi. Jedwab stał chwilę i spoglądając w dół, napawał się triumfem.

Owinął sznur wokół pasa pod sutanną, tak jak czynił to wieczorem, kiedy opuszczał manteion. Linka mogła mu się jeszcze przydać. Niemniej czuł się teraz jak na ostatnim roku nauki w scholi, gdy uświadomił sobie, iż końcowy rok jest łatwiejszy od poprzedniego, ponieważ jego instruktorzy nie chcieli, by po długich i żmudnych studiach doznał na sam koniec niepowodzenia; chyba że zacząłby haniebnie zaniedbywać obowiązki. Oto willa stała przed nim otworem, a on z grubsza wiedział, gdzie szukać sypialni Krwi. Tak zatem, aby wyprawa zakończyła się sukcesem, musi jedynie trafić do tej sypialni i ukryć się w niej przed powrotem gospodarza. A wtedy, mówił do siebie ogarnięty miłym uczuciem, że postępuje cnotliwie, zacznie odwoływać się do rozsądku i sumienia Krwi. Jeśli perswazje odniosą skutek, to znakomicie. Jeśli nie...

Jeśli nie, winny wszystkiemu będzie Krew, nie on. Każdy, kto sprzeciwia się woli boga, nawet boga pomniejszego, takiego jak Zewnętrzny, musi cierpieć.

Gdy wsuwał za zwój liny długi trzonek toporka, usłyszał za sobą szmer. Upuścił klapę drzwi zapadowych i gwałtownie się obrócił. Podskakując na wysokość większą od wzrostu postawnego mężczyzny, wielkie ptaszysko o białej głowie biło powietrze zdeformowanymi skrzydłami, skrzeczało jak stado diabłów i celowało zakrzywionym dziobem w twarz Jedwabia.

Paterę odruchowo rzucił się do tyłu, wskoczył na gładką klapę zapadowych drzwi i z całych sił kopnął rozjuszone zwierzę. Wcale nie ostudził zapału napastnika. Wielkie skrzydła nadal łopotały z hukiem gromu. Gdy Jedwab ponownie odskoczył, ptaszysko ruszyło za nim.

Jedynie cudowi i szczęściu zawdzięczał, że udało mu się chwycić ptaka za szyję. Ale końcówki skrzydeł były twarde niczym pięści mężczyzny, a kierowały nimi mięśnie potężniejszego od mięśni najsilniejszego człowieka. Kiedy oboje staczali się po dachu, siwogłowy tłukł nimi Jedwabia bez litości.

Krawędź blanki, niczym klin, wbiła się Jedwabiowi w plecy. Rozpaczliwie walcząc, by nie dopuścić zakrzywionego ptasiego dzioba do twarzy i oczu, wyszarpnął zza pasa siekierę. Twarda końcówka skrzydła niczym obuch wyrznęła go w przedramię; toporek, który wysunął mu się ze zdrętwiałej ręki, spadł na rozciągający się w dole kamienny taras.

Drugie skrzydło siwogłowego trafiło paterę w skroń, Jedwabowi całą mocą objawiła się iluzoryczna natura świata zmysłów. Świat ów zmalał do rozmiarów mikroskopijnego punkciku sztucznego światła, które ze wszystkich sił próbował od siebie odpychać, aż nagle zgasło.

Nowe rodzaje broni

Cały whorl pływał przed rozbieganymi, zamglonymi oczyma Jedwabia – góry i płaskowyże, dżungle i usychające zagajniki, sawanny i pampasy. Niczym zabawka miotana przez setki wiejących w najróżnorodniejsze strony wiatrów fruwał pośród burzowych chmur, doznawał zawrotu głowy od wysokości. Sześćdziesiąt mil pod nim samotny lotnik unosił się jak ważka na swych ażurowych skrzydłach.

Czarna ważka niknąca w jeszcze czarniejszej chmurze, pośród odległych głosów i smrodu padliny...

Jedwab zakrztusił się, zwymiotował i splunął; ogarniała go coraz większa zgroza na widok tej wirującej scenerii; zgroza niczym jastrząb wbijała mu w trzewia zimne szpony. Zamrugął i nieoczekiwanie cały whorl odwrócił się na podobieństwo toczzonego wiatrem koszyka lub miotanej falami beczki. Dryfujące krainy niebios były na górze, a nierówna, twarda powierzchnia, na której leżał, na dole. W głowie mu łupało i wirowało, ręka i obie nogi paliły żywym ogniem.

Usiadł.

Twarz miał oślinioną, czarną sutannę brudną i cuchnącą.

Przetarł niezdarnie twarz zdrętwiałymi dłońmi, wytarł je w ubranie i jeszcze raz splunął. W lewym ramieniu, którym uderzył o kamienie blanek, czuł bezwład. Przerazającego ptaka, „siwogłowego”, przed którym ostrzegła go Pleśń, nigdzie nie dostrzegł.

A może ptaszysko tylko mu się przyśniło? Wstał, zachwiał się i znów opadł na kolana.

Oczy same mu się zamknęły. Wszystko to okazało się snem, koszmar był jedynie wytworem jego udręczonego umysłu – straszliwy ptak, rogate bestie o żarzących się ślepiach, nieszczęsna, szalona dziewczyna, czarna lina, po której raz za razem wspinał się bądź to na mur, bądź to na blanki, pogrążony w ciszy las, potężnie zbudowany włamywacz, wynajęte osły i martwy mężczyzna rozciągnięty na podłodze pod rozkołysanym żyrandolem. Ale teraz już się obudził, w końcu się obudził, a noc minęła – obudził się i klęczał obok swego łóżka na plebanii przy ulicy Słońca. Nadeszło rozjaśnienie, był sphigxdag, a on powinien odmówić poranną modlitwę do patronki dnia, Spighx Morderczej.

– O boska pani mieczy, gromadzących się wojsk, mieczy... Następnym razem będzie już mądrzejszy. Wstanie dopiero wtedy, gdy upewni się, że nie upadnie znowu. Zanim dzwignął się na nogi, leżał drżący przy blance, a niebo pociemniało i znów otaczał go mrok. Znów była noc, noc w phaedag – nie kończąca się noc, która jeszcze nie minęła i może nigdy się nie skończy. Pomyślał, że deszcz obmyłby go z brudu, otrzeźwił i rozjaśnił mu umysł. Pomodlił się zatem, prosząc Phaeę, Paha i oczywiście Scyllę o życiodajne krople deszczu. Jednocześnie miał świadomość, że wielu ludzi (ludzi lepszych od niego) błagało bogów tak jak on teraz, i to z mniej egoistycznych powodów. Od dawna się modlili, składali ofiary, na jakie było ich stać, wynosili wizerunki Paha Wielkiego do sadów z

usychającymi drzewami lub na zbrązowiałe pola. Ale deszcz nie nadchodził; nawet nie zagrzmiało. Gdzieś w oddali rozległy się podekscytowane głosy, Jedwab wyłowił powtarzane na okrągło imię Hieraxa. Ktoś umarł.

– Hierax – powiedział przed tygodniem w palestrze Piórko, gdy rozważali pewne aspekty boga śmierci. – Hierax jest dokładnie pośrodku.

– Pośrodku między synami Paha i Echidny? A może pośrodku wszystkich ich dzieci?

– Całej rodziny, patere. Tam jest tylko dwóch chłopców. – Piórko również miał jednego brata. – Hierax i Tartaros.

Piórko z lękiem czekał na ocenę swej wypowiedzi, ale on, patere Jedwab, tylko uśmiechnął się i skinął głową.

– Tartaros jest najstarszy, a Hierax najmłodszy – ciągnął Piórko, któremu wróciła odwaga.

Maytere stuknęła laską w pulpit.

– Starszy, Piórko. I młodszy. Sam powiedziałaś, że jest ich tylko dwóch.

– Hierax... – rozległ się dobiegający z dołu, zza blanek głos.

Jedwab podniósł się z dachu. W głowie wciąż mu huczało, lewą nogę miał sztywną. Na szczęście minęły obrzydliwe mdłości. Kominy (wyglądały tak samo jak poprzednio) oraz wabiące go drzwi zapadowe zdawały się niesłychanie dalekie. Przewyciężając zawroty głowy, objął występ muru i wyjrzał za krenelaż. Obojętnie, jakby jego ręka należała do kogoś innego, skostatował, że z prawego przedramienia broczy mu krew, plamiąc siwy mur.

Czterdzieści łokci w dół, na tarasie, stało trzech mężczyzn i dwie kobiety. Spoglądali na coś leżącego u ich stóp. Jedwab nie był w stanie rozpoznać co to takiego. Jedna z niewiast odwróciła się jakby z odrazą. Przez chwilę jeszcze piątka gości o czymś ze sobą szeptała, aż w końcu na tarasie pojawił się gwardzista z latarnią.

Na kamiennych płytach leżał martwy ptak. Skrzydła miał rozpostarte, białą głowę przekrzywioną pod nienaturalnie ostrym kątem.

Zabił ptaka. A raczej ptaszysko zabiło się samo.

Jeden z mężczyzn zadarł głowę. Dostrzegł Jedwabia, wskazał go palcem i coś krzyknął. Jedwab, zaskoczony, chyba zbyt późno machnął nonszalancko ręką, jakby był jednym z dozorców Krwi, po czym niezwłocznie ruszył pod górę stromym dachem.

Zapadowe drzwi prowadziły do mrocznego, przestronnego strychu pełnego pajęczyn, spróchniałych mebli i porozbijanych skrzynek. Gdy postawił stopę na pierwszym metalowym schodku, zapaliły się słabe światła. Zanim jednak zszedł na następny, jedno ze światełek zgasło. Strych stanowił wspianą kryjówkę, lecz jeśli człowiek z tarasu wszczął alarm, przede wszystkim szukać będą właśnie tutaj. Jedwab z żalem odrzucił pomysł ukrycia się na poddaszu i szybko zbiegł

drewnianymi schodami na najwyższe piętro willi.

Pchnął obite dekoracyjną tkaniną drzwi i znalazł się w szerokim, luksusowo urządzonym korytarzu, nieopodal schodów z balustradą. Z dołu docierał gwar. W wymyślnym, złoconym i obitym czerwonym aksamitem fotelu, ustawionym kilka kroków od szczytu schodów, siedział gruby mężczyzna w wizytowym ubraniu. Głowę trzymał wtuloną w rozłożone na palisandrowym stole ramionach. Cicho pochrapywał, lecz kiedy mijał go Jedwab, gwałtownie się ocknął, popatrzył zamglonym wzrokiem na czarną sutannę, po czym znów położył głowę na ramiona.

Schody pokrywał puszysty dywan, stopnie były szerokie i niskie. Kończyły się w przepysznym salonie, gdzie pięciu mężczyzn, ubranych podobnie jak śpiący w fotelu na piętrze, z ożywieniem o czymś rozprawiało. W dłoniach trzymali szklanki i nie wykazywali najmniejszych oznak niepokoju. W sporej odległości za nimi salon kończył się szerokimi dwuskrzydłowymi drzwiami. Stały otworem, a za nimi czaiła się noc. Niewątpliwie było to główne wejście do willi, za którym znajdował się portyk i kolumnada, które Jedwab dostrzegł z muru. I rzeczywiście. Gdy oparty plecami o statwę jakiejś nagiej, pomniejszej bogini obserwował scenę z góry – nie przechylając się przez balustradę, jak to nieroztropnie uczynił, spoglądając z blasku dachu na martwego siwogłowego – dostrzegał niewyraźne zarysy filarów.

Nieoczekiwanie w otwartych drzwiach stanął mu przed oczyma obraz zwieńczonego ogniem ołtarza w manteionie, obraz plebani, palestry oraz cienistej altany, w której czasami zbyt długo gawędził z maytere Marmur. A gdyby tak spokojnie ruszył schodami na dół? Idąc przez hol, kiwałby uprzejmie głową i przesyłał uśmiech każdemu, kto popatrzyłby w jego stronę. Czy ktoś by go zatrzymał, wezwał straż? Mało prawdopodobne.

Z przedramienia spływała mu ciepła krew, brukała palce i kapłała na kosztowny kobierzec. Jedwab potrząsnął głową i szybko przeszedł do stojącego po drugiej stronie schodów bliźniaczego fotela, obitego czerwonym aksamitem. Musiał zatamować krew, bo zostawiał za sobą wyraźny trop, wiodący od spiralnych schodów z dachu, przez schody strychu aż na korytarz.

Odchylił sutannę i oderwał zębami ze skraju tuniki pas materiału.

A może wykorzysta krwawe ślady? Wstał z fotela i kręcąc nadgarstkiem oraz zginając i rozprostowując palce dłoni, by wzmóc krwawienie, szybko ruszył korytarzem. Po krótkich schodach wkroczył do południowego skrzydła. Tam na krótko zatrzymał się, owinał ranę paskiem materiału i zębami zacisnął supeł, tak jak uczynił to Kocur, potężny mężczyzna z „Koguta”. Gdy był pewny, że opatrunek się nie zsunie, wrócił tą samą drogą, minął pusty fotel, minął najwyższy podest schodów oraz kolejny fotel ze śpiącym grubasem, a także wąskie, obite kosztowną materią drzwi wiodące na strych. Tam, za parą ikon przedstawiających pomniejszych bóstwa, Ganymedię i Catamitusa, znajdował się szereg drzwi poprzedzielanych zwierciadłami w wymyślnych ramach i amforami z wyniosłymi, cieplarnianymi różami.

Kiedy zbliżał się do pomocnego skrzydła willi, w końcu korytarza pojawił się umundurowany gwardzista. Jedwab bez namysłu umknął za najbliższe uchylone drzwi.

Znalazł się w pozbawionym okien, pięciokątym saloniku o wytwornych, wykładanych złotem i

kością słoniową meblach. Przez chwilę czekał, przyciskając plecy do drzwi, i jak wielokrotnie już to czynił tej nocy, bacznie nasłuchiwał. Gdy nie usłyszał nic podejrzanego, przeszedł po grubym dywanie i otworzył wyłożone kością słoniową drzwi naprzeciwko.

Znalazł się w buduarze, większym niż sam salon i o jeszcze dziwniejszym kształcie. Znajdowały się tam szafy, dwa krzesła, krzykliwa i tandetna kapliczka Kypris z żarzącą się kadzielnicą, wypełniająca pokój słodkim, lekko duszącym dymem, oraz biała toaletka ze szkłem, którego perłowy blask, w chwili kiedy Jedwab wszedł do pomieszczenia, nabrał mocy. Gdy patere zamknął za sobą drzwi, na szkle zatańczyła kurzawa barw.

Młody augur natychmiast padł na kolana.

– Czym mogę służyć?

Jedwab uniósł głowę i stwierdził, że w szkle majaczy szare oblicze monitora. Wykonał znak dodawania.

– Czyż nie widziałem boga? Ujrzałem...

– Nie jestem bogiem, proszę pana, tylko monitorem na końcu tego terminalu. Czym mogę służyć? Czy życzy pan sobie, bym cyfrowo wzmocnił pański wizerunek?

Zmieszany Jedwab wstał z klęczek.

– Nie. Ja... Nie, dziękuję. – Starał się przypomnieć sobie, w jaki sposób Alka zwracał się do monitora w swoim szkle. – Jeśli nie stanowi to dla ciebie zbyt wielkiej fady, synu, chciałbym porozmawiać ze znajomym.

Alka z całą pewnością inaczej dyrygował monitorem. Twarz w szkle wykonała potakujący ruch.

– Jak się pański znajomy nazywa? Spróbuję się z nim połączyć.

– Alka.

– A gdzie ten Alka mieszka?

– W Orilli. Czy wiesz, gdzie to jest?

– Naturalnie, proszę pana. Niemniej żyje tam... pięćdziesięciu czterech ludzi o imieniu Alka. Może pan podać ulicę?

– Nie znam jego adresu. – Znużony Jedwab wysunął spod toaletki niewielki taboret i ciężko na nim usiadł. – Przepraszam za kłopot. Ale skoro...

– W Orilli mieszka pewien Alka, z którym mój pan kilkakrotnie rozmawiał – przerwał mu monitor. – Niewątpliwie z tym Alką chce pan rozmawiać. Spróbuję go dla pana zlokalizować.

– Nie trzeba – mruknął Jedwab. – Mój mieszka w dawnym sklepie. A więc musi to być przy którejś z ulic handlowych. – W tej samej chwili przypomniał sobie łoskot przejeżdżającego furgonu.

– Ulica jest wybrukowana. Czy to coś ci mówi?

– Tak. To ten sam Alka, z którym czasami rozmawia mój pan. Sprawdźmy, czy jest w domu.

Oblicze monitora zniknęło, a jego miejsce zajął obraz rozgrzebanego barłogu i miski z brudną wodą. Obraz spęczniał, zrobił się osobliwie kulisty. Jedwab dostrzegł masywne drewniane krzesło, z którego udzielał Alce rozgrzeszenia i obok którego sam później klęczał, gdy rozgrzeszenia udzielał mu gospodarz. To, że krzesło wciąż stoi w tym samym miejscu, było w jakiś sposób krzepiące.

– Obawiam się, że Alka jest nieosiągalny, proszę pana. Czy mam mu zostawić jakąś wiadomość za pomocą mej jednokładności?

– Ja... Tak. – Jedwab podrapał się po policzku. – Proszę przekazać Alce, że bardzo jestem wdzięczny za pomoc i jeśli nic złego mi się nie przytrafi, z największą radością opowiem maytere Mięcie, jak wielką uprzejmość mi okazał. Proszę mu też powiedzieć, że wymienił tylko jeden dobry uczynek, a pokuta, jaką na mnie nałożył, wymaga dwóch lub trzech... co najmniej dwóch. Proszę go spytać, jakie będą inne. – Zbyt późno przypomniał sobie, że Alka prosił, by nie wymieniać jego imienia przystojnemu chłopakowi, który pojawił się w szkle Krwi. – A teraz, synu, zajmijmy się twoim panem. Kim on jest?

– Nazywa się Krew, proszę pana. Pański gospodarz.

– Rozumiem. Czy przypadkiem trafiłem do prywatnych apartamentów Krwi?

– Nie, proszę pana. To pokoje mojej pani.

– Czy przekażesz wiadomość o moim kontakcie z... z tym człowiekiem mieszkającym w Orilli?

– Z pewnością, proszę pana, jeśli mnie o to zapyta.

– Rozumiem. – Jedwab z przyprawiającą o mdłości jasnością pojął, że zawiódł na całej Unii. – Proszę też przekazać Alce wiadomość, skąd próbowałem się z nim połączyć, i powiedzieć, by miał się na baczności.

– Jak pan sobie życzy. Czy to wszystko? Jedwab wsparł głowę na rękach.

– Tak. Dziękuję. Chwileczkę. – Wyprostował się. – Potrzebuję kryjówki, dobrej kryjówki. I broni.

– Jeśli chce pan znać moje zdanie – zauważył monitor – przede wszystkim potrzebuje pan lepszej odzieży. Z całym szacunkiem, brudzi pan nasz dywan.

Jedwab podniósł rękę i stwierdził, że krew przesiąkała przez pas czarnego materiału, który niedawno oddarł z tuniki. Ku łokciowi płynęły małe strumyki krwi.

– Jak pan widzi, w pokoju znajdują się jeszcze inne drzwi. Te po lewej stronie prowadzą do balneum. Znajdzie pan tam należące do mojej pani medykamenty. Co zaś...

Jedwab tak gwałtownie zerwał się na nogi, że przewrócił taboret. Nie słuchał dalszych

wyjaśnień.

Balneum było obszerne. Znajdowała się tam wanna z jadeitu, wystarczająco pojemna, by pomieścić posąg nagiej bogini, który stał u góry schodów. W oddzielnym pomieszczeniu mieściła się splukiwana wodą toaleta. W dużej szafce stało zadziwiająco wiele buteleczek i flakonów, miska z fiołków – znany środek dezynfekcyjny – oraz gaza i środki opatrunkowe. Jedwab malutkimi nożyczkami przeciął nasiąknięty krwią materiał. Poszarpaną ranę, którą zadał mu dziobem siwogłowy, posmarował maścią fiołkową, a następnie z wprawą zabandażował rękę. Gdy zdjął z siebie strzępy tuniki, spostrzegł, że szpony ptaka rozorały mu skórę na piersiach i brzuchu. Odczuł ogromną ulgę, kiedy przemył i nasmarował maścią długie krwawe szramy.

Na sutannie w miejscach, z których startł wymiociny, widniały odrażające plamy. Przepisał więc szatę, wykręcił ją nad umywalką, wygładził materiał, wycisnął między dwoma suchymi ręcznikami i ponownie się odział. Przejrzał się w lustrze. Doszedł do wniosku, że w przyćmionym świetle nikt nie zwróci uwagi na jego nieco dziwny wygląd.

Po powrocie do buduaru posypał plamy krwi na dywanie czymś, co wziął za puder do twarzy.

Monitor śledził jego czynności niewzruszonym wzrokiem.

– To w najwyższym stopniu interesujące, proszę pana.

– Dziękuję. – Jedwab zamknął pudełko z proszkiem i odstawił je na toaletkę.

– Czyżby puder miał właściwości czyszczące? Nie wiedziałem o tym.

Jedwab potrząsnął głową.

– Ja też nie. Po prostu zamaskowałem ślady, by nie dostrzegł ich przypadkowy gość.

– Chytre, proszę pana. Jedwab wzruszył ramionami.

– Nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Gdy tu wszedłem, oświadczyłeś, że nie jesteś bogiem. Wiedziałem o tym. Mieliśmy takie samo szkło w... w palestrze, którą kieruję.

– Czy chce pan połączyć się z palestrą?

– Nie teraz. Kiedyś dostałem pozwolenie na korzystanie z naszego szkła i zdziwiło mnie, a chyba nie tylko mnie, gdyż rozmawialiśmy pewnego wieczoru na ten temat... a więc byłem zdziwiony, jak bardzo szkło przypomina święte okno. Tylko że święte okna są większe, Uczą osiem łokci na osiem. Czy znasz święte okna?

– Nie, proszę pana.

Jedwab podniósł taboret i usiadł.

– Istnieje jeszcze jedna różnica. Święte okna nie mają monitorów.

– To wielka szkoda, proszę pana.

– Rzeczywiście. – Jedwab dotknął dwoma palcami policzka. – Powinienem też dodać, że w świętych oknach czasami pojawiają się nieśmiertelni bogowie.

– Aha!

– Tak, mój synu. Ja żadnego nie widziałem, a większość ludzi, zwłaszcza jeśli nie są augurami czy sybillami, nie może w ogóle widzieć bogów. Choć często słyszą ich głosy, widzą jedynie barwną kurzawę.

Twarz monitora poczerwieniała niczym cegła.

– Czy tak, proszę pana?

– Nie. Zupełnie inaczej. Chcę powiedzieć, że w moim pojęciu ludzie, którzy mają ujrzeć boga, najpierw widzą kurzawę barw. Teofania zaczyna się od kolorów. Później zjawia się bóg. Kiedy znika, ponownie na krótko pojawiają się barwy. Wszystko to zostało szczegółowo opisane przed blisko dwustu laty przez czcigodnego Chruścika. Podczas swego długiego żywota był on świadkiem teofanii Echidny, Tartarosa, Scylli, a na koniec samego Paha. Kurzawę barw nazwał świętymi odcieniami.

– To ciekawe, proszę pana. Ale obawiam się, że ze mną ma to niewielki związek. Czy mogę panu pokazać, co robię najczęściej? Proszę patrzeć.

Unosząca się w szkle twarz monitora zniknęła, a jej miejsce zajął wizerunek nieprawdopodobnie przystojnego mężczyzny w czerni. Jakkolwiek tunika człowieka w szkle była podarta, a spod niej wystawał biały bandaż, Jedwab nie poznał samego siebie. Prawda dotarła doń dopiero w chwili, gdy się poruszył, a postać w szkle wykonała identyczny ruch.

– Czy to... ? – Zbliżył się do szkła. – Nie. Ale...

– Dziękuję, proszę pana – odparło z ukłonem jego wyobrażenie. – To tylko pierwsza próba, ale udana. Następnym razem będzie jeszcze lepiej.

– Proszę mi tego nie pokazywać. Jestem wystarczająco próżny.

– Jak pan sobie życzy. Nie chciałem być niegrzeczny. Pragnąłem jedynie zademonstrować, w jaki sposób najczęściej służę mojej pani. Czy pragnie pan, zamiast siebie, zobaczyć ją? Bez trudu mogę wyświetlić stare podobieństwo.

Jedwab potrząsnął głową.

– Raczej stare niepodobieństwo. Proszę wrócić do swego normalnego wyglądu.

– Jak pan sobie życzy.

W szkle twarz Jedwabia straciła błękitne oczy i ogorzałe policzki, zniknęła jego szyja i ramiona, a rysy twarzy stały się pospolitsze i bardziej prostackie.

– Mówiliśmy o bogach. Niewątpliwie powiedziałem wiele rzeczy, o których już wiedziałeś.

– Nie, proszę pana. Niewiele wiem o bogach. Radziłbym panu skonsultować się z augurem.

– A zatem pomówmy o monitorach, mój synu. Z pewnością wiesz o nich dużo więcej niż przeciętny człowiek. Wszak sam jesteś monitorem.

– Moja praca to moja radość, proszę pana.

– Tak więc obu nas spotkało to samo szczęście. Gdy byłem... gdy byłem w domu pewnego znajomego, który również posiada szkło, człowiek ów przywoływał monitor wyłącznie kłaśnięciem w dłoń. Czy to zwyczajny sposób?

– Można klasnąć, można popukać w szkło, proszę pana. My bardziej lubimy to pierwsze.

– Rozumiem – odparł Jedwab. – Czy istnieją jakieś inne sposoby?

– Prawdę mówiąc, pojawiajemy się na każdy głośniejszy dźwięk, by sprawdzić, czy nie dzieje się coś niedobrego. Mógł na przykład wybuchnąć pożar. Wtedy powinienem natychmiast powiadomić mego pana lub rządcę, a następnie ostrzec gości.

– Ale od czasu do czasu zaglądasz do tego pokoju, choć nikt cię nie wzywa ani nie dobiegają z niego żadne głośne dźwięki. Czy tak?

– Nie, proszę pana.

– I nie zaglądasz tu tylko po to, by sprawdzić, czy wszystko w porządku?

– Nie, proszę pana. Moja pani uznałaby to za samowolę i zakłócanie jej prywatności.

– Przecież wszedłem do tego pokoju cicho, nie czyniąc hałasu – ciągnął nie zrażony Jedwab. – A już z całą pewnością nie zaklaskałem ani nie zapukałem w szkło. A jednak się pojawiłeś. Najpierw była kurzawa barw, a następnie ze szkła wyłoniło się twoje oblicze. W chwilę później oświadczyłeś mi, że nie jesteś bogiem.

– Zamknął pan drzwi.

– Ale bardzo cicho – powiedział Jedwab. – Nie chciałem burzyć spokoju twojej pani.

– Jest pan niezwykle uprzejmy.

– Jednak ten dźwięk wystarczył, by cię przywołać. A więc twoją uwagę zwraca najmniejszy hałas.

– Naprawdę trudno powiedzieć, co mnie przywołuje, proszę pana.

– To bardzo dziwne, mój synu.

– Może i tak, proszę pana. – Oblicze monitora wykonało potakujący gest. – Czy mógłbym coś panu zasugerować? Proszę skończyć wypytywanie mnie na ten temat. Nie zdołałbym zaspokoić pańskiej ciekawości. Zanim udał się pan do balneum, pytał pan o broń i kryjówkę. Dobrą kryjówkę mogłaby zapewnić któraś z naszych szaf.

– Dzięki.

Jedwab zajrzał do najbliższej, ale z niej aż wylewały się płaszcze, futra i suknie.

– Jeśli chodzi o broń, proszę pana – ciągnął monitor – znajdzie pan bardzo użyteczną rzecz w najniższej szufladzie po lewej stronie. Pod pończochami.

– Mam nadzieję, że bardziej użyteczną niż to – mruknął Jedwab, zamykając szafę.

– Niezmiernie mi przykro, proszę pana. Najwyraźniej ostatnio dokonano zakupów, o których mnie nie poinformowano.

Jedwab nie słuchał wyjaśnień, gdyż na korytarzu rozległy się podekscytowane głosy. Otworzył drzwi prowadzące do saloniku i trzymając dłoń na szklistej kłamce, nasłuchiwał. Serce waliło mu jak młotem. Wreszcie głosy się oddaliły.

– Pan już odchodzi?

– Jak powiedziałeś, która szuflada? Lewa?

– Tak, proszę pana. Najniższa po pańskiej lewej stronie. Ale niczego nie gwarantuję. Moja pani trzyma tam niewielki igłowiec, w każdym razie trzymała go tam jeszcze niedawno. Niemniej...

Jedwab gwałtownie otworzył szufladę. Macając pod stosami damskich pończoch, natrafił nie na jeden, lecz na dwa metalowe przedmioty.

– Moja pani bywa czasami bardzo lekkomyślna i zapomina o bezpieczniku. Radzę zatem przede wszystkim to sprawdzić.

– Nawet nie wiem, o czym mówisz – mruknął ponuro Jedwab, wyciągając z szuflady pierwszy przedmiot.

Igłowiec, pięknie inkrustowany i wyłożony złotem, był tak niewielki, że mieścił się na otwartej dłoni. Na rękojeści wielkości kciuka wyrzeźbiono złote hiacynty oraz miniaturową czapkę, która unosiła się nad złotym stawem, wypatrując ryb. Na widok rękodzielniczego piękna tego cacka, Jedwabia ogarnął wielki spokój. Żaden z najświętszych przedmiotów w manteionie nie mógł się równać z urodą tego igłowca.

– Jeśli wystrzeli, może pan zniszczyć moje szkło. Zamyślony Jedwab skinął niedbale głową.

– Znam igłowce. A dzisiejszej nocy widziałem dwa, które mogłyby ten zjeść.

– Poinformował mnie pan, że nie zna się na bezpieczniku. Po obu stronach broni znajdują się niewielkie ruchome wypukłości. W górnym położeniu zabezpieczają igłowiec przed przypadkowym wystrzałem.

– Te? – Podobnie jak uchwyt, boczne wypustki igłowca ozdobione zostały hiacyntami, tak małymi, że ich perfekcyjnie wyrzeźbione kwiatki były zgoła mikroskopijne. Kiedy przesunął jedną z wypustek w dół, druga też automatycznie się przekreśliła. – Teraz mogę strzelać?

– Mam nadzieję, proszę pana. Ale proszę nie celować w moje szkło. Szkła są obecnie nie do zastąpienia, ponieważ wiedza o ich wytwarzaniu zaginęła, gdy...

– A jednak strasznie mnie kusi, by strzelić.

– W przypadku zniszczenia tego szkła nie będę mógł przekazać pańskiej wiadomości Alce.

– Nie ma już takiej potrzeby. Czy ten gładki drażek w pierścieniu to spust?

– Zgadza się, proszę pana.

Jedwab wycelował w szafę i nacisnął spust. Rozległ się ostry trzask, jak z bata.

– Nic się nie stało – mruknął Jedwab.

– Szafa mojej pani nie jest żywym stworzeniem.

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło, synu.

Jedwab pochylił się i zaczął z uwagą badać drzwi od szafy. Na jednym z wypolerowanych paneli widniała maleńka dziurka o średnicy włosa. Otworzył drzwi. Niektóre stroje, choć nie wszystkie, na poziomie maleńkiej dziurki były poszarpane, jakby ktoś podarł je tępym ostrzem szerokości palca wskazującego.

– Czy wiesz, synu, że dla bezpieczeństwa Alki powinienem użyć tej broni przeciwko tobie? – powiedział do monitora. – Jesteś tylko maszyną, jak urządzenie do Uczenia punktów na boisku piłkarskim.

– Jestem maszyną, proszę pana, ale nie tylko maszyną. Jedwab skinął głową, przesunął bezpiecznik do góry i schował broń do kieszeni.

Drugi metalowy przedmiot ukryty pod pończochami miał kształt litery T. Dłuższa część była cylindryczna i osobliwie szorstka, z gładką wypukłością tuż pod poprzeczką. Poprzeczka, lekko zakrzywiona, miała zagięte do góry końce. Przedmiot okazał się nienaturalnie zimny, jak gad. Jedwab wydobył go z jakimś trudem spod pończoch i zaczął oglądać z ciekawością.

– Czy mogę się już wycofać, proszę pana? – zapytał monitor. Jedwab potrząsnął głową.

– Co to jest? – zapytał.

– Nie wiem.

Jedwab zerknął spod powiek na monitor.

– Czy w szczególnych okolicznościach potrafisz kłamać? Znam pewnego chema, który podobno może mówić nieprawdę. W każdym razie ta istota tak utrzymuje.

– Nie, proszę pana.

– A ja nie jestem ani odrobinę mądrzejszy – burknął Jedwab i ponownie usiadł na taborecie.

– Chyba nie potrafię, proszę pana.

– Chyba wiem, co to jest – Jedwab podsunął przedmiot w kształcie litery T, lśniący jak polerowane srebro, przed sam monitor. – Byłbym wdzięczny za potwierdzenie moich domysłów i za kilka porad, jak się tego używa.

– Obawiam się, proszę pana, że nie jestem w stanie spełnić tej prośby, choć chętnie usłyszę pańską opinię na ten temat.

– Myślę, że to azoth. Nigdy żadnego nie widziałem, lecz kiedy byłem chłopcem, często o nich rozmawialiśmy. Pewnego lata wszyscy zrobiliśmy sobie drewniane miecze i udawaliśmy, że mamy azothy.

– Urocze, proszę pana.

– Wcale nie – mruknął Jedwab, spoglądając na lśniący klejnot na gałce azotha. – Co uroczone w tym, że byliśmy niczym stado krwiożerczych tygrysów? Ale mniejsza o to. Mówi się, że azothem operuje się za pomocą czegoś, co nazywa się demon. Cóż, skoro nie słyszałeś o azothach, to również nic nie wiesz o demonach.

– Nie wiem, proszę pana. – Twarz monitora obróciła się w prawo i w lewo, przy czym okazało się, że jest to samo oblicze, bez tyłu głowy. – Ale skoro zamierza się pan ukryć, radzę zrobić to jak najszybciej. Kilku gwardzistów pod dowództwem rządcy mego pana przeszukuje pokoje na tym piętrze.

– Skąd o tym wiesz? – spytał ostro Jedwab. – Obserwowałem ich. W niektórych pokojach mam inne szkła.

– Czy zaczęli od pomocnego końca korytarza?

– Tak, proszę pana.

Jedwab dźwignął się z taboretu.

– A zatem ukryję się tutaj, a kiedy już przejdą, udam się do pomocnego skrzydła.

– Nie sprawdził pan jeszcze drugiej szafy.

– Wcale nie zamierzam do niej zaglądać. Ile jeszcze pokoi dzieli ich od nas?

– Trzy, proszę pana.

– A więc pozostało mi trochę czasu – powiedział Jedwab i znów zaczął oglądać azoth. – Kiedy zrobiłem sobie miecz, zostawiłem w nim sterczący gwóźdź i zagiąłem go. To był mój demon. Gdy przekręcałem gwóźdź do siebie, klinga znikła. Kiedy odwracałem go w przeciwnym kierunku, pojawiała się znowu.

– Wątpię, proszę pana...

– Nie bądź taki pewien siebie, synu. Przecież nie wziąłem tej metody z powietrza, tylko naśladowałem jakiegoś kolegę, który zdobył pewną użyteczną informację. Wykorzystam ją także teraz.

Szorstka część litery T była niewątpliwie rękojeścią; a poprzeczka miała chronić dłoń użytkownika przed kontaktem z klingą. Jedwab próbował przekręcić klejnot w gałce, ale kamień tkwił w oprawie mocno.

W jego dziecięcym mieczyku zrobiony z zagiętego gwoźdźdemon trzymał poprzeczkę; tego był pewien. Tutaj widział karmazynowy kamień (mgliście przypominał sobie, że słyszał o podobnym mineralu noszącym nazwę krwawnika) umieszczony w jednym z gładkich, zwężających się ku końcowi ramion gardy. Kamień był zbyt płaski i zbyt wypolerowany, by można było go obracać. Ujął zatem azoth tak, jak chwycił swój drewniany miecz, i kciukiem nacisnął czerwony kamień.

Rzeczywistość się rozdzieliła. Coś jeszcze pojawiło się między połówkami gardy, niczym prąd rozdzielający spokojną toń stawu. Po drugiej stronie pokoju oderwał się od ściany płat gipsu i, dymiąc, spadł na dywan. Gdy Jedwab wykonał ręką kolejny ruch, drewniane listwy, które pojawiły się w miejscu, skąd odpadł gips, eksplodowały fontanną drzazg.

Odruchowo zdjął palec z demona i klinga azotha zniknęła.

– Proszę obchodzić się z tym ostrożniej – odezwał się monitor.

– Nie musisz mnie uczyć. – Jedwab wsunął azoth za linę, którą był okręcony w pasie.

– Jeśli uruchomi to pan przez przypadek, skutki mogą okazać się fatalne zarówno dla pana, jak i dla innych.

– Demon znajduje się poniżej poziomu rękojeści – zauważył Jedwab. – Nie można go nacisnąć przypadkowo.

– Żywię taką nadzieję, proszę pana.

– Skąd twoja pani ma tę broń?

– Nie wiedziałem nawet, że ją ma, proszę pana.

– Kosztuje zapewne tyle co cały ten dom. Może nawet więcej. Wątpię, by w całym mieście znalazło się więcej niż dziesięć azothów.

Odwrócił się do szafy i wybrał niebieską zimową suknię z miękkiej wełny.

– Opuścili przeszukany apartament, proszę pana. Przechodzą do następnego.

– Dziękuję. Czy odejdziesz, kiedy ci powiem?

– Naturalnie, proszę pana.

– Powinienem zniszczyć twoje szkło. – Jedwab przez chwilę spoglądał na monitor. – Kusi mnie,

by to zrobić. Lecz jeśli naprawdę bóg nawiedził je, kiedy tu wszedłem... – Wzruszył ramionami. – Tak zatem każe ci się tylko wynieść, a szkło zakryję tą suknią. Zapewne tego nie zauważą. Czy w innych pokojach przepytawali szkła?

– Tak, proszę pana. Rządca wzywa mnie do każdego ze szkieł. Osobiście kieruje ekipą przeszukującą dom, proszę pana.

– Przecież cały czas rozmawiasz ze mną! Nie wiedziałem, że umiesz być w kilku miejscach jednocześnie.

– Umiem, proszę pana. Jak najlepiej wykorzystuję przerwy w naszej rozmowie. Każdą pauzę. To w głównej mierze kwestia rozdzielności.

– Ale nie powiedziałeś im, że tu jestem. Dlaczego?

– Bo nikt mnie o to nie pytał. W każdym pokoju, do którego wchodzi, rządca pyta mnie, czy był w nim ktoś obcy.

– A ty odpowiadasz, że nie?

– To nie tak, proszę pana. Wyjaśniam, że nie mam pewności, gdyż nie przebywam tam nieustannie.

– Rządca Krwi... czy to młody człowiek o imieniu Piżmo? – Tak. Jego polecenia są ważniejsze od poleceń innych, z wyjątkiem rozkazów mego pana.

– Rozumiem. Najwyraźniej Piżmo rozumie cię niewiele lepiej niż ja.

– Zapewne mniej, proszę pana. Jedwab w zamyśleniu skinął głową.

– Po twoim odejściu mogę zostać w tym apartamencie. Ale mogę też go opuścić. Wtedy nie będziesz wiedzieć, co robię. Czy rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak, proszę pana – odparł monitor. – Wtedy miejsce pańskiego pobytu w tym domu będzie problematyczne.

– Dobrze. Zatem znikaj. Idź tam, gdzie masz zwyczaj chodzić. Jedwab zakrył dokładnie szkło, zarzucając na nie pozornie niedbale suknię, po czym otworzył drzwi znajdujące się po prawej stronie.

Przez króciutką chwilę, krótką jak jedno uderzenie serca, sądził, że przestronna, pogrążona w półmroku sypialnia jest pusta. Swój błąd pojął dopiero wtedy, gdy z ogromnego łóża dobiegł go cichy jęk.

Spoczywająca w pościeli kobieta poruszyła się i głośno westchnęła przez sen, wyrażając ogromne pragnienie. Gdy Jedwab pochylił się nad nią, mimowolnie wyciągnął rękę i choć wcale jej nie dotknął, poczuł dreszcz. Włosy miała czarne i lśniące jak skrzydła nocnego kruką, a rysy twarzy cudowne, na ile zdołał się zorientować w zalegającym pokój mroku. Znów jęknęła, jakby wiedziała, że się jej przygląda, i nie budząc się, odwróciła głowę, by pocałować poduszkę.

Ktoś otworzył drzwi do saloniku za buduarem.

Jedwab zerwał z siebie czarną sutannę, słomkowy kapelusz i podartą tunikę, kopniakiem wrzucił je pod łożę i w butach wpełzł do wyszywanej złotą nicią pościeli. W tej samej chwili usłyszał, że otwierają się drzwi do buduaru.

– Tu też nikogo nie ma – usłyszał czyjś wyraźny głos. Odnalazł kciukiem bezpiecznik. Usiadł. Kiedy do sypialni wtargnęli przeszukujący dom, wycelował w nich igłowiec.

– Stać! – krzyknął i wypalił.

Miał wielkie szczęście, trafił tylko w wysoką wazę stojącą po prawej stronie drzwi. Huk sprawił, że światła w izbie rozgorzały pełnym blaskiem.

Pierwszy z gwardzistów przystanął, lecz trzymanym w dłoni pistoletem nie celował w Jedwabia. Czarnowłosa kobieta gwałtownie usiadła, lekko skośne oczy miała szeroko rozwarte.

– Śpij, Hiacynt! – krzyknął Jedwab, nie patrząc w jej stronę. – To nie dotyczy ciebie.

Na gołym barku czuł jej delikatny, ciepły, wonny oddech.

– Wybacz, komisarzu – odezwał się niepewnie gwardzista. – To znaczy, patere...

Jedwab zbyt późno pojął że na głowie wciąż ma obramowaną niebieskim materiałem *calotte*, należąca niegdyś do patere Płetwy. Zerwał ją z głowy.

– To niewybaczalne! Niewybaczalne! Powiadomię o wszystkim Krew! A teraz wynoście się!

Mówił trochę zbyt wysokim głosem, był bliski hysterii i gwardzista z pewnością wyczuwał jego przerażenie. Zdesperowany potrząsnął igłowcem.

– Nie wiedzieliśmy... – Gwardzista opuścił pistolet i cofnął się o krok, uderzając plecami w Piżma, który tuż za nim wszedł do sypialni. – Myśleliśmy, że już wszyscy... prawie wszyscy opuścili dom.

– Wynoście się! – przerwał mu Jedwab. – Nigdyście mnie tu nie widzieli!

Było to (dotarło to doń w momencie, kiedy kończył mówić te słowa) najgorsze, co mógł powiedzieć. Wszak Piżmo zaledwie przed kilkoma godzinami widział go w szkłe Alki. Przez chwilę sądził, że rządca Krwi po prostu go zabije.

Ale Piżmo przerwał tylko bełkoczącemu gwardziście mocnym szturchnięciem i powiedział:

– Zewnętrzne drzwi zawsze należy dokładnie zamykać. Dobrej zabawy. – Odwrócił się i wyszedł. Za nim posłusznie ruszył gwardzista.

Dygocząc jak galareta, Jedwab odczekał, aż usłyszy dźwięk zamykanych drzwi wejściowych do apartamentu. Wtedy wyszedł z łoża. W ustach miał sucho, kolana pod nim drżały.

– A co ze mną? – zapytała kobieta.

Mówiąc to, odsunęła czerwony jedwabny koc, odsłaniając zadziwiająco krągłe piersi i wąską talię.

Jedwab gwałtownie wciągnął w płuca powietrze i odwrócił wzrok.

– No właśnie, co z tobą? Czy mam cię zastrzelić? Roześmiała się i szeroko rozłożyła ramiona.

– Jeśli tylko do tego jesteś zdolny, zastrzel. – A kiedy Jedwab milczał, dodała: – Mogę mieć oczy otwarte? Chcę widzieć, jak to nadchodzi. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Zrób to szybko, ale zrób. I zrób to dobrze.

Ponieważ rozmawiali ściszymi głosami i światło w sypialni przygasło, Jedwab kopnął w łóżko, by ponownie zasilić je energią.

– Musieli podać ci jakiś napój miłosny. Rano będziesz czuła się zupełnie inaczej.

Przesunął bezpiecznik w górę i odłożył igłowiec.

– Niczego mi nie podali. – Kobieta oblizwała usta, obserwując bacznie reakcje Jedwabia. – Napój miłosny, jak to raczyłeś nazwać, zażyłam przed pojawieniem się tu pierwszego.

– Rdze?

Kłęczał obok łóżka i macał pod nim w poszukiwaniu ubrania. Z ulgą stwierdził, że lęk zupełnie już go opuścił. Sphigx o Lwim Sercu wciąż była po jego stronie.

– Skądże – odparła piękna kobieta pogardliwie. – Rdza nie wywołuje takiego efektu. Czy ty o niczym nie wiesz? Po rdzy ogarnęłaby mnie żądza mordy, zapewne wszystkich bym pozabijała. A to nazywa się żebraczy korzeń i największe znużenie potrafi zamienić w najprawdziwszą rozkosz.

– Rozumiem. – Jedwab wyciągnął spod łóżka sutannę i podartą tunikę.

– Chcesz trochę? Mam go dużo, a potrzeba tylko szczypty. – Zsunęła z łoża zdumiewająco długie nogi. – Jest wprawdzie sporo droższy od rdzy i trudniej go dostać, ale w tej chwili mam fantazję na szcudrość. Zazwyczaj... zresztą zaraz sam się przekonasz.

Przesłała Jedwabowi uśmiech, na widok którego serce podskoczyło mu w piersi. Wstał z podłogi i cofnął się w głąb sypialni.

– Nazywają to żebraczym korzeniem, bo po jego zażyciu żebrzesz – ciągnęła piękna kobieta. – Tak jak ja błagam ciebie teraz, byś mnie wysłuchał. Zobaczysz, naprawdę ci się spodoba.

Jedwab potrząsnął głową.

– Chodź i usiądź obok mnie. – Poklepała dłonią wzburzoną pościel. – Tylko o to cię proszę... przynajmniej teraz. Przed chwilą jeszcze byłeś ze mną w łożu.

Próbował wciągnąć przez głowę tunikę, ale przy najmniejszym ruchu okropnie bolała go prawa ręka.

– To ciebie szukają, prawda? Czyżbyś się nie cieszył, że o niczym im nie powiedziałam? Powinieneś być mi wdzięczny. Piżmo potrafi być bardzo nieprzyjemny... Pomóc ci?

– Nawet nie próbuj – odparł i cofnął się jeszcze o krok. Zsunęła się z łóżka i sięgnęła po szlafrok. Ponieważ była naga, Jedwab odwrócił się i zamknął oczy.

Zachichotała, a on nieoczekiwanie przypomniał sobie Pleśń, szaloną dziewczynę.

– Naprawdę jesteś augurem. Nazwał cię patere... Zapomniałam. Czy chcesz odzyskać swoją czapczkę? Ukryłam ją pod poduszką.

Jedwab nie chciał się domyślać, do czego służyłaby *calotte* patere Płetwy, gdyby zostawił ją tej kobiecie.

– Tak – powiedział. – Proszę, oddaj mi ją.

– Jasne. Ale coś za coś. Potrząsnął głową.

– Przecież sam tu do mnie przyszedłeś. Choć zachowujesz się dziwnie, znasz moje imię.

– Przybyłem tu, by odnaleźć Krew.

– Nie polubisz go, patere. – Hiacynt ponownie się roześmiała. – Nikt go nie lubi, nawet Piżmo.

– A więc mu współczuję. – Jedwab ponownie próbował unieść tunikę nad głowę i znów ramię przeszył mu palący ból. – Przybyłem do tego domu, by powiedzieć mu, co ma zrobić, aby wszyscy go lubili, a nawet kochali.

– Cóż, patere, jak wiesz, nazywam się Hiacynt I jestem sławna. Z wyjątkiem ciebie lubią mnie wszyscy.

– Ależ lubię cię – zaprotestował Jedwab. – To jeden z powodów, dla których nie spełnię twych pragnień. Wprawdzie najmniej istotny, ale zawsze powód.

– Poza tym ukradłeś mi azoth, patere. Widzę, że zatknąłeś go za ten sznur.

Jedwab skinął głową.

– Zamierzałem ci go zwrócić. Ale masz rację, wziąłem go bez twego pozwolenia, a to jest kradzież. Przykro mi, chwilowo go zatrzymam. Mam do wykonania niebywale doniosłe zadanie. – Spodiewając się protestów, zamilkł, lecz Hiacynt nic nie powiedziała. – Jeśli wrócę bezpiecznie do domu, dopilnuję, by ci go zwrócono wraz z igłowcem.

– Bałeś się gwardzystów. Tu, leżąc w moim łóżku. Bałeś się tego, który towarzyszył Piżmu. Bałeś się, że cię zabije.

– Tak – wyznał Jedwab. – Jeśli chcesz znać prawdę, byłem przerażony. A teraz boję się ciebie, boję się, że ci ulegnę, hańbiąc moje powołanie i tracąc łaskę nieśmiertelnych bogów.

Wybuchnęła śmiechem.

– Masz rację. – Jedwab jeszcze raz próbował włożyć tunikę i ponownie ramię go zabolalo. – Z całą pewnością do odważnych nie należę. Ale przynajmniej mam odwagi na tyle, by się do tego przyznać.

– Poczekaj tutaj i nigdzie nie odchodź. Chcę ci coś dać.

Otworzyła drzwi balneum. Kiedy je za sobą zamknęła, przyszło mu do głowy, że *calotte* patere Płetwy wciąż jest ukryta pod poduszką. Kierowany niejasnym impulsem, który nakazuje wędrowcom zawracać z drogi po jakieś zapomniane z domu głupstwo, wyciągnął czapeczkę spod poduszki i włożył na głowę.

Z balneum wyszła Hiacynt w rozpiętym od góry do dołu szlafroku. Trzymała w ręku złoty kubeczek, nie większy od naparstka, wypełniony do połowy proszkiem ceglatego koloru.

– Proszę, patere. Wysyp sobie trochę na wargę.

– Nie chcę. Wiem, że masz dobre intencje, ale mimo to boję się.

Wzruszyła ramionami i sama wysunęła dolną wargę. Przez moment wyglądała bardzo brzydko i Jedwabia ogarnęła ulga. Kiedy już wysypała całą zawartość naczynka między wargę a dziąsło, przesłała mu uśmiech.

– To najlepsze, co może być. Naprawdę nie chcesz? Mam tego dużo.

– Nie – powtórzył. – Muszę już iść. Dawno już powinienem był to uczynić.

– Jak chcesz. – Znów popatrzyła na kamień w rękojeści azotha. – I nie zapominaj, że on należy do mnie. Dostałam go od bardzo ważnej osobistości. Jeśli zamierzasz mi go ukraść, nie będę ci pomagać. Naprawdę jesteś augurem?

Jedwab ciężko westchnął.

– Obawiam się, że nie będę już nim długo. Jeśli chcesz mi pomóc, powiedz, gdzie o tej porze znajdę Krew. Czy już udał się na spoczynek?

Oczy jej rozbłysły, energicznie potrząsnęła głową.

– Zapewne zagna ostatnich gości. Co wieczór pojawiają się tu komisarze i ich okołodupcy. Za każdym razem najważniejszego przysyła do mnie. Straciłam już rachubę, ale było ich sześciu lub siedmiu.

– Wiem. – Jedwab próbował ukryć rękojeść azotha w zwojach liny. – Leżałem w twojej pościeli.

– Sądzisz, że powinnam ją zmienić? Myślałam że mężczyznom na tym nie zależy.

Jedwab uklęknął i wyciągnął spod łóżka słomkowy kapelusz o szerokim rondzie.

– Wątpię, by takim mężczyznom na tym zależało.

– Mogę wezwać służbę.

– Wszyscy mnie poszukują i są zajęci.

Rzucił kapelusz na łóżko i próbował jeszcze raz uporać się z tuniką.

– Ale nie pokojówki. – Wzięła tunikę z jego rąk. – Sam wiesz najlepiej, że twoje oczy pragną mnie oglądać. Nie bądź dla nich zbyt okrutny.

– Setki mężczyzn musiało już chwalić twoją urodę. Czy chcesz wywołać niezadowolenie bogów, słuchając tego jeszcze raz? Ja nie. Wciąż jestem młody i mam nadzieję, że przed śmiercią bóg mi się objawi.

Kusiło go, by dodać, że zapewne stracił już taką okazję, kiedy wszedł do jej pokoju, ale poskromił język.

– Nigdy jeszcze nie miałeś kobiety? – zapytała.

Nie chcąc odpowiadać wprost, potrząsnął tylko głową.

– No cóż, to pozwól przynajmniej, bym pomogła ci włożyć tunikę.

Uniosła ją wysoko. Jedwab niezdarnie zaczął wsuwać ramiona w rękawy, a wtedy Hiacynt wyrwała azoth zza liny, którą owinięty był w pasie, i odskoczyła w stronę łoża.

Kompletnie oszołomiony Jedwab spoglądał na nią baraním wzrokiem. Jej palec spoczywał na demonie, otworem klingi celowała prosto w jego serce. Dał krok do tyłu i uniósł ręce w pojednawczym geście.

Hiacynt przyjęła postawę szermierza.

– Mówi się, że dziewczęta walczą jak żołnierze w Trivigaunte.

Wykonała dwie niezgrabne parady, niby to nadziejąc na ostrze i tnąc klingą przeciwnika.

– Zamierzasz wezwać gwardzistów? – spytał Jedwab, który już jako tako odzyskał panowanie nad sobą.

– Nie. – Znow zrobiła wypad, po czym się cofnęła. – Czyż nie wyglądam jak wytrawny szermierz, patere? Popatrz na moje nogi.

– Nie, nie sędzę.

– Dlaczego nie? – spytała z kwaśną miną.

– Ponieważ szermierki trzeba długo się uczyć i ćwiczyć codziennie w pocie czoła. Należy przyswoić sobie ogromną wiedzę. A mówiąc uczciwie, wolałbym kobietę niższą i brzydszą od ciebie, nie zainteresowaną tak bardzo własną urodą i flakonikami w balneum.

Hiacynt jakby nie usłyszała tej uwagi.

– Jeśli naprawdę nie możesz zrobić, czego sobie życzę... znaczy się, jeśli nie zrobisz tego... czy

nie mógłbyś użyć tego azotha? I całować mnie, i udawać? Pokazałabym ci, gdzie masz włożyć wielki klejnot, a ty po chwili zmieniłbyś zdanie.

– Czy nie ma żadnego antidotum? – Chcąc ukryć wyraz swej twarzy, podszedł do okna i rozchylił zasłony. Na tarasie przy martwym ptaku nie było nikogo. – Masz tyle ziół. Jeśli istnieje jakieś antidotum, z pewnością je posiadasz.

– Nie chcę żadnego antidotum, patere. Chcę ciebie. – Położyła mu dłoń na ramieniu, wargami musnęła płatek jego ucha. – A jeśli sądzisz, że wyjdiesz stąd bezkarnie, to grubo się mylisz. Koty rozerwą cię na strzępy.

Obok jego ucha przemknęła klinga azotha, dotarła do znajdującego się pięćdziesiąt łokci niżej tarasu i rozcięła martwego ptaka na pół, zostawiając na kamiennych płytach długi, dymiący ślad. Jedwab gwałtownie odskoczył.

– Na miłość Paha, uważaj!

Hiacynt niczym tancerka zawirowała w miejscu i ponownie nacisnęła demon. Lśniaca klinga przemknęła przez izbę niczym letni upał, zawarty w strasznej broni nieograniczony ładunek warczącej śmierci rozdzielił wszechświat, rozdarł zasłony niczym brzytwa, odłupał kawał tynku ze ściany i część okiennej framugi. Wszystko to spadło obok stóp Jedwabia.

– Teraz ty – powiedziała Hiacynt. Powiodła azothem wokół siebie, zostawiając szkaradne rysy na ścianach sypialni, po czym zbliżyła się do Jedwabia. – Powiedz „tak”, a oddam ci broń.

Kiedy dał nurka za okno, warcząca klinga rozcięła tuż za nim kamienny parapet. Nie czuł strachu, stłumiła go okropna świadomość, że opuszcza piękną Hiacynt.

Gdyby uderzył w wyłożony kamiennymi płytami taras głową, zostałoby mu zaoszczędzone wiele bólu. Ponieważ jednak wywinął w powietrzu kozła, spadł na nogi. Ogarnęła go tylko chwilowa ciemność, jaką zna każdy bokser powalony na deski. Przez kilka sekund, a może kilka minut, leżał obok rozciętego na pół siwogłowego i słyszał dobiegające z okna wołanie dziewczyny. Poszczególnych słów jednak nie rozróżniał.

W końcu spróbował wstać, ale nie zdołał. Przeczował się zatem wzdłuż muru jakieś dziesięć kroków i zanim gwardzista w srebrzystej zbroi wyjął mu z ręki igłowiec, zdążył zastrzelić dwa rogate koty, które Pleśń nazywała rysiarni.

Po jakimś czasie, który wydawał się niesłychanie długi, pojawili się nie uzbrojeni słudzy. Nieśli pochodnie, ich blaskiem odganiając dzikie bestie. Pod nadzorem zażywnego, niskiego mężczyzny zawinięto Jedwabia w koc i zaniecono z powrotem do willi.

Transakcja

Nie jest to dużo – oświadczył zażywny, niski mężczyzna. – Ale przynajmniej na razie należy do mnie. Mówił o sporym i niezwykle zagraconym pokoju w północnym skrzydle willi Krwi. Przez chwilę grzebał w szufladzie. Następnie do niezgrabnie wyglądającego pistoletu zamontował płaską flaszkę, wsunął lufę broni w jedną z dziur w tunice Jedwabia i wypalił.

Jedwab poczuł ostry ból, jakby użądliła go pszczoła.

– Ten środek działa na wiele osób zabójczo – poinformował go niezwykle opiekun. – Dlatego muszę sprawdzić, czy i ty do nich należysz. Jeśli zaraz nie umrzesz, zwiększę dawkę. Czy masz trudności z oddychaniem?

Zaciskając zęby z przewiercającego mu kostkę bólu, Jedwab zaczerpnął głęboko tchu i pokręcił głową.

– To dobrze. Zresztą zaaplikowałem najmniejszą dawkę. Nie zabiłaby cię, nawet gdybyś był na ten specyfik uczulony, ale pomoże na te głębokie zadrapania. Jeśli poczujesz się źle, znaczyć to będzie, że nie wolno dawać ci więcej lekarstwa. – Dziwny opiekun pochylił się i zajrzał Jedwabiowi w oczy. – Weź głęboki wdech, a następnie wypuść powietrze z płuc.

Jedwab spełnił polecenie.

– Jak się nazywasz, doktorze?

– Rzadko używamy tu imion. Nic ci nie jest. Wyciągnij ramię.

Jedwab znów posłusznie spełnił polecenie i poczuł następne ukłucie.

– To odpędzi ból i powstrzyma infekcję. – Medyk przykucnął, podciągnął Jedwabiowi nogawkę i przytknął mu do łydki osobliwie wyglądający pistolet.

– Tym razem nie zadziałał – stwierdził Jedwab.

– Zadziałał, tylko już nie czujesz bólu. Musimy zdjąć but. – Jestem patere Jedwab.

Zażywny, niski mężczyzna podniósł na niego wzrok.

– A ja doktor Żuraw. Możesz się śmiać. Naprawdę jesteś augurem? Tak twierdzi Piżmo.

Jedwab potakująco skinął głową.

– I wyskoczyłeś z okna drugiego piętra? Nie rób tego nigdy więcej. – Doktor Żuraw rozwiązał sznurowadło i ściągnął Jedwabiowi but. – Moja matka miała nadzieję, że wyrosnę na człowieka o pokaźnym wzroście. Sama była wysoka i lubiła wysokich mężczyzn. Mój ojciec był niski.

– Rozumiem – mruknął Jedwab.

– Wątpię. – Doktor Żuraw pochylił się nad jego stopą. Na czaszce przez siwe włosy przeświecała mu różowawa skóra. – Muszę rozciąć skarpetkę. Gdybym ją ściągał, mógłbym jeszcze bardziej uszkodzić ci nogę. – Wyjął srebrzyste nożyczki, takie same jakie Jedwab widział w balneum pięknej Hiacynt. – Teraz już oboje nie żyją, więc nie ma to większego znaczenia. – Odrzucił rozciętą skarpetkę. – Chcesz zobaczyć, jak wyglądał mój tata?

Brak bólu był upajający, Jedwabiowi ze szczęścia kręciło się w głowie.

– Bardzo chcę. Proszę mi pokazać.

– Nic na to nie poradzę. Właśnie na niego patrzysz, gdyż wyglądam dokładnie jak on. Nie imiona, ale geny sprawiają, że jesteśmy tacy, jacy jesteśmy.

– To wola bogów. – Jedwab nie czuł najmniejszego bólu, choć lekarz macał palcami opuchniętą prawą kostkę. – Gdybyś był wysoki, powiedziałbyś, iż to dlatego, że matkę miałeś wysoką.

– Nie boli?

Jedwab potrząsnął głową.

– Ja w niczym nie przypominam swojej matki – rzekł. – Była drobnej budowy i ciemnowłosa. Nie mam pojęcia, jak wyglądał mój ojciec, lecz wiem, że wyrosłem na człowieka, jakiego zaplanował sobie, jeszcze przed moim urodzeniem, pewien bóg.

– Twoja matka nie żyje?

– Odeszła do Centralnego Procesora na miesiąc przed moim wyświeceniem.

– Masz niebieskie oczy. Jesteś dopiero drugą... nie, trzecią osobą o takich oczach, jaką spotykam w życiu. Szkoda, że nie wiesz, kim był twój ojciec. Chciałbym go zbadać. Spróbuj, czy możesz na tej nodze stanąć.

Jedwab dźwignął się z krzesła. Noga utrzymała jego ciężar.

– Świetnie. Teraz wesprzyj się na mnie, podejźmy do stołu. Położysz się na nim. To proste złamanie, ale muszę złożyć ci nogę i wsadzić ją w gips.

Najwyraźniej nikt nie zamierzał go zabijać. Jedwab wręcz napawał się tą myślą. Nikt nie zamierzał go zabijać, a więc wciąż istniała szansa, że uratuje manteion.

Krew był lekko wstawiony. Jedwab zazdrościł mu tego stanu prawie tak samo mocno jak tego, że posiadał manteion. Krew, jakby czytając w jego myślach, zapytał:

– Nikt ci jeszcze niczego nie podał, patere? Piżmo, przynieś mu coś do picia.

Młody przystojniak wyszedł, a Jedwab natychmiast poczuł się odrobinę lepiej.

– Mamy też inne środki, patere, ale nie sądzę, byś ich używał.

– Twój medyk podał mi już środek przeciwbólowy. Nie byłoby rozsądne mieszać go z jakimś

innym. – Choć działanie leku już minęło, robił wszystko, by nie pokazać tego po sobie.

– Masz rację. – Krew wychylił się z obitego czerwona skórą wielkiego fotela tak daleko, aż Jedwab w pewnej chwili obawiał się, że gospodarz spadnie na podłogę. – Do wszystkiego podchodzić lekko, to moja dewiza. Zawsze jej hołdowałem. I ty też do swego objawienia powinieneś podchodzić lekko.

Jedwab potrząsnął głową.

– Bez względu na to, co mi się przytrafiło, nie mogę przyznać ci racji.

– Jak to?! – Krew, krzywiąc twarz w szerokim uśmiechu, udawał oburzenie. – Czyżby objawienie kazało ci włamywać się do mego domu? Nie, nie, patere. Nie próbuj mi tego wmawiać. Kierowała tobą chciwość. A przecież za tę właśnie wadę rugałeś mnie wczoraj na ulicy. Sybilla powiedziała ci, że kupiłem manteion, więc pomyślałeś, że tak bogatego człowieka warto okraść. Nie opowiadaj bajeczek. Już ja się na tym znam.

– Przybyłem, by odebrać ci manteion – wyjaśnił Jedwab. – Tak, on z pewnością jest wiele wart. Nabyłeś go legalnie, ale ja zamierzałem ci go odebrać.

Krew splunął, rozejrzał się za swoim trunkiem i odkrył, że kieliszek leży na dywanie.

– Co kombinowałeś? Zamierzałeś zrobić jakiś przekręt z moimi papierami? Nic z tego, Piżmo za dwie karty zrobiłby nowe kopie dokumentów.

– Chciałem skłonić cię do przepisania manteionu na mnie – odparł Jedwab. – Zamierzałem ukryć się w twojej sypialni i zagrozić ci śmiercią, gdybyś nie chciał spełnić moich żądań.

Otworzyły się drzwi i w progu pojawił się Piżmo. Za nim kroczył lokaj w liberii i z tacą. Położył ją na inkrustowanym stoliku obok Jedwabia.

– Czy to wszystko, proszę pana?

Jedwab sięgnął po szklankę napelnioną białym jak woda trunkiem i upił łyk.

– Tak, dziękuję. I tobie dziękuję, Piżmo.

Gdy lokaj opuścił już pokój, rządcą kwaśno się uśmiechnął.

– Zaczyna to być interesujące. – Krew pochylił się w stronę Jedwabia. Jego szeroka, czerwona twarz była jeszcze kraśniejsza niż zazwyczaj. – Naprawdę byś mnie zabił, patere?

Jedwab, który nie byłby w stanie nikogo zabić, wiedział, że Krew i tak by mu nie uwierzył.

– Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Rozumiem. Rozumiem. Czy nie wpadło ci do głowy, że natychmiast po twoim wyjściu skontaktowałbym się z przyjaciółmi w gwardii miejskiej? Nie musiałbym nawet zatrudniać własnych ludzi, wszystko za mnie zrobiłyby władze.

Krew wybuchnął śmiechem, Piżmo również dyskretnie zasłonił dłonią usta, kryjąc uśmiech.

Jedwab pociągnął kolejny łyk ze szklanki. Przez chwilę zastanawiał się, czy do trunku nie dodano narkotyku. Doszedł do wniosku, że gdyby chcieli oszołomić go jakimiś środkami, nie musieliby wcale uciekać się do takich podstępów. Niemniej trunek był bardzo mocny. Z narkotykiem czy bez, potrafił ukoić ból w kostce. Ostrożnie pociągnął następny łyk. Tej nocy pił już brandy, którą postawił mu Kocur. Odniósł wrażenie, że od tamtego czasu upłynęły całe lata. Z pewnością ta szklaneczka mu nie zaszkodzi (choć rzadko kiedy pił coś mocniejszego od wody).

– Nie wpadło ci to do głowy? – Krew pogardliwie parsknął. – Mam kilku ludzi, którzy choć dla mnie pracują, są niewiele od ciebie mądrzejsi, patere.

Jedwab odstawił szklankę na tacę.

– Zamierzałem zmusić cię do podpisania oświadczenia. Jedynie to przyszło mi na myśl, i to właśnie zamierzałem uczynić.

– Do podpisania jakiego oświadczenia?

– To nieistotne. – Jedwabia ogarnęło nagle okropne zmęczenie, otulające go niczym płaszcz. Nigdy by nie przypuszczał, że krzesło, na którym siedział, okaże się tak wygodne; mógłby w nim przespać kilka dni. – Na przykład, że spiskowałeś w celu obalenia Ayuntamiento. Coś w tym rodzaju. – Żeby powstrzymać się przed ziewaniem, zaczął głęboko oddychać i przypominał sobie różne żenujące zdarzenia, jakie miały miejsce w palestrze. W stopie czuł tylko lekkie pulsowanie. Magia alkoholu odegnała ból gdzieś daleko. – Później przekazałbym zapieczętowany dokument jednemu z moich... innemu augurowi, komuś, kogo dobrze znam i komu bezgranicznie ufam. Zamierzałem wymóc na nim obietnicę, że gdyby spotkała mnie jakaś zła przygoda, natychmiast dostarczyłby dokument do Juzgado. Coś w tym rodzaju.

– Nieźle. – Krew wyciągnął mu zza paska malutki igłowiec pięknej Hiacynt, odbezpieczył go i wycelował Jedwabowi w serce.

Piżmo zmarszczył brwi i dotknął lekko ramienia swego pracodawcy.

– Och, nie podchodź do tego tak poważnie! – Krew zachichotał. – Chciałem tylko sprawdzić, jak się zachowa. Najwyraźniej nie zrobiło to na nim większego wrażenia.

Maleńkie, złowieszcze oko igłowca skierowało się w prawo i plunęło. Stojąca obok Jedwabia szklanka rozprysnęła się na kawałki, zasypując go kroplami palącego trunku.

Jedwab strząsnął z ubrania połyskliwe kawałeczki szkła.

– Co mam przepisać na twoją korzyść? Uczynię to z chęcią. Podaj mi tylko papier.

– Nie wiem. – Krew położył inkrustowany złotem igłowiec na stoliku, obok swojej szklanki z alkoholem. – A co posiadasz, patere?

– Dwie szuflady pełne odzieży i trzy książki. Nie, dwie. Własną kopię Pisma sprzedałem.

Paciorki... mam je przy sobie, więc jeśli chcesz, mogę ci je oddać zaraz. Przyniosłem też stary piórnik, ale został wraz z sutanną w pokoju tamtej kobiety. Niech ktoś go przyniesie, a ja podpiszę oświadczenie, że wszedłem na dach twego domu, a następnie wdarłem się do środka bez twego pozwolenia.

Krew potrząsnął głową.

– Nie potrzebuję twego oświadczenia, patere. Przecież mam ciebie.

– Jak chcesz. – Jedwab oczyma duszy ujrział swoją sypialnię usytuowaną nad kuchnią na plebanii. – Posiadam też gammadion, krzyż Paha. Jest z żelaza, lecz zawieszony na srebrnym łańcuchu, a zatem przedstawia pewną wartość. Mam też stary, przenośny ołtarzyk, który należał jeszcze do patere Płetwy. Trzymam go na swej toalecie, więc można powiedzieć, że należy do mnie. Składa się z nader interesującego tryptyku, niewielkiej polichromowanej lampki, ofiarnego obrusu i tekowej skrzynki, w której to wszystko się nosi. Chcesz mieć ten ołtarzyk? Zamierzałem, oczywiście głupio, przekazać go swemu następcy.

Ofertę Jedwabia Krew zbył lekceważącym machnięciem ręki.

– Jak udało ci się sforsować bramę?

– Nie forsowałem. Wyciąłem w lesie konar i przywiązałem do niego sznur. Zarzuciłem gałąź za szpikulce na murze, a potem wspiąłem się po linie.

– Musimy o tym w przyszłości pomyśleć. – Krew popatrzył znacząco na Piżma. – Mówisz, że byłeś na dachu, a zatem to ty zabiłeś Hieraxa.

Jedwab gwałtownie się wyprostował, jakby ktoś wyrwał go z głębokiego snu.

– Nadałeś mu imię boga?

– Piżmo tak go nazwał. Dlaczego nie?

– Był to płowy sęp, ptak żyjący w górach – wyjaśnił cicho Piżmo. – Piękny. Myślałem, że nauczę go zabijać na mój rozkaz.

– Ale się nie udało – wtrącił Krew. – Piżmo wpadł w złość i nawet chciał go zarżnąć. Mój rządca ma tu całą ptaszarnię.

Jedwab uprzejmie skinął głową. Paterę Płetwa zauważył przy jakiejś okazji, że na podstawie wyglądu człowieka trudno stwierdzić, co sprawia mu przyjemność. Obserwując Piżma, Jedwab doszedł do wniosku, że stanowczo nie doceniał bystrości sądów swego poprzednika.

– Skoro nie chciał ptaka, poprosiłem, by podarował go mnie – ciągnął Krew. – Trzymałem Hieraxa na dachu.

– Rozumiem. Podciąłeś mu skrzydła.

– Zrobił to jeden z pomagierów Piżma – wyjaśnił Krew. – Tak więc ptaszysko nie mogło latać. I

nie polowało.

Jedwab z zadumą pokiwał głową.

– Ale mnie zaatakował. Chyba dlatego, że podniosłem kawałek ścierwa. Stoczyliśmy się po dachu do samych blanek i... nie, nie będę mówił na niego Hierax; Hierax to święte imię... i wtedy on w ferworze walki zapomniał, że nie może latać.

Krew sięgnął po igłowiec.

– Twierdzisz, że jago zabiłem. To wierutne łgarstwo! Ty go zabiłeś.

Jedwab skinął głową.

– Był to nieszczęśliwy wypadek. Ale jeśli chcesz, dobrze, ja go zabiłem. Ostatecznie miałem taki zamiar.

– I ukradłeś małej Hiacynt igłowiec, a ona wyrzuciła cię przez okno. Spadłeś z wysokości dobrych trzydziestu łokci. Dlaczego jej nie zastrzeliłeś?

– A ty na moim miejscu zrobiłbyś to? – odparł pytaniem Jedwab.

– I nakarmił nią ptaki Piżma – rzekł ze złowieszczym uśmiechem Krew.

– To, co uczyniłem już tobie, jest dużo gorsze od tego, co spotkało mnie ze strony tej dziewczyny. Nie powiedziałem jeszcze, co zamierzałem z tobą zrobić. Czy teraz mnie zastrzelisz?

Jedwab postanowił, że jeśli Krew go zaatakuje, mimo zranionej nogi spróbuje wyrwać mu igłowiec z ręki. Przystawi lufę do głowy Krwi i może wtedy puszcza go wolno. Sprężył się do skoku. Oceniając odległość dzielącą go od gospodarza willi, przesunął się na sam skraj fotela.

– Mogę cię zabić w każdej chwili, patere. – Krew bawił się bronią, obracał ją w rękę, podrzucał, ważył w dłoni. Nie wyglądał już na pijanego. – Sam rozumiesz, mam nadzieję, że rozumiesz, iż my nie dopuściliśmy się żadnego występku; nikt z nas. Ani ja, ani Piżmo, ani żaden z moich ludzi.

Jedwab już otwierał usta do odpowiedzi, lecz zdecydował się milczeć.

– Uważasz, że coś wiesz? Pozwól, że zgadnę. Powiedz mi, jeśli się mylę. Rozmawiałaś z Hia, więc uważasz, że jest kurwą. Jeden z moich dzisiejszych gości podarował jej ten azoth. Drobnny podarek, ale jak na radcę całkiem przyzwoity. Może też przechwalała się przed tobą innymi prezentami. Trafiłem?

Jedwab nie spuszczał wzroku z igłowca.

– Podobno miała kilku... gości – rzekł wymijająco. Krew zarechotał.

– Piżmo, spójrz, jak on się rumieni. Tak, patere, ale oni jej nie płacą, więc nikt nie łamie prawa. To moi goście, a Hia jest jedną z moich rezydentek. Jeśli więc chce komuś uprzyjemnić czas, to sprawa jej i moja, nie twoja. Powiedziałaś, że przybyłeś do mnie, by odzyskać manteion. Cóż, wcale

go tobie nie odebraliśmy. – Krew szturchnął lekko Jedwabia w twarz lufą igłowca. – Skoro mamy rozmawiać o czynach nielegalnych, pomówmy też o tym, co jest legalne. A legalnie manteion nigdy do ciebie nie należał. Zgodnie z dokumentami należał do Kapituły. Czy mam rację?

Jedwab w milczeniu skinął głową.

– A miasto przejęło manteion od Kapituły za nie zapłacone podatki. Od Kapituły, nie od ciebie, ponieważ nigdy nie był twoją własnością. Sprawę załatwiliśmy w zeszłym tygodniu. Zgodnie z prawem. Dopełniliśmy wszystkich formalności, Kapituła została powiadomiona i tak dalej, i tak dalej. Czy nikt cię o tym nie poinformował?

– Nie. – Jedwab ciężko westchnął. – Zdawałem sobie sprawę, że może do tego dojść, i ostrzegałem Kapitułę. Ale nikt mnie nie poinformował, że to już się stało.

– A zatem winni są tobie przeprosiny, patere. Mam nadzieję, że cię przeproszą. Ale to już nie ma żadnego związku ani z Piżmem, ani ze mną. Piżmo nabył manteion od miasta i nie ma w tym nic osobliwego. Działał w moim imieniu, płacił moimi pieniędzmi, ale w tym też nie ma nic niezgodnego z prawem. To po prostu układ finansowy między mną a nim. Zapłaciliśmy trzynaście tysięcy kart i opłaty manipulacyjne. Niczego nie ukradliśmy. Nie wyrządziliśmy krzywdy tobie... ani nikomu innemu.

– Gdy zamkniecie manteion, skrzywdzicie całą dzielnicę, kilka tysięcy ubogich rodzin.

– Mogą chodzić gdzieś indziej, ale to już sprawa Kapituły. – Krew wskazał lufą igłowca szramy na piersi Jedwabia. – Trochę cię tu poturbowano, nikt temu nie zamierza zaprzeczać. Ale wszcząłeś bójkę z moim ulubionym ptakiem i wyskoczyłeś przez okno. Hia użyła azoth w samoobronie, do czego miała pełne prawo. Nie zamierzałeś węszyć wokół niej, prawda?

– Węszyć?

– By później iść ze skargą na jej krzywdę.

– Rozumiem. Oczywiście nie.

– To dobrze. Cieszy mnie, że mam do czynienia z człowiekiem rozsądnym. Spójrz na to od tej strony. Włamujesz się do mego domu z zamiarem zrabowania mi mojej własności... Należy wprowadzić do Piżma, lecz o tym akurat nie wiedziałeś. Przyznałeś się do tego przede mną i przed nim, i jeśli zajdzie konieczność, zeznamy tak przed sądem.

Jedwab uśmiechnął się; odniósł dziwaczne wrażenie, że upłynęło dużo czasu od chwili, gdy uśmiechał się po raz ostatni.

– Nie zamierzasz mnie zabić, prawda? Nie podejmiesz aż takiego ryzyka.

Palec Krwi powędrował do spustu igłowca.

– Gadaj tak jeszcze trochę, a cię zastrzelę, patere.

– Nie wierzę. Zrobiłby to za ciebie ktoś inny, zapewne Piżmo. Ale nie masz zamiaru przekazywać

mnie w jego ręce. Chcesz mnie tylko zastraszyć, po czym puścisz wolno.

Krew popatrzył na Piżma, który skinął głową i stanął za krzesłem Jedwabia. Paterę poczuł na uszach ucisk jego palców.

– Jeśli dalej będziesz rozmawiał w takim tonie, patere, spotka cię krzywda. Nie zostaną wprowadzić żadne ślady, ale będzie to dla ciebie przykre. Piżmo jest w tym naprawdę dobry. Robił już nie takie rzeczy.

– Ale nie augurowi. Kto krzywdzi augura, naraża się na niezadowolenie bogów.

Ból był nagły i przeraźliwy. Jedwab stracił dech, przed oczyma stanęły mu świece. Eksplozja bólu była tak straszna, jakby miażdżyli mu głowę.

– Są takie miejsca za uszami – wyjaśnił uprzejmie Krew. – Piżmo nacisnął je kłykciami.

Łapiąc spazmatycznie powietrze, przyciskając dłonie do piersi, Jedwab nie był w stanie nawet krzyknąć.

– Jeśli nas zmusisz, powtórzymy to niejedyn raz – ciągnął Krew. – A kiedy nam się ta zabawa znudzi, pójdziemy spać i rano zaczniemy od początku.

Czerwona mgła przed oczyma Jedwabia powoli ustępowała.

– Nie musisz wyjaśniać mi sytuacji – wydukał z najwyższym trudem.

– Może i nie, ale wyjaśnię. Wróćmy do tematu. Masz rację, jeśli sam nas do tego nie zmusisz, nie chcemy cię zabijać. Istnieją ku temu trzy lub cztery powody, i każdy z nich jest dobry. Po pierwsze, jesteś augurem. Jeśli nawet kiedyś bogowie czuwaliby nad Vironem, przestali już dawno. Osobiście nie wierze, by kiedykolwiek istnieli. To tylko wymysł ludzi twego pokroju, którzy chcieliby mieć wszystko bez pracy. Ale Kapituła zaczęłaby cię szukać i jeśli wyszłoby na jaw, że to nasza sprawa – mam na myśli zwykłe plotki, gdyż nikt nam niczego nie udowodni – ludzie zaczęliby szemrać. A to odbiłoby się niekorzystnie na naszych interesach.

– A zatem moja śmierć nie poszłaby na próżno – mruknął Jedwab i znów poczuł za uszami dotyk palców Piżma.

Krew dał znak, przerywając kolejną dawkę bólu, który ustalił się na w miarę znośnym poziomie.

– Po drugie, kupiliśmy właśnie twój manteion, więc jeśli znikniesz, ludzie zaczną snuć domysły. Czy wspominałeś komuś, dokąd się wybierasz?

Tu leżał pies pogrzebany. Jedwab był gotów w ostateczności skłamać, lecz w miarę możliwości wolał tego unikać.

– Masz na myśli któraś z sybilli? Nie, nic im nie mówiłem. Krew skinął głową i kolejne niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

– Ale i tak mogłoby to zwrócić czyjąś uwagę, a ja nie mam pewności, kto cię widział. Hia

zapewne nawet zna twoje imię.

Jedwab nie pamiętał wprawdzie, czy się jej przedstawił, ale rzekł:

– Tak, zna. Nie wierzysz jej? Przecież to twoja żona. Stojący za jego plecami Piżmo zachichotał, a Krew ryknął grzmiącym śmiechem. Z uciechy zaczął się bić ręką po udzie. Jedwab wzruszył ramionami.

– Jeden ze służących powiedział mi, że Hiacynt jest jego panią. A mnie oczywiście wziął za twego gościa.

Krew wytarł załzawione oczy.

– Paterę, ja ją po prostu lubię, a ponadto to najpowabniejsza kurwa w całym Vironie, więc jest towarem bardzo wartościowym. Co zaś... – Krew machnął ręką i zmienił temat. – Zmierzam do tego, że raczej chciałbym mieć w tobie przyjaciela.

Widząc wyraz twarzy Jedwabia, ponownie wybuchnął śmiechem.

– Moją przyjaźń łatwo zyskać – odparł Jedwab, siląc się na niedbały ton. Siedząc na murze i obserwując willę, tak właśnie wyobrażał sobie tę rozmowę; teraz szukał tylko gładkich, zgrabnych zdań i zwrotów. – Zwróć Kapitulę mój manteion, a będę cię błogosławić do końca życia.

Do oka spłynęła mu kropla potu. Obawiał się sięgnąć po chusteczkę, by Piżmo nie pomyślał, że chce wyciągnąć broń, więc otarł twarz rękawem.

– Nie nazwałbym twojej propozycji ponętną, patero. Za manteion zapłaciłem trzynaście tysięcy i nigdy już nie ujrzałbym tych kart. Ale gdyby nasza przyjaźń przysporzyła mi pieniędzy, nie miałbym nic przeciw temu. Jesteś zwykłym złodziejem. Sam to przyznałeś. Cóż, ja też nim jestem. – Wstał, przeciągnął się i rozejrzał po pokoju, jakby podziwiając jego bogate wnętrze. – Dlaczego więc krążymy wokół siebie jak dwa kocury gotowe w każdej chwili skoczyć na siebie z pazurami?

Piżmo musnął włosy Jedwabia, który poczuł się tym dotykiem splugawiony. – Przestań! Piżmo cofnął rękę.

– Jesteś odważnym człowiekiem, patero. I nader pomysłowym. – Krew przeszedł przez pokój i z uwagą zaczął studiować szarozłote malowidło przedstawiające Paha skazującego na zatracenie potępione duchy. Jedna twarz bóstwa wyrażała gniew; ustami drugiej ogłaszał wyrok. – Gdybym ja siedział na twoim miejscu, nie próbowałbym drażnić Piżma. Ty jednak spróbowałeś, i dość na tym. Jesteś młody, jesteś silny, masz wiele innych zalet, których brakuje większości ludzi. Jako augur jesteś powszechnie szanowany, a ponadto zdobyłeś imponujące wykształcenie. Nie przeczę, dużo większe od mego. Powiedz mi zatem, jak złodziej złodziejowi, czy nie miałeś najgłębszego przeświadczenia, że próba wykradzenia mojej własności jest rzeczą złą.

– Oczywiście. – Jedwab umilkł i przez chwile zbierał myśli. – Ale czasami trzeba wybierać mniejsze zło. Jesteś człowiekiem bogatym; jeśli nawet stracisz mój manteion, nie zbiedniejesz. Bez mego manteionu setki rodzin z dzielnicy, już teraz ubogich, staną się jeszcze biedniejsze. To chyba nieodparty argument. – Oślepiający ból nie nadszedł, toteż patero ciągnął dalej. – Twierdzisz, że

rozmawiamy ze sobą jak złodziej ze złodziejem, a więc chcesz, aby nasza rozmowa była szczerą. Mnie to też odpowiada.

Krew popatrzył na niego uważnie.

– Wierzę ci. Jestem tylko zaskoczony, że nie zastrześliłeś Hia. Twoi bogowie niejednokrotnie postępowali jeszcze gorzej, prawda?

Jedwab skinął głową.

– Pozornie tak, ale tylko pozornie. Bogowie stoją wyżej od nas i często postępują z nami wedle własnego widzimisię, podobnie ty bez najmniejszych skrupułów podciąłeś skrzydła swemu ptakowi. Ja nie stoję wyżej od Hia.

Krew zachichotał.

– Jesteś jedynym żyjącym mężczyzną, który tak uważa, patere. Cóż, kwestie moralne zostawiam tobie. W końcu to twój fach. Ja się zajmuję interesami, porozmawiajmy o interesach. Za twój manteion zapłaciłem miastu trzynaście tysięcy. Czy sądzisz, że jest tyle wart?

Jedwab przypomniał sobie radosne twarze dzieci w palestrze i pełne szczęścia uśmiechy na zmęczonych obliczach ich matek; słodki zapach dymu z ofiarnych ogni wzbijający się ponad ołtarz i ulatujący przez boską bramę w suficie.

– Licząc w pieniądzech? Jest bezcenny.

– No właśnie. – Krew wsunął igłowiec do kieszeni swych wyszywanych spodni. – Dlatego pojawiłeś się w moim domu, nie bacząc na to, że najprawdopodobniej zginiesz. A swoją drogą nie ty pierwszy próbowałeś się tu włamać, lecz tylko tobie udało się dostać do środka.

– Jest to pewna pociecha.

– Podziwiam cię i sądzę, że będziemy mogli ubić niewielki interes. Na wolnym rynku, patere, twój manteion wart jest dokładnie trzynaście tysięcy kart i ani jednej żalostnej bitkarty więcej. Wiemy o tym, gdyż dokładnie spenetrowaliśmy rynek i zapłaciliśmy trzynaście tysięcy. Tak zatem jest to cena człowieka interesu. Rozumiesz, o czym mówię?

Jedwab przytaknął.

– W związku z posesją, na której stoi manteion, poczyniłem pewne plany – mówił dalej Krew. – Po ich realizacji odniosę znaczne korzyści finansowe. Ale aż tak bardzo mi na tym nie zależy, gdyż jestem właścicielem wielu podobnych posesji. Dlatego mam dla ciebie propozycję. Twierdzisz, że manteion jest bezcenny. To znaczy wart bardzo dużo pieniędzy. – Obliznął usta i bacznie popatrzył na Jedwabia zmrużonymi oczyma. – Ale jako człowiek, który robi interesy gdzie tylko się da i nigdy nie oszukuje kontrahentów, twierdzę, że należy wypośrodkować te sumy. Zapłacisz mi dwukrotną cenę, jaką zapłaciłem ja, a manteion wróci do ciebie.

Jedwab chciał coś odpowiedzieć, lecz Krew powstrzymał go uniesieniem ręki.

– Pogadajmy jak dwaj wytrawni złodzieje. Sprzedam ci manteion za dwadzieścia sześć tysięcy płaskich. Wszelkie koszty manipulacyjne biorę na siebie. Żadnych sztuczek, żadnego podziału majątku. Bierzesz wszystko, co kupiłem.

Nadzieje, które rosły w sercu Jedwabia, z każdym wypowiedzianym przez Krew słowem rozwiewały się niczym dym. Czyżby Krew naprawdę sądził, że Jedwab jest aż tak majątny? Wielu laików uważało augurów za bogaczy.

– Już ci powiedziałem, że cały mój majątek nie jest wart nawet dwustu kart. Posiadłości mojej matki nikt by nie wycenił na dwadzieścia sześć tysięcy kart, a i tamten dom przeszedł nieodwołalnie w ręce Kapituły, gdy złożyłem śluby.

Krew uśmiechnął się szeroko.

– Jestem złodziejem, patere. Czy masz ochotę na następną szklaneczkę? Nie? Ale ja sobie golnę.

Kiedy Piżmo opuścił pokój, Krew poprawił się w fotelu.

– Wiem, że nie masz takiej kwoty, nie puściłem mimo uszu wszystkiego, co mówiłeś. Ale nie powinieneś zostawać na ulicy Słońca. Kto twierdzi, że skoro jesteś biedny, to musisz już do końca życia cierpieć nędze? Może teraz tego po mnie nie widać, ale kiedyś również klepałem biedę.

– Wierzę – powiedział Jedwab. Uśmiech na twarzy Krwi zgasł.

– I dlatego patrzysz na mnie z góry. Może to ułatwi sprawę.

– Nie. Uczyni ją jeszcze trudniejszą. Nigdy nie pojawiłeś się na ofiarach w naszym manteionie, choć przychodziło tam wielu złodziei, a ja byłem gotów nawet rabować inne manteiony dla dobra swojego. W głębi serca dobrze o tym wiedziałem i czułem za to do siebie pogardę.

W śmiechu Krwi nie było ani wesołości, ani przyjaźni.

– Tutaj zrobiłeś to samo.

– Jak widzisz.

– Paterę, rozumiem więcej, niż sądzisz. Widziałem w życiu więcej niż ty. Rozumiem, że chciałeś mnie obrabować, i prawie ci się ta sztuka udała. Przed minutą powiedziałeś, że uważasz mnie za takiego bogacza, iż nie poniosę większego uszczerbku, jeśli oddam ci cztery stare budynki przy ulicy Słońca. Czy uważasz, że jestem najbogatszym człowiekiem w Vironie?

– Nie.

– Dlaczego?

Jedwab wzruszył ramionami.

– Nawet gdy rozmawialiśmy na ulicy, nie uważałem cię za najbogatszego człowieka w mieście, choć nie wiem, kto jest najbogatszy. Pomyślałem jedynie, że jesteś bardzo zamożny, co z pewnością

jest prawdą.

– Masz rację, najbogatszy nie jestem – oświadczył Krew. – Ani też najniegodziwszy. Są tu ludzie zarówno bogatsi ode mnie, jak i bardziej niegodziwi. Wielu jest takich, patere, ale żaden z nich nie ma takich układów w Ayuntamiento jak ja. Warto, byś o tym pamiętał, bez względu na to, co sobie pomyślisz.

Jedwab milczał. Nie zmienił nawet wyrazu twarzy.

– Skoro więc pragniesz odzyskać manteion – ciągnął Krew – dlaczego nie odbierzesz go od nich? Cena, jak wspomniałem, wynosi dwadzieścia sześć tysięcy. I tylko to się dla mnie Uczy. Ale oni posiadają tyle samo co ja, a z większością z nich pójdzie ci dużo łatwiej niż ze mną. Czy ty mnie słuchasz, patere?

Jedwab niechętnie skinął głową.

Znowu otworzyły się drzwi i w progu pojawił się Piżmo, a za nim lokaj. Na tacy niósł dwie szklanki.

Krew sięgnął po swoją, a służący skłonił się przed Jedwabiem.

– Paterę Jedwab?

Wszyscy już w domu muszą wiedzieć, że zostałem schwytany, błysnęła Jedwabiowi myśl. I wszyscy z pewnością wiedzą, kim jestem.

– Tak – powiedział, nie widząc sensu w zaprzeczaniu.

– Sam sobie na to pozwoliłem, patere. Piżmo oświadczył, że mogę to zrobić. Czułbym się zaszczycony, gdybyś przyjął ode mnie ten trunek.

Jedwab sięgnął po szklankę, uśmiechnął się i rzekł:

– Dziękuję, mój synu. To niezwykle uprzejme z twojej strony. Lokaj rozpromienił się na króciutką chwilę.

– Jeśli zostaniesz schwytany – kontynuował Krew, gdy lokaj opuścił pokój – ja nic o tym nie wiem. Nigdy nie widziałem ciebie na oczy ani z tobą nie rozmawiałem. I tak musi zostać.

– Oczywiście. Ale dzisiejszej nocy dałeś mi do zrozumienia, że powinienem ukraść mnóstwo pieniędzy, by odkupić manteion; że ja, augur, powinienem włamywać się do domów innych ludzi, tak jak wdarłem się do twojego.

Krew upił łyk trunku.

– Mówię, że jeśli chcesz odzyskać swój manteion, mogę ci go sprzedać. Tylko tyle. A jak zdobędziesz pieniądze, to już twoja sprawa. Czy myślisz, że miasto pytało mnie, skąd mam kwotę, by zapłacić za manteion?

– To rozwiązanie jest możliwe do przyjęcia – przyznał Jedwab. – I jak dotąd jedyne.

Piżmo wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ale twój domowy lekarz twierdzi, że mam złamaną nogę w kostce – ciągnął Jedwab. – Upłynie dużo czasu, zanim wrócę do zdrowia.

Krew popatrzył nań z ukosa.

– Nie mogę, patere, dać ci nie ograniczonego terminu. – Rozumiem – mruknął Jedwab i przeciągnął dłonią po twarzy. – Ale trochę czasu mi dasz... musisz dać. A do tej pory co się stanie z moim manteionem?

– To mój manteion, patere. Będziesz go prowadził jak dotąd, dlaczego nie? Tylko wszystkim zainteresowanym mów, że posiadłość ta należy do mnie. Jest moja, tak masz wszystkim mówić.

– Mogę oświadczyć, że spłaciłeś nasze zaległe podatki, co zresztą jest zgodne z prawdą – odrzekł Jedwab. – I w akcie pobożności pozwoliłeś nam dalej służyć bogom.

Miał nadzieję, że to kłamstwo szybko okaże się prawdą.

– Bardzo dobrze. Lecz wszystkie nadwyżki w waszym bilansie będziesz oddawać mnie. Chcę mieć wgląd w wasze księgi i ilekroć zażądam, pojawisz się z nimi u mnie. Inaczej nie dobijemy targu. Ile czasu potrzebujesz?

Jedwab popadł w głębokie zamyślenie niepewny, czy powinien wchodzić w złodziejski układ proponowany przez Krew.

– Rok – powiedział śmiało. Rok powinien wystarczyć.

– Bardzo śmieszne. Myślę, że wszyscy będą ryczeć ze śmiechu, kiedy w scyldag będziesz zarzynać barana. Trzy tygodnie... a niech tam, miesiąc. Nie dłużej. Czy twoja kostka wygoi się w miesiąc?

– Któż to może wiedzieć. – Jedwab próbował poruszyć stopą, ale uniemożliwił mu to gips. – Nie sędzę.

Krew parsknął.

– Piżmo, sprowadź tu Żurawia.

Kiedy za rządcą zamknęły się drzwi, Jedwab zapytał:

– Czy zawsze masz pod ręką lekarza?

– Staram się – odparł Krew, odstawiając szklanę. – Miałem jednego przez rok, ale do niczego się nie nadawał. Następny był neurochirurgiem, pracował u mnie tylko przez kilka miesięcy. Później długo szukałem, aż wynalazłem Żurawia. Jest u mnie... – urwał, licząc w pamięci – ... prawie od czterech lat. Zajmuje się, naturalnie, moimi ludźmi, a trzy razy w tygodniu jeździ do miasta, gdzie

dogląda dziewcząt. To spora wygoda i oszczędność.

– Dziwi mnie, że tak uzdolniony lekarz... – zaczął Jedwab.

– Pracuje dla mnie i zajmuje się kurwami? – Krew ziewnął. – Paterę, zapewne gdy wrócisz do miasta, pokażesz nogę lekarzowi. Zapłacisz mu?

– Jak tylko będę mógł.

– A więc najprawdopodobniej nigdy. A pracując dla mnie, Żuraw otrzymuje regularnie pensję. Nie musi uprawiać dobroczynności, a czasami dziewczęta, powodowane wielkodusznością, wynagradzają go na swój sposób.

Chwilę później pojawił się lekarz w towarzystwie Piżma. Niedawno Jedwab widział żurawia na rysunku i choć nie przypominał sobie, w jakich okolicznościach rycina trafiła mu w rękę, wiedział, że imię doktora zakrawa na szyderstwo. Niski, zażywny lekarz w takim samym stopniu nie przypominał wysokiego, smukłego ptaka, w jakim paterę wspaniałej, lśniącej tkaniny, od której nazwała go matka.

Krew wskazał Jedwabia.

– Składałeś go. Kiedy wydobrzeje? Lekarz potarł w zafrasowaniu brodę.

– Co ma pan na myśli, mówiąc „wydobrzeje”? Kiedy będzie chodzić w miarę sprawnie i bez kul?

Krew zawahał się.

– Powiedzmy, szybko biegać.

– Trudno przewidzieć. To w wielkim stopniu zależy od jego cech dziedzicznych, o których zapewne nic nie wie, i od ogólnej kondycji fizycznej. Mogło być gorzej, ale on jest młody. – Doktor Żuraw odwrócił się do Jedwabia. – Stań prosto, proszę. Skoro już jako tako przyszedłeś do siebie, chcę cię dokładnie osłuchać i zbadać.

Uniósł podartą tunikę Jedwabia, przyłożył ucho do jego klatki piersiowej, kilkakrotnie uderzył w plecy. Za trzecim uderzeniem Jedwab poczuł, że za pasek pod splotem liny lekarz wsuwa mu coś twardego i zimnego.

– Powiniennem był przynieść instrumenty. Proszę zakasłać. Nie posiadający się wprost z ciekawości Jedwab odkaszlnął. Poczul kolejne uderzenie w plecy.

– Doskonale. Proszę jeszcze raz zakasłać, tym razem mocniej.

Zakaszlał najgłośniejszym, jak zdołał.

– Wyśmienicie. – Doktor Żuraw opuścił tunikę Jedwabia i wyprostował się. – Naprawdę wyśmienicie. Jesteś okazem zdrowia, młody człowieku, chlubą Vironu. – Tembr jego głosu zmienił się prawie niedostrzegalnie. – Ktoś tam w górze darzy cię sympatią. – Żartobliwie wskazał wymyślny frez na suficie, przedstawiający Molpe toczącą z Phaeą spór o jakieś głupstwo. – Zaślepią uczuciem do ciebie bogini.

Jedwab siadł z powrotem w fotelu. Nie było wygodnie, gdyż w kręgosłup uwierał go twardy przedmiot.

– Jeśli twój pracodawca nie da mi wystarczająco długiego terminu, nie zdążę odczuć sympatii bogów.

Doktor Żuraw uśmiechnął się.

– Jak długo? – Krew niecierpliwie odstawił głośno szklankę na stolik. – Ile czasu minie, zanim noga znów będzie całkiem sprawna?

– Pięć do siedmiu tygodni. Jeśli starannie zabandażuje stopę, biegać zapewne będzie mógł wcześniej. Ale wszystko zależy od odpowiedniego wypoczynku i zabiegów medycznych w trakcie rekonwalescencji. Stymulacja dźwiękowa złamanej kości i tak dalej.

Jedwab chrząknął.

– Nie stać mnie na gruntowne leczenie, doktorze. Mogę tylko kuśtykać i modlić się, by noga prawidłowo się zrosła.

– Tu przecież nie będziesz przychodzić – burknął poirytowany Krew.

– Mógłby pan wynająć jakiegoś specjalistę w mieście i... – zaczął doktor Żuraw.

Rozzłoszczony Krew prychnął.

– Powinniśmy go byli zastrzelić, nie mielibyśmy kłopotu. Na maciory Phaei, żałuję, że nie zabił się przy upadku. Nie życzę sobie żadnych kontaktów z jakimiś specjalistami. Podczas wizyt w tamtej części miasta sam będziesz go odwiedzać. Kiedy tam bywasz? W sphigxdag i w hieraxdag?

– Zgadza się, a jutro właśnie wypada sphigxdag. – Lekarz zerknął na ozdobny ścienny zegar wiszący po drugiej stronie pokoju. – Już dawno powinienem leżeć w łóżku.

– więc jutro go znów obejrzysz – burknął Krew. – A teraz się wynoś.

– Przepraszam za kłopot, doktorze – odezwał się Jedwab. – Gdyby twój pracodawca dał mi więcej czasu, zaoszczędziłoby ci to wiele zachodu.

Już przy drzwiach doktor Żuraw odwrócił się i prawie puścił do Jedwabia oko.

– Pójdźmy na kompromis, patere – odezwał się po jego wyjściu Krew. – I słuchaj uważnie, bo to już moje ostatnie ustępstwo. Czy nie zamierzasz tego wypić?

Czując za uszami palce Piżma, Jedwab upił przymusowy łyk.

– Za miesiąc od dzisiaj zjawisz się u mnie z pokaźną kwotą. Słyszysz? I to ja zdecyduję, czy jest wystarczająco pokaźna. Jeśli tak, odejmę ją od dwudziestu sześciu tysięcy i powiem ci, ile masz czasu, by donieść resztę. Jeśli się nie stawisz, ty i ta twoja chuda sybilla będziecie musieli wynieść się z manteionu. – Krew umilkł i paskudnie krzywiąc usta, obracał w dłoni szklankę. – Czy ktoś tam

jeszcze mieszka? Jakiś inny augur?

– Są jeszcze dwie sybille – odparł Jedwab. – Maytere Róża i maytere Mięta. Maytere Marmur, jak wiem, już poznałeś. Ja jestem jedynym tam augurem.

Krew chrząknął.

– Twoje sybille zapewne zechcą pojawić się tutaj i udzielać mi lekcji. Powiedz im, że nie przekroczą mojej bramy.

– Powiem.

– Czy są zdrowe? Jeśli niedomagają, Żuraw, odwiedzając ciebie, może je przy okazji zbadać.

Jedwab przesłał mu serdeczny, pełen wdzięczności uśmiech.

– To niezmiernie uprzejme z twojej strony. – Napomniał się w myślach, że w każdym człowieku tkwi ziarno dobra; niezauważalny, lecz niezawodny dar zawsze szczodrego Paha. – Maytere Mięta trzyma się świetnie. Maytere Róża również, choć obawiam się, że głównie już składa się z protez.

– Cyfrowe ręce i nogi? O tym mówisz? – Krew pochylił się w stronę Jedwabia z nieskrywanym zainteresowaniem. – Niewiele już ich zostało.

– Otrzymała je ileś lat temu, jeszcze przed moim urodzeniem. Istniały wówczas pewne choroby, w wyniku których trzeba było dokonywać amputacji. – Do Jedwabia dotarło, że powinien jednak lepiej znać dzieje życia maytere Róży; powinien znać historię wszystkich trzech sybilli. – Podobno w tamtych czasach protezy były ogólnie dostępne.

– Ile ma lat?

– Nie jestem pewien. – Jedwab ponownie zbeształ się w myślach; takie rzeczy również powinien wiedzieć. – Sądzę, że informacja ta znajduje się w naszych dokumentach. Skoro cię to interesuje, mogę do nich zajrzeć. Sam też jestem ciekaw.

– Jeśli ci to nie sprawi kłopotu, patere... Posiada tyle blaszanych części, więc musi mieć... och, co najmniej dziewięćdziesiątkę. Paterę, a twoim zdaniem, w jakim ja jestem wieku?

– Sądzę, że wyglądasz młodo – mruknął. Jak polechtać próżność Krwi? Odpowiedź nie mogła być pochopna. – Czterdzieści pięć?

– Czterdzieści dziewięć. – Krew w drwiącym toaście wznosił szklanę. – Prawie pięćdziesiąt. – Jedwab poczuł nacisk palców Piżma za uszami i nieoczekiwanie nabrał absolutnej pewności, że Krew skłamał. Był co najmniej o pięć lat starszy. – Nie mam w ciele ani jednej sztucznej części z wyjątkiem dwóch zębów.

– Nie wyglądasz na tyle.

– Posłuchaj, patere, mógłbym ci powiedzieć... – Krew machnął ręką. – Mniejsza o to. Zrobiło się już późno. Powiedziałem ile? Za miesiąc? Pięć tysięcy?

– Powiedziałeś „pokażną kwotę” – przypomniał Jedwab. – Mam ci przynieść tyle, ile zdołam zgromadzić, a ty zdecydujesz, czy wystarczy. Gdzie mam ją dostarczyć, tutaj?

– Tutaj. Oku w bramie powiesz, kim jesteś, a wtedy ktoś wyjdzie i wprowadzi cię do środka. Piżmo, czy mamy pod ręką jakiegoś szofera?

– Dla mnie? – spytał Jedwab. – Dziękuję. Bałem się, że będę musiał wracać na piechotę, a przecież z taką nogą daleko nie ujdę. W którejś z przydrożnych zagród musiałbym prosić o wóz.

Krew roześmiał się głośno.

– Paterę, przyniesiesz mi zysk w wysokości trzynastu tysięcy kart. Muszę zatem o ciebie dbać... Ale, ale, powiedziałem, że te twoje sybille nie mają prawa mnie nachodzić. Tak, to wciąż obowiązuje, lecz powiedz tej... tej starej... Jak jej na imię?

– Maytere Róża.

– No właśnie. Powiedz maytere Róży, że jeśli interesuje ją nowa noga czy jakaś inna część, a przy okazji trochę forsy, chętnie to załatwię. Jeśli ma też coś innego na sprzedaż, również mogę okazać się użyteczny. Nigdzie nie uzyska lepszej ceny.

– Moja wdzięczność staje się już gigantyczna – odrzekł Jedwab – ale znów muszę odmówić, zarówno w imieniu maytere, jak i swoim.

– Istnieje spore zapotrzebowanie na takie części, nawet używane, a ja znam człowieka, który potrafi je regenerować. W drzwiach pojawił się Piżmo.

– Ślizgacz czeka.

Krew trochę chwiejnie podniósł się z fotela.

– Paterę, czy możesz chodzić o własnych siłach? Nie, oczywiście. Piżmo, przynieś mu jedną z moich lasek. Ale nie żadną z tych drogich. Złap się mnie, patero.

Krew wyciągnął rękę. Jedwab zdziwił się, jak jest delikatna i zimna. Dźwignął się ciężko z fotela i zagryzł zęby z bólu. Cały czas był przeraźliwie świadomy przedmiotu, który Żuraw wsunął mu za pasek.

– Jeszcze raz dziękuję – rzekł.

Gdyby gospodarz kazał mu po prostu odwrócić się i odejść albo też stanął za nim, zapewne zauważyłby pod tuniką tajemniczy przedmiot. Żałując sutanny, którą zostawił w sypialni pięknej Hiacynt, zgębiony poczuciem winy i wstydu, wydukał:

– Czy mogę wesprzeć się na twym ramieniu? Nie powinienem był tyle pić.

Doczłapali razem do wielkiego salonu. Wielkie podwoje wciąż były otwarte; noc niebawem już miała poszarzeć w pierwszym blasku rozjaśnienia. Na trawiastym podjeździe czekał Ślizgacz z otwartą kopułą, za sterownicą siedział szofer w uniformie. Najbardziej brzemienna w wydarzenia

noc w życiu Jedwabia dobiegała końca.

Piżmo zaklekotał sfatygowaną laską o gips, uśmiechnął się na widok grymasu bólu, jaki pojawił się na twarzy Jedwabia, i wsunął mu w rękę kij. Jedwab skonstatował, że choć do Piżma wciąż czuje nieprzewyciężony wstręt, to jego pana prawie polubił.

– Ślizgacz odwiezie cię do domu, patere – mówił Krew. – Jeśli komukolwiek wspomnisz o naszym układzie, umowa zostanie anulowana. Nie zapominaj o tym. A za miesiąc oczekuję sowitego stosiku... i nie mam na myśli kilku setek.

Szofer wysiadł ze ślizgacza i ruszył z pomocą. W chwilę później Jedwab siedział już wygodnie i bezpiecznie w szerokim, wyściełanym poduszkami fotelu za kierowcą. Na plecach nieustannie czuł kanciasty tajemniczy podarunek od doktora Żurawia.

– Dziękuję – odezwał się ponownie do Krwi. – Dziękuję wam obu. – Spodziewał się, że Krew potraktuje to jako podziękowanie jemu i Piżmu, choć adresował słowa wdzięczności do Krwi i szofera. – Doceniam wasze starania. Wspomniałeś o naszym układzie, więc... byłbym niesłychanie zobowiązany... – Wyciągnął rozwartą dłoń.

– Na miłość Phaei, czego jeszcze chcesz?

– Mego igłowca. Masz go w kieszeni. Skoro nie obawiasz się, że cię zastrzelę, czy mogę dostać go z powrotem? – Krew gapił się na niego tępo, a nie zrażony Jedwab ciągnął: – Mam ci przynieść kilka tysięcy kart... bo tyle, jak zrozumiałem, miałeś na myśli, mówiąc o sowitym stosiku. Kilka tysięcy, a ja ledwo powłóczę nogami. Zwróć mi broń, bym w razie czego miał się czym posłużyć.

Krew chrząknął i wybuchnął grzmiącym śmiechem. Jedwab po raz pierwszy usłyszał tej nocy jego śmiech pod gołym niebem. Śmiech Krwi do złudzenia przypominał mu dźwięk, jaki czasami w ciche wieczory dobiegał z jam Alambrey. Musiał napomnieć się w duchu, że tego człowieka Pah również kocha.

– Ale gość! Piżmo, zapamiętaj moje słowa. Jemu się uda. Teraz dopiero naprawdę uwierzyłem, że to zrobi.

Wyciągnął z kieszeni malutki igłowiec ślicznej Hiacynt i rozładował go. Na wystrzyżoną trawę niczym srebrzysty deszcz wysypało się dwadzieścia igiełek.

Piżmo pochylił się do ucha Krwi i Jedwab usłyszał jego szept.

– Ulica Lampy.

Krew gwałtownie uniósł brwi.

– Doskonale. Masz rację. Jak zawsze. – Wsunął w dłoń Jedwabia złoty igłowiec. – Proszę, patere. I używaj go w dobrym zdrowiu... mam na myśli twoje zdrowie. Ale potrzebować będziesz nabo. Spotkajmy się jutro o pierwszej po południu w żółtym domu przy ulicy Lampy. Przyjdiesz?

– Chyba nie mam wyboru – odparł Jedwab. – Tak, oczywiście, skoro sobie tego życzysz.

– Lokal nazywa się „U Orchidei” – dodał Krew, opierając się o drzwi ślizgacza. – Naprzeciwko budynku jest sklep cukiernika. Czy znasz się na egzorcyzmach? Umiesz je przeprowadzać?

Jedwab czujnie skinął głową.

– Świetnie – ucieszył się Krew. – Przynieś wszystko, co ci będzie potrzebne. Mieliśmy tam.. och, przez całe lato problemy. Zapewne potrzebujemy właśnie augura, który doznał objawienia. Do zobaczenia jutro.

– Do widzenia – odparł Jedwab.

Krew i Piżmo odsunęli się od ślizgacza, a z boków pojazdu bezszelestnie wysunęła się kopuła. Kiedy się zatrzasnęła, rozległ się stłumiony szum silnika.

Niewidzialny strumień poniósł Ślizgacz po trawiastym podjeździe i Jedwab naprawdę odniósł wrażenie, że ślizgają się po fali, że lada chwila *zaczną* wirować w prądzie.

Za oknami mignęły drzewa, żywopłoty i jaskrawe rabaty kwiatowe. Minęli przepyszną fontannę przedstawiającą otoczoną kryształowymi strumieniami tryskającej wody Scyllę. Po chwili posąg został z tyłu, a w przedzie pojawiła się brama, którą uniosło długie, lśniące ramię talusa. Ślizgacz zakręcił i po chwili mknął autostradą niczym unoszony wiatrem zeschnięty liść; płynąc poprzez tajemniczy, nocny krajobraz, zostawiał za sobą dymny pióropusz żółtoszarego kurzu.

Nad głową wciąż lśniły krainy niebios przecięte na pół czarnym łukiem klosza. Dalej, jeszcze ponad krainami niebios, ukryte, lecz wciąż obecne płonęły miriady punkcików ognia, kolorowe kule płomieni znajdujące się nieskończenie daleko, które objawił mu Zewnętrzny; na nich rozpościerały się w jakiś niepojęty sposób nieznanne lądy.

Jedwab wciąż miał piłkę w kieszeni, jedyną piłkę w manteionie. Nie może jej zostawić w ślizgaczu Krwi, gdyż jutro chłopcy nie będą mieli czym grać. Nie, nie jutro; jutro jest sphigxdag. Palestra będzie zamknięta. Dzień przeznaczony na przygotowania do wielkiej ofiary w scyldag. Jeśli znajdzie stosowne zwierzę ofiarne.

Poklepał się po kieszeniach. Pod piłką znalazł dwie karty Krwi. Wyjął złote prostokąty, chwilę je oglądał, po czym znów schował do kieszeni. Podczas rewizji były ukryte pod piłką i dlatego ich nie zabrano. Po co mu te karty?

Na wyłożoną dywanem podłogę ślizgacza spadł igłowiec. Jedwab podniósł go i wsunął do kieszeni, w której trzymał karty, a następnie zaczął ugniatać w dłoniach piłkę. Mówiono, że ćwiczenie to niebywale wzmacnia siłę rąk. Za krainami niebios płonęły mikroskopijne światełka, których blasku nie mógł dostrzec, płonęły pod jego stopami, nieruchome i odległe, oświetlając coś, co jest dużo większe niż cały whorl.

Tajemniczy przedmiot doktora Żurawia ugniatał mu plecy. Jedwab pochylił się do przodu.

– Szoferze, która godzina? – zapytał.

– Kwadrans po trzeciej, patere.

A zatem spełnił wolę Zewnętrznego. A w każdym razie próbował... i zapewne zawiódł. Zupełnie jakby odgarniając dłonią grubą zasłonę, uświadomił sobie, że manteion istnieć będzie jeszcze przez miesiąc – przynajmniej przez miesiąc, a w ciągu miesiąca może się wiele wydarzyć. Czy możliwe, by udało mu się spełnić życzenie Zewnętrznego? Ogarnęła go radość i uniesienie.

Ślizgacz na zakręcie przechylił się na bok. Wokół majaczyły gospodarstwa, pola i domy, przepływały za oknem i szybko zostawały w tyle. Z przodu wyrosło wzgórze niczym ogromna brązowoszara fala, u dołu przechodząca w spienioną płycizną płotów i drzew owocowych. Ślizgacz znurkował i ruszył na przełaj przez pole.

Piżmo zmniejszył płomień w swej latami, tak że za ośmioma jej ściankami widniał jedynie maleńki, zniekształcony płomyczek palącego się knota. Przekręcił cicho klucz w dobrze naoliwionym zamku. Drzwi otworzyły się prawie niesłyszalnie.

Siedzący na najbliższej drzwi grzędzie sokół poruszył się i przekręcił zakapturzoną głowę w stronę intruza, którego nie mógł zobaczyć. W głębi za bawełnianą siatką siedział kobuz, pierwszy ptak Piżma. Był ożywiony, bez kaptura i mrugał oczyma. Słuchać było ciche dzwoneczki – złote dzwoneczki, które przed trzema laty Krew podarował Piżmu, ale młodzieniec nie pamiętał już z jakiej okazji. Za kobuzem majaczył siwoniebieski sokół wędrowny, przypominający w tej chwili malowaną rzeźbę.

W samym końcu poprzedzielanej sieciami ptaszarni na poźłobionej szponami żerdzi przycupnął ogromny ptak, nieruchomy jak posąg. Choć nie był w pełni dorosły, już wyczuwało się drzemiacą w nim siłę.

Piżmo odpiął siatkę i wszedł do klatki. Był pewien, że ptak nie śpi.

– Ho, ha! – powiedział cicho.

Wielkie ptaszysko poruszyło zakapturzoną głowę, zadrżały jego szkarłatne lotki.

– Ho, ha! – powtórzył Piżmo, muskając go indyckim piórem.

Lokator na kredensie

Paterę, czy jechałeś już kiedyś ślizgaczem? – zapytał szofer, gdy pomykali przez rżysko. Jedwab ospale pokręcił głową i dopiero po chwili przypomniał sobie, że kierowca go nie widzi. Ziewnął, próbował się przeciągnąć. Natychmiast poczuł ostry ból płynący z prawej ręki i poranionego torsu.

– Nigdy. Ale płynąłem łodzią. Spędziłem na jeziorze cały dzień, łowiąc z przyjacielem i jego ojcem ryby. Ślizgacz trochę przypomina łódź. Twoja maszyna jest tak samo szeroka, tylko nieco krótsza.

– Ja wole ślizgacze. Łodzie za bardzo kołyszają. Dokąd jedziemy, patero?

– Nie wiesz?

Znów pojawiła się przed nimi droga. Ślizgacz, jakby zbierając siły, wznosił się nad kamienny murek odgradzający połę od szosy.

– Piżmo powiedział, że wracasz do miasta. Gdzie mam cię wysadzić?

Jedwab poprawił się w fotelu. Był otępiały ze zmęczenia i robił wszystko, by nie zasnąć.

– Nie powiedzieli ci?

– Nie, patero.

Dokąd to chciał się dostać? Przed oczyma stanął mu dom matki. Przypomniał sobie szerokie okna sypialni, za którymi rosły ogóreczniki.

– Zawieź mnie na ulicę Słońca, do manteionu. Znasz drogę?

– Wiem, gdzie jest ulica Słońca, patero. Trafie.

W przedzie pojawił się zmierzający na rynek furgon załadowany drewnem na opał. Ślizgacz przechylił się na bok i wyminął wóz. Woźnica zapewne będzie pierwszym handlarzem, który pojawi się na targowisku, pomyślał Jedwab. Ale co za sens być pierwszym z ładunkiem opału? Z całą pewnością będzie tam już czekać wiele wozów z drewnem, którego nie udało się upłynnić poprzedniego dnia. Zapewne woźnica chciał po rozładunku wozu zrobić jakieś zakupy.

– Czeka nas kolejny skwarny dzień, patero.

To prawda. Jedwab obejrzał się, lecz furgon zniknął już w oddali; spostrzegł jedynie chłopca prowadzącego muła. Handlarz drewnem pragnął uniknąć podróży w upale. Kiedy już sprzeda towar, aż do zmierzchu będzie popijać w „Kogucie” lub podobnym przybytku. Niewątpliwie wybierze taki, w którym jest najchłodniej, wyda większość zarobionych na drewnie pieniędzy, a później, w drodze powrotnej do domu, zaśnie na koźle. A jeśli i on, Jedwab, utnie sobie drzemkę w przepastnym i tak rozkosznie miękkim fotelu? Czyż szofer ślizgacza nie dowiezie go bezpiecznie do domu? A może,

korzystając z tego, że pasażer zasnął, obrabuje go z dwóch kart Krwi, złotego igłowca pięknej Hiacynt i z przedmiotu, którego wciąż nie odważył się wyciągnąć zza pleców? Ale jeszcze siedząc w wysadzonym klejnotami pudełku, jakim był pokój przylegający do wielkiego salonu Krwi, Jedwab domyślił się, co to jest. Czy nie zostanie obrabowany? Czy mężczyzna z najwyższego piętra, który zasnął w fotelu, trafił bezpiecznie do domu? Czy on również bez przygód dotrze do manteionu? Zapewne wielu mężczyzn spało już w tym ślizgaczu; mężczyzn, którzy zanadto pofolgowali sobie z alkoholem.

Jedwab miał świadomość, że wypił za dużo – dwie szklanki bardzo mocnego trunku.

Krew był złodziejem; sam to zresztą przyznał. Ale czy zatrudniałby szofera, który okrada jego gości? Mało prawdopodobne. On, Jedwab, mógł spokojnie zasnąć; i zrobiłby to, gdyby nie był bardzo głodny.

– Wytrzymam – mruknął.

– Mówiłeś coś, patere?

– Jedź prosto na ulice Słońca. Wskaże ci drogę. Znam ją na pamięć.

Szofer zerknął przez ramię w jego stronę. Był to krzepki młody człowiek, któremu wąs dopiero zaczął się sypać.

– Jedziemy do skrzyżowania z Handlową. Czy tak, patere?

– Tak. – Jedwab przeciągnął dłonią po szorstkiej od zarostu brodzie. – Doskonale.

Rozparł się wygodniej w miękkim fotelu, zapominając prawie o uwierającym go w plecy przedmiocie. Postanowił, że spać pójdzie dopiero wtedy, gdy już się umyje, zje i rozważy sytuację. Szofer nie wiedział, że Jedwab był więźniem Krwi. Wynikało to jasno ze sposobu, w jaki rozmawiał z pasażerem, a to dawało Jedwabowi okazję, która mogła się więcej nie powtórzyć.

Teraz przecież więźniem już nie był. Uwolniono go, bez hałasu i zamieszania, a Krew i Piżmo z całą atencją odprowadzili go do ślizgacza. Wprawdzie wbrew woli, lecz został współnikiem Krwi – współnikiem, dzięki któremu Krew chce zarobić dużo pieniędzy. Rozważał przez chwilę w myślach określenie „wspólnik” i doszedł do wniosku, że trudno o trafniejsze. Bez reszty oddał się bogom, złożył im solenne ślubowanie. Ale teraz jego wierność uległa zachwianiu. Dwadzieścia sześć tysięcy kart, które zdobędzie (jeśli zdobędzie), podaruje nie bogom (jakkolwiek uczyni to, działając w ich imieniu i w ich interesie), lecz Krwi. Tak, z całą pewnością w oczach Kapituły i całego whorla zostanie współnikiem Krwi. Nawet gdyby Kapituła i whorl poznali kierujące nim motywy.

Krew uczynił z niego wspornika po to, by mieć pokaźny zysk. (Jedwab w zamyśleniu pocierał policzki, czując pod palcami szorstką szczecinę). Mimo że Krew spodziewał się jedynie osobistego zysku, połączyła ich wzajemna współzależność; jak zawsze w takich przypadkach. Czy mu się to podobało czy nie, został współnikiem Krwi; ale został też jego współnikiem bez względu na to, czy podobało się to czy nie samemu Krwi. Już zrobił dobry użytek z ich współzależności, kiedy zażądał zwrotu igłowca. A ich związki jeszcze wcześniej potwierdził Krew, gdy polecił Żurawiovi

odwiedzać Jedwabia w manteionie.

Teraz przyszła kolej na dalsze korzyści.

Wspólnik; ale z całą pewnością wspólnik, któremu nie należało do końca ufać. Możliwe, że Krew postanowił go zgładzić, kiedy już otrzyma całe dwadzieścia sześć tysięcy kart i nie będzie go więcej potrzebował. Tak zatem należy wykorzystać chwilową współzależność i nałożyć na Krew takie pęta, by później móc go trzymać w szachu. To było najważniejsze.

Ale kierowca, który z pewnością posiadał wiele cennych informacji, o tym wszystkim nie wiedział.

– Mój synu – zwrócił się do niego Jedwab. – Czy znasz żółty dom na ulicy Lampy? Naprzeciwko znajduje się sklep cukiernika.

– Znam, patere.

– Przejedź obok niego. Chyba nie nadłożymy przez to wiele drogi.

Ślizgacz zwolnił, gdyż w przedzie pojawił się handlarz prowadzący karawanę obładowanych mułów.

– Paterę, jeśli chcesz wejść do środka, ostrzegam, że nie mogę czekać.

– Nie zamierzam nawet wychodzić ze ślizgacza – zapewnił go Jedwab. – Chcę po prostu zobaczyć ten budynek.

Nie spuszczać wzroku z rozszerzającej się drogi, kierowca skinieniem głowy wyraził zgodę.

– Z miłą chęcią spełnię twe życzenia, patere. To żaden kłopot.

Za oknami szybko przemykał krajobraz. Nic dziwnego, pomyślał Jedwab, że bogacze, gdy odległości są zbyt duże dla ich lektyk, podróżują ślizgaczami. Jemu i Alce pokonanie na osłach drogi z miasta do willi Krwi zajęło kilka godzin!

– Zostałeś u mego pana do późna, patere. Dobrze się bawiłeś?

– Nie – odparł po krótkim zastanowieniu. – Choć na swój sposób było to interesujące doświadczenie. Kierowca roześmiał się uprzejmie.

– W pewnym sensie bawiłem się doskonale – ciągnął Jedwab. – Musze uczciwie przyznać, że ta wizyta sprawiła mi szczególną radość.

Kierowca znów skinął głową.

– Ale nie wszystko ci się tam podobało. Tak, wiem, co masz na myśli, patere.

– Na moją opinię niewątpliwie ma wpływ to, że upadłem i złamałem nogę w kostce. Była to przykra przygoda i noga nadal bardzo mnie boli. Doktor Żuraw całkiem za darmo złożył mi kość i założył gips. Z pewnością dobrze znasz doktora. Podobno pracuje u twego pana już cztery lata.

– Tyle co ja! Stary pigularz przejechał ze mną tym ślizgaczem kawał whorla. To straszliwy gaduła, czasami potrafi gadać i gadać, aż głowa boli.

Jedwab uśmiechnął się, znów w pełni świadom przedmiotu, który Żuraw wsunął mu za pasek.

– Na mnie sprawił bardzo sympatyczne wrażenie.

– Nie wątpię. Ale ze mną jeszcze nie jeździłeś, patere?

Z tych słów Jedwab wywnioskował, że Krew ma kilka ślizgaczy.

– Nie, z tobą nie. Przyjechałem tu z pewnym znajomym, ale musiał wrócić wcześniej.

– Tak, ze mną chyba jeszcze nie jeździłeś. Podczas powrotów z gośćmi wspominam im o doktorze Żurawiu. Czasami mają kłopoty z dziewczynkami lub z chłopcami. Rozumiesz, co mam na myśli, patere?

– Chyba tak.

– Więc im mówię, by się niczym nie przejmowali. Że dysponujemy własnym, zaufanym lekarzem, więc jeśli mają jakieś drobne problemy... Mówię o starszych jegomościach, patere. Cóż, zapewne on mógłby zaradzić wszystkim ich kłopotom. A dla doktora w to mi graj, zawsze coś zachapie. Ja też sobie nie szkoduję. Wielu z nich za to, że skierowałem ich do Żurawia, wyraża mi swą wdzięczność w bardzo konkretny sposób.

– Obawiam się, że nie mam ci nic do zaoferowania, synu – odparł sztywno Jedwab.

I jest to szczerą prawdą, zapewnił się w duchu, gdyż dwie karty, które trzymał w kieszeni, były już wydane; lub tak jakby zostały wydane. Kupi za nie piękne zwierzę ofiarne na przypadający za niecałe dwa dni scyldag.

– Wcale na to nie Uczyłem, patere. To mój dar dla Kapituły. Tak ja to widzę.

– Przy pożegnaniu udzielę ci błogosławieństwa.

– Nie musisz, patere – odparł szofer. – Nie interesują mnie ofiary i podobne rzeczy.

– Tym bardziej potrzebujesz błogosławieństwa, mój synu. Jedwab lekko się uśmiechnął, słysząc własny, surowy ton.

Im bardziej oddalał się od Willi Krwi, tym bardziej z włamywacza zmieniał się na powrót w augura. Teraz już nawet jego głos zabrzmiał jak głos patere Płetwy.

Kim naprawdę był? Nie chciał tego rozważać.

– Teraz niewątpliwie czujesz się jak w łodzi, prawda, patere?

Ślizgacz obracał się niczym beczka, wymijając przechodniów i ciągnięte przez muły wozy. Droga przekształciła się w ulicę, wzdłuż której o przestrzeń walczyły wąskie domy.

Jedwab z całych sił musiał chwycić się obciążonej skórą poręczy przy fotelu szofera – początkowo sądził, że służy ona jedynie do pomocy przy wsiadaniu i opuszczaniu pojazdu.

– Na jaką wysokość może wznieść się Ślizgacz? – zapytał. – Zawsze byłem tego ciekaw.

– Ten bez pasażerów na cztery łokcie. W taki właśnie sposób je próbujemy. Wzbijamy się jak najwyżej i mierzymy. Im wyżej się wznosi, tym lepszy model.

Jedwab skinął głową.

– Czy nie mógłbyś zatem przelatywać nad tymi wozami, zamiast je omijać?

– Nie, patere. Musimy mieć pod sobą ziemię, od której pojazd się odpycha. A w tym przypadku oddalilibyśmy się od niej za daleko. Czy pamiętasz kamienny murek, nad którym przelecieliśmy, kiedy pojechałem na skrót?

– Oczywiście. – Jedwab mocniej zacisnął dłonie na poręczy. – Miał wysokość co najmniej trzech łokci.

– Niezupełnie, patere. W miejscu, w którym go mijalem, był trochę niższy. Ale zmierzam do tego, że nie mógłbym dokonać tej sztuki, gdybym wiozł komplet pasażerów, jak to się zazwyczaj dzieje. Musiałbym trzymać się cały czas drogi.

– Rozumiem.

– Spójrz przed siebie, patere. – Ślizgacz zwolnił. – Widzisz tego leżącego na drodze człowieka?

Jedwab wyprostował się i popatrzył ponad ramieniem szofera.

– Widzę. Na cudną twarz Phaei, mam nadzieję, że nie jest martwy!

– Nie, tylko pijany. Popatrz, przelecimy prosto nad nim. Niczego nawet nie poczujesz. Podobnie jak on.

Jedwab zacisnął z emocji zęby, ale faktycznie nic nie poczuł. Kiedy już minęli pijaka, powiedział:

– Widywałem ślizgacze przelatujące nad bawiącymi się na ulicy dziećmi. Pewnego razu osłona silnika uderzyła któreś z nich w czoło. Stało się to na ulicy przed palestrą.

– Ja nigdy nie jeżdżę nad dziećmi – zapewnił żarliwie kierowca. – Któreś z nich mogłoby włożyć rękę w wydechy.

Jedwab słuchał tylko jednym uchem. Próbował wstać, ale boleśnie uderzył się głową w przezroczystą kopułę.

– Poczekaj! Proszę, nie tak szybko. Czy widzisz tego mężczyznę z dwoma osłami? Zatrzymaj się na chwilę i pozwól mi wysiąść. Muszę zamienić z nim słówko.

– Opuszczę tylko kopułę, patere. Tak będzie bezpieczniej. Alka popatrzył z kwaśną miną na osiadający obok niego ślizgacz. Na widok Jedwabia oczy zaokrągliły mu się ze zdumienia.

– Niech zawsze towarzyszy ci łaska wszystkich bogów – zaczął Jedwab. – Chcę przypomnieć twoją obietnicę złożoną w tawernie.

Alka otworzył usta, by coś powiedzieć, ale natychmiast je zamknął.

– Obiecałeś, że pojawisz się w manteionie w najbliższy scyldag, pamiętasz? Muszę mieć pewność, że dotrzymasz obietnicy, zarówno dla swego dobra, jak i dla mojego. Chcę z tobą jeszcze raz pomówić.

– Tak, oczywiście – odparł Alka, energicznie kiwając głową. – Może jutro, jeśli nie będę zbyt zajęty. A w scyldag na pewno. Czy...

– Wszystko poszło zgodnie z twoimi przewidywaniami – nie pozwolił mu dokończyć Jedwab. – Przynajmniej na jakiś czas manteion jest bezpieczny. Dobranoc i niech Phaea cię strzeże. Jeśli nie zastaniesz mnie w manteionie, zastukaj na plebanię.

Alka coś powiedział, lecz Jedwab nie dosłyszał, gdyż szofer podniósł już kopułę i ryknęły wydechy.

– Powinieneś być ostrożniejszy, rozmawiając z takimi typami, patere – zauważył kierowca. – Założę się, że pod tuniką krył igłowiec, a miecz był tylko na pokaz.

– Pewnie wygrałbyś zakład – przyznał Jedwab. – Ale sam igłowiec nie zamieni dobrego człowieka w złego. Takiej sztuki nawet diabeł nie dokona.

– A po co chcesz odwiedzić dom Orchidei, patere? Jestem zdumiony.

– Obawiam się, że niezupełnie cię zrozumiałem. – Tajemniczy przedmiot Żurawia już mu się tak mocno dawał we znaki, że wiercąc się w miejscu, niepostrzeżenie przesunął go za paskiem bardziej w bok. Doszedł do wniosku, że nie stanie się nic złego, jeśli wspomni o umówionym spotkaniu z Krwią. – Jutro po południu mam się tam spotkać z twoim panem I chcę mieć pewność, że trafię pod właściwy adres. To żółty dom, prawda? Wspominał kobietę o imieniu Orchidea.

– Ona jest właścicielką budynku, choć tak naprawdę dom należy do niego. A może ona też należy do Krwi? Rozumiesz, co mam na myśli?

– Chyba tak... Tak, na pewno. – Jedwab przypomniał sobie, że na akcie prawnym dotyczącym własności manteionu figuruje nazwisko nie Krwi, lecz Piżma. – Może ma hipotekę na ten dom, gdyż ciężą na nim zaległości podatkowe?

Najwyraźniej Krew chciał zabezpieczać swe interesy na wypadek śmierci właściciela księgi wieczystej.

– Też tak sędzę, patere. Niemniej kiedy wspomniałeś o diabłach, pomyślałem sobie, że w tym domu właśnie zagnieździł się diabeł.

Jedwabiowi zjeżyły się włosy na głowie. Śmieszne (jakbym był psem, błysnęła mu myśl), ale dosłownie mu się zjeżyły. Próbował przyglądać je dłonią.

– Powiedz wszystko, co o tym wiesz. Pomożesz w ten sposób zarówno swemu panu, jak i mnie.

Jakże surowo instruktorzy w scholi napominali jego i innych akolitów, by nie śmiali się, gdy ktoś wspominać będzie w ich obecności o diabłach lub duchach (po tym jak Krew prosił o egzorcyzmy, spodziewał się jakichś zwiewnych postaci w całunach i budzących echo kroków). Stwierdził ze zdumieniem, że nie ma najmniejszej ochoty na śmiech. Zapewne był za bardzo zmęczony.

– Ja osobiście nic nie widziałem – przyznał szofer. – Byłem tam tylko dwa razy. Ale to i owo słyszałem. Wiesz, o czym mówię, patere?

– Naturalnie.

– Wszystko się pochrzańiło. Na przykład dziewczyna chce włożyć swą najlepszą suknię, a tu rękawy są poodrywane i cały przód rozdarty. Albo ludzie nagle wariują. Znasz to? A później wszystko mija bez śladu.

– Sporadyczne opętanie – mruknął Jedwab.

– Też tak myślę, patere. Jesteśmy prawie na miejscu. Za chwilę zobaczysz ten dom.

– Dziękuję, mój synu.

Jedwab spoglądał na tył głowy kierowcy. Nic złego się nie stanie, jeśli teraz wyciągnie i obejrzy podarunek od Żurawia. Istniała jednak niewielka szansa, że po powrocie do willi szofer zostanie szczegółowo o wszystko wypytany. Niemniej widząc, że kierowca jest bez reszty pochłonięty lawirowaniem w gęstniejącym z każdą chwilą tłumie przechodniów oraz wymijaniem furgonów, wyciągnął zza pleców tajemniczy przedmiot.

Tak jak się spodziewał, w rękę trzymał azoth. Gwizdnął na niewielką lampkę, którą spostrzegł wcześniej, i trzymając broń tak nisko, że kierowca, gdyby nawet zerknął za siebie, nie mógł jej dostrzec, przystąpił do dokładnych oględzin.

Zobaczył czerwony kamień i rozpoznał, że jest to ten sam azoth, który zabrał z szuflady pięknej Hiacynt. Uświadomił sobie, że demonem tej broni powinien być kamień barwy błękitnej, jak hiacynt. Najwyraźniej ozdoby azotha nie miały pochlebiać dziewczynie, w przeciwieństwie do igłowca, który miał w kieszeni. Błysnęła mu nawet myśl, że azoth wcale do niej nie należał.

Ślizgacz nieznacznie zakołysał się, zwolnił, po czym osiadł na ulicy.

– Oto dom Orchidei, patere.

– Ten po prawej? Dziękuję ci, synu.

Jedwab wsunął azoth za skarpetkę na zdrowej stopie i zakrył go nogawką. Poczuł ogromną ulgę, bo nic już go nie piło w plecy i mógł się bez trudu schylać.

– Mówią, że to ładny dom, patere. Jak już wspominałem, byłem w nim tylko dwa razy.

– Dziękuję, że nadłożyłeś drogi, by mi go pokazać – mruknął Jedwab.

Dom Orchidei był typowym starym, dużym budynkiem z rakplastu; ostrołuki i kanelowane filary pokrywała istna fantasmagoria barw pędzla jakiegoś artysty sprzed wielu lat. Zapewne w środku mieścił się wewnętrzny dziedziniec z wyschniętym stawem, w którym niegdyś żyły ryby, otoczony zadaszonymi galeriami.

– Z tyłu ma tylko jedno piętro, patere. Do środka możesz dostać się również tamtędy, od ulicy Muzyki. Z chorą nogą tak będzie ci łatwiej.

– Nie – odparł zamyślony Jedwab.

Nie zamierzał wchodzić tylnym wejściem niczym jakiś domokrażca.

Obserwując uważnie dom i ulicę, wyobrażał sobie, jak wyglądają w dziennym świetle. Sklep o witrynie zakrytej białymi okiennicami należał zapewne do cukiernika. Za godzinę lub dwie pojawią się przed nim krzeselka i stoliki, a z okien płynąć będą zapachy matę i mocnej kawy, ciastek i słodkich bułeczek. Właśnie w witrynie sklepu otworzyła się okiennica...

– Tam idą teraz spać. – Kierowca wskazał palcem żółty dom. – Najprawdopodobniej obudzą się dopiero w południe.

Ja też, jeśli tylko mi się uda, pośpię dłużej. Jedwab dyplomatycznie skinął głową.

– A co oni tam robią?

– U Orchidei? – Szofer odwrócił się i ze zdziwieniem popatrzył na Jedwabia. – Paterę, wszyscy znają Orchideę.

– Ale nie ja, synu. Dlatego cię pytam.

– Nooo... wiesz, patere. Mieszka tam, jak sędzę, około trzydziestu dziewcząt. Występują w przedstawieniach, nieustannie wydają przyjęcia. Mówią, że Orchidea sprzedaje ich usługi. Ludzie płacą dziewczętom, żeby to robiły.

Jedwab ciężko westchnął.

– Myślę, że prowadzą przyjemne życie.

– Mogły trafić gorzej, patere. Z tym tylko...

Ze środka żółtego domu dobiegł czyjś przenikliwy krzyk, a po nim rozległ się trzask pękającego szkła.

Zagrzmiał silnik, wstrząsając ślizgaczem jak pies upolowanym szcurem. Zanim Jedwab zdążył zaprotestować, pojazd wystrzelił w powietrze i ruszył ulicą Lampy, rozpędzając ludzi. Uderzył z łoskotem w zaprzężony w osła wóz. Jedwab przez chwilę nawet sądził, że maszyna została uszkodzona.

– Stój! – zawołał.

Ślizgacz, skręcając za róg, prawie położył się na bok i tracąc wysokość, zaorał obudową silnika zalegający na ulicy kurz.

– Tam mógł ktoś... tam wynikły jakieś kłopoty. – Jedwab zaciskał rozpaczliwie dłonie na poręczy. Rozharatane przez siwogłowego ramię przewiercił ból. – Wracaj i pozwól mi wysiąść.

Ulicę blokowały wozy. Ślizgacz zwolnił i precyzyjnie się między sklepem krawca a parą szarpiących się w uprzęży koni.

– Paterę, ktoś się wszystkim zajmie. Takie rzeczy często zdarzają się w tym domu.

– Ale moim obowiązkiem... – zaczął Jedwab.

– Jesteś ranny. Poza tym nikt nie powinien widzieć, że wchodzisz do... do takiego przybytku... nocą. Już wystarczająco fatalne jest to, że musisz pojawić się tam jutro po południu.

Jedwab puścił obciążoną skórą poręcz.

– Czyżby naprawdę aż tak bardzo zależało ci na mojej reputacji? Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– Nie zamierzam wracać, patero – odrzekł z uporem szofer. – A nie dotrzesz tam o własnych siłach, jeśli zdecydujesz się tu wysiąść. Którędy teraz? Jak dojechać do twego manteionu?

Ślizgacz zwolnił i zaraz nieruchomo zawisnął nad ziemią.

Znajdowali się już na ulicy Słońca; a przecież nie minęło nawet pół godziny od chwili, jak minęli czuwającego przy bramie Krwi talusa. Jedwab próbował wywołać w pamięci obraz posterunku gwardii i brudny pomnik radcy Wyraka.

– W lewo – odezwał się i zamyślony ciągnął dalej: – Każę Rogowi i kilku starszym studentom pomalować manteion od frontu. Nie, palestrę najpierw.

– Co proszę? – zapytał szofer.

– Nic, po prostu mówię do siebie, synu.

Od wielu lat oba budynki nie były odnawiane, ale na strychu plebanii, wśród stosów papierów, na pewno wciąż wały się oryginalne szablony. Jeśli tylko znajdą się pieniądze na farbę i pędzle...

– Paterę, daleko jeszcze?

– Sześć przecznic.

Zaraz będzie na miejscu. Gdy opuszczał salon Krwi, wyobrażał sobie, jak nadchodzi rozjaśnienie. Teraz już wyobraźnia nie była mu potrzebna, gdyż noc definitywnie minęła. A on nie leżał jeszcze w łóżku. Zapewne wystarczy mu czasu, by przespać się na plebanii ze dwie lub trzy godziny, nie dłużej.

Na ich widok mężczyzna ciągnący ręczny wózek załadowany cegłami krzyknął coś i opadł na kolana. Do środka pojazdu nie dotarł jego głos. Jedwab przypomniał sobie, że przy pożegnaniu ma pobłogosławić kierowcę. A laska? Czy powinien zostawić ją w ślizgaczu? Krew wprawdzie

pozwoił mu ją zatrzymać, ale czy on chce mieć coś, co jest własnością Krwi? Tak, manteion. Ale w rzeczywistości manteion należał do niego, nie do Krwi, bez względu na to, co mówiło prawo, a nawet sama Kapituła. Manteion należał do patere Płetwy przynajmniej w kategoriach moralnych, a patere Płetwa pieczę nad nim przekazał swemu następcy z poleceniem, by do śmierci strzegł go jak żrenicy oka.

Ślizgacz zwolnił, gdyż kierowca z uwagą obserwował mijane budynki.

Jedwab zdecydował, że zatrzyma zarówno manteion, jak i laskę.

– To tam, mój synu, ten budynek kryty gontem. Widzisz? Ujął laskę i sprawdził, czy jej koniec nie ślizga się na podłodze pojazdu.

Maszyna zawisła w bezruchu w powietrzu.

– Tu mam stanąć, patere?

– Nie, troszkę dalej. Raz, dwa, trzy... trzecie drzwi.

– Ludzie gadają, że pewien augur doznał objawienia. O ciebie chodzi, prawda?

Jedwab skinął głową. – Tak.

– Wspominał mi o tobie ktoś w naszej posiadłości. Mówią, że zamierzasz przywrócić calde. Nie chciałem cię o to wypytywać. Sądziłem, że temat sam się pojawi.

– Czy zamierzam przywrócić calde? O to chciałeś zapytać? Nie, tego w moich instrukcjach nie było.

– W instrukcjach od boga?

Ślizgacz opadł na ziemię, kopuła się rozdzieliła i wsunęła w boki pojazdu.

– Tak. – Jedwab ciężko dźwignął się z fotela. Szofer wysiadł, by otworzyć mu drzwi.

– Nigdy nie wierzyłem w bogów, patere.

– Ale oni w ciebie wierzą.

Przy pomocy kierowcy Jedwab z trudem wspiał się na pierwszy, wytarty, wykonany z rakplastu stopień schodków wiodących z ulicy do manteionu. Był w domu.

– Wierzysz w diabły, a nie wierzysz w nieśmiertelnych bogów. To wielka głupota, mój synu. Czyste szaleństwo.

Nieoczekiwanie szofer padł na kolana. Wsparty na lasce Jedwab pochylił się na nim, odmówił najkrótszą formułę błogosławieństwa, a nad głową petenta nakreślił w powietrzu znak dodawania.

Kierowca dźwignął się z klęczek.

– Chciałbym ci pomóc, patere. Masz tu... masz tu gdzieś dom. Pomogę ci do niego dojść.

– Nie trzeba – odparł Jedwab. – Wracaj i idź do łóżka.

Szofer grzecznie odczekał, aż jego pasażer wejdzie do budynku, po czym uruchomił wydechy. Jedwab pokuśtykał w stronę wąskiej bramy ogrodu. Chora noga całkiem mu zeszywniała. Gdy dotarł do altany, zaczął się zastanawiać, czy aby nie nazbyt pochopnie odrzucił pomoc kierowcy. Marzył o odpoczynku, pragnął) choćby przysiąść na jednej z wygodnych ławek w altance, na których prawie codziennie siadywał w towarzystwie maytere Marmur.

Ale gonił go głód; jedzenie i łóżko były już tak blisko. Krew wykazałby się większą życzliwością, gdyby zamiast mocnego trunku zaproponował nocnemu gościowi coś do jedzenia.

Choć pulsowało i łupało mu w głowie, przekonywał siebie, że kiedy już coś zje, poczuje się dużo lepiej. A wtedy uda się do łóżka i natychmiast zaśnie. Będzie spał aż... no cóż, aż ktoś go nie zbudzi. Tak, to prawda; aż ktoś go nie zbudzi.

Znajomy, lekko zatęchły zapach panujący na plebanii był niczym pocałunek. Jedwab usiadł ciężko na krześle, wyciągnął zza skarpetki azoth i z uszanowaniem przyłożył go do ust. Ostatni raz widział broń w ręku pięknej Hiacynt i jeśli można było doktorowi wierzyć, azoth stanowił jej pożegnalny podarunek. To wręcz absurd, że trzymał w dłoniach przedmiot tak cudowny, cenny i tak niebezpieczny. Tak naładowany zapomnianą wiedzą wcześniejszego świata. Zanim uda się na spoczynek, musi go ukryć, i to ukryć dobrze. Nie wątpił, że zdoła przebyć strome, krzywe schody wiodące na piętro, ale czy uda mu się bez upadku wrócić na dół do kuchni? A przecież oka nie zmruży, jeśli nie ukryje azotha; jeśli nie będzie najświęciej przekonany, że nikt go nie skradnie.

Mrucząc pod nosem modlitwę do Sphigx (z całą pewnością nadszedł już sphigxdag, a Sphigx była patronką odwagi i pomagała mężnie znosić ból), ruszył powoli schodami. Na górze wyciągnął spod łóżka zardzewiałą i zupełnie pustą kasę, w której trzymał fundusze manteionu, schował do niej azoth, a klucz ukrył w sobie tylko znanym schowku pod dzbanem z wodą, stojącym na nocnym stoliku.

Zejsście po schodach okazało się nadspodziewanie łatwe. Wspierając się na lasce i poręczy, mocno utykając, zszedł powoli na parter.

Uradowany tym sukcesem przekuśtykał do kuchni, postawił laskę w kącie, napompował wody i umył ręce. Przez okna wpadało światło rozjaśnienia i Jedwab – który, choć nie sypiał do późna, aż tak wcześnie nigdy nie wstawał – napawał się świeżym, cudownym porankiem. Ku swej radości stwierdził, że wcale nie jest tak zmęczony ani tak senny, jak wcześniej sądził.

Spryskał wodą twarz i włosy. Po tej krótkiej toalecie poczuł się jeszcze lepiej. Był zmęczony, to prawda, i przeraźliwie głodny, ale mógł stawić czoło nowemu dniu. Może po śniadaniu w ogóle nie powinien się kłaść?

Na parapecie okna czekały zielone pomidory; chyba powinny być cztery... Zakłopotany, grzebał w pamięci.

Na parapecie leżały tylko trzy. Czy to możliwe, by ktoś ukradł jeden niedojrzały pomidor? Posiłki dla sybilli przygotowywała maytere Marmur. Przez chwilę wyobrażał ją sobie pochyloną nad dymiącą patelnią, na której smaży jego pomidor z drobno posiekany bekoniem i cebulą. Na samą

myśl o tym ślinka mu napłynęła do ust. Niemożliwe, by maytere Marmur w taki sposób pożyczyla od niego pomidora.

Krzywiąc się przy każdym kroku z bólu, rozbawiony własnymi grymasami, podkuśtykał do parapetu. Znalazł resztki czwartego pomidora; tuzin pestek i kilka kawałków skórki. A w trzecim coś wyjadło dziurę.

Z całą pewnością szczury... nie, nie wyglądało to na robotę szczurów. Odciał nadjedzoną część, a resztę pomidora wraz z dwoma pozostałymi pokroił, po czym zbyt późno przypomniał sobie, że aby je usmażyć, należy najpierw rozpalić w piecu.

Na palenisku, jak zwykle, znalazł jedynie zimny popiół. W innych piecach ogień rozniecało się od pozostałego z poprzedniego dnia żaru, w manteionie jednak nigdy nie palono długo żarzącym się węglem. Jedwab ułożył na zimnym ruszcie kilka skrawków papieru, a na nich szczapki drewna. Jeszcze tylko snop białych, gorących iskier z ignitora i niebawem zatańczył wesoły ogieniek.

Gdy patere szedł do stosu grubszych polan, kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Zatrzymał się, zerknął za siebie. Na szczycie kredensu poruszało się coś czarnego. Aż nazbyt wyraziście przypomniał sobie siwogłowego czającego się na skraju komina. Ale to mógł być tylko szczur. Gdy po ukończeniu scholi przybył na plebanię, zastał w niej masę szczurów. Niewątpliwie żyły już tam, kiedy w manteionie pojawił się patere Płetwa.

Szczur czy nie szczur, płonące szczapki nie mogły długo czekać. Jedwab wybrał kilka polan, wrócił do pieca (raz o mało się nie przewrócił) i ostrożnie ułożył drwa na palenisku. Choć szczur z całą pewnością dawno już czmychnął, Jedwab wziął laskę z kąta. Przystanął na chwilę przy wychodzącym na ulicę Srebra oknie i uważnie obejrzał zniszczoną, zagiętą pod kątem prostym rączkę. Przedstawiała zapewne psa lub...

Obrócił laskę i wzniosł ją nieco wyżej, do światła.

A może lwicę? Po krótkim zastanowieniu doszedł do wniosku, że naprawdę jest to głowa lwicy; lwica symbolizowała Sphigx, a przypadał akurat dzień tej bogini. Myśl ta niebywale uradowała patere.

Lwy należały do wielkich kotów, a wielkie koty potrzebne były na szczury, szkodniki zbyt duże, by mogły uporać się z nimi koty zwykłych rozmiarów. Zaklekotał laską o górę kredensu. Rozległ się łopot, a następnie ptasi skrzek. Kolejne uderzenie laską i z góry spiżarni spłynęło czarne pióro.

Jedwabiowi przyszło do głowy, że szczur upolował ptaka i zaciągnął go na kredens, by tam pożyć. Zapewne w boazerii nad kredensem była dziura, lecz ptak okazał się zbyt duży, by go przez nią przeciągnąć.

Paterę stał chwilę bez ruchu i nasłuchiwał. Dźwięku, jaki usłyszał, z całą pewnością nie mógł wydać szczur. Po chwili zastanowienia zajrzał do pojemnika na odpadki; ptaka w środku nie było.

Z nogą w gipsie nie mógł wejść na stołek, by sięgnąć wysoko pod sufit.

– Jesteś tam, ptaku?

Odpowiedziało mu milczenie. Znów zaczął na ślepo uderzać końcem laski w szczyt kredensu; tym razem nie miał już najmniejszych wątpliwości, że słyszy ptasi skrzek.

– Zejdź do mnie! – zawołał tonem nie znoszącym sprzeciwu.

– Nie, nie! – krzyknął chrapliwie ptak.

– Myślałem, że jesteś martwy.

I znów ze szczytu spiżarni odpowiedziało mu milczenie.

– Skradłeś mi pomidor, prawda? I teraz boisz się kary. Nie bój się, wybaczam ci kradzież.

Próbował przypomnieć sobie, czym żywią się żyjące na wolności nocne kruki. Ziarnem? Nie, ten ptak nie tknął pestek. Bez wątpienia jest padlinożercą.

– Zarżnie – odezwał się ochryple ptak.

– Złożę z ciebie ofiarę? Nie zrobię tego, obiecuję. Pismo ostrzegło mnie, że ofiara będzie daremna, a po tym, co się wydarzyło, nie powinienem ponownie składać ciebie na ołtarzu. Uwierz mi, zostałem bardzo srogo ukarany przez innego ptaka. Nie jestem tak głupi, by znowu próbować tej samej ofiary.

Jedwab czekał w bezruchu, nasłuchiwał. Był już pewien, że poprzez dobiegające przez okno z ulicy Srebra trzaskania batów woźniców i turkot wozów słyszy na kredensie ciche szelesty.

– Zejdź do mnie – powtórzył.

Ptak nie odpowiedział. W piecu huczał ogień, przez otwór w płycie strzelały żółte płomienie. Jedwab wyjął ze zlewu patelnię, otrząsnął z wody, nalał resztkę oleju i postawił na piecu.

Pomidory, jeśli rzucić je na zimny olej, nasiąkną nadmiernie tłuszczem; jeśli rzucić na zbyt gorący, nabiorą nieprzyjemnego posmaku. Oparłszy laskę o drzwiczki kredensu, zebrał twarde zielone plasterki, podkuśtykał do pieca i z nabożeństwem porozkładał je na patelni. Rozległ się głośny syk, w powietrze uniósł się obłok wonnej pary.

Ze szczytu kredensu dobiegło ciche gdaknięcie.

– Mogę cię w każdej chwili zabić laską, tłukąc nią w górę kredensu – zagroził ptakowi. – Jeśli się nie pokażesz, zrobię to.

Na kredensie pojawił się na chwilę długi karmazynowy dziób i błyszczące czarne oko.

– Ja – powiedział lakonicznie nocny kruk i znów zniknął.

– Bardzo dobrze. – Wychodzące na ogród okno było już otwarte, więc Jedwab odryglował ciężki zamek drugiego, które wychodziło na ulicę Słońca. – Jest już rozjaśnienie i z każdą chwilą robi się jaśniej. Twój gatunek lubi mrok. Lepiej więc wylaż czym prędzej.

– Nie latać.

– Ależ tak, leć. Nie zamierzam cię zabijać. Jesteś wolny. Jedwab doszedł w końcu do wniosku, że ptak zapewne czeka, aż on odłoży łaskę. Odrzucił ją zatem w róg kuchni, sięgnął po widelec i zaczął odwracać plasterki pomidorów. Pyskały sokiem, parowały. Dodał do nich szczyptę soli.

Ktoś zapukał do drzwi i patere pośpiesznie zdjął z ognia patelnię.

– Chwileczkę!

Zapewne ktoś umiera i przed śmiercią chce pojednać się z Pahem.

Drzwi otworzyły się, zanim zdążył do nich doczłapać. Do kuchni zajrzała maytere Róża.

– Wstałeś dziś bardzo wcześnie, patere. Czy coś się stało? Rozejrzała się po kuchni. Oczy miała dziwne. W jednym brakowało źrenicy i było ślepe; drugie stanowiło protezę stworzoną z kryształu i ognia.

– Witaj, maytere. – Trzymał niezdarnie w rękach widelec i patelnię, gdyż nie miał gdzie ich odłożyć. – Miałem w nocy przykry wypadek. Przewróciłem się. Noga wciąż mnie boli i nie mogłem zasnąć.

Pogratulował sobie w duchu – nie skłamał.

– I dlatego już robisz śniadanie. Myśmy jeszcze w świątyni nie jadły. – Maytere Róża łakomie pociągnęła nosem; suche, metaliczne wciągnięcie powietrza w płuca. – Marmur wciąż jeszcze krząta się w kuchni. Drobne rzeczy zabierają jej masę czasu.

– Jestem pewien, że maytere Marmur bardzo się stara – odparł surowo Jedwab.

Maytere Róża puściła jego słowa mimo uszu.

– Daj mi patelnię. Zaniosę ją maytere Marmur. Odbierzesz po powrocie.

– To zbyteczne. – Wiedział już, że jeśli natychmiast nie zje, długo jeszcze będzie głodny. Przekroił widelcem jeden plasterk. – Czy to aż tak pilne? Widzisz przecież, że ledwo chodzę.

– Nazywa się Rzep i jest uczennicą maytere Marmur. – Maytere Róża znów pociągnęła nosem. – Tak twierdzi jej ojciec. Ja nie znam tej dziewczynki.

Jedwab znieruchomiał. Widelec z kawałkiem pomidora zawisł w połowie drogi do ust.

– Rzep?

– Jej ojciec, łomocząc do drzwi, wyrwał nas ze snu. Powiedział, że siedzi przy niej matka. Najpierw dobijał się do ciebie, ale mu nie otworzyłeś.

– Powinnaś była przyjść do mnie natychmiast, maytere.

– Po co, skoro on nie zdołał ciebie obudzić? Poczekałam, aż wstaniesz. – Maytere Róża nie spuszczała sprawnego oka z połówki pomidora. Oblizwała wargi i wytarła rękawem usta. – Czy wiesz, gdzie ona mieszka?

Zgnębiony Jedwab skinął głową i w jednej chwili, pokonany wilczym głodem, wsunął gorący pomidor do ust. Nigdy jeszcze nie jadł czegoś tak smacznego.

– To niedaleko. Chyba dam radę dojść tam na piechotę.

– Gdy Marmur upora się ze śniadaniem, pošlę ją po patere Lamparta. Niech wskaże mu drogę.

Jedwab potrząsnął głową, – Zamierzasz jednak iść? – spytała Róża. Popatrzył na nią pytająco.

– Wezmę to – zaproponowała z nadzieją.

– Nie, dzięki! – Jedwab stwierdził smutno, że postępuje jak skończony egoista. – Muszę zabrać togę, krezę i całą resztę. A ty, maytere, wracaj do świątyni, bo śniadanie przejdzie ci koło nosa.

Zgarnął widelcem z patelni jeden z mniejszych plasterków.

– Co się stało z twoją tuniką?

– Aha, muszę też wziąć nową tunikę. Dziękuję. Masz rację. Masz całkowitą rację.

Jedwab zamknął jej przed nosem drzwi, założył rygiel i wsunął do ust cały skwierczący plaster pomidora. Maytere Róża nigdy mu tego nie wybaczy, ale wcześniej już dopuścił się wielu występków, których maytere Róża również nie zamierzała mu kiedykolwiek wybaczyć. Dotyk zła mógł zbrukać jego ducha na całą wieczność, czego głęboko i szczerze żałował, ale z praktycznego punktu widzenia nie robiło mu to większej różnicy. Jadł prędko, lecz ze smakiem.

– Jędza – stłumionym głosem zakrakał ptak.

– Uciekaj – wymamrotał z pełnymi ustami Jedwab i przełknął. – Wracaj w góry. Jesteś wolny.

Odwrócił na patelni resztę pomidorów, jeszcze chwilę trzymał je na ogniu, następnie szybko zjadł (cokolwiek oleisty smak potrawy sprawiał mu rozkosz); suchar, z którego zeszkrobał pleśń, podsmażył na reszcie oleju i wchodząc po schodach do sypialni, powoli go chrupał.

Zza pleców, z dołu, ze szczytu kredensu, dobiegł go głos ptaka:

– Żegnaj! – I po chwili: – Pa, pa!

Oreb i inny

Rzep miała otwarte usta i zamknięte oczy. Ciemne włosy, rozrzucone na poduszce, podkreślały jeszcze bladość jej twarzy. Pochylony nad nią i pogrążony w modlitwie Jedwab aż do bólu był świadomy wymizerowanej buzi dziewczynki, sterczących kości policzkowych, zapadniętych oczu i wypukłego czoła. Mimo wciąż wzrastającego upału, matka owinęła ją aż pod szyję wełnianym czerwonym pledem, który w rozgrzanej słońcem izbie lśnił niczym rozpalone palenisko w piecu. Na czole małej perliły się krople potu. Jedynie ów pot, który matka ścierała co pewien czas gąbką, mówił Jedwabowi, że dziewczynka wciąż jeszcze żyje.

Kiedy uporał się z paciorkami i skończył intonowanie ostatniej z przepisanych modlitw, matka powiedziała:

– Usłyszałam jej krzyk, jakby skaleczyła się w palec. Stało się to w środku nocy, więc pomyślałam, że dręczą ją złe sny. Wskoczyłam z łóżka i pobiegłam zobaczyć, co się dzieje. Pozostałe dzieci spały; spała i ona. Potrząsnęłam ją za ramię, trochę się rozbudziła i chciała pić. Powinnam była jej kazać pójść do kuchni.

– Nie – odrzekł Jedwab.

– Tylko że zrobiłam inaczej. Poszłam sama i przyniosłam kubek wody. Rzep wypiała, a potem zamknęła oczy. – Matka zamilkła i po chwili dodała: – Lekarz nie przyjdzie. Kuna próbował już go tu sprowadzić.

– Zrobię co w mojej mocy – odparł uspokajająco Jedwab.

– Gdybyś ty z nim porozmawiał, patere...

– Wprawdzie ostatnim razem w ogóle nie wpuścił mnie do domu, ale spróbuję...

Matka popatrzyła na małą Rzep i ciężko westchnęła.

– Na poduszce znalazłam ślady krwi. Niedużo. Zobaczyłam je dopiero o rozjaśnieniu. Myślałam, że krwawiła z ucha, ale nie. Było jej przeraźliwie zimno.

Ku zaskoczeniu zarówno matki, jak i Jedwabia, Rzep otworzyła oczy.

– Okropny staruch – powiedziała słabo. Matka natychmiast pochyliła się nad nią.

– Co mówisz? – Pić.

– Przynieś wody – polecił Jedwab i kobieta zniknęła w kuchni. – Skrzywdził cię jakiś staruch?

– Skrzydła.

Rzep wywróciła oczyma, spoglądając w stronę okna, po czym znów zamknęła powieki.

Do mieszkania wiodły cztery kondygnacje schodów, co Jedwabowi przysparzało wiele bólu, gdy niezgrabnie pokonywał stopnie. Teraz wstał, podkuśtykał do okna i wyjrzał na zewnątrz. W dole rozciągało się małe brudne podwórko, a nad nim znajdowała się mansarda. Zwężające się ku górze ściany budynku zbudowane były z nieotynkowanych, żółtawych, spłowiałych na słońcu cegieł.

Legenda mówiła, że rozmowa z diabłami przynosi nieszczęście.

– Czy mówił coś do ciebie? – spytał Jedwab. – Albo ty do niego?

Rzep milczała.

Wróciła matka z wodą. Paterę pomógł unieść chorą do pozycji półsiedzącej. Rzep łapczywie wypila do dna.

– Przynieś więcej – polecił, a gdy matka odeszła, ułożył niespokojne dziecko na boku.

Kiedy Rzep wypila drugi kubek, jej matka zapytała:

– Czy to był diabeł, patero?

Jedwab ponownie usadowił się na taborecie.

– Tak sądzę – mruknął i potrząsnął głową. – I bez tego mamy dosyć paskudnych chorób. To straszne, że...

Nie dokończył myśli.

– Co możemy zrobić?

– Opiekuj się nią i dobrze karm. Podawaj jej tyle wody, ile zdoła wypić. Podejrzewam, że straciła dużo krwi. – Ujął w dłoń wiszący mu na szyi krzyż próżniowy i zaczął wodzić opuszkami palców po jego ostrych stalowych krawędziach. – Paterę Płetwa mówił mi o takich diabłach. Było to... – Jedwab zamknął oczy i zaczął przeliczać w myślach – ...mniej więcej na miesiąc przed jego śmiercią. Nie wierzyłem mu, słuchałem z grzeczności. Co za szczęście, że słuchałem.

Matka skwapliwie pokiwała głową.

– Czy powiedział, jak go przepędzić?

– Diabła już nie ma – odrzekł Jedwab zamyślony. – Problem leży w tym, jak nie dopuścić do jego powrotu. Mogę jedynie zrobić to, co robił patero Płetwa. Nie wiem, gdzie nauczył się tej sztuki ani czy jest skuteczna, ale podobno diabeł nie nęka dzieci dwukrotnie.

Pomagając sobie laską Krwi, utykając podszedł do okna, siadł na parapecie i przytrzymując się zdrową ręką zwietrzałej futryny, wyjrzał na zewnątrz. Okno było wąskie i niskie, więc bez trudu sięgnął do znajdującego się nad nim muru z pokruszonych cegieł. Jednym z ostrych ramion gammadionu wyrył na cegle znak dodawania.

– Przytrzymam cię, patero. – Ojciec chorej chwycił go za kolana.

– Dziękuję – mruknął niewyraźnie Jedwab i po lewej stronie przekrzywionego X wyskrobał imię patere Płetwy. Paterę Płetwa zawsze podpisywał swe dzieła.

– Podstawiłem dla ciebie wóz, patere. Rozmawiałem o tobie z moim *jefe*, a on powiedział, że tak właśnie powinienem zrobić.

Po chwili wahania Jedwab wyrył po drugiej stronie X własne imię.

– Jeszcze raz ci dziękuję – rzekł, schodząc z parapetu. – Oboje módlcie się do Phaei. Uzdrawianie jest jej domeną, a wszak nieszczęście spotkało biedną Rzep pod koniec dnia tej bogini.

Rodzice zgodnie pokiwali głowami.

– Módlcie się też do Sphigx, ponieważ dziś przypada jej dzień, oraz do Scylli Rozkołysanej. Do niej należy miasto, a w dodatku wasza córeczka prosiła o wodę. I na końcu proszę was, byście żarliwie pomodlili się do Zewnętrznego.

– Czemu? – zapytała matka.

– Bo ja tak mówię – odburknął rozdrażniony Jedwab. – Pewnie żadnej modlitwy do niego nie znacie, a i nie ma ich wiele, ale stwórzcie własną. Jeśli tylko będzie szczerą, przyjmie ją z radością.

Pokonując okropny ból, stopień po stopniu schodził po schodach na ulicę i nagle za plecami usłyszał głos Pleśni:

– Wspaniałe przedstawienie! Co zamierzasz zrobić w następnej kolejności?

Odwrócił się szybko. Niczym we śnie mignęła mu twarz jak trupia czaszka – uśmiechnięta szalona dziewczyna. Te oczy z pewnością nie należały do przygarbionego, spracowanego mężczyzny, który mu towarzyszył. Pleśń w jednej chwili rozplynęła się w powietrzu, a ojciec chorej Rzep zadrżał.

– Czy coś ci się stało, Kuno?

– Dziwnie się poczułem, patere. Nie wiem, co mnie naszło. Jedwab skinął głową, wykonał znak dodawania i wymamrotał błogosławieństwo.

– Już nic mi nie jest Chyba za bardzo martwię się o córkę. Śmierć przeszła obok mnie.

Jedwab miał zwyczaj wnosić po schodach do swej sypialni miednicę z wodą i tam przyzwoicie, w samotności się myć. Teraz okazało się to niemożliwe. Tak zatem dokładnie zaryglował się w kuchni, następnie ścierką zasłonił okno od ulicy, a drugie, wychodzące na ogród (z którego widać było świątynię), grubym szarym kocem, który trzymał na zimę na najwyższej półce w szafie w sellarii.

W najciemniejszym kącie kuchni, prawie przy samych schodach, rozdział się i wziął zimną kąpiel, za którą tak bardzo tęsknił. Namydlił całe ciało, od czubka głowy po gips, i domył się gąbką zmoczoną w chłodnej, czystej studziennej wodzie.

Był tak zmęczony, że miał ochotę przespać się w kuchni na podłodze. Popatrzył na porozrzucaną

odzież. Doszedł do wniosku, że spodnie, gdy trochę je poceruje, są jeszcze do odratowania. Będzie mógł ich dalej używać do pracy przy naprawie dachu manteionu i innych zajęć fizycznych. Opróżnił kieszenie, wyjmując paciorki modlitewne, dwie karty Krwi oraz kilka drobiazgów. Wszystko to położył na starym kuchennym stole. Tunika była w opłakanym stanie, po praniu nada się na szmaty. Wrzucił ją do kosza z brudami, wytarł się do sucha ręcznikiem i ruszył do łóżka. Gdyby nie dojmujący ból w kostce, zasnąłby w połowie drogi do sypialni.

Jego osioł zniknął w żółtym domu. Odłamki szklanki, którą Krew rozbił strzałem z igłowca ślicznej Hiacynt, chrzęściły pod kopytami zwierzęcia, a rogata sowa, wielka niczym lotnik, krążyła mu nad głową, wyczekując odpowiedniej chwili do ataku. Zadrżał na widok dwóch częściowo zasłoniętych włosami ran na szyi biednej Rzep. Ran od ptasiego dzioba.

Osiół niczym pies zacisnął zęby na jego kostce. Mimo że tłukł zwierzę po łbie laską z głową Sphigx, nie chciało rozewrzeć pyska.

Jego matka jechała w damskim siodle na ośle Alki – widział ją nad dachami domów, lecz nie mógł jej zawołać. Należące do niej drewniane popiersie calde leżało wśród opadłych liści. W jego rękach zmieniło się w piłkę. Wsunął ją do kieszeni i wtedy się obudził.

Do sypialni wpadało słońce, jaskrawe, gorące, Jedwab dosłownie ociekał potem. Usiadł i napił się z dzbana ciepławej wody. Sprawdził, czy zardzewiała kasa wciąż stoi pod łóżkiem.

Znów się położył. Przypomniawszy sobie, że w kasie zamknął śliczną Hiacynt.

Ubrany na czarno diabełek ze skrwawionym mieczem w ręku stał na jego torsie i przechylając głowę to w prawo, to w lewo, bacznie mu się przyglądał. Gdy Jedwab poruszył ręką, diabełek odleciał, furkocząc niczym chorągiewka na wietrze.

Przez okno wpadała sucha ulewa, toczyła się po podłodze, lecz nie przynosiła ze sobą ani podmuchów wiatru, ani ulgi od panującego żaru. Jedwab jęknął i wtulił spoconą twarz w poduszkę.

Obudziła go dopiero maytere Marmur, która za otwartym oknem głośno wołała jego imię. Wciąż oszołomiony snem nie próbował zgadywać, jak długo spał. Podejrzewał, że niezbyt długo.

Niezdarnie dźwignął się z łóżka. Obok tryptyku pracowity zegar wskazywał, że już dochodzi południe. Jedwab próbował sobie przypomnieć pozycję wskazówek, w chwili kiedy szedł do łóżka. O ósmej, może trochę po. Rzep, biedna mała Rzep została zaatakowana przez sowę... lub przez diabła. Diabełek ze skrzydłami dostał się przez okno, lecz żaden diabełek nie uderza dwukrotnie. Jedwab zamrugał powiekami, ziewnął i przetarł oczy.

– Paterę? Jesteś tam?

Nie mógł zbliżyć się do okna, bo Marmur by go zobaczyła nagiego. Grzebiąc w szufladzie w poszukiwaniu czystej bielizny, zawołał:

– Słucham, maytere?

– Przyszedł lekarz! Mówi, że chce cię zbadać! Czy coś ci się stało?

– Chwileczkę.

Jedwab włożył najlepsze spodnie, jedyną parę, jaka mu została, i podszedł do okna. Dwa razy syknął z bólu, bo nastąpił na jakieś kamyki.

Maytere Marmur stała na wąskiej ścieżce, jej uniesiona twarz błyszczała w gorących promieniach słońca. Towarzyszył maytere doktor Żuraw. W ręku trzymał podniszczony lekarski neseserek.

– Niech bóg wam sprzyja tego ranka! – zawołał uprzejmie Jedwab.

W odpowiedzi Żuraw zamachał wolną ręką.

– Pamiętasz? W sphigxdag i hieraxdag odwiedzam tę część miasta. A dzisiaj jest sphigxdag. Wpuść mnie do środka!

– Za chwilę. Muszę się ubrać.

Sięgnął po laskę z rączką w kształcie łba lwicy i mocno utykając, zszedł po schodach na parter. Ręka i noga bolały go dużo bardziej niż przed położeniem się do łóżka. Był przekonany, że przestały działać środki uśmierzające ból, zaaplikowane mu w nocy przez Żurawia – jak też potężna dawka alkoholu, którą nierozważnie wypił.

Kulejąc i krzywiąc się z bólu, wszedł do kuchni. Szybko wsunął do kieszeni spodni pozostawione na stole drobiazgi. Zawahał się tylko chwilę przy igłowcu.

– Paterę?

Okno wychodzące na ogród wciąż zasłaniał koc. Jedwab przeszedł do sellarii, otworzył drzwi i natychmiast rozpoczął prezentację:

– Maytere, to jest doktor Żuraw...

Maytere Marmur poważnie skinęła głową, a lekarz powiedział:

– Już się poznaliśmy. Marmur zagadnęła mnie, gdy wrzucałem przez okno kamyki do twego pokoju. Byłem pewien, że to twój pokój, bo ze środka dochodziło potężne chrapanie.

– Posłałeś po doktora? – spytała maytere. – On jest nowy w naszej dzielnicy.

– Mieszkam gdzieś indziej – wyjaśnił Żuraw. – W tej części miasta na umówione spotkania pojawia się dwa razy w tygodniu. Moi pacjenci o tej porze zwykle śpią. To straszne śpiochy. – Mrugnął do Jedwabia żartobliwie. – Ale miałem nadzieję, że paterę jest już na nogach.

Jedwab ponuro łypnął okiem na lekarza.

– Ja również jestem śpiochem. W każdym razie dzisiaj. – Przykro mi, że cię zbudziłem, ale będę mógł później odwiedzić cię na umówione spotkanie. Nie wolno forsować chorej nogi. – Wskazał drzwi sellarii. – Powinieneś usiąść. Wejdźmy do środka.

– Czy mogę popatrzeć, paterę? – zapytała maytere. – Przez drzwi... ?

– Naturalnie – odparł Jedwab. Na rozmowę z Żurawiem w cztery oczy będzie miał czas podczas jazdy do żółtego domu. – Skoro sobie tego życzysz.

– O niczym nie wiedziałam. Maytere Róża wspomniała coś maytere Mięcie i mnie przy śniadaniu, ale sama niewiele wiedziała. Bardzo... bardzo się na nią zirytowałam.

– O, bardzo.

Jedwab z przygnębieniem pokiwał głową i wszedł do sellarii. Poczucie winy silniej mu dokuczało niż ból kostki. Maytere Róża była głodna, a on odmówił jej stawy. Zachowywała się wprawdzie natarczywie, ale na to już nic nie mogła poradzić. Niewątpliwie intencje miała czyste, a już na pewno głęboko w to wierzyła. Jakże bezinteresownie służyła manteionowi przez sześćdziesiąt lat! A on tego dnia odmówił jej stawy.

Opadł na najbliższe krzesło, lecz zaraz wstał i przesunął je o dwa metry, tak by mogła go widzieć stojąca za drzwiami maytere Marmur.

– Czy mogę postawić torbę na tym stoliku? – Doktor Żuraw przeszedł na lewą stronę, maytere nie widziała go od progu.

Nie było tam żadnego stolika. Lekarz wyjął z torby jakieś bezkształtne, ciemne zawiniątko (którego maytere Marmur nie mogła ze swego miejsca dostrzec), położył je na podłodze, a obok postawił torbę.

– Patere, najpierw zajmijmy się ręką.

Jedwab podciągnął rękaw i lekarz srebrzystymi nożyczkami przeciął bandaż.

– Noga bardziej ci dokucza, ale tutaj może dojść do zakażenia, a to już nie są żarty. Od złamanej kostki nie umrzesz, chyba że w najokrutniejszy sposób zadrwi z ciebie los. – Żuraw dokładnie obejrzał ranę, nawet powąchał. – Jak dotąd nic złego się nie dzieje, lecz na wszelki wypadek dam ci jeszcze jeden zastrzyk.

Odwracając myśli od ampułki i igły, Jedwab zaczął rozmowę z maytere Marmur:

– Przykro mi, że opuściłem poranną modlitwę. Która jest teraz godzina?

– Dochodzi południe. Maytere Róża powiedziała, że musiałeś... Czy to ptak, patere?

– Nie ruszaj się – ofuknął go Żuraw.

– Przypomniałem sobie ptaka, który to zrobił – usprawiedliwiał się Jedwab słabym głosem.

– Mogłem złamać igłę. Myślisz, że później znalazłbym ją w twojej żyłę?

– To ptak, widziałam! – powiedziała zdecydowanie maytere Marmur. – Biegł do twojej kuchni, patere.

– W stronę schodów – uściślił Jedwab. – Dziwię się, że jeszcze tu jest – Był to wielki czarny ptak

ze złamanym skrzydłem. Wprawdzie nie włókł go za sobą, ale odstawało niezgrabnie. Czy to ten ptak... ?

– Siedź spokojnie! – Żuraw zaczął owijać mu przedramię czystym bandażem.

– A więc dlatego nie odleciał – odrzekł Jedwab i maytere Marmur popatrzyła nań pytająco. – To ten sam ptak, którego zamierzałem złożyć w ofierze. Nie zdechł. Dziś rano otworzyłem mu okno, by wyleciał, ale chyba złamałem mu skrzydło, kiedy tłukłem tym kijem po górze kredensu.

Sięgnął po laskę, którą dostał od Krwi. W tym momencie przypomniał sobie, że powinien wyjaśnić maytere Marmur – a rym samym również maytere Mięcie i maytere Róży, chyba że miałyby nieprawdopodobne szczęście – w jaki sposób nabawił się obrażeń.

– Po górze kredensu, patere?

– Tam skrył się ptak. – Wciąż rozmyślając o wyjaśnieniach, jakich *zaządają* od niego sybille, dodał: – Sądzę, że podfrunął na kredens.

Żuraw sięgnął po taboret do wkładania butów i ciężko na nim usiadł.

– Proszę podciągnąć tunikę. Dobrze. I trochę zsunąć spodnie.

Maytere Marmur dyskretnie odwróciła głowę.

– Gdyby udało mi się złapać tego ptaka, czy nastawiłbyś mu skrzydło? – zwrócił się do lekarza Jedwab.

– Nie znam się na leczeniu ptaków, ale mogę spróbować. Raz czy dwa zajmowałem się sokołami Piżma.

Jedwab chrząknął głośno i postanowił jak najmniej kłamać, mówiąc maytere Marmur o swej wizycie w willi Krwi.

– Maytere, po spotkaniu... po spotkaniu ze znajomym maytere Mięty... wiesz, o kim mówię, uznałem za stosowne skontaktować się z Krwią. Pamiętasz Krew? Wczoraj po południu oprowadzałaś go po naszym manteionie i palestrze.

– Naturalnie, patere. Jak mogłabym zapomnieć?

– A później, kiedy rozmawialiśmy w altanie, oświadczyłaś, że nasze budynki mają być rozebrane... może nie rozebrane, lecz mamy się z nich wynieść. Tak zatem postanowiłem porozmawiać od serca z ich nowym właścicielem. Mieszka za miastem i załatwienie tej sprawy zajęło mi sporo czasu.

– Proszę się odchylić do tyłu – zakomenderował Żuraw. Zaczął nacierać tors i brzuch Jedwabia niebieskim specyfikiem.

Maytere Marmur z powątpiewaniem pokiwała głową.

– Chwalebny zamiar, ale nie odniosłam wrażenia, by człowiek ten...

Jedwab, wypychając do góry biodra, wyprężył się na krześle jak struna.

– A jednak, maytere. Zamierza dać mi... dać nam, powinienem powiedzieć... jeszcze co najmniej miesiąc. Poza tym istnieje możliwość, że wcale nie będziemy musieli stąd odchodzić.

– Och, patere!

Maytere Marmur na tyle się zapomniała, że spojrzała na Jedwabia, który spieszenie ciągnął dalej:

– Muszę jednak wyjaśnić, że pewien człowiek, który pracuje dla Krwi, hoduje ogromne ptaki. Ma ich chyba z kilkanaście.

Żuraw odruchowo potaknął.

– Jednego z nich podarował Krwi – kontynuował Jedwab. – Było ciemno i zapewne podszedłem za blisko. No i stało się. Krew łaskawie pozwolił, aby doktor Żuraw przyszedł dziś tutaj obejrzyć moje rany.

– Och, patere, jakże to uprzejme z jego strony!

Oczy maytere zalsniły podziwem dla dyplomatycznych talentów Jedwabia, który aż się zaczerwienił.

– Więcej nic tu nie zdziałam – odezwał się skromnie Żuraw, zatykając gumowym korkiem flakon z niebieskim płynem.

Jedwab wziął głęboki wdech. Miał nadzieję, że nadeszła odpowiednia chwila.

– Zanim pojedziemy, doktorze, chcę poruszyć jeszcze jedną sprawę. Obiecałeś zająć się rannym ptakiem, jeśli zdołam go złapać, więc tej prośbie tym bardziej nie odmówisz.

Żuraw dźwignął się z taboretu.

– Przepraszam, muszę wziąć przecinak.

– Dzisiejszego ranka – kontynuował Jedwab – zostałem wezwany, by udzielić ostatecznego rozgrzeszenia małej dziewczynce o imieniu Rzep.

Maytere Marmur wyraźnie zeszywniała.

– Jest bliska śmierci, ale wierzę, że przy należytej opiece lekarskiej wróci do zdrowia. Jej rodzice są ubodzy i mają dużo innych dzieci.

– Wyciągnij nogę – powiedział Żuraw, ponownie siadając na stołku.

Ujął mocno kolano Jedwabia. Zawarczał przecinak.

– Zapewne nie będą w stanie ci zapłacić – ciągnął z uporem Jedwab. – Ani ja. Mogę tylko zaoferować modlitwę w twojej intencji. Ale bez fachowej pomocy Rzep prawdopodobnie umrze.

Rodzice spodziewają się tego... w przeciwnym razie jej ojciec nie szukałby mnie jeszcze przed rozjaśnieniem. W tej dzielnicy jest tylko dwóch lekarzy, ale żaden nie przyjdzie, jeśli nie dostanie zapłaty z góry. Obiecałem matce biednej Rzep, że zrobię wszystko, by sprowadzić do chorej doktora z prawdziwego zdarzenia. W tobie moja jedyna nadzieja.

Żuraw uniósł głowę i popatrzył na Jedwabia, wyraźnie obliczając coś w myślach.

– Byłeś tam dzisiaj rano?

– Dlatego tak późno poszedłem spać. Jej ojciec pojawił się w świątyni jeszcze przed moim powrotem, a kiedy maytere Róża zobaczyła, że jestem już na plebanii, niezwłocznie do mnie przysłała. Natychmiast się tam udałem. – Niczym żądło szerszenia ukłuło go wspomnienie zielonych pomidorów. – Prawie natychmiast – dodał bez przekonania.

– Doktorze, musisz ją zbadać – wtrąciła się maytere Marmur. – Musisz.

Żuraw, ignorując jej słowa, pocierał palcami brodę.

– Obiecałeś rodzicom, że sprowadzisz lekarza do... jak się ta mała nazywa?

W serce Jedwabia wstąpiła nadzieja.

– Obiecałem. Będę twoim dłużnikiem aż do czasu, gdy z rozkazu Paha zniknie nasz whorl. Z największą radością wskażę ci dom, w którym mieszka Rzep. Możemy zatrzymać się tam po drodze.

– Paterę! – wykrzyknęła ze *zgrozą* maytere Marmur. – Tam jest tyle schodów!

Żuraw znów pochylił się nad gipsem. Przecinak chwilę jeszcze brzęczał i niebawem odpadła połówka twardej, gipsowej łuski.

– Dopóki ja mam coś do powiedzenia, nie będziesz wchodzić po żadnych schodach. Nie z taką kostką. Jej dom może wskazać mi maytere Marmur...

– O tak! – Podekscytowana maytere Marmur aż zatańczyła z radości w miejscu. – Muszę ją zobaczyć. To uczennica z mojej klasy.

– ... albo tylko podać adres – dokończył Żuraw. – Pojadę, zbadam ją i wrócę po ciebie. – Usunął resztę gipsu. – Czy bardzo boli?

– Bardziej boli mnie los małej Rzep – odparł Jedwab – ale tym już ty się zajmiesz. Nie wiem, czy do końca życia zdołam ci się wywdziękzyć.

– Nie potrzebuję podziękowań. – Żuraw wstał, strząsając ze spodni gipsowy pył. – Chcę tylko, byś stosował się do moich poleceń. Dam ci bierny owijacz. Jest bardzo drogi i wielokrotnego użytku, zatem gdy już zrośnie ci się złamanie, musisz mi go zwrócić.

– Obiecuję – zapewnił Jedwab.

– A ty, Marmur, pojedziesz ze mną. Oszczędzi ci to drogi na piechotę. Proszę, byś zapewniła

rodziców chorej dziewczynki, że nie robię tego z dobroci serca. Nie chcę być później nękaną przez wszystkich okolicznych żebraków. Robię to wyłącznie dla Jedwabia... patere Jedwabia, jak go nazywacie. I robię to wyjątkowo.

Maytere Marmur pokornie schyliła głowę.

– Widziałeś kiedyś coś takiego? – Lekarz wyciągnął z torby szeroki, cienki pas irchy. – Trzeba to kopnąć nogą. – odrzucił owijacz na przeciwległą ścianę sellarii – albo kilka razy walnąć o jakąś gładką powierzchnię, na przykład o ten taboret. – Przeszedł przez pokój i podniósł irchę. – Owijacz wtedy stanie się gorący. Uderzeniem budzisz go do życia. Dotknij.

Owijacz prawie oparzył Jedwabia w rękę. I wywołał mrowienie w palcach.

– Ciepło sprawi, że nie będziesz czuł bólu w chorej kostce, a wydawane dźwięki, niesłyszalne dla ludzkiego ucha, niebywale przyspieszą proces gojenia. Co więcej, tymi dźwiękami owijacz bada umiejscowienie kości i sam się zaciska, doskonale unieruchamiając staw. – Żuraw zamilkł i dodał z wahaniem: – Takich opatrunków nie można już nigdzie dostać, ale ja jeden mam. Rzadko komu mówię o tym owijaczu.

– Będę go strzegł jak oka w głowie i oddam na każde twoje żądanie – zapewnił lekarza Jedwab.

– Czy nie powinniśmy już jechać? – zapytała nieśmiało maytere Marmur.

– Za chwilę. Paterę, owiń sobie tym kostkę. Owiń bardzo mocno. Nie musisz wiązać żadnych supłów. To trzyma tak długo, jak długo wyczuwa złamaną kość.

Zdawało się, że owijacz sam się zacisnął wokół chorej nogi. Jego ciepło było bardzo intensywne, lecz przyjemne. W jednej chwili przewiercający kostkę ból zniknął.

– Poczujesz, kiedy przestanie działać. Wtedy natychmiast zdejmij owijacz i uderz nim w ścianę lub w dywan. – Lekarz pogładził się po brodzie. – Dzisiaj jest sphigxdag. Następna wizyta w hieraxdag. Za tydzień będziesz chodzić już prawie normalnie. Oddasz mi to pewnie w następny sphigxdag. Do tego czasu jak najmniej obciążaj nogę, w razie potrzeby zorganizuj sobie kule. I nie próbuj nawet biegać czy skakać. Rozumiesz?

– Oczywiście. Ale powiedziałaś Krwi, że kuracja zajmie pięć...

– Nie jest tak źle, jak sądziłem. Po prostu mylna diagnoza. Wasz główny augur... jak go nazywacie? Przewodniczący Kapituły? Czy nie zauważyłaś, że ilekroć choruje, po mnie nie posyła? Cóż, od czasu do czasu zdarza mi się omyłka. Jego lekarze nigdy się nie mylą. Ich spytaj.

– Jak się czujesz, patere? – zainteresowała się maytere Marmur.

– Cudownie! Kusi mnie, by powiedzieć, że nigdy nie miałem złamanej nogi. W rzeczywistości jest jeszcze lepiej. Jakbym miał w ogóle nową kostkę, dużo lepszą od starej.

– Mógłbym zaaplikować ci z tuzin innych środków, po których czułbyś się jeszcze lepiej – zauważył Żuraw. – Choćby szprycę najczystszej rdzy. To naprawdę by cię postawiło na nogi, ale jest

bardzo niebezpieczne. Ale, ale, co z tym ptakiem? Jeśli mam się nim zająć, muszę to zrobić szybko. Jaki to gatunek?

– Nocny kruk.

– Potrafi mówić?

Jedwab potakująco skinął głową.

– A więc zapewne zdołam go sam złapać. Maytere, czy mogłabyś powiedzieć moim lektykarzom, aby przyszli na ulicę Słońca? Znajdziesz ich na ulicy Srebra. Powiedz, że udasz się z nami, a ja pojawię się za minutę lub dwie.

Gdy maytere Marmur poszła spełnić polecenie Żurawia, lekarz wycelował w Jedwabia palec.

– Usiądź, młody człowieku, a ja go poszukam.

Zniknął w kuchni. Do uszu Jedwabia docierał jego głos, lecz trudno było rozróżnić poszczególne słowa.

– Doktorze! – zawołał Jedwab. – Powiedziałaś Krwi, że kuracja będzie trwała tak długo, gdyż chciałeś dać mi więcej czasu. Dziękuję!

Żuraw nic nie odpowiedział. Owijacz na nodze wciąż był gorący i dawał osobliwe ukojenie. Jedwab zaczął szeptać popołudniową modlitwę do Sphigx Mężnej. Drzwiami wleciała wielka, tłusta niebieska mucha i bzycząc jak oszalała, fruwała po izbie w poszukiwaniu jedzenia. Uderzyła z impetem w okno wychodzące na ulicę Słońca.

– Paterę, czy mógłbyś tu przyjść na chwilę? – zawołał z kuchni doktor.

– Już idę.

Prawie nie utykając, podszedł do kuchennych drzwi. Prawą stopę miał bosą i mocno skrępowaną owijaczem.

– Tam się skrył. – Żuraw wskazał szczyt kredensu. – Zamieniłem z nim kilka słów. Nie zejdzcie, dopóki nie obiecasz, że więcej go nie skrzywdzisz.

– Doprawdy? – spytał Jedwab. Na górze kredensu zakrakał nocny kruk. – A zatem obiecuję. I niech ukarze mnie Pah Wielki, jeśli wyrządę mu krzywdę lub pozwolę, by skrzywdził go ktoś inny.

– Nie zarżnie? – zakrakało ptaszysko. – Nie obje?

– Masz moje słowo – zapewnił go Jedwab. – Nie złożę cię w ofierze i nie skrzywdzę w żaden inny sposób.

– Nakarmi?

– Dopóki skrzydło ci się nie wygoi. Kiedy zaczniesz znowu latać, będziesz wolny.

– Klatka?

Żuraw szturchnął Jedwabia w ramię i potrząsnął głową.

– Nie będzie klatki. – Jedwab zdjął ze stołu klatkę i podniósł wysoko nad głowę, by ptak mógł ją zobaczyć. – Patrz.

Obiema rękami cisnął klatką z całych sił w podłogę. Wiklina pękła z hukiem przypominającym wybuch petardy. Szczątki wrzucił do skrzyni z drewnem na opał.

Żuraw potrząsnął głową.

– Obawiam się, że jeszcze tego pożałujesz. On potrafi być dokuczliwy.

Z głośnym łopotem skrzydeł czarny ptak zeskoczył ze szczytu kredensu na stół.

– Dobry ptaszek – pochwalił Żuraw, siadając na kuchennym taborecie. – Stój bez ruchu. Nie chcę ci sprawić bólu, ale może będę musiał.

– Ostatniej nocy byłem więźniem – odezwał się Jedwab, bardziej do siebie niż do lekarza. – I choć nie było tam prawdziwej klatki, bardzo mi się to nie podobało.

Delikatnie, lecz zdecydowanie Żuraw ujął w dłonie niespokojnego ptaka.

– Podaj mi torbę – polecił.

Jedwab przeszedł do sellarii. Zamknął drzwi i podniósł ciemne zawiniątko, które Żuraw wyjął z torby. Jak już wcześniej się domyślił, była to sutanna, w której kieszeni wciąż znajdował się stary piórnik. W szatę zawinięty został but. Choć Jedwab na chorej stopie nie miał skarpetki, włożył but, a potem zamknął neseserek i zaniósł do kuchni.

Ptak szarpał się i skrzeczał, kiedy lekarz prostował jego skrzydło.

– Przemieszczone – oświadczył Jedwabowi Żuraw. – Tak samo jak twój łokieć. Nastawiłem mu skrzydło, ale chcę jeszcze unieruchomić je łubkami. Kruk na razie musi pozostać w twoim domu, bo padłby ofiarą pierwszego lepszego kota.

– A zatem chwilowo musi zostać tu sam – odparł Jedwab.

– Zostać tu – jak echo powtórzył kruk.

– Klatkę zniszczyłem – ciągnął poważnym tonem Jedwab. – A nie chciałbym zamykać okien, byś nie usmażył się w upale. Nie uciekniesz?

– Nie uciekniesz – zapewnił go ptak.

– Mam nadzieję – mruknął Jedwab. Ściągnął koc z okna, otworzył je szeroko i zaczął składać pled.

Żuraw myszkował w neseserze.

– O której jesteście umówiony z Krwią?

– O pierwszej. – Jedwab odniósł koc do sellarii, wrócił do kuchni i dodał: – Chyba się spóźnię. Ale sądzę, że mnie tylko zruca, nie robiąc większej krzywdy.

– Masz odwagę! Ale jeśli dobrze znam Krew, on również się spóźni. Lubi, kiedy wszyscy już są na miejscu i czekają. Raczej go nie ujrzymy przed drugą.

Jedwab zdjął ręcznik z drugiego okna i również je otworzył. Przed złodziejami było zabezpieczone kratą i Jedwabowi błysnęła myśl, że sam, w dosłownym sensie, zamknięty jest w klatce starej czteroizbowej plebanii, którą nazywał domem. Nie zobaczył lektyki Żurawia na ulicy Srebra. Zapewne maytere Marmur już przekazała polecenie lekarza i pojazd czekał na ulicy Słońca.

– Tak będzie dobrze – mruknął Żuraw, manipulując przy skrzydle ptaka jakimś sztywnym niebieskim syntetykiem. – Bądź gotów, kiedy wrócę.

Jedwab skinął głową i przeciągnął dłonią po szczęce.

– Muszę się jeszcze ogolić. Ale będę czekał.

– Odwiedzę dziewczęta. Nie chcę się spóźnić, bo będą wściekłe, że nie mogły wyjść do sklepów. – Żuraw przykleił ostatnią, prawie niewidoczną taśmę przytrzymującą łubki. – Po kilku dniach opatrunek sam odpadnie. Wtedy ptak będzie mógł latać. Nie wiem jak on, ale sokoły w takich wypadkach dobrze wiedzą, na co je stać, a na co nie.

– Nie latać – oświadczył kruk.

– Z pewnością nie teraz. Na twoim miejscu cały dzień nawet nie ruszałbym skrzydłem.

Jedwab błędził myślami gdzieś indziej.

– Diabelskie opętanie? Co się dzieje w żółtym domu? Żuraw popatrzył w jego stronę.

– Nie wiem. Mam nadzieję, że lepiej sobie z tym poradzisz niż ja.

– Ale co tam się wydarzyło? Ostatniej nocy szofer ślizgacza i ja słyszeliśmy dochodzące ze środka krzyki.

– Istnieją tysiące powodów, dla których dziewczyna może krzyczeć. Mogła poplamić sobie ulubioną suknię, mogła mieć złe sny, mogła zobaczyć pajaka.

Cienka igła bólu przeszła spowitą owijaczem kostkę. Jedwab otworzył szafę w rogu kuchni i wyciągnął taboret, na którym patere Płetwa zwykł był zasiadać do posiłków.

– Czyżby Krew chciał, abym egzorcyzmował sny jego kobiet? Wątpię.

Żuraw zatrzasnął zamek torby.

– Kto wie, co dzieje się w świadomości kobiety, którą ludzie twego pokroju nazywają opętaną? Zły duch miałby nią zawładnąć? Świadomość jest zwykłą abstrakcją; wygodną fikcją. Kiedy mówię,

że człowiek jest nieświadomy, mam na myśli jedynie to, że pewne procesy umysłowe uległy zawieszeniu. Kiedy mówię, że odzyskał świadomość, znaczy to, że procesy umysłowe zostały wznowione. Nie można zawładnąć czyjąś świadomością niczym podbitym miastem. Abstrakcja nie istnieje.

– Przed chwilą powiedziałeś, że nikt nie wie, co się dzieje w świadomości kobiety opętanej – zauważył Jedwab. – A więc nie traktowałeś świadomości jak czystej abstrakcji. Żuraw zerknął po raz ostatni na rannego ptaka i wstał.

– Widzę, że uczą was czegoś więcej, nie samych bzdur.

– Nazywa się to logiką – powiedział Jedwab.

– Tak. – Żuraw uśmiechnął się, a Jedwab ku własnemu zdziwieniu odkrył, że zdążył bardzo polubić niskiego, zażywnego doktora. – Jeśli mam jeszcze zbadać chorą dziewczynkę, śpieszmy się. Co jej jest? Gorączkuje?

– Chyba nie, skórę ma chłodną, ale ty postawisz lepszą diagnozę.

– Mam nadzieję. – Żuraw sięgnął po torbę. – Na ulicę Słońca wychodzi się z frontowego pokoju? Może w drodze do domu Orchidei uda się nam zamienić na osobności kilka słów.

– I obejrzyj dokładnie szyję tej małej – dorzucił Jedwab.

Żuraw przystanął w progu, popatrzył nań pytająco, po czym szybko opuścił dom.

Mamrocząc pod nosem modlitwę w intencji chorej Rzep, Jedwab wszedł do sellarii i zamknął drzwi wychodzące na ulicę Słońca, które Żuraw zostawił otwarte. Przez okno dostrzegł lektykę. Maytere Marmur spoczywała w pozycji pólężącej obok brodatego lekarza Jedwab patrzył, jak tragarze ruszają kłusem. Niebawem, zasłonięci framugą okna, zniknęli mu z oczu.

Próbował sobie przypomnieć, czy istnieją jakieś regulacje zabraniające sybilli przebywania w lektyce należącej do mężczyzny. Odnosił wrażenie, że tak, lecz nie przychodził mu do głowy żaden konkretny przepis. Myśląc jednak praktycznie, nie widział w tym nic złego, dopóki zasłony w lektyce były podniesione.

Laska z rączką w kształcie głowy lwicy leżała obok krzesła, na którym siedział podczas zmiany opatrunku. Sięgnął po nią. Dopóki owijacz działał, nie potrzebował laski, postanowił jednak na wszelki wypadek mieć ją cały czas pod ręką. Oparł kij o wychodzące na ulicę Słońca drzwi, by go nie zapomnieć, kiedy wybierać się będzie z doktorem do żółtego domu.

Przeszedł się na próbę po pokoju. W opatrunku Żurawia mógł chodzić prawie normalnie, postanowił zatem wnieść na górę miednicę z wodą i, jak miał to w zwyczaju, ogolić się w sypialni.

Wrócił do kuchni.

Siedzący na stole nocny kruk przechylił głowę.

– Zwierze głodne – powiedział.

– Ja też – odparł Jedwab – ale przed południem nie będę nic jadł.

– Już południe.

– Masz rację.

Jedwab zdjął z pieca fajerki i zajął do paleniska. Tym razem w środku tliło się jeszcze trochę żaru. Rozdmuchał go ostrożnie, po czym dołożył garść wikliny z klatki. Błysnęła mu myśl, że nocny kruk jest dużo inteligentniejszy, niż początkowo sądził.

– Ptak głodny.

Wiklina zajęła się jasnym ogniem. Jedwab zastanowił się, czy nie dołożyć do ognia kilku polan, ale uznał to za zbyteczne.

– Co jadasz? Lubisz ser?

– Lubi ser.

Jedwab podstawił miednicę pod wylot pompy.

– Ostrzegam, jest twardy. Jeśli spodziewasz się miękkiego, smacznego twarogu, spotka cię duże rozczarowanie.

– Lubi ser!

– W porządku, zaraz dostaniesz.

Zaczął energicznie pompować i niebawem pojawiła się pierwsza strużka wody. Pełną miskę postawił na płycie pieca, po czym napełnił wodą kubek nocnego kruka.

– Teraz ser? – zainteresowało się ptaszysko. – Rybie głowy?

– Takiego przysmaku nie mam. – Wyciągnął kawał twardego jak kamień sera i położył obok kubka z wodą. – Kiedy wyjdę, uważaj na szczury. One też lubią ser.

– Lubi szczury. – Nocny kruk zaklekotał karmazynowym dziobem i skubnął ser.

– A więc będziesz miał towarzystwo.

Woda w miednicy była zaledwie letnia, ale gałązki w palenisku już się wypaliły. Jedwab zdjął z pieca miskę i ruszył w stronę schodów.

– Gdzie szczury?

Przystanął i obejrzał się na ptaka.

– Lubisz jeść szczury? – Tak! Tak!

– Rozumiem. Sądzę, że potrafisz zabić szczura, jeśli nie jest zbyt duży. Jak się nazywasz?

– Żadnego imienia – odparł nocny kruk i ponownie zajął się serem.

– To miał być mój obiad. Teraz muszę zdobyć sobie coś innego lub będę chodził głodny.

– Ty Jedwab?

– Tak się nazywam. Pewnie słyszałeś, że w taki sposób zwracał się do mnie doktor Żuraw. Ale musimy wymyślić jakieś imię dla ciebie. – Jedwab zamilkł i chwilę się zastanawiał. – Nazwę cię Oreb. Pismo wspomina Oreba i kruka w jednym zdaniu. A ty należysz do rodziny kruków. Jak ci się podoba to imię?

– Oreb.

– Zgadza się. Piżmo postąpił bardzo źle, nazywając swego ptaka imieniem boga. Ale nie widzę nic niestosownego w tym, że tobie nadam występujące w Piśmie imię, które nie jest imieniem boskim. Od dziś jesteś Oreb.

Kiedy postawił już w sypialni miskę na umywalce, naostrzył na skórzanym pasie wielką brzytwę o kościanej rękojeści. Niegdyś brzytwa była schowana w biurku jego matki. Namydlił twarz i zgolił rudawy zarost. Kiedy już wymył połyskliwe ostrze, jak zwykle przypomniawszy sobie, że brzytwa musiała należeć do jego ojca. I znów, jak czynił to zawsze, podszedł do okna, by znaleźć na niej jakieś znaki poprzedniego właściciela. Ale nie było na niej ani imienia, ani monogramu, ani nawet znaku wytwórcy.

Jak zawsze podczas pięknej pogody, maytere Róża i maytere Mięta zasiadły do obiadu pod drzewem figowym, gdzie wyniosły ze świątyni stół. Jedwab wytarł do sucha twarz, zniósł miednicę do kuchni, wylał z niej brudną wodę i podszedł do dwóch sybilli.

Maytere Róża wskazała mu krzesło, które zazwyczaj zajmowała maytere Marmur.

– Zjesz z nami, patere? Wystarczy dla trzech osób.

Zabrzmiało to bardzo złośliwie.

– Nie, dziękuję – odrzekł Jedwab. – Ale muszę z tobą chwile porozmawiać.

– I ja z tobą, patere.

Maytere Róża zaczęła skomplikowane przygotowania do dźwignięcia się z krzesła, więc Jedwab szybko usiadł.

– O co chodzi, maytere?

– Chciałam o tym pomówić wczoraj wieczorem, ale ciebie już nie było.

Wyłożony papierowymi serwetkami koszyk, stojący przy łokciu Jedwabia, wydzieliał zapach Centralnego Procesora. Najwyraźniej rankiem gotowała maytere Marmur, a owoce swej pracy zostawiła na piecu w świątyni, skąd zabrała je maytere Mięta, gdy Marmur pojechała z doktorem Żurawiem.

– Rozumiem – mruknął Jedwab, przetykając ślinę.

– A dziś rano sprawa ta uciekła mi z pamięci. Mogłam myśleć tylko o tym okropnym mężczyźnie, ojcu chorej dziewczynki. Dziś po południu przyśle do ciebie Roga na reprimendę. Ja już go ukarałam, teraz musi przed tobą wyznać swoją winę. To ma być dla niego ostatnia kara. – Maytere Róża zamilkła, by zwiększyć efekt swych słów. Kiwając głową w prawo i w lewo jak nocny kruk, wbijała w Jedwabia wzrok jedyne go sprawnego oka. – Ale nie będę miała nic przeciwko temu, jeśli i ty go ukarzesz, patere. Może to mieć zbawienne skutki.

– A co takiego przeszkrobał?

Syntetyczna część ust maytere Róży wykrzywiła się w grymasie niesmaku. Jak przy wielu innych okazjach Jedwab zastanawiał się chwilę, czy wiekowa, zżarta chorobami kobieta, która niegdyś była maytere Różą, zachowuje jeszcze świadomość.

– Stroił sobie z ciebie żarty, patere. Przedrzeźniał twój głos, naśladował twe gesty i plótł głupstwa.

– Nic więcej?

Maytere Róża parsknęła pogardliwie i sięgnęła do koszyka po bułeczkę.

– Moim zdaniem to aż nadto.

– Jeśli sam patere... – zaczęła maytere Mięta. – Jeszcze przed urodzeniem patere Jedwabia usiłowałam wpajać wychowankom szacunek dla świętego powołania augura, powołania ustanowionego przez Scyllę Przenajświętszą. Nie ustaję w tych wysiłkach do dziś. Nadal próbuję zaszczepić każdemu studentowi powierzonymu mej opiece szacunek dla sutanny lub habitu.

– To lekcja dla nas wszystkich. – Jedwab westchnął. – Dobrze, w pierwszej wolnej chwili porozmawiam z Rogiem. Za kilka minut bowiem muszę wyjść i zapewne wrócę późno. To właśnie chciałem wam powiedzieć... A zwłaszcza maytere Miecie.

Mięta uniosła głowę. W jej łagodnych brązowych oczach malowała się ciekawość.

– Jestem dziś zajęty i nie wiem, ile czasu będę nieobecny. Pamiętasz Alkę, maytere? Na pewno pamiętasz. Był kiedyś twoim uczniem, a wczoraj rozmawiałś o nim z maytere Marmur.

– Naturalnie, patere. Rozmawiałam z nią o Alce. – Drobną, urodziwą twarz maytere Mięty pojaśniała. Maytere Róża prychnęła drwiąco i skonfundowana Mięta spuściła wzrok.

– Widziałem się z nim wczoraj późno w nocy, maytere.

– Doprawdy? Jedwab skinął głową.

– Zapomniałem o czymś, co powinienem był powiedzieć ci od razu. Udzieliłem mu rozgrzeszenia. On naprawdę i szczerze chce zmienić swe życie i postępowanie.

Maytere Mięta znów uniosła twarz, na której malował się wyraz najwyższej radości i

wdzięczności.

– To wspaniale, patere!

– Zaiste, ale tak naprawdę to głównie zasługa twoja i patere Płetwy, nie moja. Alka wspomniał, że zapewne dziś się u nas pojawi. Jeśli przyjdzie, jestem przekonany, że zechce złożyć uszanowanie również wam.

Czekał, aż maytere Mięta coś powie, ale siedziała ze spuszczoną skromnie głową i milczała.

– Proszę, przekaż mu, że ja też bardzo chciałbym się z nim zobaczyć. Niech poczeka na mnie, jeśli będzie mógł. Nie sądzi?, aby zjawił się przed kolacją. Gdyby jeszcze mnie nie było, powiedz mu, że wrócę, gdy tylko będę mógł.

Maytere Róża *zaczęta* rozsmarowywać żółte tłuste masło na chrupiącej bułeczce.

– Wczoraj wieczorem, gdy Róg skończył pomagać swemu ojcu w pracy, ciebie już nie było – powiedziała maytere Róża. – Jemu też każe czekać.

– Dobrze, maytere. I dziękuj? wam obu.

Jedwab wstał i skrzywił się z bólu, gdyż za mocno obciążył chorą nogę. By przeprowadzić oficjalne egzorcyzmy, musiał zabrać z manteionu Pismo Chrasmolologiczne oraz wizerunki bogów, zwłaszcza Paha, Scylli i Sphigx, patronki dnia. To przypomniało mu, że nie dokończył modłów do bogini, więc raczej nie może liczyć na jej względy.

Powinien też zabrać tryptyk, który dostał od matki; wtedy towarzyszyć mu będą wszystkie jej modły. Gdy wchodził ciężko po schodach, czując w nodze coraz większy ból, błysnęła mu myśl, że uczono go jedynie postępowania z diabłami, które nie istnieją. Przypomniał sobie, jak bardzo był zaskoczony, gdy dowiedział się, iż patere Płetwa niezłomnie w nie wierzył, a nawet mówił z pełną chępliwością dumą o osobistych wysiłkach, by je unicestwić.

Zanim dotarł do sypialni, żałował już, że zostawił w sellarii laskę. Ciężko opadł na łóżko i zdjął z nogi owijacz. Opatrunek był już zupełnie zimny. Z całych sił uderzył nim kilka razy o ścianę i ponownie założył na nogę. Później zdjął buty i włożył czyste skarpetki.

Krew w złotym domu przy ulicy Lampy pojawi się zapewne w towarzystwie Piżma lub innego odrażającego typu. Jedwab złożył tryptyk, schował go do lękowej skrzynki o opalanych krawędziach, zapiał paski i wyciągnął składaną rączkę. Przed wyjściem wstąpi jeszcze do manteionu po Pismo. Gammadion Paha wisiał mu już na szyi, paciorki spoczywały w kieszeni. Byłoby rzeczą rozsądną *zabrać* również świętą lampę, olej i kilka innych akcesoriów. Po chwili zastanowienia wyciągnął spod dzbana z wodą klucz.

Piżmo stał na mokrym białym chodniku obok fontanny z figurą Scylli. Na uzbrojonej w skórzaną rękawicę lewej ręce trzymał młodego orła. Głowę uniósł dumnie, plecy miał wyprostowane niczym gwardzista. Z głębokiego cienia zalegającego portyk obserwowali go Krew, radca Lemur, jego kuzyn radca Lori, komisarz Widliszek i jeszcze kilka osób. Piżmo w myślach potrząsnął kubkiem z kośćmi.

Nauczył już ptaka siedzieć na uzbrojonej w rękawicę ręce i reagować na wabik. Orzeł znał głos Piźma i kojarzył go zjedzeniem. Teraz, po ściągnięciu z głowy kaptura, zobaczy fontannę z wodą, która w tych okolicach była w ostatnich czasach rzadkością. Nadeszła pora, by nauczył się latać; ale to już musi zrobić sam. Na znak dany wabikiem wróci do karmnika. Albo nie wróci. Czas rzucić kości.

Poprzez szelest wody w fontannie dobiegł stłumiony odległością głos Krwi.

– Nie pośpieszajcie go.

Ktoś inny spytał, na co czeka. Piźmo ciężko westchnął. Nie powinien dłużej zwlekać, ale rozkoszował się tą chwilą – ptak, którego może już nigdy nie zobaczyć, należy jeszcze do niego.

Niebo wydawało się puste, w ostrym blasku słońca krainy niebios były niewidoczne. Nad głową nie krążył mu też żaden lotnik. Za wierzchołkami drzew po drugiej stronie muru odległe pola zakrzywiały się do góry i pnać się pod niebo, niknęły w niebieskiej mgiele. Jezioro Linna przypominało kawałek zwierciadła wprawionego we whorl; niczym landszaft w taniej ramce.

Czas wypuścić orła.

Jakby wiedząc, co się za chwilę wydarzy, młody ptak niespokojnie się poruszył. Piźmo pokiwał głową.

– Wróc do mnie – szepnął. – Wróc do mnie.

I wtedy, jakby kierowane przez kogoś innego (jakby wtrącił się w to któryś z bogów lub szalona córka Krwi), jego ramię uniosło się wysoko. Dłonią drugiej ręki zdarł ptakowi kaptur ozdobiony szkarłatnymi piórami i odrzucił go daleko od siebie.

Młody orzeł rozpostarł skrzydła, jakby chciał zerwać się do lotu, po czym znów je złożył. Piźmo pomyślał, że powinien jednak być nałożyć maskę, chroniącą przed ostrym dziobem i szponami. Ptak mógłby go oszpecić na całe życie, a nawet zabić. Ale na używanie maski nie pozwalała Piźmu duma.

– Ho, ha! Leć!

Wyprostował w górze ramię, chcąc skłonić ptaka do lotu. Przez ułamek sekundy wydawało się, że orzeł w ogóle nie polecą.

A jednak rozpostarł wielkie skrzydła. Powoli i niezdarnie zaczął frunąć, muskając końcami skrzydeł trawę. Leciał w stronę portyku, gdzie widzowie rozbiegli się niczym stado przerażonych przepiórek. Jeśli za domem skręci w prawo, może zagrodę dla kotów pomylić z ptaszarnią...

Teraz już leciał wyżej, na wysokości okalającego posiadłość muru, i znów skręcił w lewo. I jeszcze raz w lewo. Znalazł się nad głową Piźma. Łopot jego skrzydeł przypominał odległy huk gromu. Jeszcze wyżej i wyżej, wciąż kołując nad głową swego pana, nabierał wysokości. Coraz dalej od trawników i rozprażonych w słonecznym upale dachów. Młody orzeł wzbijał się coraz wyżej, czarny punkt na tle oślepiającego słońca, aż w końcu, podobnie jak pola, zniknął w otchłannych przestworzach.

Kiedy już widzowie się rozeszli, Piżmo zasłonił dłonią oczy przed bezlitosnym blaskiem słońca. Zając przyniósł mu lornetkę. Młodzieniec zaczął bacznie obserwować przez soczewki niebo, lecz niczego nie dostrzegł.

Kot z ognistym ogonem

Odarta z tajemniczości nocy ulica Lampy znów przybrała swojski wygląd. Jedwab, który często bywał w tych stronach, rozpoznawał poszczególne budynki i sklepy. W końcu dostrzegł również szerokie, świeżo polakierowane drzwi prowadzące do żółtego domu. Żuraw zastukał. Korpulentna niewiasta nie kryła zdziwienia na widok gości.

– Pora jest bardzo wczesna, patere. Dopiero co wstałam. – Szeroko ziewnęła, niedbale zasłaniając dłonią usta. Różowy peniuar miała rozpięty. W jego rozcięciu widać było białe jak śnieg ciało.

Zza drzwi dobiegł zapach stu rodzajów perfum i skwaśniałego wina.

– O pierwszej mam tu wyznaczone spotkanie z Krwią – wyjaśnił Jedwab. – Która jest teraz godzina?

Żuraw bez słowa wyminął ich i przeszedł do salonu.

– Krew zawsze się spóźnia – odparła kobieta wymijająco.

Skierowała Jedwabia do niskiego łukowego przejścia, zasłoniętego kotarą z nanizanych na sznurki drewnianych koralików, za którym mieściło się niewielkie biuro. Mimo że okno i drzwi na wewnętrzny dziedziniec otwarte były na przestrzał, panował tu upał jeszcze większy niż na ulicy.

– Egzorcyci nieraz już nas odwiedzali.

Korpulentna kobieta zajęła wygodny fotel, a gościowi wskazała krzesło, twarde, bez poręczy i pociągnięte lakierem. Jedwab z ulgą usiadł, obok siebie na podłodze postawił torbę, a skrzynkę z tryptykiem położył na udach. Między kolanami umieścił laskę o rączce w kształcie głowy lwicy.

– Poproszę kogoś, by przyniósł ci poduszkę, patere. W tym pomieszczeniu rozmawiam z dziewczętami, a są mniej krnąbrne, jeśli siedzą na twardym krześle. Słuchają mnie z większą uwagą, a na wąskim siedzeniu odnoszą wrażenie, że ostatnio utyły. I o to właśnie chodzi.

I znów wspomnienie smażonych pomidorów wywołało w Jedwabiu poczucie winy hojnie doprawionej głodem. Czyżby przez tę tłustą kobietę przemawiał któryś z bogów?

– Nie trzeba mi poduszki – mruknął. – Też powinienem stracić trochę brzucha i spać na węższym i twardszym łóżku.

– Czy chcesz porozmawiać ze wszystkimi dziewczętami jednocześnie? Tak postąpił jeden z twoich poprzedników. Ale równie dobrze ja mogę ci o wszystkim opowiedzieć.

Jedwab lekko machnął ręką.

– Niezbyt interesuje mnie to, co wyprawiają tu diabły, a zwracanie uwagi na ich złośliwe sztuczki

i figle może jeszcze bardziej je ośmielić. To diabły, i nie są w tym domu mile widziane. Wiem tyle, i to mi wystarczy. Pragnę się jedynie upewnić, czy ty i... i reszta osób tu mieszkających zechce ze mną współpracować.

– Dobrze. – Gruba kobieta poprawiła wielką poduchę, na której siedziała, i jeszcze wygodniej rozparła się w fotelu. – A zatem wierzysz w ich istnienie?

Trafiła w sedno sprawy.

– Tak – powiedział z mocą.

– Jeden z poprzednich egzorcyistów nie wierzył. Choć odmówił wiele modlitw, przeprowadził inspekcję całego budynku, wykonał wiele innych czynności, to tak naprawdę uważał nas za wariatki. Był mniej więcej w twoim wieku, patere.

– Doktor Żuraw, choć ma już siwą brodę, w pełni podziela jego opinię – wyjaśnił Jedwab. – Nie powiedział mi tego wprost, ale tak myśli. Mnie też ma za wariata. Korpulentna niewiasta uśmiechnęła się z goryczą.

– Wyobrażam sobie. Aha, jeszcze się nie znamy. Nazywam się Orchidea.

Wyciągnęła rękę jak do ucałowania Jedwab uścisnął jej dłoń.

– Jestem patere Jedwab z manteionu przy ulicy Słońca.

– Z tej starej świątyni? Wciąż jeszcze jest czynna?

– O, jak najbardziej.

Pytanie kobiety przypomniało Jedwabiowi, że manteion może zostać niebawem zlikwidowany, lecz doszedł do wniosku, że lepiej nic o tym nie mówić.

– Mój dom jest jeszcze zamknięty dla gości – wyjaśniła Orchidea. – Otwieramy dopiero o dwudziestej pierwszej, więc masz dużo czasu. Ale dzisiaj jest sphigxdag, najważniejsza dla nas noc w tygodniu, więc byłabym zobowiązana, gdybyś skończył do tego czasu.

Spostrzegła wreszcie, że Jedwab wstydlawie odwraca wzrok, i szybko ściągnęła brzegi peniuaru.

– Jeśli wszyscy będą ze mną chętnie współpracować, wstępne rytuały i właściwa ceremonia zajmą nie więcej niż dwie godziny. Sądzę jednak, że powinniśmy poczekać na Krew. Wczoraj wieczorem specjalnie się ze mną umówił i odnoszę wrażenie, że pragnie osobiście wziąć udział w egzorcyizmach.

Orchidea popatrzyła na niego spod zmrużonych powiek.

– On tobie płaci?

– Nie. Odprawię dla niego egzorcyizmy z czystej grzeczności... Dużo mu zawdzięczam. Czy innym egzorcyistom, o których wspominałaś, płacił?

– On albo ja. To zależy. Jedwab odrobinę się uspokoił.

– W takim razie nie dziwota, że ich egzorcyzmy zawiodły. Egzorcyzmy to święta ceremonia, a takich ceremonii nie można ani kupować, ani sprzedawać. – Widząc, że kobieta nie w pełni go rozumie, dorzucił: – Nie można ich sprzedawać, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Sprzedana ceremonia traci swój święty charakter. Sprzedana zamienia się w świętokradczą zabawę. Dzisiaj nie będzie to zabawa.

– Ale Krew coś ci za to da, prawda?

– Jeśli zechce. Na samą naturę ceremonii nie będzie to miało żadnego wpływu. Prezent daje się z wolnej, nieprzymuszonej woli. Chodzi o to, że aby ceremonia odniosła skutek, my nie możemy zawierać w tej sprawie żadnych transakcji. I nie będę miał pretensji, jeśli w ogóle nie dostanę zapłaty. Czy wyrażam się jasno?

Orchidea niechętnie skinęła głową.

– Szczerze mówiąc, nie spodziewam się od Krwi żadnego podarunku – ciągnął Jedwab. – Jak wspomniałem, jestem mu winien przysługę. Kiedy więc poprosił mnie o egzorcyzmy, podjąłem się ich z największą ochotą.

Gdy Orchidea pochyliła się w jego stronę, peniuar ponownie się rozchylił, tym razem jeszcze szerzej.

– Paterę, czy jeśli ci się uda, zgodzisz się coś ode mnie przyjąć?

– Naturalnie, jeśli tylko zechcesz mi coś dać. Ale nic nie będziesz mi winna.

– W porządku. – Zawahała się. – Jak mówiłam, noc w sphigxdag jest dla nas najważniejszą nocą w tygodniu, dlatego też zazwyczaj gości tu Krew. Przed otwarciem domu lubi osobiście wszystko sprawdzić. W hieraxdag dom jest nieczynny. Lecz jeśli pojawisz się w jakikolwiek inny dzień, masz zapewnioną darmową kartę wstępu. Co ty na to?

Jedwab był jak ogłuszony.

– Chyba mnie dobrze rozumiesz, patero? Nie ze mną. Mam na myśli każdą z dziewcząt, której zapragniesz. Jeśli zechcesz dać jej jakąś drobnostkę, proszę bardzo. Ale nie musisz. – Orchidea chwilę coś głęboko rozważała. – Dobrze, abonament na cały rok, raz w miesiącu. – Widząc wyraz twarzy Jedwabia, dodała szybko: – Mogę też zorganizować ci chłopca, ale musisz mnie uprzedzić wcześniej.

Jedwab pokręcił głową.

– Boisz się, że jeśli to zrobisz, nie zobaczysz bogów? Czyż nie tak gadają ludzie?

– Tak – stwierdził Jedwab. – Echidna tego zabrania. Łaska boża różnie się objawia. Ktoś ujrzy bogów, gdy pojawią się w świętym oknie. Ktoś inny zostanie pobłogosławiony cielesnymi dziećmi. Ale nigdy jedno i drugie.

– Przecież nikt tu nie mówi o szprotach, paterze.

– Wiem, o czym mówimy.

– Tak czy owak, bogowie już się nie pojawiają. Nie w Vironie. Więc w czym rzecz? Ostatni raz pojawili się, gdy ja... gdy ja jeszcze się nie urodziłam.

– Ani ja – przyznał Jedwab.

– Więc czego się boisz? I tak nigdy ich nie zobaczysz. Uśmiechnął się smętnie.

– Bardzo odeszliśmy od tematu.

– Nie wiem. – Orchidea podrapała się po głowie i zaczęła oglądać paznokcie. – Może tak, może nie. Czy wiesz, że w tym domu niegdyś mieścił się manteion?

Jedwab znów był jak ogłuszony. Potrząsnął głową.

– To prawda – rzekła Orchidea. – W części tego domu wychodzącej na ulicę Muzyki. Ale nawet w czasach kiedy jeszcze pojawiali się bogowie, do tego manteionu żaden nie zawitał. Manteion zamknięto, a właściciel sąsiedniego domu go kupił, rozebrał tylną ścianę i połączył oba budynki. Może dlatego mamy kłopoty? Przyślę Orlicę, oprowadzi cię po całym domu. Na jego tyłach zostało jeszcze trochę starych sprzętów z manteionu. Jeśli ci się przydadzą, możesz je zabrać.

– To wielka uprzejmość z twojej strony – powiedział Jedwab.

– Jestem bardzo sympatyczna i życzliwa ludziom. Spytaj kogo zechcesz. – Orchidea gwizdnęła przenikliwie. – Orlica pojawi się lada chwila. Jeśli coś cię zacieka, o wszystko ją pytaj.

– Dziękuję. Mogę zostawić tu moje akcesoria sakralne? – Jedwabia trwożyła perspektywa rozstania się z tryptykiem. – Czy będą tu bezpieczne?

– Twój worek? Bezpieczniejszy niż w urzędzie skarbu. Tę skrzynkę również zostaw. Często zastanawiam się nad tym manteionem na zapleczu domu. Urządziłyśmy w nim teatr. Czy wszystko to dzieje się z jego powodu?

– Nie wiem.

– Pytałam o to jednego z twoich poprzedników i kategorycznie oświadczył, że nie. Ale jestem ciekawa. Może bogowie nie lubią czegoś, co tu robimy?

– Nie lubią – zapewnił ją Jedwab.

– Paterę, przecież jeszcze niczego nie widziałeś. Nie jesteśmy tak złe, jak sądzisz.

– Wcale nie uważam, że jesteście złe, Orchideo – zaprotestował Jedwab. – Bogowie też tak nie sądzą. Gdyby uznali, że jesteście złe, niczym byście nie mogły ich urazić. Bagatelizują zło, jakie czynimy, gdyż widzą w nas potencjalne dobro.

– Cóż, myślałam, że może zesłali na nas diabła, by odpłacić pięknym za nadobne. – Znów

gwizdnęła. – *Gdzież się ta dziewucha podziwia!*

– Bogowie nie zsyłają na nas diabłów – odparł Jedwab. – Przeciwnie, gdzie tylko mogą, bez litości je tępią, wymazując z Centralnego Procesora. Tak głosi legenda. Tak zostało powiedziane w Piśmie, którego egzemplarz mam w swoim worku. Czy chcesz, bym przeczytał ci stosowny ustęp?

Sięgnął po okulary.

– Nie trzeba. Powiedz mi tylko, zrozumiem.

– Dobrze. – Jedwab rozprostował ramiona. – Jak wiesz, whorl stworzył Pah. Kiedy już skończył go budować, zaprosił małżonkę, pięć swych córek, dwóch synów oraz kilkoro przyjaciół. Jakkolwiek...

Za drzwiami w słonecznym blasku rozległ się czyjś przeraźliwy krzyk.

Orchidea zerwała się z krzesła z nieprawdopodobną szybkością. Jedwab, pomny przestróg Żurawia, by w żadnym wypadku nie biegać, ruszył za nią.

Wzdłuż wewnętrznego dziedzińca, na parterze i piętrach budynku, ciągnęły się rzędy drzwi. Gdy poszukiwał wzrokiem źródła zamieszania, odniósł wrażenie, że przez drzwi te wbiegają i wybiegają całe tabuny młodych kobiet w większym lub mniejszym negliżu. Ale nie poświęcał im większej uwagi.

W połowie rozchwierutanych, drewnianych, bardzo stromych schodów, wiodących do galerii na pierwszym piętrze, leżała martwa naga kobieta. Dłoń zaciskała na rękojęści sztyletu wbitego między żebra, tuż pod lewą piersią. Głowę przekreconą miała pod takim kątem, iż Jedwab nie miał wątpliwości, że skręciła sobie kark. Jej dziwacznie wykrzywiona twarz wydała mu się przerażająca, a jednocześnie dobrze znana.

Mimo że był oswojony z widokiem śmierci, zakrył głowę martwej kobiety chusteczką, po czym zaczął przesuwać w palcach paciorki.

Kobiety uspokoiły się nieco, choć wciąż widać było sztylet, straszną ranę i wypływającą z niej krew.

– Kto to zrobił?! – wrzasnęła Orchidea. – Kto ją zasztyletował?!

– Sama się zabiła – odparła brunetka o podpuchniętych oczach, prawie naga. – Wyteż mózgownicę. A jeśli ci tego mało, uwierz własnym oczom.

Klękawszy na zbryzganym krwią stopniu, tuż pod głową nieżywej kobiety, Jedwab wykonał paciorkami ruch do przodu, do tyłu, a następnie na boki, czyniąc w ten sposób znak dodawania.

– Przynoszę ci przebaczenie wszystkich bogów, córko. A teraz wspomnij słowa, które wypowiedział Pah: „Wypełniaj wolę moją, żyj w pokoju, rozmnażaj się i nie naruszaj mej pieczęci. W ten sposób unikniesz mego gniewu. Jeśli żyjesz godnie, wszelkie zło, jakie popełnisz, zostanie zapomniane”. Córko, Pah i pomniejsi bogowie udzielili mi władzy wybaczenia w ich imieniu. A

zatem przebaczam ci i odpuszczam wszystkie złe uczynki, jakich się dopuściłaś. – Wykonał paciorkami znak odejmowania. – Błogosławię cię.

Pokiwał głową dziewięć razy, jak nakazywał rytuał, i uczynił znak dodawania.

Po jego prawej stronie jakaś kobieta zaczęła miotać bluźnierstwa i sprośności.

– Pah ze sterczącym fiutem pieprzy cię! Pah, władca kurew! Pah ciągnący druty! Echidna z wylizaną przez Paha cipą!...

Jedwab odniósł wrażenie, iż kobieta ta sama nie wie, co mówi; zapewne nawet nie wiedziała, że w ogóle coś mówi.

– Błagam, byś odpuściła winy nam, żyjącym – ciągnął, po raz kolejny wykonując znak dodawania nad przykrytą chustką głową martwej kobiety. – Ja i wielu innych często wyrządzaliśmy ci krzywdę, córko, dopuszczając się wobec ciebie odrażających postępów. Ale nie chowaj w sercu urazy i *zaczynij życie*, które przychodzi po życiu na tym whorlu, z niewinną duszą, albowiem wszystkie zło zostało ci wybaczone.

I znów wykonał znak odejmowania.

Dziewoja o posągowych kształtach splunęła; mocno kręcone włosy miała barwy dojrzałych malin.

– Po co gadasz? Czy nie widzisz, że ona jest już sztywna? Nie słyszy tych głupot.

Ostatnie zdanie wymówiła ochryłym głosem i Jedwab pojął, że właśnie z jej ust przed chwilą płynął stek przekleństw. Mocniej ścisnął w palcach paciorki, pochylił się *jeszcze* niżej i zaczął odmawiać końcowe pasażę liturgii wybaczenia. Słońce paliło mu kark niczym parząca, żelazna ręka Paha Dwugłowego, przygniatającego go do ziemi, domagającego się, by dokładnie wypowiadał każde święte słowo i bezbłędnie wykonywał każdy gest nakazany rubryką.

– Rozgrzeszam cię, córko, w imieniu wszystkich bogów. Przemawiam w imieniu Paha Wielkiego, Echidny Boskiej, Scylli Parzącej... – W tym miejscu dozwolone było przerwanie litanii na zaczerpnięcie tchu i Jedwab głęboko wciągnął w płuca powietrze. – Przemawiam w imieniu Molpe Cudownej, Tartarosa Mrocznego, Hieraxa Najwyższego, Thebdepei Zamyślonej, Phaei Zawziętej oraz Sphigx Mocarnej. A także w imieniu wszystkich pomniejszych bogów.

Przez moment odniósł wrażenie, iż płonące na niebie słońce zamienia się w rozkołysany, kopący lampion w "Kogucie". – Wybacza ci też Zewnętrzny – szepnął – gdyż przemawiam również w jego imieniu.

Po raz ostatni wykonał znak dodawania, wstał i odwrócił się w stronę posągowej kobiety o malinowych włosach. Ku jego wielkiej uldze była całkowicie ubrana.

– Proszę, przynieś coś, czym mógłbym przykryć zwłoki. Jej czas w tym domu bezpowrotnie minął.

Orchidea przepytywała brunetkę o podpuchniętych oczach.

– Czy to jej nóż?

– Ty powinnaś wiedzieć. – Brunetka bez lęku wychyliła się przez poręcz i wyciągnęła sztylet z ciała martwej kobiety. – Ale nie sądzę. Gdyby należał do niej, z pewnością by mi go pokazała, a nigdy nie widziałam tego noża.

Po schodach zszedł Żuraw, pochylił się nad ciałem, sprawdził puls. Po chwili przykucnął i przyłożył słuchawkę do boku martwej dziewczyny.

(Z jaką niechęcią uznajemy stan zwany śmiercią, nie po raz pierwszy pomyślał Jedwab. Z całą pewnością nie jest dla nas stanem naturalnym).

Wyszarpnięcie z rany sztyletu spowodowało większy krwotok. Mimo panującego zgiełku, Jedwab słyszał kapanie gęstej krwi, spływającej po stopniu na cegły dziedzińca. Jak nierówne tykanie zepsutego zegara.

Orchidea była krótkowidzem, przysunęła sztylet blisko do oczu.

– On należy do mężczyzny. Mężczyzny o imieniu Kot. – Odwróciła się w stronę dziedzińca i zawołała. – Zamknijcie się wszystkie i posłuchajcie! Czy któraś z was zna łotra o imieniu Kot?!

Do przodu wysunęła się drobna, ciemnowłosa dziewczyna w podartej koszuli.

– Ja go znam. Czasami u nas bywa.

– A czy był tu zeszłej nocy? Kiedy go ostatni raz widziałaś?

– Nie jestem pewna. Jakiś miesiąc temu.

Orchidea podczłapała do niej, trzymając przed sobą sztylet, i dziewczyna cofnęła się jak kurczątka przed wielkim kaczorem.

– Czy wiesz, gdzie mieszka? Którą przeważnie bierze?

– Nie wiem. Mnie. Czasami Orlicę, jeśli akurat jestem zajęta.

Żuraw dźwignął się z ziemi, popatrzył na Jedwabia, potrząsnął głową i schował słuchawkę.

Pojawienie się Krwi zaskoczyło wszystkich. Masywny, przewyższający każdą z kobiet o głowę, szedł przez dziedziniec niczym generał przez pole bitwy.

– Co się tu dzieje?

Orchidea nic nie odpowiedziała. Wyreńczyła ją dziewczyna o włosach koloru malin, która pod pachą trzymała czyste, starannie złożone prześcieradło.

– Orlica nie żyje. Popełniła samobójstwo.

– Dlaczego? – zapytał Krew.

Nikt nie odpowiedział. Dziewczyna o malinowych włosach podała róg prześcieradła Żurawiowi. Wspólnie przykryli zwłoki.

Jedwab schował do kieszeni paciorki *i* zszedł po schodach na dziedziniec.

– Nie mogła... – mruknął do siebie. – Powinna *żyć* długo. Nie mogła!

– Na pewno nie! – burknęła w jego stronę Orchidea. Piżmo odebrał jej sztylet, dokładnie go obejrzał, po czym *przekazał* Krwi.

– Pojawia się tu czasami gość o imieniu Kot – *zaczęła* wyjaśniać Orchidea. – Pewnie jej ten nóż podarował lub po prostu zapomniał zabrać.

– Albo mu ukradła – zadrwił Krew.

– Moje dziewczęta nie kradną!

Jak z wieży obalonej przez długo gromadzące się pod nią wody ukrytego źródła, z oczu Orchidei trysnął strumień łez. Było coś okropnego w tej grubej, twardej kobiecie o twarzy wykrzywionej niczym buzia chorego, cierpiącego dziecka. Krew dwukrotnie ją spoliczkował, raz zewnętrzną i raz wewnętrzną stroną dłoni. Nie odniosło to najmniejszego skutku, choć oba ciosy odbiły się donośnym echem od otaczających dziedziniec ścian.

– Przestań! – odezwał się Jedwab. – Jej to nie pomoże, a tobie tylko zaszkodzi.

Ignorując jego słowa, Krew wskazał nieruchomy kształt przykryty prześcieradłem.

– Niech ktoś stąd *zabierze ciało*. Acalypho, jesteś wystarczająca silna. Zanieś Orlicę do jej pokoju.

Drżąca kobieta o malinowych włosach cofnęła się, na policzki wystąpiły jej krwiste rumieńce. – Czy mógłbym to obejrzeć?

Jedwab zręcznie wyłuskał sztylet z rąk Piżma. Rękojeść była wyłożona pofarbowaną na jasny kolor kością. Widniał na niej wypalony igłą i ręcznie pomalowany wizerunek wyprężonego szkarłatnego kota z czarną myszą w pysku. Przepyszny koci ogon owijał całą rękojeść. Idąc za przykładem brunetki o podpuchniętych oczach, Jedwab wyciągnął spod prześcieradła swoją chustkę i przetaił ostrze. Nie znalazł żadnego monogramu. Smukła, zwięzająca się klinga noża wypolerowana była na wysoki połysk.

– Prawie nowy – mruknął pod nosem Jedwab. – Nic wyjątkowo cennego, ale i nie tani.

– To widzi każdy dureń – odburknął Piżmo i zabrał sztylet.

– Paterę, byłeś tu – odezwał się Krew i głośno chrząknął. – Może widziałeś, jak to zrobiła?

– Co zrobiła? – Jedwab wciąż jeszcze myślami był przy nożu.

– Jak się zabiła. Ale zejdzmy ze słońca.

Krew ujął Jedwabia za łokieć i rozganiając po drodze prawie nagie kobiety, zaprowadził go w cień.

– Nic nie widziałem – odrzekł Jedwab po krótkim namyśle. – Byłem w biurze, rozmawiałem z Orchideą.

– Fatalnie. Ale pomyśl jeszcze raz. Może jednak coś widziałeś. Choćby przez okno.

Jedwab potrząsnął głową.

– A jednak jesteś przekonany, że to samobójstwo, prawda? Mimo że nic nie widziałeś. – W głosie Krwi zabrzmiała wyraźna groźba.

Jedwab, chcąc oszczędzić chorą kostkę, oparł się o pokruszoną ścianę z rakplastu.

– Kiedy pierwszy raz ujrzałem jej ciało, wciąż zaciskała dłoń na rękojeści noża.

Krew uśmiechnął się.

– To mi się podoba. W takim razie, patere, nie ma powodów, by meldować o wypadku władzom, prawda?

– Na twoim miejscu też nie chciałbym nadawać sprawie rozgłosu.

Jedwab musiał niechętnie sam przed sobą przyznać, że ma wątpliwości co do tego samobójstwa i prawo wymaga, by o nagłym zgonie natychmiast poinformować władze (nie miał złudzeń, że śledztwo w sprawie śmierci takiej kobiety będzie bardziej niż powierzchowne). Honor i *nakazy* moralne nie pozwoliły mu wyrazić tych myśli na głos, gdyż byłoby to daremne, a niewątpliwie naraziłoby manteion na niebezpieczeństwo. Tak więc powziął decyzję rozsądną i dobrze umotywowaną, niemniej gdy się głębiej nad rym zastanawiał, czuł do siebie pogardę.

– Sądzę, że się rozumiemy, patere. Jeśli zajdzie potrzeba, zorganizuję trzech lub czterech świadków; osoby, które widziały, jak przebijała się nożem. Sam wiesz, jak to jest.

Jedwab z najwyższym trudem skinął potakująco głową; nie wyobrażał sobie, że nawet bierne przyzwolenie na przestępstwo wymaga tyle samozaparć.

– Chcesz, by zeznawały któreś z tych nieszczęsnych kobiet. Ich świadectwo nie będzie miało większej wagi, a ponadto *później* domagać się zaczną od ciebie jakiejś gratyfikacji.

Pod kierunkiem Piżma krzepki mężczyzna, mający na głowie *jeszcze mniej* włosów niż Krew, podniósł zwłoki i dokładnie owinął je prześcieradłem. Wyniósł ciało przez znajdujące się obok wejścia do biura Orchidei drzwi, które otworzył mu Piżmo.

– Racja. Sam bym tego lepiej nie ujął – odezwał się stłumionym głosem Krew. – Zbyt wiele już mieliśmy tu kłopotów. W ubiegłym miesiącu gwardia odwiedzała nas trzykrotnie i nawet mówiło się o zamknięciu tego domu. Dzisiaj muszę raz na zawsze zrobić z rym porządek.

– Pozbywając się ciała tej nieszczęsnej kobiety? Nazywała się Orlica, prawda? Mieszkała w pokoju przylegającym do biura Orchidei, gdzie zanoszono zwłoki.

– Zgadza się, miała na imię Orlica. Od czasu do czasu pomagała Orchidei w prowadzeniu domu.

– Krew odwrócił się i odszedł.

Jedwab obserwował go, jak wielkimi krokami przemierza dziedziniec. Ostatniej nocy Krew przyznał, że jest złodziejem. Teraz do Jedwabia dotarła cała prawda. Krew kłamał, po to by temu, co naprawdę robi, dodać romantyzmu. Niemniej przy sprzyjającej okazji i nie ponosząc *ryzyka*, mógł też kraść. Był człowiekiem, który ceni sobie złodziejstwo przebiegłe. I tym się chlubił.

W rzeczywistości jednak okazał się zwykłym rzemieślnikiem; rzemieślnikiem, którego fach był zabroniony prawem, a przez to bardziej barwny. Paterę Jedwab nie darzył takich ludzi sympatią, co znaczyło zapewne, że nie rozumiał ich w takim stopniu, jakiego wymagało jego powołanie.

Starał się nie myśleć o Krwi (a więc i o sobie) jak o kryminaliście. Krew był rzemieślnikiem, swego rodzaju handlarzem; oto jeden z jego pracowników został zabity prawie z całą pewnością nie przez niego ani nie na jego polecenie. Jedwab przypomniał sobie wizerunek kota na rękojeści sztyletu; przypomniał sobie wzory na igłowcu. Wyciągnął więc broń i ponownie ją z uwagą obejrzał. W kości słoniowej na rękojeści wygrawerowano hiacynty, gdyż broń przeznaczona była dla kobiety o imieniu Hiacynt.

Wsunął igłowiec do kieszeni.

Imię Krwi... Gdyby sztylet należał dla niego, wizerunek na rękojeści przedstawiałby zapewne krew; zakrwawiony sztylet lub coś podobnego. Kot trzymał w pysku mysz. Rozszarpana mysz z całą pewnością mogłaby krwawić, ale na wizerunku nie było kropli krwi, a sama mysz była bardzo mała. Jedwab niezbyt znał się na sztuce, ale gdyby sam wyrzeźbił i pomalował ów wizerunek, umieściłby mysz tylko po to, by podkreślić, że jest to prawdziwy kot, a nie jakieś inne zwierzę z rodziny kotów, na przykład pantera. Innymi słowy, mysz stanowiła rodzaj symbolu i wyznacznika.

Kot był szkarłatny, ale nie od krwi; nawet duża mysz nie zbryzgałaby kota krwią do tego stopnia. Kolor zapewne miał sugerować, że kot płonie. Jego uniesiony ogon był rzeczywiście zwieńczony płomykami ognia.

Jedwab zrobił krok i aż syknął z bólu. Przyklęknął, zsunął skarpetkę, zdjął owijacz i kilkakrotnie uderzył nim o ścianę.

Kiedy ponownie założył opatrunek, przeszedł do pokoju sąsiadującego z zagraconym biurem Orchidei. Izba okazała się duża, a umeblowanie świadczyło o dobrym guście lokatorki. Przejrzał się w pękniętym ręcznym lusterku, podniósł z podłogi niebieski szlafrok, po czym odsłonił twarz martwej kobiety.

Krew odnalazł w jego prywatnej jadalni, gdzie towarzyszyli mu Piżmo i łysy *mężczyzna*, który zabrał ciało Orlicy. Cała trójka debatowała o celowości zamknięcia na tę noc żółtego domu. Jedwab nie proszony przyciągnął krzesło i usiadł.

– Czy mogę wam na chwilę przerwać? Mam pytanie i pewną sugestię. Nie zajmę wam dużo czasu.

Piżmo przesłał mu lodowate spojrzenie.

– Tylko niech naprawdę trwa to krótko – burknął nieuprzejmie Krew.

– Najpierw pytanie. Co stało się z doktorem Żurawiem? Jeszcze niedawno tu był, ale zniknął bez śladu.

Krew milczał, w odpowiedzi wyręczył go łysy mężczyzna – Bada dziewczęta, by nie obdarzyły kogoś czymś bardzo niepożądanym.

Jedwab skinął głową.

– Rozumiem. Gdzie prowadzi te badania? Macie tu gabinet?

– Porozbierane czekają na niego w pokojach. Kiedy już z nimi skończy, będą mogły wyjść na miasto.

– No tak – mruknął Jedwab i w zamyśleniu zaczął pocierać policzek.

– Jeśli go szukasz, idź na piętro. Zawsze tam zaczyna.

– Doskonale – powiedział zniecierpliwiony Krew. – Żuraw pracuje. Ty też, patere, powinienes wziąć się za coś pożytecznego. Chcę, byś odprawił tu egzorcyzmy. Do *działa!*

– Zaraz rozpocznę przygotowania – zapewnił Jedwab. – To, co robię, wchodzi właśnie w zakres mojej pracy i sędzę, że będę w stanie ci pomóc. Wspominałeś o pozbyciu się ciała tej nieszczęsnej dziewczyny, Orlicy. Proponuję ją pochować.

– Zajmę się tym. – Krew wzruszył ramionami. – Nikt jej nie znajdzie ani też nie uzna za zaginioną. O to niech ciebie głowa nie boli.

– Mówię, że powinniśmy ją pochować jak wszystkie inne zmarłe kobiety – *przerwał* mu spokojnie Jedwab. – Najpierw w moim manteionie złożymy ofiarę ku jej pamięci. Jutro jest scyldag i mogę ofiarę pamiątkową połączyć z naszą cotygodniową ofiarą, jakie odbywają się w te dni. Mój sąsiad ma przyzwoity wóz. Niejednokrotnie korzystaliśmy jego usług. Jeśli żadna z tutejszych kobiet nie ma ochoty i odziać ciała przyjaciółki, mogę poprosić kogoś innego. Krew roześmiał się i mocno klepnął Jedwabia w ramię.

– A jeśli jakiś ciekawski dupek zacznie wtykać nos w nie swoje sprawy, to cóż, nie robimy nic podejrzanego! Mamy augura, pogrzeb, chowamy tę biedną dziewczynę w sposób jak najbardziej godziwy. A on zakłóca tylko powagę chwili i nasz smutek. Okazujesz nam wielką pomoc, patere. Kiedy może pojawić się tu ten człowiek?

– Gdy tylko po egzorcyzmach wrócę do manteionu, niezwłocznie go tu przyślę.

Krew energicznie pokręcił głową.

– Chcę się jej jak najszybciej stąd pozbyć. A może sybilla, z którą wczoraj rozmawiałem, przysłałaby do nas tego człowieka?

Jedwab skinął głową.

– Doskonale. – Krew odwrócił się do siedzącego obok Piźma. – Udasz się do manteionu przy

ulicy Słońca, zapytasz o maytere Marmur...

– Ona zapewne będzie w świątyni – uściślił Jedwab. – To pierwsze frontowe wejście od ulicy Srebra. Można też przejść przez ogród i zapukać do tylnych drzwi.

– Powiedz jej, że pogrzeb wyznaczony jest na jutro. I poproś o człowieka z wozem. Paterę, jak on się nazywa?

– Śliz.

– Sprowadź tu Śliza z wozem, a jeśli go nie zastaniesz, zorganizuj kogoś innego. Nie wiesz, co przytrafiło się Orlicy. Badał ją lekarz. Umarła, a my poprosiliśmy paterę, by zajął się pochówkiem. Nic więcej nie wiesz. I załatw też jakąś niewiastę. Wątpię, czy któraś z tutejszych pieprzniczek będzie miała na tyle ikry, by się nią zająć.

– Niech pyta o Trzcinę – odpowiedział Jedwab.

– Sprowadź ją. Razem z tą kobietą przyjedziesz tu wozem, wskazując przy okazji drogę Ślizowi. Jeśli Trzcina będzie czegoś potrzebować, przypilnuj, by to zabrała. Leć już.

Piżmo skinął głową i spiesznie opuścił jadalnię.

– A ty, patero, zajmiesz się egzorcyzmami. Czy zacząłeś już przygotowania?

– Nie. Załedwie zdążyłem tu przyjechać, kiedy to się stało. Muszę dowiedzieć się wszystkiego o manifestacjach. – Jedwab znów potarł policzek. – Jak powiedziałem, przybyłem tu niedawno, ale wystarczyło mi czasu, bym popełnił poważny błąd. Oświadczyłem Orchidei, że nie interesuje mnie, jakie diabły... czy raczej diabeł – gdyż jej zdaniem mamy do czynienia z jednym – zagnieździł się w waszym domu i jakie wyprawia harce. Powiedziałem to, ponieważ tak uczono nas w scholi. Teraz jednak dochodzę do wniosku, że w tym przypadku jest inaczej. Powinienem jeszcze raz porozmawiać z Orchideą.

Łysy towarzysz Krwi głośno chrząknął.

– Ja mogę ci powiedzieć. Przeważnie tłuką lustra.

– Doprawdy? – Jedwab pochylił się w jego stronę. – Nigdy bym nie zgadł. Co jeszcze?

– Drą dziewczętom suknie. – Łysy zamilkł i popatrzył na Krew.

– Dziewczęta czasami dla przychodzących tu gości nie są dość uprzejme – powiedział Krew. – Bywa, że któraś z nich plecie jak niespełna rozumu, a gościowi to naturalnie się nie podoba.

– Nam też to się nie podoba – wtrącił łysy. – Szkodzi interesom.

– Jaka jest twoim zdaniem tego przyczyna?

– Diabły. Co do tego wszyscy są zgodni. – Łysy popatrzył na Krew. – *Jefe?*

– *Zapytaj Orchideę* – poradził Krew Jedwabowi. – Wiem tylko tyle, ile ona mi mówi, a jeśli

egzorcyzmy sprawią, że wszyscy poczują się lepiej... – Wzruszył ramionami.

Jedwab wstał z krzesła.

– Porozmawiam z Orchideą, pod warunkiem że ona się zgodzi. Jest wytrącona z równowagi i przerażona, ale postaram się dodać jej trochę otuchy. Na tym między innymi polega moja rola. Chciałbym też pomówić z Acalyphą. To ta wysoka kobieta z ognistą czupryną, tak?

Krew skinął potakująco głową.

– Zapewne już wyszła, lecz wróci na kolację. Pokój Orchidei mieści się na galerii na piętrze, dokładnie nad wielkim salonem frontowym.

Acalyphą otworzyła drzwi do pokoi Orchidei i przepuściła Jedwabia przodem. Orchidea, wciąż w różowym peniuarze, siedziała na szerokiej, obitej zielonym aksamitem kanapie w dużej sellarii. Najwyraźniej doszła już do siebie i na jej twarzy malował się taki sam twardy, zdecydowany wyraz jak w chwili, gdy rozmawiała z Jedwabiem po raz pierwszy.

Acalyphą wskazała gościowi krzesło.

– Usiądź, patere. – Sama zajęła miejsce obok Orchidei i objęła ją ramieniem. – Przysłał go Krew, by z nami porozmawiał. Zgodziłam się, lecz jeśli nie masz na to ochoty teraz, przyjdzie później.

– Nic mi nie jest – zapewniła Orchidea.

Jeden rzut oka wystarczył, by Jedwab uwierzył w jej oświadczenie; raczej Acalyphą potrzebowała pociechy.

– Czego chcesz, patere? – zapytała Orchidea głosem jeszcze bardziej ochryłym niż przy powitaniu. – Jeśli zamierzasz mówić mi o tym, że ona odeszła do Centralnego Procesora, zaoszczędź sobie fatygi. Natomiast jeśli chcesz, by ktoś oprowadził cię po domu, zrobi to Acalyphą.

Po lewej stronie kanapy w ścianie widniało szkło. Jedwab zerknął tam z niepokojem, ale w szkle nie pojawiła się żadna twarz.

– Chciałbym zamienić z tobą kilka słów w cztery oczy. – Popatrzył na Acalyphę. – Myślałem, że dzięki temu będziesz miała okazję się ubrać... Jednak już się przyodziałaś, jak widzę.

– Wyjdź – powiedziała Orchidea. – Nie zapomnę, że okazałaś mi tyle troski.

Wysoka dziewczyna wstała i wygładziła suknię.

– Zanim to się stało, zamierzałam ubrać się bardziej elegancko.

– Z tobą też chcę pomówić – odezwał się Jedwab. – Nie zajmę ci dużo czasu, więc poczekaj. Jeśli nie, byłbym niebywale wdzięczny, gdybyś odwiedziła mnie dziś wieczorem w manteionie.

– Poczekam w swoim pokoju. Jedwab skinął głową.

– Tak będzie lepiej. Proszę mi wybaczyć, że nie wstaje, ale wczorajszej nocy złamałem nogę.

Począł, aż za Acalyphą zamkną się drzwi.

– Ładna dziewczyna, prawda? – przerwała milczenie Orchidea. – Trochę za wysoka, ale może takie lubisz. No i jakie biodra!

– *Zaprzatają* mnie ważniejsze sprawy.

– Rozłożyste biodra, wąska talia, wielkie piersi. Nie zmienisz zdania?

Jedwab potrząsnął głową.

– Dziwię się, że nie wspominasz ani słowem o jej miłym charakterze. Musi mieć w sobie wiele dobra, gdyż w przeciwnym razie nie okazywałaby ci takiej troski i współczucia.

Orchidea wstała z kanapy.

– Napijesz się, patero? W barku mam wino i inne trunki.

– Dziękuję, nie.

– Ale ja sobie naleję. – Orchidea otworzyła barek i napełniła niewielki puchar brandy słomkowego koloru.

– Sprawia wrażenie załamanej – zauważył ostrożnie Jedwab. – Zapewne przyjaźniła się z Orlicą.

– Kiedy Acalyphą jest na rdzy, potrafi być okropna, lecz kiedy wyjdzie już z fazy, można ją do rany przyłożyć.

Jedwab strzelił palcami.

– Zetknąłem się już z tym imieniem.

Orchidea wróciła na kanapę, zakręciła trzymanym w dłoni pucharkiem, chwilę napawała się aromatem trunku, po czym ostrożnie postawiła naczynie na poręczu kanapy.

– Ktoś ci o niej mówił?

– Pewien mężczyzna wymienił jej imię, to wszystko. Zresztą mniejsza o to. – Machnął niedbale ręką. – Czy nie zamierzasz tego wypić?

Nagle przypomniał sobie, że takie samo pytanie zadał mu ostatniej nocy Krew.

– Nie piję aż do wyjścia ostatniego z gości – odrzekła Orchidea. – To moja zasada i nie złamię jej nawet dzisiaj. Ale lubię mieć pod ręką pełną szklaneczkę. Paterę, czy przyszedłeś rozmawiać ze mną o Acalyphie?

– Nie. Nikt nas tu nie podsłucha? Pytam ze względu na ciebie, Orchideo, nie ze względu na mnie.

Potrząsnęła przecząco głową.

– Słyszałem, że w takich domach często instalowane są urządzenia podsłuchowe.

– Nie w tym. A jeśli nawet, to nie w moich pokojach. Jedwab wskazał szkło.

– Ktoś mi powiedział, że monitor nie podsłuchuje rozmów. Czy monitor w tym szkłe komunikuje się wyłącznie z tobą?

Orchidea znów sięgnęła po pucharek i zaczęła energicznie obracać go w dłoni.

– Jak długo tu mieszkam, szkło nie zadziało ani razu. Często tego żałuję.

– Rozumiem. – Podkuśtykał do szkła i głośno klasnął w dłonie. Światło w pokoju pojaśniało, lecz monitor nie stawiał się na wezwanie. – Takie samo szkło znajduje się w sypialni patere Płetwy... w jego dawnej sypialni. Powinienem je sprzedać. Nawet nie działające szkło ma chyba pewną wartość.

– Czego konkretnie ode mnie chcesz, patere? Jedwab wrócił na krzesło.

– Próbuję znaleźć jak najbardziej taktowny sposób, by wyniszczyć ci moją sprawę, ale nie znajduję właściwych słów. Czy Orlica była twoją córką?

Orchidea gwałtownie potrząsnęła głową. Milczała.

– Zamierzasz się jej zaprzeczyć nawet w obliczu śmierci? Nie wiedział, jakiej reakcji się spodziewać: łez, hysterii, obojętności. Na wszystkie te ewentualności był przygotowany. Lecz teraz, gdy pytanie już padło, odniósł wrażenie, że twarz Orchidei rozpada się, zupełnie jakby usta, pokryte bliznami opuchnięte policzki i twarde, orzechowej barwy oczy nie podlegały jej woli. Jedwab pragnął, by ukryła tę straszliwą maskę w dłoniach, lecz nie wykonała najmniejszego ruchu. Odwrócił wzrok.

Po drugiej strome kanapy za ciężkimi kotarami znajdowało się okno. Podszedł i otworzył je. Wychodziło na ulice Lampy i choć dzień był nadzwyczaj upalny, do sellarii Orchidei wpadały podmuchy chłodnego, ożywczego wiatru.

– Skąd o tym wiesz? – zapytała gospodyni. Stawiając niezdarne kroki, wrócił na krzesło.

– Powinnyście częściej otwierać okna i wietrzyć dom. Wyciągnął chusteczkę, by wytrzeć nos, lecz gdy dostrzegł na niej ślady krwi Orlicy, natychmiast ją schował.

– Skąd o tym wiesz, patere?

– Nikt inny o tym nie wie? Nikt się nawet nie domyśla? Orchidea wciąż nie potrafiła odzyskać panowania nad twarzą, po której przebiegały dziwaczne skurcze.

– Niektórzy zapewne czegoś się domyślają. Nikomu nic nie mówiłam, nie traktowałam jej lepiej niż innych. – Spazmatycznie zaczerpnęła tchu. – A nawet gorzej, jeśli występowały między nami różnice *zdań*. Musiała w wielu sprawach mnie wyręczać, często ją łajałam.

– Nie będę pytać, jak i dlaczego tak się stało. To nie moja sprawa.

– Dziękuję, patere – powiedziała z ożywieniem i najwyraźniej szczerze. – Zabrał ją ojciec. Nie mogłam się nią wtedy zająć. Ale on powiedział... powiedział...

– Naprawdę nie musisz mi o tym mówić – rzekł z naciskiem Jedwab.

Orchidea jakby nie dosłyszała jego słów.

– Później spotkałam ją na ulicy. Miała trzynaście lat, lecz powiedziała, że ma piętnaście. A ja uwierzyłam. Nie poznałam własnej córki. – Roześmiała się; ów śmiech był jeszcze gorszy niż łyż.

– Naprawdę nie ma powodów, byś dręczyła się i opowiadała mi całą historię.

– Wcale się nie dręcę. Chciałam o tym komuś opowiedzieć jeszcze w czasach, gdy Sphigx była berbeciem. A ty i tak już o tym wiesz, więc nic złego się nie stanie. Poza tym ona... ona...

– Odeszła – odpowiedział cicho Jedwab.

Orchidea potrząsnęła głową.

– Nie żyje. Był to jedyny bliski mi człowiek. Czy wiesz, na jakiej zasadzie działają takie domy, patere?

– Nie, ale sądzę, że powinienem wiedzieć.

– Dziewczeta zwykle pracują za wikt i opierunek. Niekiedy są traktowane jak więźniarki w Alambrerze. Nie wolno im wychodzić, nie dostają żadnych pieniędzy. Prawie przez dwa lata pracowałam w takim właśnie domu.

– Cieszę się, że stamtąd uciekłaś. Orchidea znów potrząsnęła głową.

– Wcale nie uciekałam. Zachorowałam, więc mnie wykopano na bruk. Dla mnie było to najszczęśliwsze zrzędzenie losu. Ale zmierzam do tego, patere, że tu jest inaczej. Moje dziewczyny po prostu wynajmują pokoje i mogą wychodzić, kiedy chcą. Muszą tylko przyprowadzać gości, nie biorąc od nich pieniędzy. Rozumiesz?

– Nie jestem pewien – przyznał Jedwab.

– Tak jakby spotkały kogoś na ulicy. Jeśli go tu przyprowadzają, musi zapłacić za lokal. Dziś na przykład pojawi się ich pięćdziesięciu, może nawet stu. Zapłacą za lokum, a my pokażemy im wszystkie wolne dziewczęta zgromadzone w wielkim salonie na parterze.

– Powiedzmy, że pojawię się tutaj ja – odparł z namysłem Jedwab. – Oczywiście nie w tym stroju, lecz w normalnym ubraniu. I poproszę o konkretną kobietę.

– O Acalypnę? Jedwab potrząsnął głową. – Inną.

– O Mak? Drobna dziewczyna, czarnowłosa.

– Zgoda – skinął głową Jedwab. – Powiedzmy, że chcę Mak. Co się stanie, jeśli ona nie zechce zaprosić mnie do swego pokoju?

– To już jej sprawa – wyjaśniła *szczerze* Orchidea. – Musiałbyś wybrać inną. Jeśli jednak któraś z dziewcząt zbyt często grymasi, po prostu wylewam ją z pracy.

– No tak.

– Tylko że Mak ci nie odmówi, patere. Nie tobie. Ona wręcz na ciebie skoczy. Podobnie jak wszystkie inne nasze dziewczęta.

Uśmiechnęła się, a Jedwab, widząc blizny na jej twarzy, miał ochotę zabić Krew. Pod tuniką miał azoth... natychmiast odrzucił ten pomysł.

Orchidea błędnie odczytała wyraz jego oczu i przestała się uśmiechać.

– Nie skończyłam ci historii Orlicy, patere. Czy życzysz sobie usłyszeć ją do końca?

– Naturalnie.

– No więc, jak mówiłam, *znalazłam* ją na ulicy. Czasami, gdy mamy puste pokoje, chodzę po mieście i szukam nowych dziewcząt. Powiedziała, że ma piętnaście lat i nazywa się Sosna... dziewczęta rzadko przyznają się do swych prawdziwych imion. Nigdy o nic więcej nie pytam.

– Rozumiem.

– Ktoś wyczyścił ją z forsy, chyba wiesz, co mam na myśli. Powiedziałem jej: „Posłuchaj, u mnie mieszka wiele dziewcząt i nikt nie śmie tknąć ich palcem. Chodź ze mną. Dostaniesz za darmo ciepły posiłek, później się u nas rozejrzysz”. Na to ona, że nie ma skąd pożyczyć pieniędzy, a ja zapewniłam ją, że sprolonguję jej wszystko na pierwszy miesiąc. Zawsze tak mówię.

Kiedy była już u nas prawie rok, pewnego dnia uciekła z salonu. Potem mi wyznała, że pojawił się jej ojciec, który zmuszał ją, gdy była mała, do robienia pewnych rzeczy. Dlatego od niego uciekła. Rozumiesz, o czym mówię, patere? Jedwab zacisnął pięści i w milczeniu pokiwał głową. – Wymieniła jego imię, a ja poszłam do salonu, by go sobie obejrzeć. To był on. W taki sposób dowiedziałam się, kim naprawdę jest Orlica. Później o wszystkim jej powiedziałam. Teraz cieszę się, że wyjawiałam jej prawdę. Bardzo się cieszę. Oświadczyłam przy tym, by nie spodziewała się żadnych względów, i rzeczywiście nie traktowałam jej lepiej od innych. Ale... ale...

Jedwab cierpliwie czekał, nie patrząc w stronę Orchidei. – Ale od tej pory w każdy dzień urodzin Orlicy robiłam tort, który później jadłyśmy w jej pokoju. Poza tym zmieniałam jej imię z Sosny na Orlicę i niebawem wszyscy już tak na nią wołali. – Orchidea wytarła oczy skrajem peniuaru. – To już cała historia. Kto ci o tym powiedział?

– Najpierw twoja twarz. Orchidea skinęła głową.

– Orlica była śliczna. Wszyscy tak twierdzili.

– Ale nie wtedy, kiedy ją zobaczyłem, gdyż w jej twarzy było coś obcego. Niemniej uderzyło mnie to, że była bardzo podobna do ciebie, choć mogła ponieść mnie fantazja. W chwilę później usłyszałem jej imię. Orlica. Przypomina trochę twoje, poza tym wydało mi się, że kobieta o imieniu Orchidea mogła nadać córce takie właśnie imię. Nie musisz mi nic więcej mówić.

Orchidea spuściła wzrok.

– Nazwa orlica przypomina odrobinę słowo orchidea – ciągnął Jedwab. – Wieśniacy nazywają ten gatunek paproci długożywotnikiem. Dlatego też, kiedy przypominałem sobie o tej nazwie, mruknąłem pod nosem, że ona nie popełniła samobójstwa, i ty przyznałaś mi rację. A kiedy Krew zasugerował, że sztylet, którym się zabiła, ukradła, wybuchnęłaś płaczem. Wtedy już wiedziałem. Ale mówiąc prawdę, i wcześniej byłem prawie pewien.

– Dziękuję, patere – powiedziała cicho Orchidea. – Czy to już wszystko? Chciałabym teraz trochę pobyć sama.

Jedwab wstał z krzesła.

– Rozumiem. Nie zakłócałbym ci spokoju, lecz chciałem powiedzieć, że Krew zgodził się, aby twoja córka miała godziwy pogrzeb, zgodny z ceremoniałem zalecanym przez Kapitułę. Jej ciało zostanie umyte i odziane, wystawione, a następnie przetransportowane do mego manteionu przy ulicy Słońca. Pogrzeb odbędzie się jutro rano.

Orchidea patrzyła nań z niedowierzaniem. – I Krew za to wszystko zapłaci?

– Nie. – Jedwab nie rozważał jeszcze kwestii finansowych; wiedział jedynie, że nie da się uniknąć kosztów związanych z biurem do spraw zmarłych. Ogarnęła go nagła panika, poczuł w głowie pustkę, lecz natychmiast przypomniał sobie o dwóch kartach, które dostał od Krwi i zamierzał wydać na cotygodniową ofiarę składaną w scyldag. – A raczej tak. Krew już wcześniej dał... podarował mi mój manteion. Bardzo hojny dar. Wykorzystamy to.

– Nie, w żadnym wypadku Krew! – Orchidea ciężko wstała z kanapy. – Ja zapłacę, patere. Ile?

Jedwab zmusił się do całkowitej szczerości.

– Muszę ci wyznać, że często grzebiemy biedaków, których rodziny nie mają pieniędzy na pochówek. Ale szciodrzy bogowie zawsze...

– Nie jestem uboga! – Orchidea poczerwieniła z gniewu. – Owszem, czasami nie miałam przy duszy złamanego bita, ale to każdemu się zdarza. Teraz mi pieniędzy nie brakuje, a ona była moją szprota. Innej dziewczynie musiałam... Och, niech cię licho porwie, przeklęty rzeźniku! Ile ci potrzeba na ładny pogrzeb?

Jedwabiowi trafiała się znakomita okazja nie tylko zaoszczędzenia manteionowi kosztów pochówku Orlicy, ale także spłacenia wcześniej zamówionych grobów, na które dotąd wciąż brakowało pieniędzy. W jednej chwili odrzucił wszelkie skrupuły.

– Jeśli naprawdę stać cię na to, dwadzieścia kart.

– Przejdźmy do sypialni, patere. Tam trzymam książeczkę. Chodź.

Zanim zdążył zaprotestować, zniknęła w sąsiednim pokoju. Przez otwarte drzwi dostrzegł łóżko ze wzburzoną pościelą, elegancki stolik zastawiony naczyniami oraz szezlong, na którym piętrzył się stos sukien.

– Wejdz! – zawołała ze śmiechem Orchidea i rym razem w jej śmiechu zabrzmiała niekłamanie rozbawienie. – Założę się, że nigdy jeszcze nie gościłeś w kobiecej sypialni.

– Raz czy dwa.

Jedwab z wahaniem przekroczył próg i wiedziony odruchem popatrzył na rozgrzebane łóżko, czy nie spoczywa na nim żaden umierający.

Zapewne na łóżku tym Orchidea spała, odpoczywała, a nawet uprawiała miłość. Bez trudu wyobraził sobie swą następną wizytę w tej izbie; za dziesięć lub dwadzieścia lat. Każde łożo zamienia się kiedyś w łożo śmierci.

– Ach, więc jednak! No tak, z pewnością bywałeś w sypialni swojej mamy. – Orchidea usiadła za eleganckim stołem, odsunęła kilka barwnych flaszek i dzbanków, i postawiła przed sobą na honorowym miejscu kałamarz z pozłacanego brązu.

– Oczywiście.

– I grzebałeś w jej rzeczach, ilekroć wyszła z domu. Dobrze znam takich jurnych młodzieńców.

W pierścieniu przy kałamarzu tkwiło dwadzieścia lotek z pawich piór. Orchidea wybrała jedną i zmarszczyła nos.

– Mogę ci ją zaostrzyć – zaofiarował się Jedwab, wyciągając piórnik.

– Naprawdę? Dziękuję. – Podała mu lotkę. – Czy przymierzałeś kiedykolwiek jej bieliznę?

Jedwab popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Nie, taki pomysł nigdy nie przyszedł mi do głowy. Choć przyznaję, że raz otworzyłem szufladę i przejrzałem zawartość. Później czułem się tak podle, że następnego dnia sam się przed matką przyznałem do mego czynu. Gdzie mam wrzucać ostrużyny?

– Gdzie chcesz. Miałaś sympatyczną mamę. Żyje jeszcze? Jedwab przecząco pokręcił głową.

– Czy wolisz szerszy czubek?

Orchidea nie odpowiedziała i Jedwab przez chwilę kontemplował trzymane w dłoni pióro. Zdecydował się na szeroki czubek. Szeroki zużywał więcej atramentu, ale wystarczał na dłużej.

– Moja umarła, kiedy byłam malutka, lecz sądzę, że też była miła. Prawie wcale jej nie pamiętam. Paterę, czy umarli mogą wracać, odwiedzać osoby, które za życia kochały?

– A co masz na myśli, mówiąc „odwiedzać”? – Cieniutkim ostrzem na długim trzonku Jedwab ściał ostatnią ostrużynę. Był przyzwyczajony do piór gęsi lub wronich; to było znacznie większe.

– Rozmawiać z nimi, a nawet pozwalać się zobaczyć.

– Nie – powiedział Jedwab.

– Nie? Dlaczego nie?

– Nie pozwala na to Hierax. – Oddał jej zaostrzoną lotkę i zatrzasnął piórnik. – Gdyby na to pozwolił, żyjący mógłby żyć wedle dyrektyw zmarłego, powtarzając ciągle te same błędy.

– Kiedyś zastanawiałam się, dlaczego matka nigdy mnie nie odwiedzi – wyznała Orchidea. – Ale od lat już o tym nie myślę i dopiero teraz, gdy wspominam Orlicę, mam nadzieję, że Hierax pozwoli jej czasem przyjść do mnie, bym mogła na nią jeszcze popatrzeć. Siadaj na łóżku, patere. Nie stój mi nad głową, bo to mnie denerwuje.

Jedwab niechętnie wygładził żółtą pościel i usiadł.

– Przed chwilą powiedziałaś: dwadzieścia kart. Chyba taniej już nie można.

– Ceremonia będzie skromna, ale godziwa – przyznał Jedwab.

– No dobrze, a co powiesz na pięćdziesiąt kart? Co za to się dostanie?

– Bogowie! – mruknął Jedwab i chwilę się zastanawiał. – Nie jestem pewien. Ale na pewno lepsze zwierzę ofiarne i dużo lepszą trumnę. Kwiaty, płaczki, ozdobione kirem mary. Zapewne...

– Płacę sto – oświadczyła zdecydowanie Orchidea. – Będę się lepiej czuła. Sto kart i wszystko w najlepszym gatunku.

Zanurzyła pióro w kałamarzu. Jedwab nie potrafił wydusić z siebie słowa.

– Możesz powiedzieć, że byłam jej matką. Chcę, byś to ogłosił. Jak nazywa się w manteionie podwyższenie, z którego mówisz?

– Ambona.

– Właśnie. Nikomu o tym nie wspominałam. Oboje dobrze wiemy, co inne dziewczęta mówiłyby o mnie i o niej poza naszymi plecami. Ale jutro to ogłosisz. Z ambony. I wykujesz na jej kamieniu stosowną inskrypcję.

– Zrobię, jak sobie zyczysz. Zamaszystymi ruchami pióra podpisała czek.

– A zatem jutro. O której?

– O jedenastej.

– Przyjdę, patere. – Na jej twarzy pojawił się twardy wyraz. – Wszystkie przyjdziemy.

Jedwab, zamykając za sobą drzwi mieszkania Orchidei, wciąż z niedowierzaniem potrząsał głową. Na korytarzu czekała Acalypha. Zastanawiał się chwilę, czy przypadkiem nie podsłuchiwała, a jeśli tak, to ile do niej dotarło z jego rozmowy z Orchideą.

– Chciałeś ze mną mówić – powiedziała Acalypha.

– Nie tutaj.

– Czekałam u siebie w pokoju. Długo nie przychodziłeś, więc wróciłam, by sprawdzić, co się stało.

Wciąż trzymał w ręku wypisany przez Orchideę czek na sto kart. Szybko go złożył i schował do kieszeni sutanny.

– Mówiłem, że chwilę mi to zajmie. Mieliśmy wiele spraw do omówienia. Mogę cię tylko przeprosić.

– Wciąż chcesz porozmawiać w moim pokoju? Jedwab chwilę się wahał, po czym skinął głową.

– Musimy porozmawiać prywatnie.

Przyzwany

Kiedyś w domu Orchidei mieszkał właściciel z żoną – wyjaśniła Acalypha. – Do ich pokoi przylegały pokoje szprotów. Dalej znajdowały się izby służby i pokojówek. Ja mieszkam mniej więcej pośrodku. Nie jest tam źle. Skręciła w lewo w zatęchły korytarz i Jedwab ruszył za nią. – Połowa mieszkań, również moje, wychodzi na dziedziniec. Podczas wielkich przyjęć jest tam bardzo hałaśliwie. Jeśli nie zostaje się na bankiecie do końca, trzeba w mieszkaniu cierpieć nieustanny zgiełk. A ja nigdy nie zostaję długo. Później zabiera się tych opojów do pokoju, a oni tam rzygają. Po takich imprezach trudno wywietrzyć mieszkanie. Wydawać się może, że brzydki zapach znika, ale pojawia się znowu pierwszej deszczowej nocy. Skręcili za róg.

– Czasami tymi przejściami goście ganiają dziewczęta, robiąc przy tym wielki harmider. Okna zewnętrznych pokoi leżących po tej stronie wychodzą na aleję. Te z kolei są ciemne i panuje w nich okropny zaduch. Ponadto mają w oknach kraty. W sumie więc wolę swój pokój.

Acalypha zatrzymała się, wyjęła zawieszony na łańcuszku między wydatnymi piersiami klucz i otworzyła drzwi.

– Czy sąsiednie pokoje są puste? – zapytał Jedwab.

– Ha, od ponad miesiąca wszystkie są zajęte. Moja przyjaciółka chce tu zamieszkać. Gdy tylko coś się zwolni, natychmiast ją powiadomię.

– Teraz już może wprowadzić się do pokoju Orlicy.

Sypialnia Acalyphy była o połowę mniejsza od izby Orchidei, a większą część jej powierzchni zajmowało ogromne łóże. Pod ścianami stały skrzynie i stara szafa z zasuwką i kłódką.

– Tak. Może. Powiem jej. Czy mam zostawić drzwi otwarte?

– To raczej nieroztropne.

– Jak sobie życzysz. Ale nie zamknę ich na zamek. Kiedy goszczę u siebie mężczyzn, nigdy nie zamykam drzwi na głucho. To niezbyt bezpieczne. Usiądziesz obok mnie na łóżku?

Jedwab odmownie potrząsnął głową.

– Jak chcesz.

Rozparła się na łożu, a Jedwab z ulgą siadł na jednej ze skrzyń. Laskę z rączką w kształcie głowy lwicy oparł między kolanami.

– O czym chciałeś pomówić?

Jedwab zerknął w kierunku otwartego okna.

– Nikt nie podkradnie się galerią, by podsłuchiwać? Sprawdź, czy nikt się tam nie czai.

– Posłuchaj. – Acalypha wycelowała w niego palec. – Nie jestem ci nic winna, a ty mi nie płacisz nawet dwóch bitów. Lubiłam Orlicę; w każdym razie rzadko się kłóciłyśmy. Byłam ci wdzięczna za to, co dla niej zrobiłeś, więc gdy poprosiłeś mnie o rozmowę, wyraziłam zgodę. Ale mam jeszcze do załatwienia w mieście dużo spraw, a muszę wrócić tu na wieczór i harować jak wół. Gadaj zatem szybko, z czym przychodzisz. I oby to, co masz do zakomunikowania, przypadło mi do gustu.

– A co zrobisz, jeśli będzie inaczej? – zapytał łagodnie Jedwab. – Zabijesz mnie? Czym? Nie masz już sztyletu.

Acalypha otworzyła jaskrawo pomalowane usta, lecz natychmiast je zamknęła.

Jedwab rozsiadł się wygodniej na skrzyni i oparł plecami o ścianę.

– Nie była to trudna zagadka. Gdyby zainteresowała się nią gwardia cywilna, funkcjonariusze natychmiast by pojęli, co się tu naprawdę wydarzyło. Mnie zajęło to kilka minut, ale ja mało znam się na takich sprawach. Oczywiście Acalyphy rozbłysły.

– Sama się zabiła! Widziałeś. Przebiła się nożem. Wykonała gwałtowny gest, jakby zadawała sobie cios w brzuch.

– Widziałem, jak ścisnęła rękojeść sztyletu. Może, umierając, próbowała wyciągnąć nóż z rany?

– Nie masz żadnych dowodów Jedwab ciężko westchnął.

– Proszę, nie bądź niemądra. Hej masz lat? Powiedz prawdę.

– A co wspólnego ma z tym mój wiek?

– Chyba nic. Tyle że przy tobie czuję się bardzo stary i mądry; tak samo jak w towarzystwie dzieciarni w palestrze. A od wielu z nich nie jesteś dużo starsza.

Acalypha długo milczała, przygryzając wargę.

– Dziewiętnaście – wyznała w końcu. – To ładne słowo. W każdym razie wydaje mi się, że mam dziewiętnaście. Jestem starsza od wielu dziewcząt przebywających w tym domu.

– Ja mam dwadzieścia trzy – odrzekł Jedwab. – A swoją drogą, czy mogłabyś zwracać się do mnie patere? Wtedy łatwiej przyjdzie mi pamiętać, kim jestem.

Acalypha potrząsnęła głową.

– Czy uważasz mnie za zasmarkane dziecko, które będzie ssało każdy cycek, jaki mu podasz? No cóż, wiele wiem o sprawach, o jakich ci się nie śniło. Nie zabiłam Orlicy. Na Sphigx, nie zabiłam! A ty niczego nie zdołasz mi udowodnić. Czego chcesz?

– Pragnę ci pomóc, jeśli tylko zdołam. Wszyscy bogowie... Zewnętrzny wie, że ktoś to powinien być uczynić już dawno.

– Pomóc!

Jedwab rozłożył ramiona, po czym je opuścił.

– Przynajmniej trochę pomóc, ale jeszcześmy nawet nie zaczęli. Powiedziałaś, że wiele wiesz o sprawach, o jakich ja nie mam pojęcia. Umiesz czytać?

Acalypha zacisnęła wargi i potrząsnęła głową.

– A widzisz. Choć nie jesteś głupia – wcale tego nie kryję – to jednak musisz przyznać, że ja też znam się na sprawach, o których ty nic nie wiesz. Masz na przykład dość oleju w głowie, by fałszywie przysięgać na Sphigx. Wiesz, że nie stanie ci się żadna krzywda, jeśli to zrobisz, a ja zaczynam podejrzewać, że powinienem się tej sztuki od ciebie nauczyć. Jeszcze wczoraj rano nie odważyłbym się na coś takiego. Nawet teraz nie śmiem.

– Nie kłamałam!

– Kłamałaś. – Jedwab położył laskę na kolanach i przez chwilę z uwagą studiował głowę lwicy. – Twierdzisz, że niczego nie mogę ci udowodnić. W pewnym sensie masz rację. Gdybyś była niewiastą bogatą i wpływową, nie zdołałbym przed sądem uzasadnić swego oskarżenia. Nie jesteś bogata, a ja z kolei nie zamierzam w żadnym sądzie zeznawać przeciw tobie. Ale bez trudu przekonałbym o twej winie Orchideę i Krew. Dodałbym, że przyznałaś się do winy; co zresztą właśnie zrobiłaś. Orchidea kazałaby zapewne łysemu mężczyźnie, który z wami mieszka, obić cię, a następnie wyrzuciłaby cię z tego domu. Nie próbuję nawet zgadywać, co uczyniłby Krew. On sam zapewne nic.

Siedząca na łożu dziewczyna o malinowych włosach nie śmiała spojrzeć Jedwabowi w oczy.

– W ostateczności przekonałbym również gwardię cywilną. Przyszłoby mi to bez trudu, Acalypho, ponieważ twój los nie obchodzi nikogo. Zapewne nigdy nikogo nie obchodził i dlatego jesteś w tym domu.

– Jestem tu dla pieniędzy – odrzekła Acalypha.

– Nie. Już nie. Sądzę, że ten łysy olbrzym wybiłby ci kilka zębów. I wolę nawet nie spekulować, co zrobiłby Piżmo, gdyby Krew dał mu wolną rękę. Nie lubię go, ale może to tylko uprzedzenie. Ty z pewnością znasz go dużo lepiej.

Dziewczyna wydała cichy, prawie niesłyszalny okrzyk.

– Z byle powodu nie płaczesz, prawda? Acalypha potrząsnęła głową.

– A ja tak... – Uśmiechnął się i znów wzruszył ramionami. – To kolejna z moich licznych wad. Kiedy po raz pierwszy przekroczyłem próg tego domu, byłem bliski łez, a i teraz ból w kostce sprawy mi nie ułatwia. Wybaczysz mi?

Zsunął skarpetkę i zdjął owijacz. Wprawdzie opatrunek wciąż jeszcze był ciepły, lecz profilaktycznie wyrzucił nim w podłogę i ponownie założył na złamaną kostkę.

– Czy mam ci powiedzieć, co się wydarzyło, czy sama mi to wyznasz?

– Nic nie powiem.

– Mam nadzieję, że skłonię cię do zmiany zdania. Musisz mi wyjaśnić wiele *rzeczy*, – Umilkł i przez chwilę zbierał myśli. – Dobrze. Ten nieszczęsny dom nawiedzony został przez pewną diabolicę. Tak chwilowo będziemy ją nazywali, choć mam nadzieję poznać jej prawdziwe imię. Jak rozumiałem, kilka osób zostało przez nią opętanych. Czy wszystkie mieszkają w tym domu? Czy dotknęło to też patronów? Jeśli tak, nikt mi o tym dotąd nie wspomniał.

– Tylko dziewczęta.

– Rozumiem. A Orchidea? Też została opętana? W rozmowie ze mną nie zająknęła się na ten temat słowem.

Acalypha znów potrząsnęła głową.

– A Orlica? Dziewczyna milczała.

– Orlica?! – powtórzył z naciskiem Jedwab. Otworzyły się drzwi i do pokoju zajrzał Żuraw.

– A, tu jesteś! Powiedziano mi, że kręcisz się po domu. Jak noga?

– Dolega. Początkowo twój owijacz przyniósł mi ogromną ulgę, ale...

Żuraw przykucnął i dotknął chorej stopy.

– Dobry i gorący. Ale za dużo chodzisz. Ostrzegałem cię, byś nie forsował nogi!

– W miarę możliwości nie forsuję – odrzekł oziębłe Jedwab.

– Staraj się bardziej stosować do moich poleceń. Cóż, kiedy *zacznie* cię jeszcze bardziej boleć, szybko ci wróci rozum. Jak egzorcyzmy?

– Jeszcze nie zacząłem. Zamierzam najpierw rozgrzeszyć Acalyphę, gdyż to sprawa większej wagi.

Dziewczyna popatrzyła bezradnie na Żurawia i potrząsnęła głową.

– Ona jeszcze o tym nie wie – wyjaśnił Jedwab. – Rozumiem. Zostawiam was zatem samych, a ty czyn swoją powinność. – Lekarz opuścił pokój.

– Pytałeś o Orlicę – przerwała milczenie Acalypha. – Nigdy nie została opętana.

– Podejrzanie prędko wracasz do tematu – ofuknął ją Jedwab. – Lepiej powiedz mi, dlaczego Żuraw tak bardzo się tobą interesuje.

– Wcale nie.

Jedwab parsknął lekceważąco.

– Daj spokój. Przecież to widać na pierwszy rzut oka. Sądzisz, że uwierzę, iż przyszedł tu do mnie, by spytać o nogę? Przyszedł, bo szukał ciebie. Tylko Orchidea mogła mu powiedzieć, że tu jestem, ale pewnie z nim nie rozmawiała. Mówiła mi przed chwilą, że chce być sama. Mam nadzieję,

że zainteresowanie doktora twoją osobą bierze się wyłącznie z życzliwości. Potrzebujesz przyjaciół.

– Jest moim lekarzem, to wszystko.

– Nie – odparł zdecydowanie Jedwab. – Niewątpliwie jest twoim lekarzem, ale to nie wszystko. Gdy byłem u Orchidei i usłyszałem krzyk, po wyjściu na dziedziniec byłaś całkowicie ubrana. Rzuciłaś się w oczy, gdyż inne dziewczęta były w bardzo skąpych negliżach.

– Zamierzałam wyjść!

– Jasne. Zamierzałaś wyjść, więc byłaś kompletnie ubrana, co zresztą przyjąłem z wielką ulgą. Śmiej się, jeśli chcesz. Na początku oczywiście nie zastanawiałem się, dlaczego ty jesteś ubrana, lecz dlaczego inne dziewczęta są rozebrane. Odpowiedź była prosta. Po ubiegłej nocy wstały bardzo późno. Poza tym spodziewały się wizyty Żurawia, który i tak kazałby im się rozdziać, więc, nie ubierając się, czekały na niego.

Żuraw i ja pojawiliśmy się na krótko przed wypadkiem, a jednak ty już byłaś gotowa do wyjścia. Dlatego ciebie poprosiłem, byś przyniosła prześcieradło, którym nakryliśmy nieszczęsną Orlicę. Z tego prosty wniosek, że zostałaś już przebadana; a jeśli tak, musiałaś być pierwsza w kolejce. Żuraw zawsze zaczyna obchód od odległego końca korytarza na górze. Ale nie dziś. Twój pokój znajduje się w połowie drogi do starego raanteionu usytuowanego na tyłach domu. Dlaczego tobą zajął się najpierw?

– Nie wiem – odrzekła Acalypha. – Nawet mnie nie badał. Czekałam na niego i rzeczywiście się pojawił. Lecz jeśli nic nam nie dolega, badanie zajmuje sekundę.

– Sprzedaje ci rdzę?

Zdumiona Acalypha wybuchnęła śmiechem.

– Rozumiem, pomyliłem się. Za dużo logiki. Ale Żuraw ma dostęp do rdzy. Powiedział mi to dziś rano, proponując dawkę, po której poczułbym się lepiej. Orchidea i jeden z twoich znajomych powiedzieli mi, że zażywasz rdzę. A nie mieli najmniejszych powodów, by łgać. Co więcej, tezę tę potwierdza twoje zachowanie przy zwłokach Orlicy.

Acalypha najwyraźniej chciała coś odpowiedzieć, więc Jedwab cierpliwie czekał. W pokoju zapadła nagle cisza.

– Porozmawiajmy poważnie, patere. Jeśli dam ci słowo honoru, czy mi uwierzysz?

– Jeśli wyznasz mi prawdę? Tak, naturalnie.

– Zgoda. Żuraw nie sprzedaje rdzy ani mnie, ani nikomu innemu. Gdyby sprzedawał, Krew wyprułby mu flaki. Lecz jeśli chcesz, możesz ją kupić od Orchidei. Niektóre dziewczęta zdobywają ją na mieście. Ja też od czasu do czasu tak robię. Ale nikomu o tym nie mów.

– Nie powiem – obiecał Jedwab.

– Miałaś rację. Żuraw dysponuje rdzą i czasami, jak dzisiaj, trochę mi jej użycza. Jesteśmy

bliskimi przyjaciółmi, jeśli wiesz, co mam na myśli. Wyświadczyłam mu kilkakrotnie przysługę, nie biorąc pieniędzy. Tak więc zawsze najpierw przychodzi do mnie, często nawet daje mi jakiś prezent.

– Dziękuję. I dziękuję za to, że zwracasz się do mnie patere. Wierz mi, bardzo to sobie cenię. Czy teraz opowiesz mi o Orlicy?

Acalypha z uporem potrząsnęła głową.

– A więc dobrze. Powiedziałaś, że Orlica nigdy nie została opętana, ale to kłamstwo. W chwili śmierci była opętana – Jedwab czuł, że nadszedł odpowiedni moment, by dla dobra sprawy wyciągnąć na jaw całą prawdę. – Czyżbyś naprawdę sądziła, że ja, augur, mógłbym oglądać jej ciało i tego nie zauważyć? Po wyjściu Żurawia zażyła trochę rdzy, którą ci dał, ubrałaś się, opuściłaś pokój innym drzwiami i wyszłaś na galerię. Zamilkł, lecz nie doczekał się zaprzeczenia.

– Nie wiem, skąd zdobyłaś sztylet, ale w zeszłym roku przyłapaliśmy w naszej szkole jedną z dziewcząt na tym, że nosi przymocowany do uda sztylet. Tak czy siak, kiedy schodziłaś po drewnianych schodach, stanęłaś oko w oko z opętaną już Orlicą. Gdybyś wcześniej nie zażyła rdzy, zapewne wrzasnęłaś i uciekła; ale po rdzy ludzie stają się odważni i gwałtowni. To zresztą sprawiło, że zeszłej nocy zламаłem sobie nogę. Miałem do czynienia z kobietą, która zażywa rdzę.

Orlica musiała cię przerazić swym wyglądem. Uświadomiłaś sobie, że stanęłaś twarzą w twarz z diabłem, którego bałyście się wszystkie. Wyciągnęłaś sztylet i zadałaś cios. Pod żebra.

– Powiedziała mi, że jestem śliczna – szepnęła Acalypha. – Próbowwała mnie objąć, głaskała po twarzy. To nie była Orlica... Byłabym zdołała zasztyletować człowieka, ale nie za takie głupstwo. Cofnęłam się. Gdy w dalszym ciągu na mnie napierała, zadałam cios. Zabiłam diabła, a po chwili na schodach leżała martwa Orlica.

– Rozumiem – mruknął Jedwab.

– Domyśliłaś się, czyj to sztylet, prawda? Pomyślałam o tym zbyt późno.

– Masz na myśli rysunek przedstawiający twoje imię. Tak, domyśliłem się. O imieniu Orlicy myślałem od chwili, kiedy je usłyszałem. Nie ma sensu wchodzić w tę sprawę głębiej, ale tak było. Dostałaś ten sztylet od Żurawia, prawda? Powiedziałaś niedawno, że od czasu do czasu daje ci prezenty. Sztylet był jednym z nich.

– Sądzisz, że Żuraw chciał w ten sposób sprowadzić mi na głowę kłopoty? – zapytała cicho Acalypha. – Nie, było całkiem inaczej.

– Jak?

– Jedna z dziewcząt miała sztylet. Większość z nas ma... naprawdę cię to interesuje?

– Bardzo.

– No więc pewnego wieczoru wyszła z domu. Miała się z kimś spotkać na kolacji. Ale napadło na nią dwóch dzwońców, próbowano zedrzeć z niej ubranie. Wyrwała się i pocięła ich nożem. Nie

pozabijała napastników, tylko solidnie pokiereszowała Miała na sobie krew.

Tak więc i ja chciałam zdobyć taki nóż, na wypadek gdyby przyszło mi wyjść nocą, ale nie wiedziałam, skąd go zdobyć. Zwróciłam się do Żurawia z prośbą o radę, gdzie mogę nabyć dobry sztylet i nie zostać przy transakcji oszukana. On też nie wiedział, lecz zapytał Pizma, który o nożach wie wszystko i jeszcze trochę. Przy następnym spotkaniu przyniósł mi sztylet. Zamówił go specjalnie dla mnie lub polecił wykonać rysunek na rękojeści.

– Rozumiem.

– Czy wiesz, patere, że nigdy w życiu nie widziałam acalyphy, nie wiedziałam nawet, że to mój kwiat, dopóki zeszłej wiosny przyjaciel nie przyniósł mi całego ich bukietu? Uwielbiam je... dlatego ufarbowałam sobie włosy na ich kolor. Powiedział, że kwiat ten nazywany jest też ognistym kocim ogonem. Śmialiśmy się z tego, wtedy właśnie poprosiłam o sztylet. Goście często kupują swoim szparkom takie prezenty, by pokazać, że bez reszty im ufają.

– Czy przyjaciel, o którym mówisz, to doktor Żuraw?

– Nie. Ktoś znacznie młodszy. Jeśli nie chcesz, by spotkała mnie krzywda, nie pytaj o jego imię. – Acalypha zacisnęła usta i zamilkła. – To bandyta. Mógłby naprawdę zrobić mi coś złego. Lecz jeśli nie wymienię jego imienia, może mi jeszcze w przyszłości nieraz pomóc.

– Nie będę cię zatem dalej wypytywać – zapewnił Jedwab. – I jeśli nie będę musiał kogoś ratować, nie powiem nic ani Orchidei, ani Krwi. Jeśli w sprawę wchodzi się gwardia, moim obowiązkiem będzie wyjawienie prawdy oficerowi prowadzącemu śledztwo, ale sądzę, że wolałabyś ponieść zwykłą karę, niż wpaść w ręce Krwi. Jeśli zrobisz to, o co cię poproszę, nie poniesiesz kary; albo prawie żadnej. Ceremonia pogrzebowa Orlicy odbędzie się jutro o jedenastej w moim manteionie przy ulicy Słońca. Orchidea zażąda, byście wszystkie uczestniczyły w tej uroczystości, i niewątpliwie większość z was tam się pojawi. Chcę, byś i ty była. Acalypha skinęła głową.

– Oczywiście, patere.

– I chcę, byś podczas pogrzebu modliła się za Orlicę, za Orchidę i za siebie. Czy zrobisz to?

– Do Hieraxa? Dobrze, patere, ale musisz nauczyć mnie słów modlitwy.

Jedwab ujął laskę i w zamyśleniu obracał ją w dłoniach.

– Hierax rzeczywiście jest bogiem śmierci oraz calde zmarłych, stanowi najstosowniejszy obiekt modłów podczas pogrzebu. Rzec jednak odbędzie się w scyldag, więc ofiarę złożymy nie tylko jemu.

– Nie znam żadnych modlitw, jedynie krótką litanię do Scylli. Czy mam ją odmawiać?

Jedwab powziął decyzję.

– Istnieje jeszcze jeden bóg. Życzę sobie, byś zwróciła się właśnie do niego. To potężny bóg,

który zapewne będzie w stanie pomóc zarówno tobie, jak i Orchidei oraz nieszczęsnej Orlicy. Nazywa się Zewnętrzny. Słyszałaś o nim?

Pokręciła głową.

– Poza Pahem, Echidną oraz bogami dni i miesięcy nie znam innych.

– A zatem jutro musisz otworzyć przed nim serce i modlić się żarliwie jak jeszcze nigdy w życiu. Proś go o łaskę dla mnie, powiedz mu, jak rozpaczliwie ty... jak rozpaczliwie cała nasza dzielnica potrzebuje jego pomocy. Jeśli to zrobisz, a twoje modły okażą się szczerze i prawdziwe, słowa, jakie wybierzesz, nie będą miały znaczenia.

– Zewnętrzny? Dobrze.

– A teraz zamierzam cię rozgrzeszyć, zdjąć z ciebie winę, jaką ponosisz za śmierć Orlicy, oraz za wszelkie inne zło, jakie wyrządziłaś. Uklęknij. Nie wolno ci na mnie patrzeć.

Opuszczony manteion zamieniono w niewielki teatr.

– Na *zaplaczu* wciąż jest stare święte okno – wyjaśniła Acalypha. – *Znajduje się* na samym tyle sceny i zawsze zasłaniamy je kotarą. Jest tam, jak sędzę, z pięć kotar. Tak czy owak chodzimy za to święte okno, by się przebrać lub upudrować twarz. Poza tym na podłodze leży wiele węży, a jeszcze więcej zwiesza się z sufitu.

Zdumiony Jedwab zastanawiał się przez chwilę, aż uprzytomnił sobie, że mówiąc o „węzach”, Acalypha ma na myśli święte kable.

– Wnioskuje, że nie jest to *bezpieczne* schronienie. Czy kiedykolwiek komuś coś się tam przytrafiło?

– Jedna szparka spadła ze sceny i złamała sobie rękę. Ale na estradzie panował wówczas wielki ścisk.

– A zatem moc Paha musiała już opuścić ten przybytek. Bardzo dobrze. – Jedwab położył na fotelach worek i tryptyk. – Dziękuję, Acalypho. Jeśli chcesz, możesz już iść do miasta, lecz wolałbym, abyś wzięła udział w egzorcyzmach.

– Jeśli sobie życzysz, patere, zostanę. Ale czy mogę pójść coś zjeść?

– Naturalnie.

Spoglądał przez chwilę za dziewczyną, po czym zamknął wychodzące na dziedziniec drzwi. Gdy wspomniała o jedzeniu, przypomniał sobie smakowite smażone pomidory oraz przeznaczony na obiad ser, który oddał ptakowi. Niewątpliwie Acalypha poszła do sklepu cukierniczego po drugiej stronie ulicy. Wzruszył ramionami i odpychając od siebie wszelką myśl o jedzeniu, otworzył worek.

Niemniej w żółtym domu musiała znajdować się jakaś kuchnia. Jeśli Krew jeszcze nie jadł, może po egzorcyzmach zaprosi go na obiad. Ile czasu upłynęło od chwili, gdy siedział pod figowcem i patrzył, jak maytere Róża zajada świeże bułeczki? Kilka godzin, a on wtedy nierozważnie odmówił

posiłku. Teraz ponosi za to zasłużoną karę.

– Zjem dopiero wtedy, gdy ktoś zaprosi mnie do stołu – mruknął do siebie, wyjmując z worka szklane lampy i niewielką flaszkę z oliwą. – To dopiero zwolni mnie od przysięgi.

Sphigx Mocarna, w twoje ręce składam swe ubóstwo! Wysłuchaj mnie...

Może Orchidea zechce jeszcze raz pomówić z nim o przygotowaniach do uroczystościznaczonych na następny dzień? Sądząc po tuszy (Jedwab skarcił się za tę krzywdzącą myśl), jadała często i suto. Może przyjdzie jej fantazja na miskę winogron lub półmisek naleśników z dżemem brzoskwińowym...

– Jesteś tu, Pleśnio?! – zawołał głównie po to, by odpędzić natrętne dumki o jedzeniu. – Czy mnie słyszysz?

Odpowiedziało mu milczenie.

– Wiem, że to ty. Jak obiecałaś zeszłej nocy, podążasz moim tropem. Dziś rano rozpoznałem cię w twarzy ojca chorej Rzep. Czy to ty piłaś krew jego córki? A dziś po południu ponownie cię ujrzałem w twarzy Orlicy.

Czekał, lecz do uszu dotarło mu tylko echo własnego głosu, odbijające się od gołych, rakplastowych ścian.

– Powiedz coś!

Opuszczony manteion wypełniała ciężka cisza.

– Zeszłej nocy, kiedy siedziałem w ślizgaczu, z tego domu dobiegł krzyk kobiety. Nie był to przypadek. Wraz ze mną pojawił się tu diabeł, a tym diabłem jesteś ty, Pleśnio. Nie rozumiem wprawdzie, w jaki sposób dokonujesz swych sztuczek, ale to ty dręczysz te dziewczęta.

Szklane niebieskie lampy pozawijane były w szmaty. Rozwinął jedną i naraz dostrzegł coś, co prawie wyglądało jak trupia czaszka. Uśmiechnięta Pleśń. Niosąc w każdym ręku lampę, pokuśtykał do estrady, by dokładniej obejrzeć znajdującą się w głębi sceny malowaną brezentową zasłonę, którą Acalypha nazwała kotarą.

Malowidło stanowiło szyderczą parafrazę sławnego obrazu Firletki, przedstawiającego Paha na tronie. Bóg miał dwie głowy; każdą z nich wspierał na jednej ręce. Przed nim kłębił się tłum wiernych oddających się wszelkim perwersjom, o jakich Jedwab słyszał; niektóre były dla niego zupełną nowością. Na oryginalnym obrazie dwa talusy Paha, potężne maszyny o cudownej barwie żółtego masła, wciąż pracowały nad whorlem, siejąc święty, złocisty deszcz za tronem boga. Na zasłonie zaś talusy wyposażone zostały w tarany bojowe o obscenicznym kształcie, a ukwiecone drzewo Paha zastępował gigantyczny penis. Z góry spoglądały na wszystko zaślinione, lubieżne, mroczne oblicza spirytualnego Paha.

Jedwab ostrożnie postawił lampy na skraju sceny i wyciągnął spod tuniki azoth. Chciał na strzępy pociąć to wiszące przed nim obrzydlistwo, lecz jeśli to uczyni, z pewnością zniszczy również

znajdujące się za kotarą święte okno. Tak zatem nacisnął demon i z chirurgiczną precyzją odciął brezent na samej górze. Obmierzłe malowidło runęło z hukiem na ziemię, wzbijając tumany kurzu.

Gdy przed martwym, ciemnym obliczem świętego okna ustawiał tryptyk, pojawił się Krew. Przed opuszczonym świętym oknem znów płonęły lampy wotywnie, ich jasne płomienie strzelały ponad niebieskie kłosze prosto niczym miecze. Z ustawionych w czterech rogach estrady kadzielnic unosiły się wiotkie, jasne kolumny słodko pachnącego dymu.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zainteresował się Krew.

– Co zrobiłem? – odparł pytaniem Jedwab, odwracając twarz w jego stronę.

– Zniszczyłeś dekorację. – Krew wspiął się na scenę po trzech umieszczonych z boku estrady stopniach. – Czy wyobrażasz sobie, ile to malowidło kosztowało?

– Nie. I wcale mnie to nie interesuje. Na moim manteionie zarobisz na czysto trzynaście tysięcy kart. Nie zbiedniejesz, jeśli za drobny ułamek tej kwoty zamówisz nową dekorację. Ale ci to odradzam.

Krew kopnął zwój *leżącego* na ziemi brezentu.

– Malowidło nie przeszkadzało żadnemu z poprzednich egzorcyzów.

– Ich egzorcyzmy nie odniosły najmniejszego skutku. A moje odniosą... – Jedwab umieścił tryptyk między lampami i odwrócił się do Krwi. – Macie tu do czynienia z diabłem. Nie zamierzam wyjaśniać ci teraz, co to za diabeł, ale czy wiesz, w jaki sposób różne miejsca lub ludzie dostają się w moc diablów?

– Paterę, ja w ogóle w diabły nie wierzę. Podobnie jak w twoich bogów.

– Mówisz poważnie? – Jedwab pochylił się i sięgnął po laskę. – Mówiłeś to już wczoraj, a jednak przed twoją willą stoi piękny posąg Scylli.

– Był już tam, kiedy przejmowałem posiadłość. Ale przyznaję, gdyby go nie było, sam bym polecił postawić taki posązek. Jestem wiernym synem Vironu, patero, i lubię, by wszyscy o tym wiedzieli. – Pochylił się i zaczął z uwagą studiować tryptyk. – Który to Pah?

Jedwab wskazał palcem. – Ta trąba powietrzna? Myślałem, że Pah jest starcem o dwóch głowach.

– Każde przedstawienie bóstwa jest ultimatywnym przekłamaniami – wyjaśnił Jedwab. – Być może przekłamaniami dogodnym, nawet pełnym czci, lecz ultimatywnym fałszerstwem. Wielki Pah może przybrać postać starca albo wiru powietrznego, który stanowi jego najstarsze przedstawienie. Żaden wizerunek nie będzie prawdziwszy od pozostałych; najwyżej bardziej adekwatny.

Krew wyprostował się.

– Chciałeś powiedzieć mi o diablach.

– Ale nie powiem, w każdym razie nie teraz. Zajęłoby to za dużo czasu, a i tak byś mi nie uwierzył. Chcę, by w teatrze pojawili się wszyscy mieszkańcy tego domu. Również ty, Piżmo, jeśli zdąży wrócić, Żuraw, Orchidea, Acalypha, łysy jegomość i wszystkie młode kobiety; każdy. Zgromadź ich, a ja w tym czasie dokończę niezbędnych przygotowań.

Krew otarł chustką spoconą twarz.

– Paterę, nie będziesz mi rozkazywać.

– A zatem powiem ci o diabłach. – Jedwab rozpuścił wodze wyobraźni. – Są tu, i już jedna osoba nie żyje. A kiedy raz posmakują krwi, stają się nienasycone. Mogę też dodać, a nie jest to bynajmniej osobliwe, że działają na zasadzie zwykłego werbalnego podobieństwa, wyobrażeń, które dla ciebie lub dla mnie są wieloznacznikami. Jeśli dojdą do wniosku, że krew jest smaczna, to krew Krwi będzie jeszcze lepsza. Pomyśl o tym.

Zaintrygowane kobiety, prowadzone przez Piżmo i łysego, który nazywał się Okoń, pojawiały się po dwie lub po trzy. Niebawem zjawił się też Śliz i Trzcina z manteionu Jedwabia. Oboje byli speszzeni i na widok paterę wyraźnie poczuli się swobodniej. W ostatnim *rzędzie* siedzieli Żuraw i posępna Orchidea o suchych już oczach. Jedwab nie przystąpił do obrzędu, dopóki miejsc nie zajęli Krew, Okoń i Piżmo.

– Pozwólcie, że opowiem...

Jego słowa zatoneły w gwarze czynionym przez rozszechotane kobiety.

– Cisza! – zawołała Orchidea, podnosząc się z miejsca. – Zamknijcie gęby, pieprzniczki!

– Pozwólcie, że opowiem – powtórzył Jedwab – co się tu naprawdę wydarzyło i jaki jest cel naszej ceremonii. Pierwotnie cały whorl znajdował się pod opieką Paha Wielkiego, ojca bogów. W przeciwnym razie w ogóle by nie zaistniał.

Umilkł i z uwagą spoglądał na twarze dwudziestu kilku młodych kobiet. Czuł się tak, jakby w palestrze prowadził lekcję z klasą maytere Mięty.

– Pah Wielki zaplanował każdy szczegół, a następnie pod jego bezpośrednim kierownictwem niewolnicy zbudowali whorl. Tak zatem wytyczyli koryta wszystkich naszych rzek i wykopali głębokie jezioro Limna. Zasadzili najstarsze drzewa oraz wznieśli manteiony, dzięki którym wiemy, że wszystko to powstało z woli Paha. Znajdujecie się w jednym z takich manteionów. Kiedy ukończona została budowa whorla, Pah osobiście pobłogosławił swe dzieło.

Znów zamilkł, policzył w duchu do trzech, jak to często robił, przemawiając z ambony, i poszukiwał wśród twarzy słuchaczy jednej, która nawet w nieznacznym stopniu przypominałaby oblicze szalonej dziewczyny.

– Gdybyście się nawet nie zgadzali z tym, co mówię, proszę, byście w imię dobra naszych egzorcyzmów przyjęli moje słowa na wiarę. Czy jest wśród was ktoś, kto nie potrafi przyjąć tego na wiarę? Niech wstanie.

Popatrzył twardo na Krew, ale ten nawet nie drgnął.

– Bardzo dobrze. Zrozumcie, proszę, że błogosławieństwo i ochronę Paha whorl otrzymał nie tylko jako całość. Otrzymała je także każda jego część.

Czasami, kierując się dobrymi intencjami, Pah niektórym częściom whorla cofa swą ochronę. Może to być drzewo, pole, zwierzę, osoba, a nawet całe miasto. W naszym przypadku jest to ten stary menteion... który stał się częścią waszego domu. Dlatego też łaska Paha odwróciła się od całego budynku.

Wodząc wzrokiem po twarzach zgromadzonych, czekał, aż w pełni dotrze do nich sens tych słów. Wszystkie kobiety Orchidei były młode i ładne, a dwie czy trzy uderzająco piękne; żadna w najmniejszym stopniu nie przypominała Pleśni.

– Możecie zapytać, co to znaczy. Czy znaczy to, że drzewo umiera lub miasto ginie w płomieniach? Nie. Załóżmy, że ktoś ma kota, który gryzie i drapie. W końcu właściciel, rozgniewany, wyrzuca zwierzę na ulicę i zatrzaskuje drzwi. Kot ów, który niegdyś miał pana i opiekuna, nie zdechnie od razu. Ale gdy zaatakują go psy, nikt już nie stanie w jego obronie. Każdy przechodzień będzie mógł bezkarnie cisnąć w niego kamieniem.

Taki sam los spotka ludzi, od których odwraca się Pah. Niektórzy z was, wiem o tym, zostali opętani. Za chwilę poproszę jedną z tych osób, by opisała ów stan.

Ciemnowłosa kobieta siedząca na skraju pierwszego rzędu uśmiechnęła się i choć w jej twarzy zaszła bardzo niewielka zmiana, Jedwab odniósł wrażenie, że dostrzega kryjącą się pod tym obliczem czaszkę. Skonstatował, że ma spocone dłonie, że rzeźbiona rączka łaski jest śliska od potu, a na czole perlą mu się kropelki słonej wilgoci, które lada chwila zaczną spływać mu do oczu. Otarł twarz rękawem sutanny.

– To, co widzicie za moimi plecami, było ongiś świętym oknem. Przez to okno przemawiał do ludzkości bóg Pah. Jak wiecie, przemawiali przez nie również inni bogowie. Naturalnie mają też wiele innych sposobów, by się z nami kontaktować, choćby za pośrednictwem wróżb augurów, lecz nie zmienia to faktu, że podstawowym środkiem takich kontaktów są święte okna. Cóż zatem dziwnego, że skoro pozwoliliśmy, by okno to uległo zniszczeniu, Pah cofnął swe błogosławieństwo? Mówię „my”, ponieważ dotyczy to również mnie; my, każdy mężczyzna i każda niewiasta w Vironie, wyraziliśmy nieme przyzwolenie.

Przygotowując się do tych egzorcyzmów, uczyniłem wszystko, by naprawić wasze okno. Sprawdziłem i oczyściłem złącza, połączyłem na powrót poprzerywane kable oraz dokonałem innych, bardziej skomplikowanych napraw. Jak widzicie, nie udało mi się to w pełni. Wasze okno wciąż pozbawione jest blasku i życia. Pozostaje dla Paha zamknięte i możemy tylko krzepić się nadzieją, że on wynagrodzi naszą dobrą wolę i znów obdarzy ten dom łaską.

Kilka młodych kobiet wykonało w powietrzu znak dodawania.

Jedwab skinął głową z aprobatą i popatrzył ciemnowłosej kobiecie prosto w oczy.

– Teraz przemówię bezpośrednio do diabła, który pojawił się wśród nas, ponieważ wiem, że tu jest i mnie słyszy.

Potężny bóg Zewnętrzny sprawił, że znalazłeś się w mej mocy. Obaj wiemy, że i ty posiadasz okno. Jeśli chcesz, mogę je zamknąć i uwięzić cię w nim na zawsze. Odejdź zatem z tego domu albo spełnię swoją groźbę. – Jedwab uderzył laską w deski sceny. – Zniknij!

Młoda kobieta drgnęła i gwałtownie wciągnęła w płuca powietrze. W jednej chwili zniknął mroczny grymas wykrzywający jej twarz. Zupełnie (pomyślał Jedwab) jakby wcześniej dostała gorączki, a teraz, pod jego wzrokiem, gorączka ta minęła i wraz z nią delirium.

– Powiedziałem już dosyć. Orchideo, zapytałem niedawno Acalypnę, czy zostałaś opętana. Zaprzeczyła. Czy to prawda?

Orchidea skinęła potakująco głową.

– Wstań, proszę, i powiedz to tak głośno, byśmy wszyscy mogli usłyszeć.

Orchidea wstała i odchrząknęła.

– Nie, patere. Nigdy mi się to nie przytrafiło. I wcale tego nie pragnę.

Kilka młodszych kobiet zachichotało.

– Żadnej z was nigdy już się to nie przytrafi. Mogę was o tym z czystym sumieniem zapewnić. Obiecuję. A czy wiesz, Orchideo, które z dziewcząt zostały opętane?

– Fiołek i Rojnik.

Jedwab wyciągnął przed siebie laskę.

– Niech obie wstaną.

Wywołane kobiety bardzo niechętnie podniosły się z miejsc. Fiołek, wyższa od koleżanek, miała gładkie, czarne włosy i błyszczące oczy. Rojnik była chuda i niezbyt urodziwa.

– To nie wszystkie – odezwał się Jedwab. – Wiem, że jeszcze co najmniej jedna z was została opętana. Zwracam się zatem do ciebie. Wstań, choć Orchidea nie wymieniła twego imienia.

Siedzący w ostatnim rzędzie Krew uśmiechnął się pod nosem i trącił Piżma, który odwzajemnił mu uśmiech i nadal czyścił paznokcie czubkiem długiego noża. Kobiety zaczęły rozglądać się po sali, szeptać coś między sobą. Powoli podniosła się z fotela drobna, ciemnowłosa dziewczyna.

– Dziękuję, córko – powiedział Jedwab. – Tak, to ty. Czy diabeł już cię opuścił?

– Chyba tak.

– Też tak myślę. Jak się nazywasz, córko?

– Mak, patere. Tylko że wciąż dziwnie się czuję. – Rozumiem. Mak, podczas rozmowy ze mną

Orchidea wspomniała o tobie... – w ostatniej chwili się opamiętał, by nie wyznać: „... gdyż stanowisz kompletne przeciwieństwo Acalyphy” – ... gdyż jesteś bardzo ładna. Nie wiem, ale może mieć to pewien związek z twoim opętaniem. Do kiedy byłaś opętana?

– Do teraz.

– Mów głośniej, proszę. Nie wszyscy ciebie słyszą.

– Do teraz – powiedziała podniesionym głosem Mak. – Do chwili kiedy kazałeś się diabłu wynieść, patere. – Zaczęła drzeć.

– Jeśli napawa cię to aż tak wielkim lękiem, nie musisz nam nic więcej mówić. Może chcesz usiąść?

– Czułam się jak umarła. Nie dbałam o nic i choć ciałem przebywałam tutaj, duszą znajdowałam się bardzo daleko. Widziałam otaczający mnie świat, lecz oznaczał dla mnie zupełnie coś innego. Nie wiem tego wyjaśnić. Ludzie stali się puści jak nie włożone ubrania; wszyscy z wyjątkiem ciebie.

– A ja miałam we włosach swoje najlepsze szpilki – odezwała się Fiołek. – Wyjęłam jedną i położyłam na umywalce. Nie chciałam tego zrobić, lecz zrobiłam. Wtedy w jakiś sposób wyciągnął się do niej przewód odpływowy i pożarł ją. Wydawało mi się to bardzo śmieszne. Była to śliczna szpilka z turkusową główką.

Jedwab skinął głową i zwrócił się do Rojnika. – A ty?

– Chciałam pofrunąć; i pofrunęłam. Stałam na łóżku, skoczyłam i sama nie wiem jak, ale zaczęłam latać po pokoju. Diabeł uderzył mnie, lecz nie czułam bólu.

– Czy stało się to ostatniej nocy? Jedna z was została opętana zeszłej nocy. Czy to byłaś ty, Rojniku?

Chuda dziewczyna w milczeniu pokiwała głową. – I to ty krzyczałaś? Byłem wtedy w pobliżu, na ulicy Lampy, i usłyszałem czyjś krzyk.

– Krzyczała Orlica. To coś wróciło, a ja zaczęłam rzucać różnymi przedmiotami. Latałam w zeszłym miesiącu.

Jedwab przez chwilę myślał głęboko.

– Dziękuję, Rojniku. Chcę też podziękować Makowi i Fiołkowi. Nigdy jeszcze nie miałem okazji rozmawiać z opętanym. Wszystko, co od was usłyszałem, może okazać się bardzo pomocne.

Pleśń odeszła; nie dostrzegając jej w żadnej z twarzy zgromadzonych w teatrze ludzi. Podczas rozmowy na ulicy Słońca Krew oświadczył mu, że to istoty ludzkie potrafią zawładnąć innymi. Może Krew podejrzewa, że diabłem, który nawiedził ten dom, jest jego córka? Jedwab zdecydował nie dać mu czasu do namysłu.

– Zaśpiewajmy teraz pieśń, którą wykonamy podczas ceremonii. Proszę wstać i wziąć się za ręce. Wszyscy muszą śpiewać, Krew i Piżmo także. Podejdźcie do sceny i weźcie się za ręce.

Większość zebranych nie знаła "Hymnu do każdego boga", lecz Jedwab nauczył ich refrenu oraz trzech pierwszych wersów. Próba wyszła nad podziw dobrze. Okazało się, że Piżmo, który rzadko się odzywał, ma piękny tenor.

– Doskonale! To była próba i za chwilę przystąpimy do ceremonii. Zaczniemy na zewnątrz. Ten pojemnik z farbą i pędzel zostały już pobłogosławione i poświęcone. Pięcioro z was, ale tylko spośród mieszkańców tego domu, weźmie udział w odnowieniu gammadionu na drzwiach prowadzących z ulicy Muzyki. Pozostali będą w tym czasie śpiewać. Wśród wybranej piątki powinny znaleźć się trzy kobiety, które doświadczyły opętania. Później trzykrotnie obejdziemy w procesji dom, a następnie znów spotkamy się w tej sali i wówczas ostatecznie wypędzimy diabła.

Banda uliczników ze zdumieniem gapiła się i wytykała palcami kobiety, z których wiele wciąż jeszcze było w niekompletnym stroju. Na ulicy Muzyki „Hymn do każdego boga” zabrzmiał dużo węższej i ciszej, ale ze dwudziestu zgromadzonych gapiów zdjęło czapki, gdy Krew i Okoń z powagą dźwigali w górę każdą z pięciu wybranych kobiet. Prawie całkowicie zatarty gammadion został przywrócony do dawnej świetności. Kiedy postawiono już pod nim podstawową Unię, Jedwab spalił w wielkiej kadzielnicy pędzel i reszkę farby.

– Nie złożysz ofiary? – zapytała Orchidea. – Poprzedni egzorcyci tak właśnie zrobili.

– Już ją złożyłem, byłąście świadkami – wyjaśnił Jedwab. – Nie każdą ofiarę składa się z żywego zwierzęcia. Gdyby okazało się, że potrzebne są ponowne egzorcyzmy, wtedy złożymy ofiarę ze zwierzęcia, a jego krwią ponownie pomalujemy święty wzór. Czy rozumiesz, dlaczego dokonaliśmy tej ofiary? Ponieważ założyłem, iż diabeł do domu dostał się właśnie przez drzwi z ulicy Muzyki. To jedyne wejście z zewnątrz do sprofanowanego manteionu.

Orchidea niepewnie skinęła głową.

– Dobrze – powiedział z uśmiechem Jedwab. – W drugiej części egzorcyzmu obejdźmy trzykrotnie w uroczystej procesji cały dom. Ja będę czytał z Pisma Chramologicznego stosowne ustępy, a czterech mężczyzn niech utrzymuje porządek. Nie musicie maszerować wojskowym krokiem – dodał podniesionym głosem, by usłyszały go wszystkie kobiety. – Konieczne jest natomiast, byście posuwały się w szeregu jedna za drugą i z uwagą słuchały.

Wyciągnął okulary, wytarł je rękawem sutanny i nałożył na nos. Jedna z kobiet nerwowo zachichotała.

Czy Hiacynt też by się roześmiała, widząc go w małych i zawsze brudnych okularach? Z całą pewnością... mało potrzebowała do śmiechu. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że śmiała się tak, bo była szczęśliwa. On również czuł się dobrze w jej towarzystwie... ale z godnych najwyższego potępienia powodów. Chrząknął i wrócił myślami do emocji, jakie wówczas go ogarniały. Nie, źle to określił, nie czuł się dobrze – był po prostu oczarowany i zachwycony.

Šzczęśliwy Jedwab próbował wyobrazić sobie swą matkę, jak częstuje Hiacynt jasną zielonkawą lemoniadą, którą pijali w najgorętszej porze roku. Sztuka ta zupełnie mu nie wyszła. – „Po pierwsze, diabeł sam sobie zadaje gwałt, gdy staje się ropiejącym wrzodem i rakiem na ciele whorla;

wściekłość na wszystko, co istnieje na whorlu, oddziela go od whorla i jego ostatecznej, półboskiej natury. Po wtóre, diabeł sam sobie zadaje gwałt, gdy odwraca się od dobrego człowieka i kieruje przeciw niemu swą złość”.

Jedwab odważył się *zerknąć* za siebie. Orchidea miała ręce złożone w modlitwie, a pozostałe kobiety kroczyły w idealnym porządku. Niektóre wyraźnie wyteżały słuch, by dosłyszeć jego słowa. Jedwab podniósł głos:

– „Po trzecie, diabeł sam sobie zadaje gwałt, ilekroć nie potrafi oprzeć się pokusie przyjemności zadawania bólu. Po czwarte, kiedy odgrywa swą rolę, czy to postępując, czy mówiąc nieszczerze lub fałszywie. Po piąte, gdy postępuje lub porusza się, zawsze bez celu...”

Byli już w połowie trzeciego i ostatniego okrażenia, gdy nad ich głowami z trzaskiem pękła szyba w oknie, zasypując idącego na końcu długiego szeregu Żurawia deszczem szklanych odłamków.

– Oto uciekł diabeł – zapewnił kobiety Jedwab. – Przestańcie krzyczeć.

Z okna dobiegł dźwięczny i zdecydowany, grzmiący niczym piorun kobiecy głos:

– Przyślijcie do mnie augura!

Wieczera na koszt Alki

Miała najpiękniejszą twarz, jaką Jedwab widział w życiu. Oblicze za szkłem w sellarii Orchidei pozwalało się domyślać niewidocznej cudownej szyi oraz ramion. Uśmiech miała niewinny, przyzywający i zmysłowy zarazem; cechy te razem tworzyły nową jakość, nieznaną, atrakcyjną i przerażającą.

– Obserwowałam cię... Oczekiwałam ciebie. Jedwab? Cóż za piękne imię! Zawsze, zawsze uwielbiałam jedwab. Jedwab. Podejdź do mnie i usiądź. Widzę, że kulejesz. Przysuń krzesło do szkła. Nasze okno było zepsute od dawna, a ty je naprawiłeś.

Jedwab uklęknął i spuścił głowę.

– Usiądź, proszę. Chcę widzieć twoją twarz. Nie oddasz mi czci? Powinieneś spełniać moje życzenia.

– Tak, o wielka bogini – odparł patere i wstał z klęczek.

Z całą pewnością nie była to Echidna; bogini, którą miał przed sobą, jaśniała zbyt wielką urodą i okazywała zbyt wiele łaski. Scylla miała osiem, dziesięć lub dwanaście ramion; ale przecież ramion nie widział. Sphigx... przecież był sphigxdag...

– Usiądź, Jedwabiu. Za tobą stoi niewielkie krzesło. Widzę je. Nasz terminal działa i jestem ci za to bardzo wdzięczna.

Oczy takiego koloru zobaczył po raz pierwszy; ich błękit miał tak głęboki odcień, że wydawały się prawie czarne, choć tak naprawdę wcale nie były ani czarne, ani nawet ciemne.

– Gdybym mogła, objawiłabym ci się osobiście. Niestety, jestem w stanie cię tylko widzieć i słyszeć. Sądzę, że nie ma wystarczającej energii dla promienia. Wciąż nie ma światła. Jestem bardzo rozczarowana. Może zdołałbyś zrobić coś jeszcze?

Niezdolny wykrztusić słowa Jedwab tylko skinął głową. – Dziękuję, wiedziałam, że spróbujesz. Naprawiając jedno, naprawiłeś drugie... Ależ ono jest zakurzone! – Roześmiała się, a jej śmiech zabrzmiał niczym dźwięk odległych dzwoneczków zrobionych z metalu cenniejszego niż złoto. – Czyż to nie zabawne? Udało mi się roztrzaskać szybę w oknie, wydając tylko stosowny ton. Słyszałam cię, jak czytałeś coś na zewnątrz. Kiedy pierwszy raz cię zawołałam, nie usłyszałeś mnie. Sądzę, że mój głos nie dotarł do ciebie. Chciał uciec, ale tylko potrząsnął głową.

– Nie usłyszałam cię, wielka bogini. Wybacz.

– Ale szkła nie mogę wytrzeć. Ty je wytrzyj, Jedwabiu. A wtedy ci wybaczę.

– Jeśli... Moja chusteczka zbrukana jest krwią, wielka bogini. Zapewne...

– Nieważne. Jeśli tylko nie jest to świeża krew, zrób, o co cię proszę.

Jedwab wyciągnął chustkę zaplamioną krwią Orlicy. Był pewny, że za chwilę wybuchnie jasnym płomieniem lub rozplynie się w powietrzu niczym dym.

– Widziałam, jak zabijał tysiące. Głównie mężczyzn. Działo się to na placu. Patrzyłam z balkonu. Kazali im klękać twarzą w jego stronę. Niektórzy wciąż jeszcze klęczeli, choć byli już martwi.

Wydawało mu się największym bluźnierstwem przesuwanie w górę i w dół postrzępioną, zakrwawioną chustką po ślicznej twarzy. To nie Molpe; Molpe ma spadające na twarz włosy. Nie...

– Chciałam zemdleć. Ale on spoglądał na mnie ze swego balkonu, wyższego niż mój. Łopotał nad nim proporzec. Zatrzymałam się wówczas w domu jego przyjaciela. Tylko tyle zdołałam zobaczyć. Ale to już wcale mnie nie dręczy. Czy złożyłeś dziś dla mnie ofiarę? Albo wczoraj? Dużego białego królika lub białego ptaka?

Zdradziły ją zwierzęta ofiarne.

– Nie, Kypris – odparł Jedwab. – To moja wina, ale złożę ci ofiarę najszybciej jak zdołam.

Roześmiała się jeszcze dźwięczniej niż poprzednio.

– Mniejsza o to. Albo niech zrobią to kobiety. Dla ciebie mam inne zadania. Kulejesz. Dlaczego nie usiądziesz? Zrób to dla mnie. Krzesło jest za tobą.

Jedwab skinął głową i głośno przełknął ślinę. W obliczu bogini miał trudności z zebraniem myśli; a widok jej pięknej twarzy wcale sprawy mu nie ułatwiał. Próbował przypomnieć sobie atrybuty Kypris.

– Uszkodziłem sobie nogę w kostce, o wielka Kypris. Zeszłej nocy.

– Wyskakując z okna sypialni pięknej dziewczyny. – Jej uśmiech stał się odrobinę szerszy. – Przypominałeś wielkiego czarnego królika. Nie powinieneś być tego robić. Czy zdajesz sobie z tego sprawę, Jedwabiu? Hia nie zrobiłaby ci krzywdy. Ani tym wielkim mieczem, ani żadną inną bronią. Ona cię polubiła, Jedwabiu. Byłam w niej, więc wiem.

Jedwab zaczerpnął głęboko tchu.

– Musiałem, Kypris Słodka, aby zachować niewinność, dzięki której mogę cię widzieć.

– Ponieważ Echidna pozwala wam widywać nas w świętym oknie. Jak dzieciom.

– Tak, Kypris Słodka. Robi to z wielkiej łaskowości dla nas. – I ja jestem pierwsza, Jedwabiu? Nigdy dotąd nie widziałeś boga?

– Nie, Kypris Słodka. To nie tak. Miałem nadzieję, że zobaczę na starość, jak patere Płetwa. I właśnie wczoraj na boisku... I zeszłej nocy. Wszedłem bez pukania do przebieralni tamtej kobiety i ujrzałem w jej szkle kolory przypominające święte odcienie. Nie widziałem boga, lecz mówiono nam... że musimy przypomnieć sobie charakterystyki i recytować je z pamięci. – Jedwab umilkł dla zaczerpnięcia tchu. – Sądziłem... od czasu jak w scholi zacząłem używać szkła, sądziłem, że bogowie również mogą używać szkieł. Czy mogę o tym opowiedzieć wszystkim w scholi?

Kypris przez chwilę milczała, na twarzy pojawił się jej wyraz namysłu.

– Nie sędzę... Nie, nie mów nikomu, Jedwabiu. Paterę, nie wstając z krzesła, nisko się skłonił.

– Byłam tam zeszłej nocy. Tak, to prawda. Ale nie dla ciebie. Czasami zabawiam się z Hia. Kiedyś byłam taka jak ona. Ma dwadzieścia trzy lata. A ty, Jedwabiu? Ile ty Uczysz lat?

– Też dwadzieścia trzy, Kypris Słodka.

– No proszę. Sam widzisz. Natchnęła cię. Wiem o tym. – Wykonała prawie niedostrzegalny ruch głową. – Wszystko przez tę abstynencję! A teraz ujrzales boginię. Mnie. Było to tego warte?

– Tak, Kypris Miłująca.

Znów wybuchnęła radosnym śmiechem.

– Dlaczego?

Pytanie długo wisiało w powietrzu rozprażonej słońcem sellarii, a Jedwab próbował się otrząsnąć z dziwnego oszołomienia. W końcu odezwał się niepewnym głosem:

– Kypris, my bardziej przypominamy zwierzęta. Jemy i rozmnażamy się; później wychowujemy potomstwo i umieramy. Najskromniejszy udział w wyższej egzystencji wart jest każdej ofiary.

Czekał, ale bogini milczała.

– To, czego żąda od nas Echidna, wcale nie jest wielką ofiarą; nawet dla mężczyzn. Zawsze myślałem o tym jak o znaku, niewielkiej ofierze, która pokaże jej... pokaże wam wszystkim... że potrafimy być poważni i odpowiedzialni. Oszczędzamy sobie wielu awantur i upokorzeń, a ponieważ nie mamy dzieci, wszystkie dzieci są nasze.

Malujący się na jej pięknej twarzy uśmiech zgasł. Zastąpił go tak bezbrzeżny smutek, że Jedwabiowi ścisnęło się serce.

– Nigdy już nie porozmawiamy, Jedwabiu. A w każdym razie nieprędko. Nie, wkrótce. Jestem poszukiwana...

Jej nieskazitelna twarz zniknęła, zastąpiły ją ruchliwe barwne plamy.

Jedwab wstał. Mimo panującego w pokoju upału, w przemoczonyj potem tunice i sutannie było mu zimno. Bezmyślnie popatrzył na rozbitą szybę; w trakcie rozmowy z Orchideą otworzył to okno. Zapewne bogowie – sama Kypris – natchnęli go, by otworzył okno na oścież, lecz Orchidea zamknęła je po jego wyjściu.

Drżał, czuł się jak wyrwany z głębokiego snu.

W pustym domu panowała okropna cisza i Jedwab mgliście uprzytomnił sobie, że nawiedzone domy są najcichsze wtedy, gdy chodzą po nich duchy. Wszyscy byli na ulicy Lampy, gdzie ich zostawił, a on nie miał im nic do powiedzenia.

Wyobraził sobie, jak mieszkanki żółtego domu stoją w długim rzędzie i milczą. Ile zdołały usłyszeć przez okno? Najprawdopodobniej nic.

Chciał skakać i krzyczeć, chciał wyrzucić przez okno pucharek Orchidei napełniony brandy, miał ochotę roztrzaskać nim puste szkło. Zamiast tego uklęknął, nakreślił znak dodawania i podpierając się laską, ciężko dźwignął się z podłogi.

Krew koniecznie chciał wiedzieć, kto go przywołał, lecz Jedwab tylko odmownie pokręcił głową.

– Nie powiesz?

– Nie wierzysz ani w bogów, ani w diabły. Po co więc mam mówić ci o czymś, z czego jedynie kpisz?

– To nie był diabeł! – oznajmiła donośnie kobieta o włosach tak bardzo rozjaśnionych, że przybrały żółty kolor czupryny Jedwabia.

– Milcz! – zbeształ ją Jedwab. – Zresztą i tak niczego nie słyszałaś.

– Piżmo i Okoń twierdzą, że sprowadzili na egzorcyzmy wszystkie mieszkające w żółtym domu kobiety – odezwał się Krew. – Jeśli którąś przeoczyli, chcę o tym wiedzieć. – Odwrócił się do Orchidei. – Ty znasz wszystkie swoje dziewczęta. Czy brakuje którejś?

– Są wszystkie oprócz Orlicy – odrzekła z kamienną twarzą. Piżmo popatrzył na Jedwabia morderczym wzrokiem. Jedwab oddał mu harde spojrzenie i odwrócił głowę.

– Nie dokończyliśmy trzeciego okrążenia – odezwał się gromkim głosem. – Musimy dojść do końca. Proszę wracać na miejsca. – Dotknął ramienia Krwi. – Ty też wracaj do szeregu.

Orchidea trzymała Pismo; palcem zaznaczała stronę, na której skończył *czytać*. Otworzył ciężką księgę, ruszył miarowym krokiem i podjął lekturę, co krok to słowo, zgodnie z rytuałem.

– „Człowiek sam tworzy warunki niezbędne do postępu, walcząc z przeciwnościami, ale i ulegając zwierzęcym popędom. Jednak jego natura, doświadczenia ducha i potrzeby materialne wcale tego nie wymagają. Jego udręka zależy wyłącznie od niego samego; a skutki tej udręki zawsze są straszne. Rozważcie to”.

Słowa nic nie znaczyły; nad wszystkim dominowała nadludzko piękna twarz Kypris. Jedwab odnosił wrażenie, że bogini stanowi jedno z Zewnętrznych, który przemawiał tyłoma głosami, teraz przemówił za jej pośrednictwem. Zewnętrzny zastrzegł się, że nie udzieli mu żadnej pomocy; Jedwab od tamtej nieskończonej długiej chwili na boisku nieustannie to sobie przypominał. A jednak odnosił wrażenie, że otrzymał pomoc. I otrzyma jeszcze większą. Ręce mu się trzęsły, głos łamał się jak dorastającemu chłopcu.

– „... to jedynie ambicje i aspiracje intelektualne narzucane nam przez whorl”.

Dotarł do drzwi opuszczonego manteionu, na którym lśnił krzyż próżniowy Pana, świeży i lśniący czarną farbą, która jeszcze nie wyschła. Z trzaskiem zamknął Pismo i otworzył drzwi. Utykając,

wkroczył do środka, po czym po schodkach wszedł na scenę, na której ongiś mieściło się sanktuarium.

– Siadajcie, proszę. Nieistotne kto przy kim, bo to już nie zajmie nam dużo czasu. Prawie skończyliśmy.

Wsparty na lasce czekał, aż wszyscy pozajmują miejsca.

– Za chwilę przegnam diabła precz. Widzę, że ostatnia osoba w procesji, chyba Okoń, zamknęła drzwi. Ale w tej części ceremonii drzwi powinny pozostać otwarte. – Usłużna pamięć podsunęła mu imię kobiety. – Rojniku, ty siedzisz najbliżej wyjścia. Proszę, otwórz drzwi... Dziękuję. A ponieważ należysz do osób, które zostały opętane, od ciebie zaczniemy ostatni akt egzorcyzmu. Czy masz dobrą pamięć? Rojnik potrząsnęła odmownie głową.

– A kto ma dobrą pamięć?

– Ja, patere – zgłosiła się Acalypha, wstając z miejsca. – Mam bardzo dobrą pamięć, a od zeszłej nocy nie brałam do ust nawet kropli brandy.

Jedwab zawahał się.

– Proszę! – przynagliła go.

Z wolna pokiwał głową. Czekał ich bardzo ważny akt i teraz tylko krzepił się nadzieją, że Acalypha sprostą zadaniu.

– Oto formuła, której musimy użyć: „W imię wszystkich bogów, odejdz i nie wracaj”. Powtórz.

– W imię wszystkich bogów, odejdz i nie wracaj.

– Bardzo dobrze. Mam nadzieję, że wszyscy cię wyraźnie usłyszeli. Kiedy skończę, dam ci znak. Wtedy bardzo wyraźnie wymówisz swe imię, po czym wypowiesz formułę... „W imię wszystkich bogów, odejdz i nie wracaj”. Następnie wskażę kolejną osobę, kobietę obok ciebie, a ona też wymówi swoje imię i wyrecytuje formułę. Czy wszyscy zrozumieli?

Przyjrzał się każdej z twarzy. Nie dostrzegł śladu Pleśni.

– Bardzo dobrze.

Z dużym wysiłkiem wyprężył się jak struna.

– Jeśli w tym domu jest coś, co nie przybyło tu w imię bogów, niech odejdzie. Mówię w imieniu Paha Wielkiego, Sphigx Mocarnej, Scylli Parzącej... – Imiona te były jedynie słowami, pustymi i daremnymi jak westchnięcia gorącego wiatru, który od wiosny sporadycznie nawiedzał miasto, a on nie był w stanie wymówić imienia Echidny. – W imieniu Zewnętrznego i Kypris Słodkiej, ja, Jedwab, mówię: W imię wszystkich bogów, odejdz i nie wracaj.

Wskazał palcem kobietę o włosach barwy malin, a ona odezwała się głośno:

– Acalypha. W imię wszystkich bogów, odejdz i nie wracaj.

– Wilczomlec. W imię wszystkich bogów, odejdz i nie wracaj.

I zaraz pewnym, czystym głosem mówiła Orchidea. Jeszcze później donośnie wypowiedział swą kwestie Krew; Jedwab doszedł do wniosku, że ten człowiek ma wielki talent aktorski. Piżma prawie wcale nie było słychać. Jedwab nie mógł oprzeć *się* wrażemu, że przystojny młodzieniec raczej przyzywa diabły, niż je odpędza.

Stojąc na najwyższym z trzech stopni prowadzących na scenę, wskazał palcem Okonia, który wyjąkał swe imię, po czym wymamrotał słowa formuły.

Jedwab, mimo bólu w stopie, spieszenie zszedł po schodkach.

Jako ostatni mówił lekarz.

– Żuraw. W imię wszystkich bogów, odejdz i nie wracaj. A teraz...

Jedwab zatrzasnął drzwi prowadzące na ulicę Muzyki i zasunął rygiel.

– ... muszę iść. I tak już jestem spóźniony. Nie forsuj chorej nogi.

– Do widzenia – odparł Jedwab. – Dziękuję za podwiezienie i opiekę lekarską. – Podniósł głos, zwracając się do pozostałych uczestników egzorcyzmów. – Możecie wracać do swoich zajęć. Ceremonia skończona.

Nieoczekiwanie opadło go zmęczenie. Usiadł ciężko na drugim schodku i zdjął z nogi owijacz. W sali zapanował wielki gwar, wszystkie kobiety zaczęły mówić jednocześnie. Uderzył opatrunkiem o matowe czerwone kafelki, którymi wyłożona była posadzka, a potem, przypominając sobie, jak robił to Żuraw, z całych sił wyrzucił opatrunkiem o ścianę.

Rozgadane niewiasty wyszły wreszcie na dziedziniec i w teatrze zapadła martwa cisza. Gdy już założył owijacz i podniósł głowę, ujrzał przed sobą Piżma. Młodzieniec przyglądał mu się w milczeniu.

– Słucham cię, synu. O co chodzi?

– Czy widziałeś, jak sokół zabija królika?

– Nigdy. Całe dzieciństwo, z wyjątkiem jednego roku, spędziłem w mieście. Czy chcesz ze mną o czymś porozmawiać?

– Chciałbym pokazać ci, jak sokół zabija królika.

– Doskonale. Chętnie zobaczę.

Jedwab z trudem dźwignął się na nogi. Dosłownie znikąd pojawił się nóż o długim ostrzu; zupełnie jakby w dłoń Piżma wsunął go sam Pah i zadał cios. Piersz Jedwabia przeszył straszliwy ból. Augur zachwiał się, całym ciężarem ciała wsparł na lasce, zaczepił nogą o schodki i upadł.

Kiedy wreszcie był w stanie dźwignąć się z ziemi, Piżma nie było. Jedwab ścisnął w rękę azoth, choć nie pamiętał wcale, by go wyciągał. Chwilę gapił się na broń w osłupieniu, upuścił azoth, który z donośnym brzękiem upadł na posadzkę, i rozchylił sutannę.

Tunika była cała i nie poplamiona krwią. Podciągnął ją i dotknął zaognionej, bolącej piersi. Pojawiła się kropelka krwi, która szybko spłynęła po skórze.

Opuścił tunikę, podniósł azoth. Tak, to wcale nie był cud. Piżmo po prostu ruchem zbyt szybkim, by dostrzegło go ludzkie oko, odwrócił nóż i uderzył ostrą gałką rękojeści.

A on, patere Jedwab, nieświadomie wyrwał azoth i chciał zabić. Nawet nie podejrzewał, że jest tak skory do popełnienia morderstwa. Musiał lepiej panować nad swymi odruchami; zwłaszcza w stosunku do Piżma.

Kamień, dotąd bezbarwny, odbił promień słońca wpadający przez boską bramę w dachu i zaśnił jasnozieloną barwą. Jedwabowi przypomniały się jej oczy. Przyłożył kamień do ust. Głowę miał pełną myśli, których powinien się wstydić.

Postanowił oszczędzać nogę. Począł, aż Trzcina skończy myć i odziewać zwłoki, a wtedy zabrał się furgonem Śliza do manteionu.

Potrzebowali trumny i lodu. Lód był wprawdzie niezwykle drogi, lecz skoro Orchidea zapłaciła sto kart, jej córce należał się ten luksus. Płaczki wynajmie się tanio. Z drugiej strony...

Wóz Śliza gwałtownie się zatrzymał i Jedwab ze zdziwieniem ujrzał zwietrzałą fasadę własnego manteionu.

– Czy położymy ją na ołtarzu, patere? – zapytał Śliz.

Jedwab skinął głową. Tak robili zawsze.

– Pozwól, że pomogę ci zsiąść z wozu, patere – powiedział Śliz. – Jeśli zaś chodzi o moją zapłatę...

Urząd Skarbu był naturalnie nieczynny. Miał być zamknięty również następnego dnia, w scyldag.

– Zajrzyj do mnie jutro po ofierze – odparł Jedwab. – Albo nie, dopiero pojutrze, w molpdag.

Handlarz lodu zapewne zrealizowałby czek Orchidei, ale nie można było na tym polegać.

Z manteionu wyszedł Alka, pomachał ręką i zamknął za sobą drzwi. Na jego widok Jedwab zapomniał o swych kalkulacjach.

– Przepraszam za spóźnienie! – zawołał. – Wypadła mi śmierć.

Na topornej twarzy Alki pojawił się wyraz troski.

– Jakiś znajomy, patere?

– Nie. Nie znałem jej.

Alka uśmiechnęła się. Pomógł Ślizowi wnieść owinięte całunem ciało Orlicy do manteionu, gdzie na katafalku czekała już prosta, ale solidna trumna.

Z cienia wynurzyła się maytere Marmur. Jej srebrzysta twarz upiornie majaczyła w półmroku.

– Wszystkim się zajęłam, patere. Przysłany przez ciebie człowiek oświadczył, że mamy obstalować trumnę. Jeśli ta będzie nieodpowiednia, przyniosą inną.

– Potrzebujemy lepszej. – Jedwab sięgnął do kieszeni po czek Orchidei. – Weź to, proszę. Jest na okaziciela. Kup lodu i postaraj się, by zrealizowali ci ten czek. Nie zapomnij o kwiatach. I jeśli nie jest jeszcze za późno, zajmij się grobem.

Maytere Marmur zerknęła na czek i delikatnym, lecz gwałtownym i nieskoordynowanym gestem okazała ogromne zdumienie.

– Tak, nie mylą cię oczy – powiedział Jedwab. – To bardzo duża kwota. Zwierzęta ofiarne kupię jutro osobiście. Białą jałówkę, jeśli taką znajdę, i królika dla Kypris. I jeszcze kilka stworzeń. Czarne jagnię i czarnego koguta dla Tartarosa; ślubowałam to zeszłej nocy. Ale lód musimy mieć dzisiaj i będę ci niezmiernie zobowiązany, maytere, jeśli się tym zajmiesz.

– Dla Kypris... ? Dobrze, patere, spróbuję.

Spiesznie odeszła, jej szybkie kroki zabrzmiały niczym warkot oddalającego się werbla. Jedwab potrząsnął głową i rozejrzał się za Ślizem. Woźnica zdążył już niepostrzeżenie się oddalić.

– Jeśli tylko w Vironie został jeszcze jakiś lód, to ona go znajdzie – odezwał się Alka. – Czy ciebie również uczyła, patere?

– Nie. Bardzo tego żałuję. Chciałbym, aby uczyła mnie ona i maytere Mięta. Zapomniałem ją poprosić, by przy okazji zamówiła płaczki. Nieważne, zrobię to jutro. Możemy porozmawiać tutaj, Alko, czy wolisz przejść na plebanię?

– Jesteś już po kolacji, patere? Miałem nadzieję, że zjesz ze mną i w trakcie posiłku opowiesz mi o wydarzeniach ostatniej nocy.

– Obawiam się, że nie stać mnie na zapłacenie rachunku.

– Paterę, to ja ciebie zapraszam. Nawet gdybyś chciał uregulować rachunek, nie wyraziłbym zgody. Ale posłuchaj. – Zniżył głos do szeptu. – Jestem w to tak samo zamieszany jak ty. Pomogłem ci i mam prawo o wszystkim wiedzieć.

– Naturalnie, naturalnie. – Jedwab ciężko usiadł na stojącym obok katafalku krześle. – Ty też usiądź, proszę. Boli mnie noga. Opowiem ci wszystko, co wiem. Prawdę mówiąc, muszę o tym komuś opowiedzieć; o wydarzeniach tej nocy i o kilku innych sprawach. O wszystkim, co spotkało mnie dzisiaj. Z największą przyjemnością przyjąłbym twoje zaproszenie. Polubiłem cię, jestem głodny jak wilk, lecz nie mogę daleko chodzić. Będę wdzięczny, jeśli przełożymy tę kolację na inny termin.

– Nie musimy wcale drałować na piechotę aż do Orilli. Na twojej ulicy, tuż za rogiem, jest bardzo miły lokal. Podają tam delikatną i soczystą pieczeń. – Pokazał w uśmiechu kwadratowe żółte zęby, którymi swobodnie mógłby człowiekowi odgryźć rękę w nadgarstku. – Zamierzam głodnemu augurowi zafundować najlepszą kolację w tej części miasta. Czyż nie będzie to dobry uczynek?

– Niewątpliwie. Niemniej musisz wziąć pod uwagę, że augur może wcale na to nie zasługuje.

– Zapamiętam to sobie. – Alka podszedł do trumny i odchylił całun. – Kto to jest?

– Córka Orchidei, Orlica. Jestem pewien, że ją znałeś.

– Córka Orchidei? – Alka zakrył zwłoki całunem i ujął Jedwabia za łokieć. – Chodźmy, patere. Jeśli się nie pośpieszymy, przyjdzie nam jeść w jakiejś podłej garkuchni.

Piżmo wypatrzył swego orła, zanim jeszcze wysiadł ze ślizgacza. Ptak siedział na rozdartej sośnie; ciemna sylwetka na tle coraz lepiej widocznych krain niebios.

Młody rządcą Krwi wiedział, że orzeł wrócił do swego karmnika. Bystrooki ptak z odległości połowy mili lepiej widział karmnik niż Piżmo własną dłoń wyciągniętą na długość ramienia. Stworzenie z całą pewnością było głodne; orzeł, podobnie jak raróg (przypomniawszy sobie Piżmo), najpierw uczy się latać, a dopiero później polować. Najwyraźniej nie odleciał na dobre w pogoni za zbłąkanymi jagniętami, lecz Piżmo martwił się, że ptak może to zrobić następnego dnia.

Podjechał na tyły willi. Mięso, które rano umieścił w karmniku, prawie zupełnie wyschło i grubą warstwą obsiadły je muchy. Sięgnął po wabik i worek z łuszczoną kukurydzą.

Umieszczony na lince o długości pięciu łokci wabik zaświszczał w powietrzu, kiedy Piżmo zakręcił nim nad głową. – Ho, ha!

Wydawało mu się, że słyszy delikatny dźwięk dzwoneczków, ale było to *przecież* niemożliwe. Rozrzucił kukurydzę pod ścianą, po czym wrócił do karmnika i znów zakręcił ze świstem wabikiem. Czekał. Było już późno; może nawet za późno. Niebawem nastanie zmrok, a ptak po ciemku nie będzie latać.

– Ho, ha! Ho, ha!

Siedzący na uschniętej sośnie ptak nawet nie drgnął. Za to tłusty brązowy tkacz przysiadł na żółkłej od upałów trawie pod murem i zaczął dziobać kukurydzę.

Piżmo odłożył wabik, przykucnął, kolbę igłowca ujął w obie dłonie, lewym łokciem objął lewe kolano. Był to daleki i w zapadającym zmroku bardzo trudny strzał.

Tkacz upadł, zatrzepotał skrzydłami, na chwilę wzbił się w powietrze, grzmotnął z impetem w mur i znów upadł. Zanim ponownie rozpostarł skrzydła do lotu, został trafiony drugi raz. Piżmo wrócił do karmnika, poluzował pętlę na końcu wabika i czerwono-biała przynęta spadła na ziemię. Zacisnął pętlę na prawej nodze tkacza i zakręcił nim nad głową, pryskając wokół deszczem prawie niewidocznych kropelek krwi.

– Ho, ha!

Ptaka rozłożył ogromne skrzydła. Przez chwilę Piżmo, obserwując orła i kręcąc w powietrzu zdychającym tkaczem wielkie koła, czuł się opętany przez ptaka.

Zmieniał się w ogromnego orła; był szczęśliwy.

– Paterę, czy zauważyłeś, co napisali na tej ścianie? – Alka usiadł na krześle, z którego mógł obserwować drzwi. – To robota szprotów z twojej palestry, jak masz zwyczaj ich nazywać. Porozmawiaj z nimi, mogą z tego wyniknąć poważne kłopoty.

– Nie mogę brać odpowiedzialności za każdego chłopca, któremu w rękę wpadnie kawałek kredy.

Mimo że lokal znajdował się prawie w zasięgu wzroku od manteionu, Jedwabowi zdawało się, że droga do niego trwała w nieskończoność. Usiadł w obszernym fotelu, który usłudźnie podsunął mu gospodarz, i rozejrzał się po pobielonych wapnem ścianach z rakplastu. Prywatna loża okazała się mniejsza nawet od jego pokoiku na plebanii i było w niej ciasno, mimo że kelner wyniósł dwa zbędne krzesła.

– Ściany są grube i solidne – oświadczył Alka, odpowiadając na nie zadane przez Jedwabia pytanie. – Tak samo drzwi. W dawnych czasach mieściła się tu Alambra. Na co masz ochotę?

Jedwab uważnie przestudiował zapisaną tabliczkę.

– Zamówię kotlety siekane.

Kotlety, kosztujące osiemnaście bitkart, okazały się najtańszą potrawą w karcie, a i tak przed Jedwabiem rysowała się perspektywa najobfitszego posiłku w tym tygodniu.

– Jak przedostałeś się przez mur? – zapytał Alka, gdy oddalił się już gospodarz lokalu. – Miałeś jakieś trudności?

Jedwab zdał mu szczegółową relację z nocnej wyprawy, zaczynając od tego, jak przeciął linę na ostrym szpikulcu, a kończąc na nocnym powrocie do miasta ślizgaczem Krwi. Gdy pojawił się kelner z zamówionymi daniami, Alka rżał ze śmiechu. Później jednak, kiedy Jedwab opowiadał mu o spotkaniu z właścicielem willi, spoważniał.

– Nic o mnie nie wspomniałeś? – jeszcze raz upewnił się Alka.

Jedwab przełknął kawałek smakowitego kotleta.

– Nie. Ale jak ci mówiłem, postąpiłem bardzo lekkomyślnie, próbując skontaktować się z tobą za pośrednictwem szkła w buduarze Hia.

– Zapewne nikt nigdy się o tym nie dowie – mruknął Alka i w zamyśleniu podrapał się po brodzie. – Monitory szybko tracą namiar.

– Jakieś prawdopodobieństwo jednak istnieje. Musisz być teraz czujny.

– Nie tak jak ty, patere. Jeśli sprawa się wyda, Krew będzie ciekaw, o czym chciałeś ze mną rozmawiać, a ponieważ nie rozmawiałeś, ode mnie tego nie wyciągnie. W razie czego co mu powiesz?

– Prawdę.

Alka odłożył widelec.

– Że ci pomogłem?

– Że martwiłeś się o moje bezpieczeństwo. Odradzałeś mi nocną wyprawę, więc chciałem cię tylko powiadomić, że nie przytrafiło mi się nic złego.

Jedwab wrócił do jedzenia, a Alka długą chwilę rozważał jego słowa – Jeśli Krew uważa, że jesteś trochę niespełna rozumu, patere, takie wytłumaczenie może przejść.

– Nie, jeśli uważa mnie za wystarczająco uczciwego. Najłatwiej przekonać kogoś o swej uczciwości, będąc uczciwym. Takie jest moje zdanie. I staram się być uczciwy.

– A jednocześnie zamierzasz zrabować dla niego dwadzieścia sześć tysięcy kart.

– Skoro jestem zmuszony ratować nasz manteion, a nie istnieje inny sposób, wybieram mniejsze zło, tak jak uczyniłem to zeszłej nocy. Zrobię wszystko, by nikomu nie wyrządzić krzywdy, a pieniądze będę zabierać jedynie tym, których stać na stratę.

– Pieniądze te trafią w ręce Krwi, a wtedy on będzie śmiać się z ciebie w kułak.

– Nie oddam mu ich, dopóki nie dostanę pełnych gwarancji. Ale jeszcze o czymś nie wiesz. Czy wspominałem, że Krew poprosił mnie, bym przeprowadził egzorcyzmy w żółtym domu?

– W domu Orchidei? Tam gdzie mieszkała Orlica? Nie wiedziałem, że jest córką Orchidei.

Pośrodku stołu leżało masło i miękki, świeży chleb. Jedwab sięgnął po kromkę i posmarował ją, marząc w duchu, by mógł zabrać ze sobą na plebanię cały bochenek.

– O tym też chcę ci opowiedzieć. I o Orlicy, która w chwili śmierci była opętana.

Alka chrząknął.

– To twoja działka, patere, nie moja.

– Opętanie? Tam już nie ma diabłów. Kiedyś większość augurów wierzyła w ich istnienie, jak na przykład patere Płetwa. Teraz zapewne ja jedyny spośród augurów w nie wierzę; a i to nie jestem do końca przekonany, czy wierzę w ich istnienie w takim sensie, w jakim wierzył on – że są duchami, które bez pozwolenia Paha wkradają się do whorla i próbują go zniszczyć.

– A co z Orlicą? Czy naprawdę była córką Orchidei?

– Tak. Orchidea przyznała się do tego. Opowiedz mi o Orlicy.

– Śliczna dziewczyna – odparł z wahaniem Alka. – Wolałbym nie rozmawiać z tobą na ten temat. Była świetna, gdyż nie obchodziło ją, co robi ani co o niej myślą inni. Zarabiałaby dużo więcej, gdyby okazywała ludziom więcej szacunku.

Jedwab przeżuł kawałek mięsa i przełknął.

– Rozumiem. Pytam, bo interesują mnie ludzkie charaktery. Czy jakiś określony typ człowieka jest bardziej podatny na opętanie? Nigdy nie spotkałem Orlicy żywej. Rozmawiałem z jej matką, kiedy usłyszeliśmy krzyk. Wybiegliśmy na dziedziniec. Dziewczyna leżała martwa na schodach. Zasztyletowana. Ktoś zasugerował, że zabiła się sama. Jej twarz... Czy widziałeś kiedyś osoby opętanej?

Alka w milczeniu pokręcił głową.

– Ja do dzisiejszego dnia też nie. – Jedwab wytarł usta papierową serwetką. – Wprawdzie była martwa, ale w jej twarzy zobaczyłem coś dziwnego, coś przerażającego, a jednocześnie kogoś mi przypominała. Początkowo nie zwróciłem na to uwagi. Później jednak dotarło do mnie, że niezwykle przypominała Orchidee, kobietę, z którą rozmawiałem wcześniej. Gdy spytałem o to Orchidee, przyznała, że Orlica była jej córką.

– Szkoda, że sam się tego nie domyśliłem – mruknął Alka. – Ale myśl taka nawet nie przyszła mi do głowy. Orlica była dużo młodsza.

Jedwab wzruszył ramionami.

– Jestem pewien, że kobiety znasz dużo lepiej niż ja. Może właśnie dlatego, że tak niewiele o nich wiem, zdołałem tyle dostrzec. Ale zmierzam do tego, że nawet ów przerażający element w jej twarzy był mi znajomy.

– Ciekawe. – Alka ponownie napełnił kieliszek winem. – Mów dalej.

– Obawiam się, że mi nie uwierzysz. Orlica przypominała mi kogoś, z kim całkiem niedawno rozmawiałem. Pleśń, szaloną dziewczynę mieszkającą w willi Krwi.

Alka odłożył widelec z nietkniętym kawałkiem parującej wołowiny.

– Twierdzisz, patere, że obie opętał ten sam diabeł?

– Nie wiem, ale czułem, że powinienem ci o tym powiedzieć. Uważam, że Pleśń w postaci ducha poszła moim tropem. I zaczynam dochodzić do wniosku, że w jakiś sposób potrafi zawładnąć innymi, tak jak robią to czasami diabły lub bogowie. Pleśń dostrzegłem też w twarzy pewnego poczciwego robotnika. Myślę, że w chwili śmierci Orlica była przez nią opętana. Później rozpoznałem Pleśń w twarzy jeszcze innej kobiety.

Jeśli ona rzeczywiście potrafi ludzi opętać i jeśli podąża moim śladem, mocno ryzykujesz, siedząc ze mną przy jednym stole. Jestem ci głęboko wdzięczny za kolację i jeszcze bardziej wdzięczny za pomoc, jakiej mi udzieliłeś. Chcę zadać ci jeszcze kilka pytań. Jeśli mi odpowiesz, zaciągnę u ciebie ogromny dług. Byłem zapewne zbyt zmęczony i zbyt głodny, by wcześniej dostrzec

niebezpieczeństwo, na jakie cię narażam. Teraz jednak, kiedy już doszedłem do siebie, ostrzegam: Przebywając w moim towarzystwie, ty również możesz zostać opętany. Alka tylko się roześmiała.

– Jesteś augurem, patere. Czy jeśli zawładnie mną, gdy siedzę z tobą przy jednym stoliku, zdołasz ją przepędzić?

– Spróbowałbym. Nie odchodzisz?

– To nie w moim stylu. Chyba zamówię następną porcję mięsa w cieście z odrobiną tego pysznego sosu.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że nie pożałujesz swej decyzji. Ale nie powiedziałeś jeszcze, co sądzisz o moich wyczynach zeszłej nocy. Nie obawiaj się, że mnie obrazisz. Nie możesz być już dla mnie bardziej surowy, niż ja okazałem się dla samego siebie.

– No cóż, powiem, co myślę. – Alka pociągnął łyk wina. – Po pierwsze, moim zdaniem, zanim zdobędziesz nawet tysiąc kart, zmusz Krew, aby przepisał manteion na ciebie. Dopiero wtedy mu wybul. Nie potrafię wymyślić innej gwarancji, tylko dokument podpisany w obecności kilku przyzwoitych gości nie mających nic wspólnego z Krwią.

– Tak, masz rację. Myślałem o tym samym.

– Zrób tak. Nie ufaj mu, choćby był z tobą nie wiem jak szczery i otwarty.

– Będę uważał.

Kotlety wręcz pływały w pikantnym, prawie czarnym sosie, który Jedwab uznał za niewiarygodnie smakowity. Zanurzył w nim kolejną kromkę chleba.

– Poza tym sądzę, że znalazłeś wreszcie swe powołanie. – Alka wyszczerzył zęby. – Sam bym lepiej tego nie zrobił, a był to twój debiut. Za dziesiątym razem na kolanach będę cię prosić, byś zabrał mnie ze sobą i pokazał, jak to robisz.

Jedwab ciężko westchnął.

– Mam nadzieję, że dla dobra nas obu dziesiątego razu nie będzie.

– Ależ z pewnością będzie. Jesteś godnym synem Tartarosa, tyle że jeszcze o tym nie wiesz. Ciekawe, czy za trzecim czy czwartym razem wciąż będziesz potrzebował moich rad i pomocy. Chcesz dziś w nocy wrócić do Krwi, by odzyskać swój toporek?

Jedwab z ponurą miną pokręcił głową.

– Dopóki nie zrośnie mi *się* noga, nie mogę chodzić po dachach. Czy pamiętasz, jak mówiłem ci o igłowcu Hia?

– Jasne. I o azothcie. Dobry azoth możesz puścić za dwa tysiące kart, patere. Nawet za więcej. Jeśli zechcesz sprzedać swój, skieruję cię do kogoś, kto da dobrą cenę.

– Nie mogę go sprzedać, bo nie należy do mnie. Hiacynt tylko mi go pożyczyła. Jak już ci mówiłem, obiecałem, że gdy przestanie mi być potrzebny, niezwłocznie go zwrócę. Czuję, że gdybym jej wcześniej o tym nie zapewnił, nie przysłałaby mi broni przez Żurawia.

Alka nic nie odpowiedział, a Jedwab podjął przygnębionym tonem:

– Gdyby udało mi się zdobyć dwa tysiące kart, stanowiłoby to już godną zaliczkę na poczet dwudziestu sześciu tysięcy. Ponad pięć procent. Będziesz się ze mnie śmiał...

– Wcale się nie śmieję, patere.

– A powinieneś. Złodziej, który nie potrafi się zmusić do kradzieży! Ale Hiacynt mi zaufała. Nie sądzę, by... jakikolwiek bóg życzył sobie, bym zdradził przyjazną mi kobietę, która na dodatek obdarzyła mnie zaufaniem.

– No tak, skoro ci pożyczyła, na twoim miejscu też bym go nie sprzedawał – mruknął Alka. – Ale i tak zrobiłeś dobry początek. Ona mieszka w domu Krwi. Skoro masz tam przyjazną duszę, nie musisz się wdzierać siłą. Jak myślisz, dlaczego doktor podjął się zrobić dla niej coś tak ryzykownego?

– Zapewne ją kocha.

– Ha, to możliwe. Sądzę jednak, że jest w tym coś więcej. Gdy już będziesz wiedział, powiedz mi. Chciałbym też obejrzeć azoth, który od niej dostałeś. Wpadnę do ciebie jutro wieczorem. Pozwolisz mi go obejrzeć?

– Proszę, nie musisz czekać do jutra. – Jedwab wyciągnął spod tuniki broń i podał Alce. – Na wszelki wypadek zabrałem go ze sobą do Orchidei.

Alka gwizdnął cicho pod nosem, przysunął azoth do oczu i z podziwem zaczął oglądać połyskliwą rękojeść.

– Dostaniesz za to dwa osiemset. Może nawet trzy tysiące. Musiał kosztować z pięć lub sześć.

Jedwab przytaknął.

– Chyba domyślam się, od kogo go dostała, jakkolwiek nie mam zielonego pojęcia, skąd zdobył aż tyle pieniędzy. Powiem ci później, gdy przekonam się, że mam rację.

Alka jeszcze raz gwizdnął z uznaniem i zwrócił azoth Jedwabiowi.

– Ale wróćmy do igłowca. Krew, zanim mi go oddał, opróżnił magazynek. Czy bez pozwolenia na broń można zdobyć gdzieś do niej igły?

– Naturalnie, patere. Bez trudu. Czy masz igłowiec ze sobą? Jedwab wyciągnął z kieszeni grawerowane cacko.

– To najmniejszy produkowany model. – Alka oddał Jedwabiowi igłowiec i wstał. – Muszę na chwilę się udać... no wiesz...

Jedwab skupił uwagę na kotletach. Na talerzu podano mu trzy, lecz mimo że czuł przeraźliwy głód, zjadł tylko jeden. Zaatakował zatem drugi kotlet, ignorując delikatne mięso w cieście, maślany krem z bazylią oraz sałatkę z szalotki w oliwie i occie, które restauracja podawała (najwyraźniej bezpłatnie) jako dodatki do potraw głównych.

Zamartwianiem się nie uratuje manteionu. Należało ułożyć plan, a plan ten niekoniecznie musiał zakładać kradzież dwudziestu sześciu tysięcy kart. Sprawę załatwić mogło na przykład zaskarwienie sobie życzliwości jakiegoś magnata albo...

Gdy przy stoliku pojawił się Alka, Jedwab uświadomił sobie, że nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zjadł ze smakiem również trzeci kotlet

Jedwab na calde!

Doktor Żuraw zamknął i zaryglował drzwi swego gabinetu. Był niebywale zmęczony i rad, że Krew (który też miał za sobą wyczerpujący dzień) nie zorganizował tej nocy żadnego bankietu. Przy odrobinie szczęścia, myślał Żuraw, czeka mnie spokojna noc, podczas której koty nikogo nie poszarpią, a Piżmo z pomocnikiem zajmować się będą tylko sokołami. Ale przede wszystkim żadna głupia baba w Vironie nie dojdzie do wniosku, że maleńki, nie zauważony dotąd pieprzyk jest pierwszym symptomem jakiejś straszliwej choroby.

Począł do sypialni, z której nie było wyjścia na korytarz, i zamknął za sobą drzwi. Jeśli będą mnie potrzebować, odezwą się przez szkło, pomyślał. Ściągnął buty, skarpetki cisnął na stos brudnej odzieży leżącej w kącie. Zakotował sobie w pamięci, by następnego dnia odnieść brudy do pralni znajdującej się w odległym skrzydle domu.

Czy wśród bielizny do prania znajdowała się też czarna skarpetka Jedwabia, którą rozciął przed zbadaniem złamanej nogi? Nie, wyrzucił ją od razu.

Na bosaka podszedł do zakratowanego okna i zaczął wyglądać na pogrążoną w mroku okolicę. Przez całe lato utrzymywała się piękna, upalna, sucha pogoda, lecz niebawem miała już nadejść bardzo spóźniona jesień. Słońce ściemnieje, a wiatr przyniesie chłód i ulewne deszcze. Doktor Żuraw nie lubił jesieni – deszczu, chłodu, śniegu, kaszlu i ciekącego nosa. Przez miesiąc albo dłużej słupki w termometrach wahać się będą między plus dziesięć a minus dziesięć, jakby magiczna siła ściągała je do temperatury zamarzania. Istoty ludzkie nie były stworzone do takiego klimatu.

Zaciągnął kotary w oknie i zerknął na kalendarz. Następnego dnia przypadał scyldag; rynek będzie zamknięty – w każdym razie oficjalnie – i prawie pusty. Najwyższy czas sporządzić raport. Handlarz opuści miasto w hieraxdag. Pozostało jeszcze pięć rzeźbionych figurek bogini Sphigx.

Rozprostował ramiona, przypominając sobie, że też jest pewnego rodzaju żołnierzem. Sięgnął po piórnik, czarny atrament i kilka arkuszy bardzo cienkiego papieru. Jak zawsze musiał pisać zmienionym charakterem pisma, by nikt go nie rozpoznał, gdyby raport został przechwycony.

Musi napisać o tak istotnym rozwoju wypadków, że nikt nie zdecyduje się odwołać go z placówki. Dziś sporządzenie takiego raportu nie będzie trudne.

A przecież chciałby wracać. Powrócić przed nastaniem deszczów, choć mówiono, że kiedyś było tam równie wilgotno jak tutaj jesienią.

Wybrał starannie wronie pióro i pieczołowicie je przyciął.

„Obserwuje się coraz silniejsze tendencje do przywrócenia Karty. Ruch ten koncentruje się wokół osoby niejakiego Jedwabia, młodego augura bez rodziny. Powszechnie twierdzi się, że jest on obiektem cudów przypisywanych Pahowi lub Scylli. Jak dotąd ruch ten ogranicza się jedynie do klas niższych. Na murach pojawiają się hasła »Jedwab na calde!«, lecz na Palatynie... (tylko tak

podejrzewał, ale przecież dobrze znał się na rzeczy) ich nie ma. Nawiązałem z Jedwabiem kontakt i zdobyłem jego zaufanie. Dopilnowałem, by dostał w ręce azoth. Wspominam o tym na wypadek, gdyby zaszła konieczność jego likwidacji”.

Żuraw uśmiechnął się pod nosem. Stało się to przez czysty przypadek, ale po co o tym pisać.

„Gwardia cywilna rośnie w siłę. Wszystkie jednostki są w gotowości bojowej. Mówi się o formowaniu brygady rezerwowej, w której oficerami będą weterani”.

Przez dobrą minutę studiował swe dzieło; lepiej napisać za mało niż za dużo. Po raz dwudziesty zanurzył wronie pióro w atramencie.

„Ptak wyrwał się na wolność. Jego trener oświadczył, że taka była konieczność. W ciągu kilku najbliższych dni spróbuje zwabić go z powrotem. Podobno świadkiem jego uwolnienia byli Lemur i Lori”.

Żuraw przypomniał sobie, że widziano ich też, jak wychodzą z poziomów podpiwnicznych, co zdarzyło się już kilkakrotnie. Bez wątpienia Ayuntamiento robiła użytek z na wpół zalanych tuneli konstrukcyjnych, jakkolwiek jej główna siedziba wcale się tam nie mieściła.

A może nie zdołano jeszcze ich zlokalizować, choć wielu poszukiwaczy przepadło w tunelach bez śladu. Oprócz uspięnej armii Vironu przebywali tam virońscy żołnierze i kilkanaście talusów.

Żuraw potrząsnął głową i uśmiechnął się na myśl o nagrodzie, jaką obdarzy go rani. Odwrócił się do szkła i klasnął w rękę.

– Monitor! Pojawiła się twarz.

– Kod. Wężymord. Co masz dla mnie? Szkło wypełniła mięsista twarz Krwi.

– Powinien to usłyszeć radca Lemur.

Twarz Krwi zastąpiło zwodniczo przystojne oblicze Wari.

– Mnie możesz przekazać wiadomość.

– Wolałbym raczej... – Żuraw uśmiechnął się, widząc niechęć Krwi.

– To nieistotne. O co chodzi? Doktor przysunął się bliżej do szkła.

Gdy już twarz Krwi zniknęła, zastąpił ją monitor, który powiadomił lekarza, że nic więcej nie ma, a Żuraw ponownie umoczył pióro w atramencie.

„Później. Ptak wrócił z własnej woli. Mówią, że jest w wyśmienitej formie”.

Starannie wytarł pióro i schował je do piórnika. Podmuchał na papier, po czym wielokrotnie go złożył do rozmiarów kwadracika nie większego niż paznokiec kciuka. Gdy wcisnął go w pozbawioną miecza lewą dłoń Sphigx, ręka figurki zamknęła się na kartce.

Przez chwilę się zastanawiał, czy warto przed pójściem do łóżka wziąć długą kąpiel w wannie. W

łazience było dobre światło – sam je zainstalował – więc jeśli z godzinę poczyta, ciasno złożony papier zdąży nabrać brązowego odcienia wymyślnie rzeźbionego drewna. Dla pewności robił tak zawsze. Był bardzo ostrożny; zresztą musiał być taki.

– No, teraz czuję się dużo lepiej – powiedział Alka, wracając do stolika. – Paterę, czy wiesz, jak się z tym obchodzić?

– Z igłowcem? – Jedwab wzruszył ramionami. – Jak ci mówiłem, tylko z niego strzelałem. Nic więcej.

Alka ponownie napełnił kieliszek.

– Mówię o azothcie. Nie, naturalnie, nic nie wiesz, ale tak czy owak opowiem ci o igłowcu. – Wyciągnął własny, dwukrotnie większy od inkrustowanej, wykładanej złotem broni, którą Jedwab miał w kieszeni. – Zauważ ten bezpiecznik. Taki sam znajduje się po drugiej stronie.

– Tak. Teraz broń nie wystrzeli. Tyle to i ja wiem. – Doskonale. – Alka dotknął igłowca czubkiem noża. – Czy widzisz tę sterczącą igiełkę? Możesz nazwać ją wskaźnikiem. Gdy wyskakuje, znaczy to, że w magazynku nie ma już igieł.

Jedwab wyciągnął z kieszeni swoją broń.

– Masz rację, wyskoczyła.

– Teraz patrz. Opróżnię swój igłowiec, odciągając dźwignię rozładownika.

Z wyrwy igłowca Alki trysnęła na stół srebrzysta fontanna igieł, które rozsypały się na blacie. Jedwab wziął jedną w palce.

– Niewiele tu do oglądania – zauważył Alka – Kawałek bardzo twardego stopu przyciąganego przez magnes lepiej niż stal.

Jedwab dotknął palcem czubka igły.

– Myślałem, że są ostrzejsze.

– Cha, cha, cha! Wtedy nie działałyby skutecznie. Gdyby tak mały przedmiot przeszedł prosto przez czyjeś ciało, nie wyrządziłby wielkich szkód. Jeśli obrócisz ją w palcach, zauważysz boczne nacięcia. Czubek jest zaokrąglony, by lepiej wchodził do lufy.

Jedwab odłożył igłę.

– A skąd taki huk?

– Powietrze. – Ku zdziwieniu Jedwabia Alka się uśmiechnął. – Gdy byłeś szprotem, czy nigdy inny szprot nie strzelił do ciebie z procy, a kamień nie przeleciał ci koło ucha?

Paterę skinął głową.

– Zgoda, proca nie robi takiego huku jak pistolet, bo to tylko kamień wystrzelony przez szprota.

Ale usłyszałeś świst ciętego przez kamień powietrza, taki czasami robi wiatr w kominie. Im większy kamień i im szybciej leci, tym dźwięk jest głośniejszy.

– Rozumiem – mruknął Jedwab.

W jednej chwili z całą wyrazistością wróciła doń tamta scena; palący, dziecięcy wstyd, świst kamienia, daremna próba ucieczki i bolesne uderzenie, strumień krwi spływającej z twarzy na jego najlepszą białą tunikę wyszywaną w kwiaty.

– No dobrze, igła jest maleńka, ale wystrzelona porusza się z taką prędkością, że w porównaniu z nią ciśnięty kamień zdaje się lecieć do tyłu. Ów pęd właśnie powoduje hałas, który słyszysz. Gdyby igła odwróciła się, zanim trafiła w dzban, który strzaskałeś, skrzeczałaby jak kocur. – Alka zgarnął dłonią na kupkę porozrzucane igły. – Wsuwa się je do kolby, patrz. Tuż pod moim palcem jest malutka podkładka z otworkiem w środku, a w niej dużo iskierek.

Jedwab uniósł brwi.

– Iskierki?

– Takich jakie widzisz w ślepiach kota, gdy znajdujesz się z nim w ciemnym pomieszczeniu. Krążą nieustannie wokół dziurki w podkładce, dopóki ich nie wykorzystasz. Kiedy zamykam zamek, do lufy zostaje wepchnięta pierwsza igła, o tak, widzisz? – Alka odbezpieczył broń. – Kiedy naciskam spust, przesyłam do cewki kilka iskierek. A dopóki są w niej iskiereki, działa jak potężny magnes. Energia idzie spiralnie lufą, wypychając igłę i nadając jej ogromną prędkość. Zastanawiasz się pewnie, co będzie, jeśli energia zostanie w lufie... Jedwab kiwnął głową.

– Albo jeśli iskra opuści ją wraz z igłą.

– To się nigdy nie zdarza. W chwili gdy igła opuszcza lufę, iskierka wciąż jeszcze jest w cewce. Opowiedziałem ci wszystko, co sam wiem. Czy już skończyłeś jeść, patere?

– Tak, kolacja była wystawna. Jestem ci niebywale wdzięczny, Alko. Ale zanim wyjdziemy, muszę zadać ci jeszcze jedno pytanie, choć niewątpliwie wyda ci się bardzo niemądre. Dlaczego twój igłowiec jest dużo większy od mojego? Jaka korzyść płynie z jego dużych rozmiarów?

Alka przez chwilę ważył w ręku broń, po czym schował ją do kieszeni.

– Cóż, patere, w moim mieści się więcej igieł. Sto dwadzieścia pięć. W twoim, tak na oko, pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt. Moje igły są większe, nie pasują do twojej broni. Grubsze igły mają szersze nacięcie do obracania pocisku, a to nadaje im większą szybkość. W moim igłowcu jest dłuższa lufa i grubsze pociski. Wszystko to sprawia, że igły poruszają się o połowę szybciej od twoich, a zatem głębiej wchodzą w cel.

– Rozumiem.

Jedwab odciągnął dźwignię rozładownika w igłowcu i zajrzał do środka na mało skomplikowany mechanizm zamka.

– Igłowce takie jak twój doskonale nadają się do strzelania w zamkniętym pomieszczeniu. Na zewnątrz jednak, zanim naciśniesz spust, musisz jak najbardziej zbliżyć się do celu. W przeciwnym razie igła, nim uderzy w cel, zacznie obracać się w powietrzu, a kiedy już zacznie się kręcić, to nawet szproty Paha, za przeproszeniem, nie będą wiedzieć, jak to się skończy.

Jedwab chwilę się zastanawiał, po czym wyciągnął z kieszeni jedną z kart, którą otrzymał od Krwi.

– Jeśli pozwolisz, Alko... I tak mam u ciebie potężny dług.

– Już zapłaciłem, patere. – Alka wstał tak energicznie, że odepchnięte krzesło uderzyło w ścianę. – Zapłacisz następnym razem. – Uśmiechnął się. – Pamiętasz, co powiedziałem? Że nawet bogowie nie wiedzą, jak to się skończy?

– Oczywiście.

Jedwab również wstał i ku swej radości stwierdził, że noga nie bardzo mu doskwiera.

– Cóż, oni może nie wiedzą, ale ja wiem, i jak tylko stąd wyjdziemy, powiem ci. Wiem, dokąd się razem udamy.

– Powinienem wracać do manteionu – odrzekł Jedwab, starając się nadać głosowi normalne brzmienie.

– To nie *zajmie* nam więcej niż dwie godziny. Mam dla ciebie parę niespodzianek.

Pierwszą była lektyka z dwoma tragarzami. Jedwab wsiadł do niej, zastanawiając się z drżeniem serca, czy po załatwieniu sprawy będzie mógł takim samym środkiem lokomocji wrócić na plebanię. Pojawił się już klosz i na niebie nie widać było żadnego pasemka złota. Delikatny wiatr przegonił upał minionego dnia, owiewał rozpalone policzki Jedwabia, który wyraźnie czuł, że wypił o jeden kieliszek wina za dużo. Obiecał sobie w duchu, iż w przyszłości będzie bardziej na siebie uważał. Alka kroczył obok lektyki. Gdy uśmiechał się, w półmroku białaty jego zęby. W pewnej chwili Jedwab poczuł, że towarzysz wsuwa mu w dłoń niewielki, kwadratowy, ciężki przedmiot.

– O tym rozmawialiśmy, patere. Schowaj to do kieszeni. Jedwab wyczuł palcami, że jest to pakiecik zawinięty w papier i ciasno związany sznurkiem.

– Skąd... ?

– Kelner. Kiedy wyszedłem, zamieniłem z nim słówko i posłał chłopaka. Powinny pasować, ale teraz nie sprawdzaj. Jedwab wsunął paczuszkę z igłami do kieszeni sutanny.

– Znow muszę ci dziękować, Alko. Sam już nie wiem, co mam powiedzieć.

– Kazałem też sprowadzić dla ciebie lektykę. Jeśli igły nie będą pasować, powiedz mi o tym jutro.

Lektyka zatrzymała się przed wysokim budynkiem, w którym okna na parterze i drugim piętrze były ciemne, natomiast środkowy rząd płonął jaskrawym blaskiem. Gdy Alka zastukał do drzwi,

otworzył chudy mężczyzna z niewielką, niechlujną bródką i siwymi włosami, jeszcze bardziej potarganymi niż czupryna Jedwabia.

– A! Doskonale! Doskonale! – wykrzyknął. – Proszę! Proszę! Tylko zamknijcie drzwi. Zamknijcie i chodźcie za mną.

Wszedł po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz. Poruszał się z szybkością, której pozazdrościłby mu ktoś o połowę od niego młodszy.

– Nazywa się Miecznik – oświadczył Alka. – Będzie twoim nauczycielem.

– Nauczycielem czego?

– Rąbania. Przed trzydziestu laty był najlepszy. W Vironie nie miał sobie równego. – Weszli do domu i Alka zamknął drzwi. – Utrzymuje, że nadal jest najlepszy, lecz młodzi ludzie nie podejmują jego wyzwań. Twierdzą, że nie chcą starca ośmieszyć, ale sam nie wiem. – Alka zachichotał. – Czy wyobrażasz sobie, jak by się czuli, gdyby stary piernik ich pokonał?

Jedwab, zastanawiając się, co może znaczyć termin „rąbanie”, usiadł na drugim schodku i ściągnął z nogi owijacz. Przypominający irchę pas był już zimny i choć Jedwab nie mógł dokładnie widzieć go w mroku, odniósł wrażenie, że pokryty jest kryształkami lodu. Uderzył nim z całych sił o podłogę.

– Czy wiesz, co to jest?

Alka przystanął i z uwagą przyjrzał się opatrunkowi.

– Nie wiem. Co to takiego?

– Cudotwórczy bandaż na moją kostkę – wyjaśnił patere i ponownie chlasnął opatrunkiem w podłogę. – Owija się wokół chorej kostki niczym wąż. Pożyczył mi to doktor Żuraw. Żeby zadziałał, trzeba tym mocno o coś uderzyć.

– Możesz mi go podać? Stojąc, zrobię to lepiej. Jedwab podał mu owijacz.

– Słyszałem o takich opatrunkach, raz nawet widziałem jeden, ale nigdy nie miałem w rękę. Żądają po trzydzieści kart za sztukę.

Alka z rozmachem uderzył owijaczem w ścianę. Kiedy przykucnął, by pomóc Jedwabowi obwiązać nogę, z materiału prawie się dymiło.

Schody były strome i wąskie, pokryte dywanem tak wytartym, że miejscami wystawały spod mego gołe deski. Jedwab, podtrzymywany mocno przez Alkę, gnany ciekawością, zaciskając zęby z bólu i wspierając się całym ciężarem ciała na lasce z rączką w kształcie głowy lwicy, wspinał się po schodach prawie tak szybko, jakby miał zdrowe obie nogi.

Za drzwiami na górze schodów znajdowała się pozbawiona sprzętów sala zajmująca całe pierwsze piętro. Podłogę wyłożono grubym płótnem żeglarskim, a na ścianach wisiały miecze rozmaitych typów. Obok dostrzec można było długie trzcinowe floretty o plecionych gardach.

– Kulejesz! – zawołał Miecznik. – Kulejesz!

Podbiegł tanecznym krokiem, wykonując parady i stawiając gardy.

– Mam złamaną nogę w kostce – wyjaśnił Jedwab. – Za kilka tygodni się zagoi.

Miecznik podał Jedwabiowi floret.

– Musimy zacząć teraz! Jeszcze dzisiaj! Czy wiesz, jak to trzymać? Jesteś leworęczny? Dobrze! Bardzo dobrze! Ale na wszelki wypadek nauczę cię też operować drugą ręką. Trzymaj laskę w prawej. Zasłaniaj się, ale nie zadawaj nią ciosów ani sztychów. Rozumiesz? Czy mogę też wziąć laskę? Przyznasz, że to uczciwe. Nie masz żadnych obiekcji? Gdzie... o, tam!

Zadziwiająco wielkim susem znalazł się przy najbliższej ścianie, z której zdjął dwa florety oraz złotą laskę tak cienką, że przypominała pręt. Podobnie jak florety wykonana była z bambusa.

– Nie mogę walczyć z panem, mając chorą kostkę – zaprotestował Jedwab. – Poza tym Kapituła niechętnym okiem patrzy na takie rozrywki, nie mówiąc już o tym, że nie jestem dla pana równorzędnym przeciwnikiem. Poza tym nie mam pieniędzy na opłacanie lekcji.

– Ha! Alka jest twoim przyjacielem? Alko, ręczysz za niego? Nie można pozwolić go zabić, prawda?

Alka potrząsnął głową.

– Jesteśmy przyjaciółmi. – Mówiąc te słowa, Jedwab zrozumiał, że to prawda. – A ponieważ jestem jego przyjacielem, nie pozwolę mu za siebie płacić.

Miecznik zniżył głos do szeptu.

– Mówisz, że nie chcesz walczyć z kulawą nogą. Lecz jeśli ktoś cię zaatakuje, będziesz musiał podjąć walkę. Musisz... A ponieważ Alka jest twoim przyjacielem, też by walczył, prawda? Walczył za ciebie. Twierdzisz, że nie chcesz, by za ciebie płacił. Nie sądzisz, że on czuje to samo?

Podał Alce floret – Nie masz pieniędzy, Alko? Dobry złodziej, lecz ubogi człowiek; tak o tobie mówią, prawda? Czy nie chcesz... czy obaj nie chcecie zaoszczędzić Alce wydatku? Tak, chcecie! Wiem, że chcecie.

Alka odpiął od pasa kordelas i położył ciężką broń pod ścianą.

– Jeśli go pokonamy, nie będziemy musieli płacić.

– Właśnie! – Miecznik odskoczył. – Czy nie pogniewasz się, patere, jeśli się rozbiorę?

Nie czekając na odpowiedź, ściągnął spodnie; jedną nogę miał cienką jak trzpień i wykonaną z czarnej, połyskliwej stali. Wykonał palcami szybki ruch i sztuczna noga również upadła na podłogę. Stał teraz, chwiejąc się na jednej, umięśnionej, pokrytej niebieskimi żyłkami naturalnej nodze.

– Znacie już mój sekret! Pięciu mi ją odebrało! – Ruszył w ich stronę, podskakując niepewnie z

floretem w jednym ręką i laską w drugim. – Pięciu odnalazłem!

Jedwab w ostatniej chwili sparował cios floretu, który ze świstem przeciął powietrze tuż przy jego uchu.

– Zbyt wielu przeciwników? Dla mnie jeszcze za mało. – Kolejny świszczący cios. – Nie chowaj głowy w ramiona!

Alka zaatakował starca, którego zasłony były jednak zbyt szybkie dla ludzkiego oka. Gdy jego floret trafił złodzieja w czaszkę, rozległ się trzask głośniejszy niż wystrzał z igłowca wydany w „Kogucie”. Alka jak długi rozłożył się na wysłanej żeglarskim brezentem podłodze.

– Teraz ty, patere! Broń się!

Przez jeden krótki pacierz Jedwab rozpaczliwie walczył, bronił się przed gradem ciosów, z forhendu, z bekhendu, w głowę, w szyję, w ramiona, w barki, w brzuch. Nie było czasu na myślenie, nie było czasu na nic. A jednak zaczął wyczuwać pewien rytm ciosów przeciwnika. Mimo uszkodzonej kostki, poruszał się i obracał szybciej niż Miecznik na swej jednej nodze.

– Dobrze! Dobrze! Atakuj mnie! Dobrze!

Teraz stary szermierz przeszedł do obrony, parując mordercze ciecia Jedwabia zadawane w głowę i w barki.

– Używa czubka! O tak!

Miecznik na jednej nodze, wsparty na lasce zrobił wypad, ostrze jego floretu przeszło najpierw między nogami Jedwabia, a następnie pod lewym ramieniem. Paterę również zadał rozpaczliwą flintę. Mistrz szpady sparował cios i czubek floretu Jedwabia poszedł w bok. Kiedy starzec się cofał, Jedwab zadał mu cios w głowę. – Gdzie się uczyłeś, chłopcze?

Alka podniósł się wreszcie z podłogi. Ze śmiechem pocierał bolącą głowę. Czując się zdradzony, Jedwab wykonywał parady i parował zadawane przez Miecznika ciosy. Nie myślał, walczył instynktownie i bezpardonowo. Odrzucił laskę. Bólu w kostce prawie nie czuł, odnosił wrażenie, że noga boli kogoś innego.

– Doskonale! Och, cudownie!

Donośny łomot floretów był niczym granie bębnów Sphigx wzywających mężczyzn na wojnę, niczym grzechot krotali wybijających rytm tańca – tańca, w którym każdy ruch musiał być szybki niczym błyskawica. – Biorę go, Alko! Ja go nauczę! Należy do mnie! Podskakując, prawie przewracając się, wspierając się na swej cienkiej laseczce, starzec z łatwością odpierał każdy atak Jedwabia. Jego szalone oczy pałały radością.

Również oszalały, rozgrzany walką patere zaatakował. Zatoczył szeroki łuk floretem i w tej chwili na jego nadgarstek spadła laska starca. Cios był paraliżujący. Jedwab wypuścił ze zdrętwiałej dłoni floret, a czubek broni Miecznika ugodził go w mostek. – Nie żyjesz, patere!

Jedwab popatrzył tępo na przeciwnika, potarł bolący nadgarstek i splunął staremu pod nogi.

– Oszukałeś mnie. Powiedziałaś, że nie mogę walczyć laską, a ty mnie uderzyłaś swoją.

– Uderzyłem! O tak, uderzyłem! – Miecznik wyrzucił laskę w górę, po czym, kiedy spadała, ponownie odrzucił ją uderzeniem floretu. – Ale czy nie jest mi przykro? Czyż nie mam rozdartego z rozpaczy serca? Czyż nie dręczą mnie wyrzuty sumienia? Szlocham! Gdzie chcesz zostać pochowany?

– Paterę, podczas walki nie obowiązują żadne reguły – wtrącił cicho Alka. – Jeden ginie, drugi pozostaje przy życiu, i tyle.

Jedwab głośno przełknął ślinę.

– Rozumiem. Gdybym głębiej zastanowił się nad czymś, co przytrafiło mi się dzisiejszego popołudnia, zrozumiałbym to wcześniej. Oczywiście, masz rację. Obaj macie rację.

– Gdzie się uczyłeś? – zapytał Miecznik. – Kto był twoim mistrzem?

– Nikt – odparł zgodnie z prawdą Jedwab. – W dzieciństwie czasami walczyliśmy na palcaty, ale nigdy dotąd nie miałem w ręku floretu.

Miecznik uniósł krzaczaste brwi.

– Takiego jak ten? A może wciąż jesteś zły z powodu mojej sztuczki? – Podskoczył na jednej nodze do leżącej na podłodze laski Jedwabia, podniósł ją (o mało się przy tym nie przewracając) i wręczył Jedwabiowi. – Chcesz mi oddać? Ukarać mnie za to, że próbowałem cię ocalić? Proszę, zrób to!

– Nie! Raczej powinienem ci podziękować, Mieczniku, co niniejszym czynię. – Pomasował strup na żebrach, w miejscu gdzie gałką noża ugodził go Piżmo. – Takiej lekcji potrzebowałem. Kiedy mogę się stawić na następną?

Starzec zaczął się zastanawiać i Alka, wykorzystując chwilę ciszy, powiedział:

– Poznałeś bardzo ciekawego człowieka, patero. Jest nie tylko mistrzem miecza, lecz mistrzem broni w ogóle. Twoje igły chłopak kupił właśnie u niego.

– Ranki, popołudnia czy wieczory? – zapytał Miecznik. – Pasują ci wieczory? Dobrze. Co powiesz o hieraxdag?

Jedwab skinął głową.

– W hieraxdag po zaciemnieniu, mistrzu Mieczniku. Alka podał starcowi protezę i pomógł mu utrzymać równowagę, kiedy stary szermierz mocował ją do kikuta.

– Czy widzisz, że miałem prawo tak postąpić? – Stuknął w protezę floretem. – Sam siebie kiedyś skrzywdziłem. Zapłaciłem tę cenę, gdy byłem młody i silny jak ty teraz.

Kiedy znaleźli się już na rozgrzanej, pustej ulicy, Alka powiedział:

– Znajdziemy ci lektykę, patere. Zapłacę, ale później już będę musiał iść.

Jedwab roześmiał się.

– Skoro z chorą kostką mogłem walczyć z tym starym szaleńcem, to bez kłopotów dojdę do domu. Skoro się śpieszysz, Alko, możesz już iść, i niech pokój Paha będzie z tobą. Nie próbuję nawet ci dziękować za wszystko, co zrobiłeś dla mnie dzisiejszego wieczoru. Mógłbym gadać do rana, a i tak nic by to nie dało. Przy pierwszej okazji odwdzięczę ci się z nawiązką.

Alka uśmiechnął się i klepnął Jedwabia w plecy.

– Nie ma pośpiechu, patere.

– To ulica Struny, którą dobrze znam. Przejdę nią kawałek i będę na ulicy Słońca. Stamtąd kilka kroków na wschód i już manteion. Z pewnością masz do załatwienia własne ważne sprawy. Dobrej nocy.

Dopóki był w zasięgu wzroku Alki, szedł prosto i równo. Dopiero gdy złodziej zniknął za rogiem, znów zaczął kuleć i mocno opierać się na lasce. Po potyczce z mistrzem Miecznikiem był zlany potem, lecz nocny wiatr na szczęście nie był chłodny.

Kończyła się jesień. Czy zaledwie poprzedniego dnia padał deszcz? Tak, upewnił się w myślach Jedwab. Prawie nadeszła zima, ale jej pojawienie się zwiastował jedynie ów niewielki deszcz. Zebrano już plony (bardzo liche plony, mówiła większość rolników. Prawie niewarte żniw). Okropne upały z roku na rok trwały dłużej. Tego lata były wprost zabójcze. I jeszcze nie ustąpiły.

Zamyślony, prawie zapomniał skręcić w ulicę Słońca. Jutro pogrzeb; ostatnia ceremonia dla Orlicy; i z całą pewnością jej pierwsza. Przypomnił sobie, co mówił o niej Alka. Szkoda, że nigdy Orlicy nie poznał... Czy była podobna do pięknej Hiacynt? A czy maytere udało się zamienić czek na gotówkę? Powinien to sprawdzić jak najszybciej. Nie musiał jej przypominać, by wysprzątała manteion. Czy sprzedawana na rynku ruta wciąż jest tania? Nie, czy w ogóle zdobędzie rutę za jakąkolwiek cenę? Z całą pewnością tak. I...

I oto plebania, za którą majaczył manteion. Ale on przecież zarygłował od środka drzwi prowadzące z ulicy Słońca.

Przeciął na ukos ulicę i podszedł do bramy ogrodowej. Dokładnie ją za sobą zamknął. Gdy włożył się wąską ścieżką wiodącą na plebanie, w której samotnie mieszkał, sypiał i jadał, usłyszał napływające do ogrodu przez otwarte okno głosy. Jeden był ochrypy, wznosił się prawie do krzyku, po czym przechodził w mamrotanie. Drugi, mówiący o Pahu, Echidnie, Hieraksie, Molpe i wszystkich innych bogach, w jakiś osobliwy sposób był bardzo znajomy.

Przystanął, chwilę nasłuchiwał, usiadł na wychodzącym stopniu. Poznał własny głos.

– ... która sprawia, że zboże kiełkuje z ziemi. Wy, szproty, widzieliście to i braliście za cud.

Był to wygłoszony przez niego w manteionie w molpdag wykład, a raczej jego parodia. Ale na pewno mówił on, to on mówił tak głupio.

– A więc, gdy popatrzymy na drzewa kołyszące się w podmuchach wiatru, musimy o niej myśleć. I nie tylko o niej. Również o jej matce, bo bez matki nie mielibyśmy jej, nie mielibyśmy drzew ani nawet tańców.

Tak, z całą pewnością ten bełkot to były jego słowa. Zewnętrzny nie tylko go oświecił, ale i rozdziwił; na patere Jedwabia mieszkającego tu i prowadzącego wykład w zatechłej sellarii, oraz na niego, Jedwabia nieudolnego złodzieja – niegodziwego Jedwabia, narzędzie w rękach Krwi, Jedwabia, który został przyjacielem Alki, który za paskiem trzyma śmiertcionośny azoth, a w kieszeni połyskliwy igłowiec, pożyczony od kurwy.

Paterę zateśnił nagle za jej widokiem.

– Jedwab dobry – rozległ się ochryply głos.

Zapewne, lecz o kogo chodziło? O którego Jedwabia? Czy o tego, który teraz wyciągnął azoth zza pasa? Czy o Jedwabia, który tak nienawidził i bał się Piżma, że był go gotów zamordować?

Kogo się bał? Tamten Jedwab nie skrzywdziłby muchy, grzechotnika, nawet szczura. A jednak było rzeczą przerażającą spotkać tamtego Jedwabia, spotkać go teraz, w głosie i we wspomnieniach. Czyżby naprawdę stał się kimś innym?

Rozdarł papier pakieciku, który wręczył mu Alka, i wysypał na dłoń kilkanaście igieł. Po chwili wsunął je do otwartego magazynka igłowca, zwolnił dźwignię rozładownika i zatrzasnął zamek. Teraz mógł już w każdej chwili wystrzelić. Nie wolno mu strzelać!

Paterę Jedwab i drugi Jedwab, postać mroczna. Ten drugi pogardzał pierwszym, a jednocześnie mu zazdrościł. Z plebanii doszedł znów jego głos: – W imię wszystkich nieśmiertelnych bogów, którym wszystko zawdzięczamy.

Czasami zsyłają dziwne dary. Ocalił ten manteion, a przynajmniej opóźnił chwilę jego likwidacji. A teraz, słysząc głos augura, wiedział, że manteion nie był wart ratunku. Z posepną twarzą wstał, schował azoth za pasek, a igłowiec wsunął do kieszeni, w której znajdowały się pozostałe igły. Strzepnął kurz z sutanny.

Wszystko uległo zmianie, ponieważ on sam się zmienił. Jak i kiedy to się stało? Czy wtedy gdy wspinał się na mur otaczający posiadłość Krwi? Czy wtedy gdy zabierał z manteionu toporek? A może dawno, dawno temu, kiedy z innymi chłopcami włamywał się przez okno do opuszczonego domu? Czy może raczej Pleśń rzuciła nań urok w swym brudnym, ciemnym pokoju? Jeśli ktoś mógł rzucić na niego urok, to tylko Pleśń; wszak okazała się najprawdziwszym diabłem. Czy to ona właśnie wypiła z nieszczęsnej Rzep krew?

– Pleśń, jesteś tu? – szepnął Jedwab. – Czy wciąż za mną idziesz?

W suchych liściach drzew zaszeleścił wiatr, a Jedwabowi wydawało się, że słyszy jej szept.

Z okna dobiegł jego mamrocący, bełkotliwy głos:

– Usłyszmy oto, co Pismo ma do powiedzenia Jedwabowi pleciudze. Usłyszmy oto, jakie

nadzieje żywi Hierax Bezlitosny.

– ... Bezlitosny – powtórzył szorstki głos, jakby szydząc z Jedwabia.

Paterę rozpoznał głos.

Nie, nie miała z tym nic wspólnego ani Pleśń, ani żadna jego decyzja. Wszyscy bogowie są dobrzy, więc czy na swój mroczny sposób nie był dobry również niezgłębiony Zewnętrzny? Podobnie jak dobry jest, czy mógłby być, Alka? Nieoczekiwanie Jedwab przypomniał sobie whorl na zewnątrz whorla, niezmierny whorl Zewnętrznego rozciągający się pod jego stopami. Taki mroczny.

A jednocześnie rozświetlany rozrzuconymi punkcikami światła. Wsunął rękę do kieszeni, zacisnął dłoń na kolbie igłowca, otworzył drzwi plebanii i przekroczył próg.